

MAGDALENA LEWANDOWSKA  
MAŁGORZATA LEWANDOWSKA



Drzewo  
wspomnień

MAGDALENA LEWANDOWSKA

Drzewo  
wspomnień

poezja i ilustracje

MAŁGORZATA LEWANDOWSKA

# Spis treści

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

*Nie jest powszechnie wiadome, że ceniony na całym świecie jantary, mistrzowsko wykonane łuki sejhery i skuwany tajemnym sposobem dziwery pochodzą z położonego na dalekiej północy kraju zwanego Daborem. Ziemia Daboru zamieszkiwana są przez lud, który na przywódców wybiera niewiasty i nie zna jednego boga, ale czci wielu różnych bogów i oddaje cześć drzewom, rzekom czy nawet paleniskom kowali. Mowa tego kraju jest zupełnie niezrozumiała, brzmi jak szelest liści lub wody w strumieniu i nawet najbardziej wprawni w językach uczeni nie mogą tych dźwięków powtórzyć.*

*Wszyscy Daborczycy, tak mężczyźni, jak i niewiasty, są bardzo wysocy, silni, śmiali i zdają się zupełnie nie przejmować chłodem, spiekotą, deszczem czy niedostatkiem jedzenia. Do cudzoziemców odnoszą się przyjaźnie, przyjmują ich pod dach, goszczą strawą, chronią od niewygod, a czasem nawet do własnego łóża przyjmują.*

*W Daborze jest wielu mężczyzn, którzy na podobieństwo wezyrów, szejków czy kaidów piastują urzędy i pilnują praw. Lud ma ich w poważaniu, jednak bardziej niż wezyrów czy szejków Daborczycy szanują stare kobiety zwane zielarkami. Zielarki na podobieństwo mullów przewodzą modlitwom, ale też pilnują zdrowia ludzi, zwierząt i ziemi. Staruchy te posługują się magią dżinów i są zaprawdę potężnymi czarownicami. Jednakże pomimo ich wielkiej mocy żadna z nich nie dorównuje potęgą tej, która zasiada na tronie Daboru – Witii.*

**Khaleel al Nimh, „Opowieści z dróg i traktów”**

# KOZDZIAŁ I

*Wiele lat pozostawał Dabor bez przewodnictwa Witii. Wiele ucierpiał od wojny i ataków nienawistnych sąsiadów. Niezliczeni mężczyźni padli od mieczy Cesarstwa i strzał plemion nadchodzących z Rudzi. Niezliczone niewiasty owdowiały, a dzieci bez opieki rodziców niedołączerpierały.*

## Wojan z Chłodnej, „Kroniki Daboru”

Cienkie smugi dymu unosiły się nad pogorzelskiem, oplatając martwe ciała zwiernym całunem. Zimne powietrze pachniało świeżym śniegiem, spalonym drewnem i krwią. Wiatr miękko unosił rozerwane strzępki ubrań, jakby chciał przykryć nagość porzuconych na ziemi zwłok.

Samotna dziewczyna pochylała się nad jednym z ciał. Szare przerażone oczy wpatrywały się w martwą, przyprószoną popiołem twarz.

– Mamo? – szeptały zmarznięte, drżące usta. – Obudź się, mamo...

Błade usta matki milczały.

– *Ciiii, cichutko.....* – wyszeptał wiatr. – *Cichutko, kochanie...*

– Mamo?! Proszę, obudź się! – Głos dziewczyny zabarwiony był histerią. – Tata... tata chyba nie... chyba nie żyje...

– *Ciiii, nie płacz, Saja...* – szeptał wiatr.

Gdzieś z lasu dobiegł odległy tętent kopyt. Dziewczyna podniosła głowę, z przerażeniem wyglądając napastników.

– Mamo! Mamo! Obudź się! Proszę!

– *Schowaj się...* – szeptał wiatr natarczywie. – *Schowaj się...*

\*\*\*

Świsł pędzącej strzały przerwał ciszę zimowego przedświtu. Chwilę potem rozległ się głuchy dźwięk padającego na ziemię ciała. Przez ośnieżoną leśną polanę wielkimi susami przebiegł ogromny wilk. Powąchał zbłąkane krople krwi. Różowym jęzorem oblizał drzewce strzały wbitej głęboko w bok sarny.

– Zostaw to, Skra! – Męski głos odbił się echem po polanie. – Jeszcze ci zadra jakaś wlezie!

Wilk posłusznie cofnął się i z cichym skomleniem przysiadł nieopodal ofiary. Czujnym wzrokiem śledził zbliżającego się od brzegu lasu myśliwego. Dzierżący łuk mężczyzna przedarł się w końcu przez zasy py śniegu. Stanął obok wilka i poklepał czule ciemną głowę zwierzęcia.

– Dobra robota, chłopie – powiedział. – Nagoniłeś ją prosto na mnie. Będzie jedzenia na tydzień!

Zadowolony z pieśczo ty Skra dostojnie pomachał ogonem i szcze knął cicho. Miro, bo tak nazywał się samotny myśliwy, podrapał wilka za uchem, po czym pochylił się nad upolowaną zwierzyną, by wyciągnąć strzałę. Ubita sarna była młoda, a jej sierść gruba, gładka i lśniąca.

– W sam raz na skórę – wymruczał pod nosem myśliwy. – Matka będzie zadowolona...

Chwilę potem Miro po raz tysięczny uświadomił sobie, że jego matka nie żyje.

Pociągnięta zbyt gwałtownie strzała pękła.

– Parchy, nęcia mać! – wycodził mężczyzna przez zęby, rzucając bezużyteczną brzechwę na ziemię. – Głupi! Głupi! Głupi! – Raz po raz uderzał w głowę zaciśniętą pięścią. – Nie żyje! Nie żyje! Oni wszyscy nie żyją! Czemu nie możesz zapamiętać?!

Minął już prawie rok, odkąd Miro znalazł porzucone na stosie zwłok ciało swojego ojca. Minął prawie rok, odkąd zaginęła jego siostra Malina i brat Wilen. Połowa jesieni i prawie cała zima, odkąd umarła jego matka, jednak Miro wciąż zapominał. Każdego dnia łapał się na planowaniu niespodzianki dla matki czy prezentu dla siostry. Każdego dnia na nowo uświadamiał sobie śmierć najbliższych. *Ile jeszcze?...* – zastanawiał się, wpatrzony tępo w kawałki połamanej strzały. – *Ile trzeba czasu, by zapamiętać?...*

Zimny nos wilka dotknął dłoni mężczyzny. Miro spojrział w roześmiane oczy przyjaciela. Objął ramieniem szyję Skry.

– Co ja bym bez ciebie zrobił, bydlaku?... – powiedział, drapiąc puchate ucho zwierzęcia.

Zadowolony wilk przechylił głowę na bok, pomrukiem zachęcając mężczyznę do intensywniejszego drapania.

– Ależ ty jesteś rozpuszczone bydlę! – Miro zaczął obiema rękami zapamiętane czochnąć szyję i grzbiet zwierzęcia.

Skra z zadowolonym pomrukiem i głuchym odgłosem przewrócił się na śnieg, prezentując brzuch, gotowy do dalszych czułości.

– No nie, tak to nie ma! – wykrzyknął mężczyzna z udawanym oburzeniem – Rusz dupę, chłopie! Ta sarna sama się nie wybebeszy!

\*\*\*

Otulona strzępami kozuszką Saja stała na brzegu lasu. Przed jej oczami rozciągały się otaczające niewielką osadę, przysypane śniegiem pola. Nie знаła nazwy tej wioski. Nie była pewna, jak się tu znalazła. Nie pamiętała wiele z minionych kilku dni. Tam, na pogorzeliisku, odrętwiała bólem, rozpaczą i samotnością, poddała się szeptom wiatru. Wiatr kazał jej uciekać, więc uciekała. Pamiętała niezliczone drzewa mijane w biegu, przeskakiwane korzenie, jakąś podziemną kryjówkę, trzask łamanych kości, ból, krwisty smak surowego mięsa.

Sama nie była pewna, jak długo biegła. Trzy dni? Cztery? Tydzień? Otumaniona szeptami wiatru, przemierzała ośnieżony las jak we śnie. Dzień zlewał się w jedno z dniem kolejnym, noc z nocą. *Ile jeszcze wytrzymam?* – zastanawiała się, patrząc na zimowy krajobraz pustym, zmęczonym wzrokiem. Nie wiedziała, od kogo ucieka. Nie wiedziała, kim byli ci, którzy napadli na jej rodzinny dom. Kiedy dotarła na pogorzeliisko, nie zastała tam żywej duszy. Kiedy uciekała, słyszała tylko tętent końskich kopyt. *Może mieszkają w tej wiosce? Może na mnie czekają?...*

– *Schowaj się...* – wyszeptał wiatr w koronach drzew. – *Schowaj się...*

Jej przyjaciel wiatr. Pomagał Sai od samego początku. Od tej pierwszej nocy, jeszcze przed napadem na rodzinny dom, jeszcze przed szaleńczą ucieczką przez las. Wydawało się, że to było tak dawno temu... Wiatr szarpał wściekle okiennicą. Kołatanie drewna było tak głośne, że obudziło Saje. *Trzeba było spać...* – pomyślała dziewczyna. – *Trzeba było zostać z mamą...* Ale wtedy, tak dawno temu, wstała. Podeszła do okiennicy, by zamknąć ją szczelniej. Za oknem zobaczyła cienie utkane z jasności, wiły tańczące na podwórku, wirujące po skrzącym się śniegu. Saja zamknęła oczy, by lepiej zobaczyć tę cudowną wizję wspomnień. Matka z ojcem spali w odległym kącie izby. Zaledwie kilka kroków dzieliło ją od cudownego zapachu włosów matki, od miękkości jej ramion, od ciepła. Od bezpieczeństwa. *Trzeba było zostać...* *Zostać z mamą...* Ale wtedy, tej odległej nocy, wyszła. Ubrała się i cichutko wyszła na podwórko. Myślała, że wiły uciekną. Według opowieści zielarki miały być przecież nieśmiałe i bać się ludzi. Jednak świetliste cienie zdawały się na nią czekać. Przywitały ją jak siostrę, zaprosiły do tańca. Poszła z nimi, szczęśliwa, urzeczona pięknem ich jasnych oczu i zwiewnych sukni. Zupełnie zapomniała się w tym tańcu. Wirowała ze świetlistymi zjawami, wzbijając iskry śniegowego pyłu, płynąc przez pogrążony w zimowej ciszy las.

– *Schowaj się...* – Szum upartego wiatru wyrwał ją z kokonu wspomnień. – *Schowaj się...*

*Mój przyjaciel wiatr...* Dziewczyna posłusznie odepchnęła się od drzewa i chwiejnym krokiem ruszyła przez las. Wycieńczona, opierała się o zmarznięte pnie, potykała o wystające korzenie. Pień starego dębu zapadł się pod jej ciężarem. Bezwładnie, zbyt zmęczona by się zdziwić lub przestraszyć, wpadła do środka wydrążonego czasem drzewa.

– *Schowaj się!* – naglił wiatr. – *Schowaj się... Schowaj...*

Resztką sił wyczołgała się z pnia, by zgarnąć kilka nagich gałęzi i połamane fragmenty kory. W końcu, ukryta tak, że tylko wątła para oddechu zdradzała jej obecność, skuliła się w ciemności. *Zimno... Tak bardzo zimno...* Pamiętała, że tam, na pogorzelsku jej rodzinnego domu, było ciepło. Nie była głodna. Znalazła wejście do jednej z wielu podziemnych spizarni. Było tam jedzenie, a dogasający pożar rozgrzał małą przestrzeń. To nie było tak dawno temu. W spizarni było ciemno i ciepło. Po zamknięciu oczu, prawie mogła zapomnieć, że ciała wszystkich ludzi, których kochała leżały na ziemi, stygły, wpatrywały się w padający śnieg martwymi oczami. *A może to jest teraz?* Jej zmęczony umysł rozplątał się w ciemności. Nie czuła już zimna. Nie czuła głodu. Tak jak tam, na pogorzelsku, zasnęła, bez snów.

\*\*\*

Poranna szarówka wyraźnie już się przejaśniała. Miro w milczeniu skończył czyszczenie ostrza i zaczął starannie usuwać ślady polowania. Szanse, że ktokolwiek zapuści się tak głęboko w las nie były wielkie, ale wolał nie kusić losu. Nie chciał, aby mieszkańcy wioski dowiedzieli się o jego udanych łowach. Ostatnim razem kiedy wrócił z tak dużą zdobyczą, zlązło mu się do domu chyba z pół Szubinek. W większości baby, które spędziły pół dnia doradzając mu, jak robić kiełbasy i przyrządzać szynki. Wszystko mu w domu poprzestawiały, błota naniósł, kubków nabrudziły i zostawiły go z koszmarnym bólem głowy. Po tym przykrym doświadczeniu Miro stał się bardzo ostrożny. Zwykle nie polował na nic większego niż królik czy kuropatwa, a zdobycze łowieckich wypraw przechowywał w kryjówce na brzegu lasu. Wracał po zwierzynę następnego dnia, przenosząc w worku nie więcej niż jednego królika czy ptaka naraz. *Z sarną trudno będzie przemknąć się niepostrzeżenie...* – pomyślał.

Miro w ogóle nie miał zamiaru polować na grubą zwierzynę. Niestety, nic innego nie mógł znaleźć. O tej porze roku, na przednówku, mieszkańcy wioski



eksploatowali las niemal do granic wyczerpania zasobów. Dodatkowo ciągnąca się od prawie sześciu lat wojna i związane z nią podwyższenie danin znacznie nadwyrężyły zimowe zapasy Szubinek. Tego poranka Miro znalazł pewnie z tuzin pustych sideł i ani jednego królika. Wszystkie sidła, jak zwykle, dyskretnie uszkodził. Nie zgadzał się na okrutną śmierć zwierząt złapanych w te paskudne pułapki. Sam polował tylko z łukiem. Wymagało to umiejętności podchodzenia zwierzyny i celnego strzelania. W opinii Mira takie polowanie było uczciwe. Leżąca pod jego stopami sarna nawet nie wiedziała, co się stało. Strzała trafiła ją prosto w serce. Miro był z siebie bardzo zadowolony. Teraz musiał tylko wymyślić, jak zanieść tak dużą zdobycz do domu i nie zostać wysledzonym przez czujne oczy mieszkańców Szubinek.

– Zaraza na te baby... – mruknął pod nosem.

\*\*\*

Poprawił rzemienie sani, spojrzął w niebo i uśmiechnął się do siebie. Śnieg zaczynał padać, co oznaczało, że przynajmniej nie będzie musiał tutaj wracać, żeby zatrzeć resztę śladów. Ruszył równym krokiem przez las, ciągnąc obciążone zwierzyną sanie. Skra, objedzony wnętrznościami sarny, potruchtał leniwie za panem.

Pierwsze ślady Miro zauważył jakieś pół staja<sup>1</sup> od brzegu lasu. Połamane gałązki, kłaczki futra zaczepione o krzaki, gdzieniegdzie kilka kropel krwi. Wyraźne odciski ludzkich stóp na śniegu. *Zbóje jacyś?* – zastanawiał się, zaniepokojony. – *Ktoś napadł na Szubinki?* Zatrzymał się, odczepił rzemienie sani i sięgnął po łuk. Dłonią dał znak Skrze. Wilk posłusznie zniknął pomiędzy drzewami. Miro, stąpając ostrożnie po skrzypiącym śniegu, ruszył przed siebie.

Doświadczonym okiem tropiciela obserwował ślady. Dziecko lub drobna kobieta. Prawie mógł widzieć zataczającą się, potykającą o korzenie postać. *To nie z Szubinek* – pomyślał z ulgą. – *Idzie z lasu.* Wiele drobnych ran. Prawdopodobnie złamana ręka. Bose stopy, porwany kożuszek. Zdjął kilka strzępów z pobliskiej gałęzi i powąchał je. Zakażona rana. Ślady wyraźnie prowadziły do starego, spróchniałego dębu. *Parchy, idzie wprost do mojego drzewa!* – przeklął w myślach.

Cisza nie była dobrym znakiem. Słyszał tylko wiatr, swoje własne kroki i oddech. Stał przed osypanymi śniegiem gałęziami i przyjrzał się śladom raz jeszcze. Wyglądało na to, że poranione dziecko lub kobieta znalazła schronienie w jego kryjówce. *Na bogów, czemu tutaj?! Czemu ja?* – pomyślał ze złością. Zagwizdał na Skrę, po czym klnąc soczyście pod nosem zaczął odsuwać gałęzie. W jego nozdrza

uderzyła fala ciepła i smród zakażonej rany. We wnęce drzewa siedziała nieruchomo ludzka postać. Skulona, chuda, otulona w łachmany i strzępki kożuszka, z głową opartą na ramionach, zdawała się spać. Potargane włosy były splecione w coś, co kiedyś prawdopodobnie było wyszukanym warkoczem. Teraz spod futrzanej czapki zwieszał się posklejany potem i krwią długi kołtun włosów z wplątanymi gdzieniegdzie listkami i gałązkami. Miro delikatnie podniósł głowę nieprzytomnej postaci. *Szyja nie jest sztywna. Żyje albo dopiero co umarła.* Ubrudzona, wychudzona twarz należała do młodej dziewczyny. Jedenaście? Dwanaście lat? Nie więcej. Niebieskawe usta, zamknięte oczy. Cieniutka mgiełka oddechu.

– Jeszcze żyjesz – powiedział Miro do nieprzytomnej dziewczyny. Delikatnie odsunął poły kożuszka i zapach gnijącego ciała uderzył go niemal boleśnie. – Choć pewnie już niedługo... – dodał.

Mężczyzna przykucnął na piętach i patrzył przez chwilę na bezwładne ciało. *Zostawić? Wziąć?* Podrapał brodę w zamyśleniu. *Buzię ma zupełnie jak Malina* – pomyślało mu się. Zaklął siarczyście, wściekły na siebie za głupie myśli. Wiedział, że teraz już na pewno nie zostawi tu dziewczyny.

Ze stłumionym westchnieniem podniósł się i pochylił nad wciśniętym w dziuplę ciałem.

– Zabierzmy cię do domu, dziecko – powiedział.

\*\*\*

Miro zaczynał powoli odczuwać chłód zimowego ranka. Czekał przed domem Rai już dłuższą chwilę, raz po raz pukając nerwowo w drzwi. Raja była wielce szanowaną zielarką z ogromnym doświadczeniem. Była również kobietą, mówiąc delikatnie, w sile wieku i słuch nie dopisywał jej jak niegdyś. A przynajmniej taką miał Miro nadzieję. Stał tu już wystarczająco długo, by zacząć się obawiać, że Raja leży gdzieś w tej chatce, złożona snem wiecznym. Rozejrzał się raz jeszcze po podwórku. Stojaki na zioła, suszarnia, mały ręczny wózek. Ogrodzony drewnianym płotem, młody cisowy gaik. Pomimo grubej warstwy śniegu wciąż można było zauważyć jaśniejsze drewno wymienionych części i błysk naoliwionego metalu. Miro pamiętał doskonale drzazgi i potłuczone palce, które zarobił w tym obejściu minionej jesieni, naprawiając sprzęty i oliwiąc koła. Miał nadzieję, że Raja też to pamięta i, jeśli jeszcze żyje, będzie bardziej skłonna mu pomóc. Ponownie zastukał w drzwi, tym razem mocniej. *Proszę, proszę, bądź żywa* – modlił się w myślach. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie warto byłoby szukać

pomocy u Iwy, rezydującej w Szubinkach znachorki. Z tego co słyszał, Iwa nie najgorzej radziła sobie z ziołami i szyciem ran. Była również zdecydowanie bardziej przyjaźnie nastawiona do swoich pacjentów. *Może Iwa wystarczy?*

Większość mieszkańców Daboru wiedziała co nieco o ziołach i podstawowym leczeniu ran. Zwykle urazy, odniesione podczas pracy w polu czy w obejściu opatrywane były przez żonę, sąsiada, przyjaciela czy nawet samego rannego. Czasem szukano pomocy u znachorów lub znacherek – kobiet i mężów obeznanych z ziołami, szyciem ran, składaniem kości, czy przyjmowaniem trudnych porodów. Do mieszkających w Świętych Cisowych Gajach zielarek zwracano się tylko w najbardziej poważnych przypadkach. Powody tego były dwa. Po pierwsze: zielarki oprócz leczenia zajmowały się również planowaniem prac polowych, zbierania zapasów na zimę, nauczaniem dzieci, organizowaniem obrzędów, wyrobem broni i bogowie sami wiedzą czym jeszcze. Nie były więc zadowolone, kiedy przychodziło się do nich z błahymi problemami. Po drugie: zielarki, wszystkie bez wyjątku stare, bezzębne i zgryźliwe, rutynowo zadawały pacjentom serię pytań w rodzaju: „No i czemuś się tak obżerał?”, „Trzeba było na dupie siedzieć całą zimę?”, „Ile razy mówiłam, żebyś tyle nie chlał?”. Krótko mówiąc, wizyta w Świętych Gajach bardzo rzadko była przyjemnym doświadczeniem.

Zrezygowany Miro oparł się o ścianę niewielkiej chatki. Wiedział, że sam nie da rady wyleczyć obrażeń znalezionej w lesie dziewczyny. Trudno mu było nawet uwierzyć, że ta mała w ogóle jeszcze żyje. Przypomniawszy sobie szarawą skórę na wycieńczonej twarzy dziewczyny, szybki, płytki oddech, rozpalone gorączką ciało. *Nie da rady... Musi być zielarka...* – stwierdził po raz kolejny. Zmarznięty, zmęczony i zły, walnął w drzwi raz jeszcze.

– Matko! Matko! – krzyknął najgłośniejszym głosem, jak potrafił. – Jesteście w domu, matko?!

Był już gotowy wyważać drzwi, kiedy usłyszał dobiegające z chaty stłumione kroki i nieco głośniejsze przekleństwa. Odetchnął z ulgą. Przywołał na twarz najśłodszy uśmiech, na jaki mógł się zdobyć. Zza drzwi dobiegł wysoki, jazgotliwy wrzask:

– Czego?!

Drzwi uchylły się wystarczająco, żeby można było dostrzec ostry nos i wystający podbródek starszej kobiety.

– Niech Matka<sup>2</sup> wam błogosławi. – Ukłonił się z szacunkiem szparze w drzwiach. – Mam nadzieję, że nie obudziłem przedwcześnie?

– Mi to Matka nic już nie pomoże Mironie. Błogosławić to mi może Starucha<sup>3</sup>, ale pewnie jeszcze w pierzynie się wygrzewa, jak przystoi o tej porze roku. Czego?

– Tak właśnie się rozglądałem po obejściu – kontynuował zdeterminowany Miro – i widzę, że suszarnia jeszcze solidnie wygląda...

– Wygląda solidnie, bo naprawiona zeszłej jesieni! – przerwała jazgotliwie zielarka – Co ma nie wyglądać? A jak będziesz w te drzwi tak walił to jeszcze i drzwi będziesz naprawiać. Czego?

*Na zarazę mi to wszystko było?! – Miro z wysiłkiem powstrzymał siarczyste przekleństwo. Przypomniał sobie uciążliwy powrót z lasu. Objedzony Skra z trudem ciągnął sanie. Objuczony nieprzytomnym ciałem mężczyzna musiał iść piechotą, zamiast po prostu pojechać na nartach. Zacisnął pięści i zmusił się do zachowania spokoju. Jak jej Raja nie wyleczy, to będę ją musiał z powrotem targać do lasu.*

– No, ja to mogę i drzwi naprawić, jak trzeba – spróbował jeszcze raz. – I nawet dach. Tu widzi mi się, za przeproszeniem, po wygodki stronie tak jakoś się zaczyna zapadać...

– Na miłość bogiń, Mironie! – Drzwi otworzyły się na oścież, ukazując zielarkę Raję otuloną w wyblakły, gruby zielony koc i wyraźnie już wściekłą. – Czego ty mi tu w drzwi walisz o tej porze?! Co, znowu ta jałówka niedomaga? Mówiłam ci przecież, żeby jej chlebem nie karmić! Kogo w ogóle stać w tych czasach, żeby krowom chleb dawać?! Twoja matka, niech jej Kuźnia<sup>4</sup> ciepłą będzie, pewnie ręce załamuje, jak na to patrzy!

Miro stracił wątek i popatrzył na Raję błagalnie. Nie był pewny, czy chce mu się wrzeszczeć z wściekłości, czy płakać. *Czemu ta baba musi tyle gadać?! – myślał w bezsilnej złości. – Czemu zawsze musi wiedzieć czemu?! Czemu nie mogłaby po prostu wziąć swojej torby i powiedzieć: „Idziemy, opowiesz mi po drodze”?* Słyszał, że podobno znachorka Iwa tak robiła. Ludzie gadali, że kiedyś wybiegła z rozwianym włosiem za chłopakiem młynarza. Potem cała wioska plotkowała przez tygodnie, jak to się chłopak ze starą prowadzi. *Hm – pomyślał Miro – może dlatego Raja woli się najpierw wypytać?*

Starsza kobieta otuliła się dokładniej kocem, westchnęła i cofnęła się kilka kroków.

– No dobrze, już dobrze... – powiedziała łagodniejszym tonem. – Pozbieram tylko kilka rzeczy i zaraz pójdziemy.

Miro westchnął z ulgą. *Najgorsze już za nami!* – pomyślał, starannie zamykając drzwi i wycierając ośnieżone buty.

– Co do tej jałówki, to może, matko, lepiej coś na rany też wziąć, bo to nie całkiem problem żołądkowy, że tak powiem... – rozpoczął ostrożnie.

\*\*\*

– Uh, ale miałam przygodę! – pisnęła z radości Raja, poprawiając spódnicę. Zarumienione policzki i rozradowane oczy nadawały jej prawie młodzieńczego wyglądu. Spojrzała na Mira z szerokim bezzębnym uśmiechem. Pilnujący wejścia do pobliskiej ziemianki Skra poderwał się ze śniegu i zaczął radośnie skakać dookoła swojego pana. Miro, zgięty w pół i spocony, dyszał ciężko, nieskutecznie opędzając się od czułości ogromnego wilka. Przewieszona przez ramię ciężka torba zielarki kiwała się w rytm oddechu mężczyzny. Miro był wyczerpany i zaczynał już poważnie żałować, że nie zostawił nieprzytomnej dziewczyny tam, gdzie ją znalazł. *Jakbym nie miał wystarczająco problemów bez tego...* – wyrzucał sobie. Mokry jęzor wilka przejechał mu po twarzy.

– Skra! Na miłość bogów!!! – wydarł się na czworonogiego przyjaciela.

Skra potulnie przysiadł na śniegu. Spojrzał na obślinionego pana bardziej ze zdziwieniem niż z przestraczem. *I bogom ducha winnemu zwierzakowi się przez to wszystko dostaje...* – pomyślał Miro z poczuciem winy.

– No już dobrze, przepraszam, stary. – Łagodnie pogłaskał głowę wilka. – Taki dzień, że nic tylko do łóża wracać i nie wychodzić do jutra...

Był dopiero późny ranek, lecz Miro czuł się, jakby już był wieczór. Droga powrotna do domu okazała się koszmarem. Starsza kobieta jazgotliwie narzekała na pogodę, porę dnia, niewdzięczność losu i co tam jeszcze jej ślina na język przyniosła. Co kilka chwil poprawiała jakąś część wielowarstwowej garderoby, a każdy jej krok był akcentowany stęknieniem, jęknięciem albo chrupaniem w stawach. Po przebyciu w ten sposób mniej więcej jednej trzeciej dystansu zdesperowany Miro chwycił zielarkę w ramiona. Resztę drogi pokonał niosąc piszczącą kobietę, starając się unikać jak mógł nieprzyjemnego, słodkawego zapachu, wydobywającego się z jej bezzębnych ust. *Najpierw sarna, potem nieprzytomna dziewczyna, i na koniec piszcząca jak podłotek zielarka. Bogowie, czemu ja?! – myślał. – Oby to okazała się porwana czy zagubiona ukochana córka jakiegos paniska. Z bogatymi i wdzięcznymi rodzicami. O ile w ogóle przeżyje...*

– No i czegoż ty się tak zmęczył? – Zielarka przerwała jego rozmyślenia. – Ani ja gruba nie jestem, ani daleko nie było. Poza tym przecież mówiłam, żeby wziąć sianie! Szybciej by było i wygodniej.

Mówiąc to, Raja wspięła się na palce, by zdjąć swoją torbę z ramienia mężczyzny. Zachwiała się, tracąc równowagę na ośnieżonej ziemi. Poślizgnęłaby się, gdyby Miro odruchowo nie chwycił jej w tali.

– No patrzcie, ludzie! I na dodatek mnie obłapia! – wykrzyknęła zielarka z jeszcze szerszym uśmiechem.

– Od razu obłapia! – oburzył się Miro.

*Trzeba było wziąć sanie...* – myślał zaciskając szczęki, żeby powstrzymać siarczyste przekleństwo.

Raja, nieprzejęta zbyt gwałtownie gotującym się wewnątrz mężczyzną, poradziła sobie w końcu z paskiem torby i raźno pomaszerowała w stronę chaty Mira.

– Eeee, matko... – zawołał Miro za zielarką. – To jakby... Nie do chaty idziemy.

– Nie do chaty?... – Raja zatrzymała się w pół kroku. – No proszę, młodzieńcze, czyżbyś w końcu swój rozum znalazł?! Ruszyłeś te swoje bestie z chałupy?! Żonę będziesz wprowadzał? No, myślałam, że już się nigdy nie doczekam! A twoja matka też w końcu w Kuźni odpocznie! Chodź, niech cię uściskam!

Miro aż cofnął się na widok szeroko rozłożonych ramion zmierzającej ku niemu zielarki. Oszołomiony tą nieoczekiwaną wylewnością, desperacko próbował pozbierać myśli.

– Eeee – udało się mu wykrztusić.

– Co eeee? – wypytywała radośnie Raja. – No, to którą żeś sobie upatrzył? Tę małą od tkaczki, co? A ładniutką buzię ma, trzeba przyznać. Nie tę? Nie powiesz, że tamtą rudą z Łędziny?! Wiesz, że rude nic dobrego nie wróży! Słuchaj starej babki, mówię ci, chłopcze, nie ma to jak doświadczenie w tych sprawach, rozumiesz... – Raja przerwała swoją tyradę, rozglądając się po podwórzu. – A gdzie ty te zwierzęta trzymasz? Zbudowałeś coś za chatą? Bo przecież nie w kuźni? No chodźże, co tak stoisz? Ja całego dnia na te twoje krówki nie mam.

– Matko... – Miro w końcu odważył się wtrącić słowo. – To jakby mogła matka tak do tej ziemianki zajrzeć? – wykrztusił nieśmiało, otwierając świeżo odsnieżone, uplecione z wikliny drzwi. – Ja tylko skoczę po lampkę jakąś czy coś...

Skra zaszczekał i jednym susem skoczył przez otwarte drzwi. Oniemiała Raja wpatrywała się na przemian to w ziemiankę, to w oddalającego się szybkim krokiem Mira. W końcu, kręcąc głową i mamrocząc coś o bestialstwie i wpychaniu jałówki w dziury, podążyła za wilkiem.

Potrwało chwilę, zanim oczy zielarki przyzwyczyły się do ciemności. Nie trzeba było jednak światła, żeby poczuć wypełniający pomieszczenie odór zakażenia i brudnego ciała. Raja postąpiła krok w kierunku żarzącego się paleniska i leżącej

obok, ciasno otulonej skórą postaci. Skra, wciśnięty w kąt ziemianki, skomlał cicho, patrząc to na Zielarkę, to na okutany ludzki kształt.

– No, jałówka to nie jest – mruknęła Raja, stawiając torbę obok paleniska.

Starucha przykucnęła na klepisku i delikatnie odchyliła skóry, aby przyjrzeć się chorej. Miro z oliwnymi lampkami w dłoniach przekroczył próg ziemianki.

– W sam czas, chłopcze! – powiedziała zielarka, nie odwracając wzroku od chorej. – Chodźże, poświeć mi tutaj – dodała z nagłym skinieniem dłoni.

– Matko, ja... – zaczął niepewnie Miro.

– Wygląda na to, żeś jej życie uratował – przerwała mu kobieta. – Jeszcze trochę na tym mrozie i Starkę byśmy o pomoc prosili.

Zielarka sięgnęła do torby i wyciągnęła mały nożyk. Z wprawą i szybkością zadziwiającą u osoby w tak dojrzałym wieku zaczęła rozcinać ubranie nieprzytomnej dziewczyny, by zbadać jej rany. Widok nie był przyjemny. Ciało chorej było wychudzone i tak pokaleczone, że jej nagość nie wzbudzała w Mirze żadnych emocji oprócz żalu. Sucha i pomarszczona skóra na boku odsłaniała ropiejące rany, poszarpane mięśnie i prześwitujące w kilku miejscach żebra. Udo rozorane było niemal do kości. Kilkanaście głębokich zadrapań i ugryzień znaczyło lędźwie i biodro. Lewa ręka, powyżej łokcia, zdawała się mieć dodatkowy staw. Ogromna opuchlizna i ciemnofioletowy kolor skóry nie wyglądały najlepiej, lecz na ramieniu nie widać było żadnych ran czy wystających kości. Miro odetchnął z ulgą. *Może być, że i rękę da się uratować?* – pomyślał z nadzieją. *A, gdzie tam...* – Po chwili skarcił się w duchu. – *Rękę to może by i dało radę, ale tego ugryzienia na boku przecież nie przeżyje...*

– Hmm. – Miro aż podskoczył, kiedy mruknięcie zielarki przerwało pełną napięcia ciszę. – A ten ogień to żywy<sup>5</sup>?

– Eeee, no nie bardzo – odpowiedział, niepewnie drapiąc się po szyi. – Przeniosłem z chałupy, tak żeby migiem było. Ale jak trza, to ja zaraz po bliźniaki skoczę – zaferował szybko.

– A gdzie bliźniaki będziesz ciągał. – Raja spojrzała na Mira z kpina. – Po żywy ogień biegać w środku zimy? Zaraz się ludziska zaczną ciekawić. A poświeć mi tutaj, przecież widzisz, że szukam po ciemku.

Zawstydzony Miro zapalił jedną z lampek i podsunął światło ku szperającej w torbie zielarce. Czuł się tak, jakby czas się cofnął i jakby znów był zaledwie wyrosniętym żółtodziobem, młodziakiem zbyt głupim i niedoświadczonym, żeby wykonywać nawet najprostsze polecenia wykrzykiwane przez dowódcę pięści<sup>6</sup>. Dawno zapomniane, zawstydzające wspomnienia z pierwszego miesiąca w Drużynie Witii napłynęły na policzki palącą falą. *Weź się w garść, chłopie* –

powtarzał sobie, desperacko czepiając się resztek pewności siebie. – *To tylko gadanie starej baby.* Wziął głęboki oddech i otrząsnął się nieznacznie. Bardzo starał się powstrzymać rumieńce zawstydzenia, pilnując równocześnie, aby lampka nie wyslizgnęła się z drętwej, wilgotnej dłoni. Raja, po starannym wygaszeniu ledwo już żarzącego się paleniska, spojrzała na niego niecierpliwie. Mężczyzna zamarł. *Bogowie* – myślał przerażony – *ona czegoś ode mnie chce! Czego ona ode mnie chce?*

– No, pomożesz mi, czy będziesz tak stał z rozdziawiona gębą? – zapytała zielarka, podając mu wygrzebany z torby krzemień wraz z owalnym krzesiwem. – Przecież jak sama będę krzesać, to nie zadziała!

Miro rzucił się do pomocy, choć za nic nie mógł zrozumieć, co Raja chce krzesać bez bliźniaków. Wszyscy przecież wiedzieli, że żywy ogień krzesać mogą tylko bliźniaki, no, od biedy osoby urodzone jednego dnia. *Może jej już rozum odjęło na stare lata?* – zastanawiał się. – *Trzeba było jednak Iwę ściągnąć...* Ukradkiem spojrzał w stronę wyjścia z ziemianki. Słońce na zimowym niebie świeciło niżej niż Miro się spodziewał. *Zanim się tej baby pozbędę, dziewczyna pewnie już wyzionie ducha* – pomyślał i postanowił jednak siedzieć cicho i nie narażać się na dalsze docinki zielarki.

– A mój Miron pewnie się zastanawia, czy ta stara baba już nie oszalała. – Raja zdawała się czytać w jego myślach. – Wszystkie ludziska wiedzą, że bliźniaków trzeba do krzesania żywego ognia, a nikt nie zastanawia się dlaczego. Siedzą tylko w tych swoich grodach i miastach, żywej wody<sup>7</sup> nie piją, o swoich bogach zapomnieli i się jakimiś obrzydlistwami leczą. Jak, zaraza, w Hemarze, krew se upuszczają, rozumiesz. Nie dziwota, że tak chorują w tych grodach. O swoich bogach zapomnieli, to i chorują. I ziemia choruje z nimi.

Raja nadstawiła hubkę, gotowa łapać skry. Miro z uwagą słuchał słów zielarki. Wiedział... Nie, więcej niż wiedział. Czuł w kościach, że każde słowo kobiety jest prawdziwe. W czasie długich lat wojaczki wiele razy przebywał w murach grodów i miast. Zawsze, czasem po kilku dniach, czasem po miesiącu, zaczynał się tam czuć chory. Myślał, że to przez ciasnotę i smród. Ale co prawda, to prawda – żywej wody tam nie było. A i na Darne Gody<sup>8</sup> nikt w przeręblu się nie kąpał, tylko piwem się kropili o świcie. To może być przecież, że i od braku żywej wody chorował, a nie od smrodu.

– Krzeszże, na bogów! – Niecierpliwy głos zielarki wyrwał Mira z zamyślenia. – Już tu przecież z hubką czekam!

Miro usiadł i zaczął uderzać krzesiwem w krzemień. Raja kontynuowała swój monolog:



– A to o równowagę chodzi, Mironie. Z bliźniakami to jeden daje tyle samo, co drugi, i życie w ogniu zostaje. Ale jak młody, silny chłop i starowina krzeszą, tak jak my tutaj, to ty dajesz więcej i życie odpływa. A ty to jeszcze syn kowala jesteś, umiłowany przez Jara, to i więcej dajesz. A co oddajesz, to zielarka może złapać i przekazać dalej, do tej tutaj. Prawie już na polach Nawii<sup>9</sup> ta mała jest, ale jak Żywia pomoże, to ją zawrócimy.

Cieniutkie, nieśmiałe smużki dymu zaczęły unosić się nad hubką.

– No i zobacz, już mamy! – ucieszyła się zielarka. – No dmuchajże, chłopcze, dmuchaj – ponaglała.

Mężczyzna posłusznie pochylił się ku staruszce i delikatnie dmuchnął na dymiącą hubkę. Raja podrzuciła garść wiórów na rozpałkę i zaczęła mamrotać coś pod nosem. Miro jak zahipnotyzowany słuchał monotonnego mruczenia zielarki. Podświadomie zaczął oddychać w rytm tej cichej pieśni. Wydawało mu się, że wraz z powietrzem wypływa z niego życie. Wdech, wydech, wdech, wydech, wdech, wydech. Każdy wdech był coraz krótszy, każdy wydech dłuższy. Czuł się coraz bardziej osłabiony. *Tchu mi brakuje* – pomyślał w panice. Instynktownie chciał wyprostować plecy i cofnąć głowę, lecz ciało odmówiło mu posłuszeństwa. Z przerażeniem spojrzął na Raję, szukając pomocy. Szare oczy zielarki błyszczały w półmroku, zimne jak lód. Jej dłoń poruszała się płynnie w powietrzu, jakby wyciągała życie z ust Mira.

– Nie, chłopcze, jeszcze nie, jeszcze trochę więcej trzeba.

Miro nie mógł się ruszyć, uwięziony żelaznym spojrzeniem staruchy. Zbyt osłabiony, by walczyć, w końcu poddał się, pozwalając oddechowi karmić ogień. Rytm pieśni zmienił się nieznacznie, pozwalając na dłuższe, głębsze wdechy. Mężczyzna uspokoił się nieco. *Weź, dziewczyno, weź ile potrzebujesz* – pomyślał patrząc na bezwładne ciało otulone w skóry. – *Cokolwiek moje życie jest warte, weź. Przynajmniej na tyle się przyda...*

Nagle pieśń ustała. Miro, odzyskawszy kontrolę nad swym ciałem, łapał oddech jak po długim nurkowaniu.

– Dobrze się spisałeś – mruknęła ku niemu Raja z wprawą karmiąc potężniejący z każdą chwilą ogień. – Posiedź sobie, odpocznij, nic ci nie będzie.

Ciepłe, jasne jak blask słońca płomienie rozjaśniały ciasną przestrzeń ziemianki. Żłoty, niemal oślepiający blask ognia zdawał się otulać poranione ciało nieprzytomnej dziewczyny i wsiąkać w jej zszarzałą skórę. Jej oddech wydawał się głębszy, skóra mniej blada, a usta bardziej różowe. Miro z podziwem patrzył na efekty kunsztu zielarki.

– Co tak siedzisz? – Raja znów przerwała tok jego myśli. – Wody mi przynieś. Żywej. I jeszcze czyste płótno – dodała po chwili zastanowienia. – Tych bandaży, co przyniosłam, to mi nie starczy.

Miro spojrzał ze zdziwieniem na starą zielarkę.

– To... – zaczął niepewnie, wciąż łapiąc oddech – da się ją wyleczyć?

Raja uśmiechnęła się kątem ust. Spojrzała przelotnie na mężczyznę oczami pełnymi niezwykłego blasku.

– Da się – odparła. – Biegnij.

Pomimo ogarniającego go znużenia Miro ze świeżym zapalem rzucił się do wyjścia.

– Mam trzy pełne dzbany w chałupie! Już biegnę! Na jednej nodze!

Słońce przesunęło się na niebie o nie więcej niż pół palca, kiedy Miro powrócił do ziemianki, objuczony kosztami i dzbanami. Raja w skupieniu, za pomocą wąskich szczypiec i małego kościanego nożyka, odcinała martwe brzegi z ostatniej z ran.

– Wrzącej wody potrzebuję – mruknęła przez ramię. – I wrzuc tam do garnka kilka szmatek, niech się pogotują trochę.

Miro z zapalem zabrał się do pracy. Kątem oka obserwował zielarkę, która właśnie wylewała na rany brązowy, niezwykle klarowny płyn. W ziemiance zapachniało ziołami i samogonem. Miro uśmiechnął się pod nosem, próbując zgadnąć, skąd stara Raja wzięła nalewkę, której nawet cesarski stół by się pewnie nie powstydział. Powoli mieszając prawie już wrzącą wodę, zastanawiał się, jak delikatnie wypytać zielarkę o źródło tak doskonałego trunku.

– Dmuchnij mi tu szybko, Mironie.

Mężczyzna aż podskoczył na dźwięk ochrypniętego głosu zielarki.

– O tu, do tego kaptorga. Tylko przez ogień, nie tak wprost. Raz wystarczy – dodała.

Miro posłusznie pochylił się i dmuchnął przez ogień, jak mu kazano. Drobne żółte i niebieskawe iskry poleciały w kierunku otwartego, kunsztownie wykonanego kościanego pudełka. Mężczyźnie wydawało się, że wraz z dotknięciem iskier coś białego zaczęło się poruszać w środku pojemniczka. Raja mruknęła zadowolona i sięgnęła po małe szczypce. Miro obserwował zielarkę z zaciekawieniem. Starucha delikatnie wyciągała z pudełka wijące się, tłuste robaki i kładła je na ranę na boku dziewczyny. Miro nie mógł uwierzyć własnym oczom. *Czerwie?! W zimie?!* Był już jednak zbyt zmęczony, żeby zadawać jakiegokolwiek pytania. Ostrożnie, aby nie wychłapać wrzątku, zaczął zdejmować ciężki gliniany gar z paleniska.

– No to niech robaczki pracują! – oznajmiła Raja, usadowiając się wygodnie na klepisku.

Przysypiający w kącie ziemianki Skra ziewnął i leniwie przewrócił się na drugi bok. Wyciągnął szyję w stronę zielarki. Szturchnął jej dłoń nosem, domagając się pieszczot. Raja uśmiechnęła się do wilka i zanurzyła palce w puszystej sierści zwierzęcia. Pochyliła się nieco, by sięgnąć po butelkę z ziołową nalewką.

– Chcesz trochę? – zapytała, ocierając usta rękawem

– Ano, jak matka prosi, to nie powiem nie – ucieszył się Miro.

– Tylko wszystkiego od razu nie wyżłop! – powiedziała zielarka, podając mężczyźnie butelkę.

– No przecie nie wyżłopię! – oburzył się. – Ale tak na głodnego to się nie poważa!

Odstawił butelkę na klepisko i zaczął gmerać w przyniesionym wcześniej z domu koszyku.

– Ano, nie poważa się – odpowiedziała Raja. – Widzę, że cię jednak matka czegoś nauczyła.

– Matka nauczyła i służba nauczyła. – Miro pokiwał głową, po czym zabrał się za smarowanie podpłomyków smalcem.

– Daj no tu tę gomółkę – Zielarka sięgnęła po leżące na klepisku zawiniątko – Przednówek już, to pewnie zetrzeć trzeba?

Posilali się w milczeniu, wpatrzeni w jasne płomienie paleniska. Zawsze głodny, Skra podniósł głowę i zaczął się ślinić. Zielarka rzuciła mu grudkę smalcu.

Miro pokręcił głową, widząc beczelność wilka. *Ile ten zwierzak może zjeść?! – zastanawiał się, zadziwiony łapczywością, z jaką Skra pochłonał przysmak. – Dzisiaj rano prawie całe bebechy zeżarł i jeszcze mu mało?*

– A tej tu to nie trzeba nakarmić? – pokazał podpłomykiem w kierunku nieprzytomnej dziewczyny.

– Pewnie, że trzeba, ale jak to karmić jak taka nieprzytomna? – odparła Raja. – Łykać nie będzie, jeszcze się udławi. Na razie ogień ją karmi. Ale później będziesz musiał jakąś tłustą polewkę ugotować.

*No i proszę, sarna, jak znalazł, się przyda* – pomyślał Miro.

– Na wieczór już pewnie idzie – po dłuższej chwili powiedziała Raja. – I robaczki już pewnie skończyły – dodała, zerkając na mrowiącą się od tłustych larw ranę.

Zielarka otrzepała suknie z okruszków i podniosła się ze stęknieniem. Sięgnęła po szczypcę, którymi zaczęła wybierać larwy. W tym czasie Miro uprzętał resztki posiłku.

– Pozbieraj te kosze, chłopcze, bo już się ciasno tu zrobiło – powiedziała mu Raja – A potem skocz do chaty. Trzeba jej jakieś posłanie przygotować, najlepiej przy ogniu. Długo mi już tu nie zejdzie. Tylko wracaj zaraz, bo sama przecież kości nie poskładam.

Miro w milczeniu skinął głową i zabrał się do roboty. Przed wyjściem rzucił jeszcze okiem na nieprzytomną dziewczynę. Pokiwał głową z podziwem dla umiejętności zielarki – chora wyglądała dużo lepiej, a jej rany były czyste, bez śladu ropy czy zgnilizny.

– Wy to, matko, do drużyny Witii powinniście się zaciągnąć. Przydalibyście się tam bardziej niż w Szubinkach – oznajmił z nieukrywanym podziwem.

– A tam, gadanie – odparła Raja. – Z moją pięknością to bym się tylko całymi dniami od tych wojaków opędzała, tyle by z tego było!

Miro roześmiał się szczerze. Raja słyszała jego głośny śmiech jeszcze z podwórka.

– Co ty tam wiesz, synku... – powiedziała do siebie z tajemniczym uśmiechem.

\*\*\*

Słońce już zachodziło, kiedy Miro wracał z domu Rai. Tym razem, wiedząc, że dziewczyna jest bezpieczna za solidnymi drzwiami chaty, odważył się zaprząć Skrę do sani. Z ogromnym wilkiem ciągnącym zaprzęg podróż do domu zielarki była czystą przyjemnością. Świeże, zimne powietrze, skrzypiący pod nartami śnieg, równe tempo biegu, kłusujący obok Skra – w takich chwilach Miro był prawdziwie szczęśliwy. Szybkość, siła i wytrzymałość wilka zachwyciły nawet starą zielarkę. Była ona zarumieniona, niemal promienna, i śmiała się szczerze, kiedy zegnał się z nią na progu.

W drodze powrotnej, bez obciążonych sani, Skra biegł jeszcze szybciej. Chcąc przedłużyć rzadką chwilę szczęścia, Miro przez chwilę zastanawiał się, czy nie zawrócić w stronę lasu. Jednak wspomnienie nieprzytomnej dziewczyny szybko przepędziło te myśli. Mężczyzna od jakiegoś czasu zastanawiał się, od czego lub kogo dziewczyna uciekała w takiej desperacji i czy to coś lub ktoś za nią podążało. Zdecydował już, że pomoże małej, nawet jeśli musiałby położyć swoje własne życie na szali. Nie chciał jednak narażać wioski na żadne niebezpieczeństwo. Możliwości obronne Szubinek, nie nękanych żadnymi niepokojami od dobrych trzech pokoleń, były, delikatnie mówiąc, niewielkie.

Raja oceniała, że dziewczyna została pogryziona nie później niż dwa, najdalej trzy dni temu, najprawdopodobniej przez wilka. Jeszcze w lesie Miro zauważył

spłątane wokół stóp rannej fragmenty ledwo oskrobanej wilczej skóry. Wyglądało na to, że ten podłotek, jak wiele dziewcząt w tradycyjnych daborskich rodzinach, był szkolony w użyciu noża. *Biedny zwierzak, ugryzł więcej, niż mógł przelknąć* – pomyślał Miro, dumny z dziewczyny. – *Nie ma mowy, żeby ta mała uciekała tak na ślepo przez las od wilka. Pewnikiem wilk zaatakował ją, kiedy uciekała od czegoś innego.*

Miro słyszał od gospodarzy z Szubinek, że na jesiennym wiecu w Zatoniu mówiło się o lobardzkich<sup>10</sup> napadach na zachodzie. Większość mieszkańców Szubinek traktowała to raczej jako powód do polania piwa niż powód do obaw. Niezachwiana, niemal ślepa wiara w siłę daborskiego wojska sprawiała, że nikt w tej okolicy nie lękał się wojny. Powszechnie obawiano się jedynie podwyższenia danin i dalszych zaciągów pospolitego ruszenia. Miro, jeszcze do niedawna woj zaciężnej armii, wiedział i widział wystarczająco dużo, żeby mieć powody do obaw o przyszłość tak Szubinek, jak i całego Daboru.

Dabor od niepamiętnych czasów rządzony był przez Witie z rodu Drewian. Kobiety te, jak mówiono, otrzymały władzę z rąk samej Czwórki<sup>11</sup>. Zwierzchnictwo Witii nigdy nie było kwestionowane. Powszechnie uważano, że powodzenie i siła Daboru zależy nie tylko od mądrości władczyń, ale również od błogosławieństwa, które otrzymały one od bogów.

Sześć lat temu umarła Wena, ostatnia Witia z dynastii Drewian. Wita zmarła jako bezdzietna wdowa. Wprawdzie słyszano tu i ówdzie plotki o ukrywających się gdzieś w Daborze córce i wnuczce Weny, jednakże opowieści takie powszechnie uważane były za bajanie chorych umysłów. Bez niepodważalnego autorytetu Witii zjednoczeni do tej pory wojwodowie bardzo szybko zaczęli spiskować przeciwko sobie. Co niektórzy planowali nawet przejęcie władzy w Daborze. Wychowanemu w tradycyjnej rodzinie Mirowi wydawało się nie do pomyślenia, żeby na tronie zasiadał Wit zamiast Witii. Jednak biorąc pod uwagę coraz silniejsze wpływy kulturowe z Cesarstwa Hemaru, gdzie od wieków rządzili mężczyźni, mógł sobie wyobrazić, że opór wobec męskiego władcy z czasem będzie coraz słabszy.

Dabor, osłabiony wewnętrznymi konfliktami, stał się łakomym kąskiem dla sąsiadów. Zaledwie rok po śmierci Weny na zachodnie ziemie Daboru wkroczyły armie Lobardii, prowincji Cesarstwa Hemaru. Woje Drużyny Witii, zmuszeni odpierać ataki najeźdźców, nie byli wystarczająco liczni, aby zapewnić bezpieczeństwo wszystkich dróg i traktów. Daborscy możnowładcy, skupieni na politycznych walkach, nie wysyłali już regularnych patroli na swoje ziemie. W rezultacie w daborskich lasach aż roiło się od rzezimieszków różnej maści. Wraz z przyływem maruderów z lobardzkiej armii z roku na rok rozbójnicze bandy

stawały się coraz liczniejsze i coraz bardziej śmiałe. Coraz częściej podróżujący leśnymi traktami kupcy, muzykanci czy zwykli wieśniacy byli nie tylko ograbiani z mienia, ale również mordowani. Ostatnimi czasy przed bramami większych grodów i miast regularnie zaczęły się pojawiać wozy śmierci. Wozy te, ciągnięte przez zagłodzone kobyły, bez woźnicy, przybywały zwykle o świcie, załadowane zwłokami kobiet, mężczyzn i dzieci, bezlitośnie zabitych przez rozbójników. Wozy śmierci w brutalny sposób pokazywały mieszkańcom Daboru, że choć bezpieczni w murach miasta, wojny jeszcze nie wygrali.

*Wozy śmierci...* Miro zgubił krok. Wspomnienia popłynęły niezatrzymaną falą. Wydziobane przez ptaki oczy. Bezwładnie rozrzucone ramiona. Gnijące, rozkładające się wnętrzności. Ojcowska twarz, zastygła w grymasie przerażenia i bólu.

*Wozy śmierci...* Miro opadł na kolana, na śnieg. Na jednym z takich wozów niemal rok temu znalazł ciało swojego ojca Gorana. Pomimo upływu czasu pamiętał każdy szczegół. Koszmarny obraz okaleczonych zwłok powracał do niego w snach. Czasem, tak jak teraz, powracał również na jawie, kiedy nieopatrna myśl obudziła starannie pogrzebane wspomnienia.

Po znalezieniu ciała ojca Miro porzucił służbę w drużynie. Obawiając się o los swoich bliskich, wyruszył pospiesznie w rodzinne strony. W Szubinkach zastał tylko nieświadomą śmierci męża matkę. To od niej dowiedział się, że jego ojciec, brat i siostra przed zaledwie tygodniem wyruszyli do Sławy z ładunkiem broni.

Ojciec Mira był utalentowanym kowalem, a jego wyroby wysoko ceniono w Daborze. Wielu możnowładców, nawet z odległych stron, zamawiało u niego miecze czy zbroje. Czasem, korzystając z ochrony zapewnionej przez klienta, Goran podróżował wraz z towarami, aby na miejscu dopasować zamówioną na miarę zbroję czy tarczę. Wiosną minionego roku wyruszył w taką właśnie podróż do Sławy, stolicy Daboru. Zabrał ze sobą swoją córkę Malinę i syna Wilena. Malina chciała bardzo zobaczyć Sławę, a Wilen, przyuczony przez ojca do kowalstwa, miał poznawać sekrety fachu. Żadne z nich nie wróciło z tej podróży. Miro spędził miesiące, bezskutecznie próbując odnaleźć zagubione rodzeństwo. Szukając odpowiedzi na pytanie o los bliskich, bezlitośnie torturował każdego napotkanego rozbójnika, Lobardczyka, czy nie. Niektórzy lobardzcy żołnierze po latach życia w lasach osiedlali się w głuszy z kobietami, zwierzętami hodowanymi i nawet małymi dziećmi. Miro znalazł jedną z takich osad. Z pomocą Skry, który w obronie swego pana potrafił się zmienić w krwiożerczą bestię, opętany zalem wojownik zrównał to miejsce z ziemią. Schowany w koronach drzew, strzelał do ludzi jak do kaczek. Zabił ich wszystkich. Bez wyjątku. Bez wahania. Bez żalu.

Kiedy po miesiącach bezowocnych, krwawych poszukiwań w końcu wrócił do domu, jego matka była już tylko prochem rozsypanym po polach. Umarła samotna, w pustym domu, czekając na powrót któregośkolwiek ze swoich dzieci. *Miałem ich bronić. Czyż nie taki jest obowiązek wojów Drużyny?* – Miro schował twarz w dłoniach. Przepęłniał go żal, ból, tęsknota za bliskimi, a nade wszystko gorzkie poczucie winy. Jego ojciec, siostra, brat, matka... To przez niego zginęli. Opuścił swoich najbliższych, zawiódł ich. *I po co? Aby poświęcić się bezsensownej walce w imię nieżyjącej Witii i kraju, który umierał. Bogowie... Miejcie litość...*

Zaniepokojony Skra przysiadł na śniegu obok swojego pana. Zaskomlał cicho. Wcisnął zimny, pokryty płatkami śniegu nos w ucho mężczyzny i przejechał różowym jęzorem po jego twarzy. Miro uśmiechnął się bezwiednie. Przytulił policzek do pokrytego śniegiem i lodem futra.

– Skra, ty bydlaku... – wyszeptał w kosmate ucho. – Co ja bym bez ciebie zrobił?...

Poklepał ogromnego wilka po szyi i wyprostował się, rękawem ocierając twarz. Nawet nie zauważył, że dotarł już na własne podwórko. Wokół panowała cisza, przerywana tylko oddechem mężczyzny i wilka. Na kryształowo czystym zimowym niebie zaczęły pokazywać się pierwsze gwiazdy. Miro spojrzał na wschód. Otulone śniegiem chatki Szubinek lśniły w jasnym świetle księżyca. *Jeśli te wszawce skurwysyny tu przyjdą – pomyślał z obawą – kamień na kamieniu tu nie zostanie.* Spojrzał na niebo, ponad dachami wioski. Pas zimowej konstelacji Strzelca był ledwo widoczny tuż nad horyzontem. *Długo ta zima już nie potrwa. Co będzie nas bronić, jak drogi odmarzną?*

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach mężczyzna oczyścił narty i wszedł do domu. Od progu przywitał go ciepły zapach siana, zwierząt, żarzącego się paleniska oraz, jak zwykle, entuzjastyczne podszczypywanie kozy Gruszki.

Gruszka była niemiłosiernie rozpieszczona, wścibska i praktycznie wszystkożerna. Regularnie doprowadzała Mira do szewskiej pasji. To małe radosne bydlę potrafiło otworzyć niemal wszystko. Czasami Miro miał wrażenie, że połowę dnia spędza na zabezpieczaniu różnych rzeczy przed niszczycielskimi zapędami kozy. Zapasy musiały być albo uwieszone na belkach więźby, albo schowane w szczelnie zamkniętych ziemiankach na podwórzu. Wieka kufrów i skrzyń trzeba było przywalić kamieniami. Ostatnimi czasy myśliwy zaczął podwieszać nawet łuk i narty, gdyż Gruszka albo z nudów, albo ze zwykłej złośliwości zezarła mu już dwie cięciwy. Pomimo sentymentu – koza była kiedyś ulubienicą Maliny, siostry Mira – mężczyzna wielokrotnie już postanawiał, że jak tylko przyjdzie wiosna, będzie musiał poszukać Gruszce innego domu.

Oddawanie kozy na przednówku byłoby jednak szaleństwem. Miała ona bowiem jedną zaletę – była niewyobrażalnie mleczna.

Opędzając się od Gruszki, Miro podszedł do paleniska. Dziewczyna była wciąż nieprzytomna, ale wyglądała dużo lepiej. Jej oddech był spokojny i regularny, skóra prawie różowa. Nawet odmrożenia na palcach, posmarowane maścią Rai, nie wyglądały tak źle. Oczy wyraźnie poruszały się pod powiekami. Miro ucieszył się na ten widok i zabrał się za gotowanie polewki. Raja kazała zacząć karmić dziewczynę, kiedy tylko oczy zaczną się ruszać. Zostawiła mu również instrukcje, jak używać maści oraz kiedy zacząć podawać syrop na dreszcze. Miro był bardzo zadowolony, że zielarka zostawiła mu tylko maść i syrop – przynajmniej nie było szansy, żeby coś mu się pomyliło. Nie rozumiał znaczków na słóiczkach. Spędził całe życie na wojaczce i nigdy nie miał okazji nauczyć się czytać.

W słabym świetle paleniska niemal po omacku zaczął wrzucać do garnka kawałki sarniej wątroby, suszonych owoców i ziół. Wszędobyłska Gruszka wspięła się na niego przednimi nogami i niemal przewróciła go w palenisko. Miro, klęcząc na czym świat stoi, rzucił się w poszukiwaniu sznurka, żeby uwiązać ciekawską kozę. Nie spodziewał się, aby sznurek na długo starczył – zwykle Gruszka w wielką wprawą przegryzała swoje pęta i uwalniała się wystarczająco szybko, by zdążyć na gotową strawę. Miro przegonił dwie kury, przycupnięte na przywalonym kamieniem wieku skrzyni. Znalazł jedynie krótki na dwa łokcie kawałek powrozu i zaklął pod nosem raz jeszcze. *Przez to głupie bydlę nawet sznurek się kończy – zawył w myślach. – Łańcuchy trzeba jakieś czy co?!* Przyjrzał się znalezisku, oceniając długość sznurka. *Hmmm – pomyślał ze złośliwą satysfakcją. – Powiesić bydlę by się chyba dało.* Ze świeżym zapałem i mordem w oczach zaczął wprawnie wiązać pętlę na końcu sznura, nawołując kozę słodkim głosem.

Gruszka zabeczała radośnie i ustawiła się jak do dojenia.

– No żesz parchy! – Miro klepnął się w czoło. – Zupełnie zapomniałem jej rano wydoić!

Z żalem odłożył sznur i sięgnął po garnek. *W sam raz będzie* – pocieszał się. – *Napoi się dziewczuchę przed kolacją.* Obiecując sobie, że na wiosnę udusi kozę gołymi rękami, zabrał się za dojenie.

\*\*\*

Miro oczyścił buty po wygarnięciu ostatnich placków nawozu. Już zamykał drzwi, kiedy poczuł ostre pazury drapiące jego łydkę i udo.



– Łaska, ty zarazo! – Aż łzy stanęły mu w oczach, kiedy zwinna łasica wspięła się po jego nodze i brzuchu.

Łaska z zadowoleniem usadowił się na ramieniu Mira. W małym pyszczku dumnie trzymał wychudzonego szczura. Wetknął go w twarz mężczyzny, chcąc dobrodusznie podzielić się kolacją. Miro z obrzydzeniem zdjął łasicę z ramienia.

– Skrze daj, na pewno się chłop ucieszy – powiedział, delikatnie stawiając zwierzątko na ziemi.

Łaska w podskokach wbiegł do izby. Porzucił szczura na środku klepiska. Pofukując z zadowoleniem, wcisnął się pod skóry u boku śpiącej spokojnie dziewczyny.

– No i wszyscy w domu! – powiedział Miro, zasuważąc skoble na drzwiach.

Rozejrzał się po izbie, aby upewnić się, że wszystkie jadalne i niejadalne sprzęty są bezpieczne od Gruszkowych szczęk. Z kąta izby słuchać było rytmiczne przeżuwanie Łaty, jałówki, którą kupił jeszcze na jesieni. Na razie Łata nie robiła nic poza przejadaniem zapasów, ale mężczyzna miał nadzieję na krowie mleko przyszłej zimy. Planował przecież pozbyć się uciążliwej kozy.

Starym daborskim zwyczajem Miro rozsypał okruszki w kącie chaty, by ułaskawić pokucie, dobrotliwe domowe duchy. Ostrożnie wyciągnął stygnące kamienie z paleniska, po czym wcisnął jeden w pośłanie dziewczyny i jeden pod własne derki. *Jeszcze mi tu żony brakuje* – pomyślał, przesuważąc Skrę i Gruszkę, śpiących smacznie na jego własnym pośłaniu. – *Też coś...*

- 
- <sup>1</sup> staje – daborska jednostka długości, ok 200 m
- <sup>2</sup> Matka – inaczej zwana Żywią, bogini, jedna z czworga bogów daborskiego panteonu.
- <sup>3</sup> Starucha – inaczej zwana Starką, bogini, jedna z czworga bogów daborskiego panteonu.
- <sup>4</sup> Kuźnia – według daborskich wierzeń Zaświaty, miejsce, gdzie zmarli udają się po śmierci.
- <sup>5</sup> Żywy ogień – świeżo rozpalony ogień, żywy ogień, rozpalany powinien być przez bliźnięta lub osoby urodzone w tym samym dniu.
- <sup>6</sup> Pięć – oddział Drużyny Witii (zaciężnej armii Daboru), liczący dziesięciu wojów.
- <sup>7</sup> Żywa woda – woda zaczerpnięta z zamrożonej rzeki lub strumienia po przełamaniu lodu.
- <sup>8</sup> Wiosenne Święto obchodzone na cześć Dariego, jednego z bogów daborskiego panteonu.
- <sup>9</sup> Nawia – według wierzeń Daboru pola otaczające Kuźnię w Zaświatach.
- <sup>10</sup> Lobardia – prowincja Cesarstwa Hemaru, granicząca z Daborem na zachodzie.
- <sup>11</sup> Czwórka – Jar, Żywia, Starka i Dari – czworo daborskich bogów.

# KOZDZIAŁ 2

*Witia widzi, Witia wie, Witia nie stoi sama.*

Pozdrowienie Witii

Aksamitna ciemność otulała ją jak miękka pościel. Nie było myśli, nie było uczuć. Nie było nic, tylko trwanie w niebycie. Nie chciała już nic więcej. Nie potrzebowała niczego. Mijały wieki lub może tylko chwile, a ona pozostawała niezmienna w tym cudownym miejscu zapomnienia. Nagle ból. Ciemność rozerwana nim jak ostrzem. Fala za falą, coraz jaśniejsza. Rany zadane ciemności, dartej przez... Szpony? Łapy? Wychudzone ludzkie dłonie? Ból. Więcej bólu. Nie można już nie istnieć. To boli. Tak bardzo boli. – *Nieeeeeeee!!! Proszę, nie! Nie mogę już tego znieść* – myślała w panice. – *Proszę, niech to się skończy. Niech przestanie. Proszę. Proszę...* – *Nieeeeeeee!!!*

– Saja! Saja! – To cud, że w tym pandemonium dziewczyna usłyszała wołanie.  
– Saja! Proszę, Saja! – Znajomy głos był nieco wyraźniejszy.  
– Mamo?! Mamo! Gdzie jesteś?  
– Tu jestem, kochanie, tuż obok. – Dziewczyna poczuła ramiona, obejmujące ją czule. Wtuliła się w te znajome, ukochane objęcia.  
– Mamo...  
– Już dobrze, kochanie. Jeszcze tylko troszeczkę. Zamknij oczy, skarbie. Wytrzymaj.  
Chwilę później zaczął się prawdziwy ból.

\*\*\*

Cierpienie odeszło tak nagle, jak przyszło. Saja szlochała i kuliła się w sobie, oczekując następnej fali. Była jak odrętwiała. Wspomnienie bólu nie do opisania, jeszcze świeże, prawie namacalne, w ciele, którego nie czuła. Nie czuła też dotyku matki. Nie odważyła się otworzyć oczu. Nie chciała znów być sama.

– Mamo?  
– Jestem tu, kochanie.

Chwilę potem poczuła otulające ją ramiona.

– Czy to już koniec?

– Już koniec. Tylko nie otwieraj oczu. Jeszcze nie jesteś gotowa.

– Dobrze, mammo. – Saja wtuliła się mocniej w ramiona matki. Nie chciała otwierać oczu. Nie chciała nigdzie iść. Chciała tu zostać, bezpieczna, bez głodu, zimna i bólu. – Mammo?

– Tak, kochanie?

– Ja... Ja widziałam ciebie martwą... Czy to prawda, mammo? Czy ty umarłaś?

– To prawda, kochanie – odpowiedział miękko znajomy głos. – Umarłam. Teraz trwam w tobie. Tak jak twoja babka, prababka, praprababka i wszystkie nasze przodkinie.

Chwila otępiełego milczenia.

– We mnie? Jak to możliwe?

– To jest długa historia, skarbie. To taki dar naszej krwi. Z czasem sama to zrozumiesz.

– Gdzie jesteśmy? Co się stało?

– Obudziłaś się. Za wcześnie, ale nie było wyjścia. Musiałyśmy cię obudzić.

– Nie rozumiem, mammo. – Saja nagle bardzo zapragnęła spojrzeć w oczy matki, zobaczyć jej uśmiech, poczuć się... normalnie.

– Czy mogę już otworzyć oczy?

– Jeszcze nie, kochanie. Najpierw musisz zrozumieć. Proszę cię, przytul się do mnie. Jeszcze mocniej. Otwórz się, Saja.

– Mammo, nie rozumiem...

– Wiem, skarbie. Spokojnie, nie ma się czego bać. Przytul się do mnie. Poczuj mnie. Otwórz się. Teraz.

Saja wtuliła się pierś matki i spróbowała uspokoić myśli. Na policzku poczuła ciepłą, miękką skórę i delikatny materiał sukni. Czuła się bezpieczna. Czuła się kochana. Pozwoliła, by to doznanie ją przeniknęło. Wraz z bliskością matki napływały obrazy. Wysoka, piękna kobieta. Długie brązowe włosy z pasemkami złota. Oczy, przedziwne, lśniące jak gwiazdy, mieniące się wszystkimi kolorami tęczy. Ten sam, tak dobrze znany, ciepły, kochający uśmiech matki. Twarz trochę inna, skóra odrobinę ciemniejsza. Kobieta zbliża się, przytula ją i całuje. *Mama!* – pojawia się myśl. *Moja myśl? Jej myśl? Czyja to myśl?* Potem obrazy przesuwają się szybciej. Wielka uczta. Mnóstwo ludzi. Bogato urządzone sypialnia. Zabawki. Księgi. Tron, a na nim ta sama kobieta, trochę tylko starsza. Jej spojrzenie odległe, zamysłone. Ludzie. Strażnicy. Szepty. „Tato? Tato? Co się dzieje?” – Dziecięcy głos rozbrzmiewa w pustej komnacie. Kroki w korytarzu. Ucieczka. Las. Noc.

Zimno. W końcu dom. Mój dom. Pola. Tak dobrze znany las. Mężczyzna bardzo podobny do taty, chociaż dużo młodszy. Radość. Szczęście. Dziecko. *Ja?! Obrazy przyspieszają jeszcze bardziej. Wiosny, lata, jesień, zimy. Gwałtowne przebudzenie w środku nocy. Krzyki: „Pożar!”, strach, bieg korytarzem, jęki umierających. Szarpnięcie za włosy, czyjes dłonie na ciele. Moim? Jej? Przerazone myśli: Saja! Gdzie jest Saja?! Potem ból gdzieś w środku, zimne ostrze na szyi, ciepła krew... Ciemność...*

Saja łapała powietrze łapczywie, jak po długim nurkowaniu. Dłonie oparła na ziemi, pochyliła głowę, dyszała ciężko. Jeszcze czuła zimne ostrze przecinające skórę na szyi i ciepłą krew chlustającą z rany. Jeszcze czuła zimno szybko ogarniające jej ciało i narastającą słabość, aż do omdlenia. Kręciło jej się w głowie. Chciało jej się wymiotować. Jednak w jakiś sposób to doświadczenie sprawiło, że czuła się również silniejsza, bardziej prawdziwa, bardziej żywa. Jej ciało stało się bardziej namacalne. Uświadomiła sobie, że oddycha. Otworzyła oczy.

– Mamo?

– Tu jestem, kochanie – dobiegł miękki głos gdzieś z tyłu.

Saja odwróciła się. Przed sobą zobaczyła zwiewną, jakby utkaną ze światła postać matki. Wyciągnęła dłoń.

– Nie, Saja. Proszę, nie próbuj mnie dotknąć – powiedziała matka, przysiadając naprzeciwko z czułym, zatroskanym uśmiechem. – Masz już moje wspomnienia. Jeśli weźmiesz więcej, obie rozpułniemy się w mgłę.

Saja wycofała dłoń i objęła kolana ramionami. W głowie jej wirowało, miała wrażenie, że dwie historie życia walczyły ze sobą w jej pamięci. Przez chwilę sama już nie wiedziała, kim jest. Młodą dziewczyną zagubioną bogowie wiedzą gdzie? Dojrzałą kobietą, matką i żoną, brutalnie zamordowaną pośród płomieni? Poczowała, że jej ciało staje się lżejsze, jakby wplatała się w nie mgłę.

– Saja, pamiętaj, kim jesteś. – Głos matki wypełniony był trwogą. – Trzymaj się swoich wspomnień. Nie odpływaj, Saja! Pamiętaj! Nie poddawaj się!

Saja trzymała się tego głosu kurczowo. *Jestem Saja, jestem ja, jestem Saja* – powtarzała w myślach jak modlitwę. Wrażenie wirowania i znikania powoli ustępowało. *Jestem Saja.* Poczowała własne wspomnienia wypełniające ją na nowo. Jednak życie jej matki nie zniknęło, było tam, gdzieś w zakamarkach pamięci, jak wspomnienie złego snu. Odetchnęła głębiej i spojrzała niepewnie na siedzącą obok kobietę. Matka uśmiechnęła się ciepło i lekko kiwnęła głową.

– Właśnie tak, Saja, doskonale. Jesteś bardzo silna – powiedziała z uznaniem.

– Mamo, czemu ja pamiętam twoje życie? Jak to jest możliwe? Czy ty naprawdę całowałaś się z tymi chłopakami?! I te nagie tańce?! I to z tatą?! Co wy w ogóle

robiliście?... – Saja zarumieniła się na wspomnienie wspomnień własnej matki.

Oszołomiona złapała się za głowę i zaczęła dreptać w kółko, próbując ogarnąć własne odczucia. Nagle przypomniała sobie jeszcze jedno wspomnienie matki.

– Mamo! Czy ty jesteś córką Witii?!

– Tak, kochanie. – Głos matki brzmiał miękko, jakby ostrożnie. – A ty jesteś Saja Drewian. Teraz ty jesteś Witią.

Saja aż usiadła z wrażenia.

– To jest dar naszej krwi – kontynuowała matka. – Każda kobieta w naszym rodzie, Witia czy nie, pozostaje w kontakcie z przodkami. Teraz masz moje wspomnienia i moją radę, jeśli tylko chcesz i kiedy tylko chcesz. Tu, w tym miejscu, możesz poznać inne kobiety z naszego rodu. Możesz z nimi rozmawiać, szukać u nich rady. Możesz, jeśli chcesz i jesteś wystarczająco silna, zachować ich wspomnienia, tak jak zachowałam moje.

– Czy mogę też nie... Nie robić tych rzeczy? Zostać tu z tobą? Czy mogę zostać z tobą, mamo? – Saja patrzyła z tęsknotą na zwiewną postać matki. – Czy mogę jeszcze raz cię poczuć? Tak naprawdę?

– Możesz, kochanie – odpowiedziała matka, ostrożnie dobierając słowa – ale... nie jest to... wskazane. Byłoby lepiej, gdybyś wróciła do życia, do Daboru, do Sławy. Jesteś naszą jedyną nadzieją.

Słuchając słów matki, Saja chciała krzyknąć i szlochać, że nie chce, że nie musi i że nic jej to nie obchodzi. Już miała otworzyć usta, by wykrzyknąć całą gorycz i złość na matkę i świat, gdy niespodziewanie zalała ją fala obcych wspomnień. Zawile plany, cele, poświęcenia, nadzieje, porażki, zwycięstwa. Nowe, nieznanne jej dotąd słowa: strategia, polityka, spisek, intryga. Negocjacje, manipulacje, kompromis. Administracja, podatki. Wraz ze wspomnieniami przyszło też głębsze zrozumienie tego, co naprawdę oznacza bycie kobietą z rodu Drewian: to patrzenie w oblicza bogów z dumą, nie z pokorą, to kierowanie losem, a nie zdawanie się na niego, to misja, odwaga, poświęcenie i odpowiedzialność, walka o ziemię i lud, walka o przetrwanie. Cała nieznaną dotąd historia daborskich ziem rozkwitła w jej pamięci jak ogromne, dostojne drzewo, którego każdy korzeń, gałąź i liść był, jest i będzie przesycony krwią kobiet z rodu Drewian. Wraz z tą wizją przyszło też zrozumienie. W tej chwili Saja przestała być przestraszonym i samotnym dzieckiem. Jej nastoletnie marzenia i plany nie znaczyły już nic. Stała się Witią – przywódczynią, sędzią, kapłanką, żyjącą pamięcią i historią Daboru. Była ostatnią nadzieją swojego ludu, ostatnim pękiem na umierającym drzewie. Nie miała prawa się poddać.

Gorąca łza potoczyła się po policzku Sai. Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała dumnie w półprzejrzystą twarz matki. Jej oczy, dotąd szare, teraz mieniły się tysiącem kolorów.

– To jaki jest plan? – zapytała spokojnie.

Zwiewna postać roześmiała się radośnie, wstała i uniosła twarz ku nieistniejącemu niebu. Rozłożyła szeroko ręce i wykrzyknęła:

– Drewian!

Z mgły za plecami matki wyłoniły się dwie kobiece postacie. Jedna, wysoka i szczupła, ubrana po męsku, poruszała się z gracją tancerki i patrzyła wprost na Saję śnieżno-lodowymi oczami drapieżnika. Druga, nieco niższa, o bardziej kobiecych kształtach otulonych wyszukaną suknią, spojrzała na dziewczynę z promiennym uśmiechem. Jej oczy migotały kolorami fiołków i zachodu słońca. Obie kobiety stanęły obok matki Sai. Wszystkie trzy postacie wydawały się teraz bardziej materialne, bardziej żywe.

– Ależ ci się udała dziewczyna, Lido. – Wysoka kobieta spojrzała na matkę Sai z uznaniem.

– To prawda – powiedziała druga postać, krzyżując ręce na obfitych piersiach. – Powinnaś być z siebie dumna.

– Sajo – matka objęła obie kobiety ramionami – poznaj twoje odległe prababki. – Skinęła w stronę ubranej po męsku postaci. – To jest Ioni, najlepsza skrytobójczyni, jaką ta ziemia nosiła. A to – tu spojrzenie zwróciło się w stronę fiołkowookiej piękności – Nyss, której wdzięki rozpętały niejedną wojnę.

Ioni i Nyss uśmiechnęły się przyjaźnie do Sai.

Saja podniosła się i wygładziła suknię. Przygotowała się na napływ nowych wspomnień, po czym wyciągnęła dłonie ku prababkom.

– Która będzie pierwsza? – zapytała, pomijając wszelkie uprzejmości.

\*\*\*

Ioni, Nyss, Saja i jej matka Lida siedziały w kręgu, w milczeniu. Saja próbowała ogarnąć pochłoniętą masę wspomnień i doświadczeń tych wspaniałych kobiet. Wraz ze zrozumieniem przyswojonych informacji ogarniało dziewczynę coraz większe przerażenie. Do niedawna żyjąc dostatnio i beztrąsko w spokojnym domu rodzinnym, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z burzy, jaka rozpętała się w jej rodzinnej ziemi. Okrutna prawda była taka, że Dabor, ukochany kraj Witii, powoli umierał.

Pozycja Daboru od wielu już lat była znacznie osłabiona. Ziemia Witii na zachodzie graniczyła z Lobardią, prowincją potężnego Cesarstwa Hemaru. Przez wieki Lobardia była tylko biednym, zapomnianym przez bogów i ludzi miejscem zesłania upadłych szlachetków. Sytuacja zaczęła zmieniać się dramatycznie, kiedy nieco ponad dwadzieścia lat wcześniej tron tej mało znaczącej prowincji objął książę Veit Astholm. Pochodzący ze starej, zubożałej szlacheckiej rodziny młody książę zasiadł na tronie, stąpając po trupach ojca i braci. Veit, ambitny, wiecznie głodny nowych ziem i zwycięstw, władał swoim księstwem żelazną ręką. Pod jego rządami Lobardia rosła w siłę i zdobywała coraz więcej politycznych wpływów. Wzrost potęgi Lobardii powodował coraz więcej napięć, tak na zachodnich granicach Daboru, jak i na samym dworze w Sławie. Religia Cesarstwa nakazywała wiarę w jednego boga i walkę z poganami. Prawo Cesarstwa dopuszczało dziedziczenie tronu tylko w linii męskiej. W Hemarze kobieta u władzy była postrzegana jako coś, delikatnie mówiąc, wielce nienaturalnego. Dabor, wyznający czworo bogów i od pokoleń rządzony przez kobiety, był oczywistym celem Veita. Do niedawna siła daborskiej armii i wyrafinowane intrygi Witii skutecznie powstrzymywały konflikt militarny. Jednakże, w ciągu zaledwie roku po śmierci Weny, ostatniej Witii, wojna rozpętała się na dobre.

Początkowo wysyłane przez Veita zaciężne armie cesarstwa przegrywały sromotnie. Lobardzcy gubili się w gęstych lasach Daboru i byli w nich dziesiątkowani przez nieustraszonych wojów z Drużyny Witii. Daborczyki zaczęli nawet traktować te potyczki jak narodowy sport. W większych miastach na zachodzie popularne były zakłady o to, gdzie i kiedy odbędzie się następne „pranie hemarskich tyłków”. Jednak po kilku latach okazało się, że pozornie bezsensowna strategia Veita jest w rzeczywistości dokładnie przemyślanym, długofalowym planem. Lobardia, wspierana przez ogromne Cesarstwo, z łatwością zastępowała dziesięciu poległych żołnierzy następnymi dwudziestoma. Dabor natomiast boleśnie odczuwał stratę każdego woja. Każda fala zbrojnych wysyłanych na Dabor pozostawiała za sobą połacie wyciętego lasu. Z każdym rokiem toczącej się wojny obrona kraju Witii słabła. Ioni oceniała, że jeszcze kilka takich lat i Dabor zostanie po prostu połknięty przez Lobardię i Cesarstwo.

Od początku wojny po każdej przegranej potyczce niedobitki żołnierzy z lobardzkich armii rozpraszały się w ogromnych lasach Daboru. Tam tworzyli oni małe rozbójnicze bandy, które grasowały po leśnych drogach, zabijając jak popadnie kupców, wieśniaków i zwykłych podróżnych. Za życia Weny zadania obrony granic i dróg Daboru dzielone były pomiędzy drużynę i mniejsze oddziały wojwodów. Moźnowładcy, skłócenii bez przywództwa Witii, przestali przejmować



się obowiązkami wobec ojczyzny. W kilka lat po śmierci Weny całe brzemie ochrony tych ziem spadło na nieliczne roty<sup>12</sup> Drużyny. Woje z Drużyny Witii, szkoleni do walki w lasach, robili co mogli, aby pozbyć się grasujących po daborskich ziemiach Lobardczyków. Jednak ogromne puszcze Daboru, stanowiące najlepszą ochronę przed zorganizowaną, ciężką armią Cesarstwa, były również na tyle wielkie, żeby skutecznie ukryć małe grupy wrogich żołnierzy.

Na wschód wojna wprawdzie nie dotarła, ale sytuacja daleka była od stabilnej. Wyglądało na to, że koczownicze plemiona graniczącej z Daborem od wschodu Rudzi były brutalnie jednoczone pod rządami Spasa Warelega. Wieść niosła, że Spas ogłosił się kniazem i kazał nazywać swój namiot stolicą Rudzi. Ioni podejrzewała, że Veit z Lobardii i Spas z Rudzi współpracowali ze sobą, planując podzielenie się bogatymi i żyznymi ziemiami Daboru. Pomimo Wężowych Wałów, od wieków powstrzymujących napływ koczowniczych plemion, notowano coraz więcej napaści na wschodnie opola. Lida była tym bardzo zaniepokojona. Od czasów wzniesienia ostatniego odcinka Wężowych Wałów te potężne umocnienia i stacjonujące na nich wojska w zupełności wystarczały, żeby powstrzymać nawet najbardziej śmiałych watażków. Lida podejrzewała, że niektórzy wschodni wojwodowie i żupani<sup>13</sup>, kupieni lub zmuszeni do współpracy przez agentów Spasa, celowo przepuszczali rudzkie kompanie.

Na północy Żeglarze z wysp Trogen, tradycyjnie sprzymierzeni z Daborem, po śmierci Weny, ostatniej Witii, zdawali się tracić serce dla słabnącego sojusznika. Pochodząca z rodu Drewian ragana Frigg, duchowa przewodniczka Trogeńczyków, bez wsparcia Witii traciła swoje wpływy wśród Żeglarzy. Wciąż szanowana i poważana w sprawach wiary i prawa, coraz częściej ignorowana była w sprawach politycznych. Szczęśliwie nie dochodziło jeszcze do ataków na daborskie ziemie, jednak rzadziej atakowano również ziemie Cesarstwa. Od niepamiętnych już czasów Witie, używając wpływów wśród Żeglarzy z północy, potrafiły zasugerować kierunek corocznych wypraw Trogeńczyków. Był to jeden z najważniejszych powodów, dla których Cesarstwo do niedawna nie odważyło się otwarcie przeciwstawić władzy Witii. Wydawało się, że bez autorytetu Witii Żeglarze nie widzieli powodu, dla którego mieliby traktować interes Daboru ze specjalnymi względami. Przodkinie spodziewały się, że nadmorskie osady już niedługo padną ofiarą łupieżczych napaści walecznych Trogeńczyków.

Przynajmniej południowe ziemie były spokojne. Chronione przez potężny łańcuch gór Ortysz, zagrożone mogłyby być tylko przez jakiegoś maga czy olbrzyma z legend. Górale z Ortyszu żarliwie wyznawali bogów i darzyli ród Drewian niemal fanatyczną miłością. Rozsiekaliby na kawałki każdego, kto by

tylko pomyślał o obaleniu władzy Witii. Matka Sai i obie jej ciotki, jak dziewczyna zaczęła nazywać Ioni i Nyss, zgadzały się, że górale, lud twardy i nawykły do trudnych warunków, powinni zostać wykorzystani do walki o odnowienie władzy Witii. Ioni miała już nawet pomysł nękania Lobardczyków zimowymi kampaniami.

Wszystkie trzy kobiety zgadzały się, że napaść na rodzinny dom Sai była zaplanowana i przeprowadzona przez ludzi Veita. Nie wiedziały jednak, jak lobardzcy agenci zdołali znaleźć miejsce ukrycia córki i wnuczki ostatniej Witii. Tożsamość Sai i Lidy była jednym z najbardziej strzeżonych daborskich sekretów. Oprócz Weny znany był on tylko garstce chrzesnych, zaufanych agentów Witii. Chrześni byli wąską grupą starannie wyselekcjonowanych mężczyzn i kobiet. Ich umysły zostały ukształtowane przez moc Witii tak, aby dobro Daboru było dla nich najwyższą wartością. To, że jedno z nich mogło zdradzić, wydawało się wręcz niewyobrażalne.

Matka Sai, naoczny świadek ataku, widziała mówiącą po hemarsku kobietę, która kierowała najazdem. Kobieta ta zdawała się posiadać jakieś nieznane magiczne moce. Lida, zbyt wstrząśnięta wydarzeniami, które zaszły w czasie tragicznej nocy, nie była w stanie udzielić bardziej szczegółowych informacji. Jej pamięć o najeździe na dom w Gniewie była nasączona przerażeniem i zatarta przez łzy. Saja nie odważyła się przyrzeć bliżej wspomnieniom matki. Jej własny ból po stracie ojca był zbyt świeży. *Przynajmniej jeszcze mam mamę* – pocieszała się. – *I babkę* – przypomniała sobie po chwili.

– Mamo, wciąż nie rozumiem, dlaczego babcia cię odesłała. – Młoda Witia przerwała ciszę. – I dlaczego jeszcze jej nie spotkałam? Mam tyle pytań!

– Cierpliwości! – odpowiedziała Lida, patrząc na córkę z dumą. – Ile jeszcze wspomnień chcesz pomieścić w tej swojej ciekawskiej głowie?

– Ale trzeba przyznać, że na Witię to się ta twoja dziewczyna nadaje – powiedziała z uznaniem Ioni. – Ja to po pierwszych dwóch babkach spałam chyba z tydzień. A ta mała nawet się nie zasapała po trzech!

– Jak przyjdzie czas, poznasz i Wenę – mówiła cierpliwie Lida. – Na razie musisz przeżyć to wygnanie. Przede wszystkim powinnaś nauczyć się walczyć – kobieta skłoniła lekko głowę w stronę Ioni – i... – Lida zawahała się nieco, patrząc ku Nyss.

– Kłamać, kręcić, kraść i bez skrępowań wykorzystywać tę twoją niewinną buzię dziecka, aby kantować bliźnich – wtrąciła w promiennym uśmiechem Nyss.

– Właśnie! – zgodziła się Lida. – Musisz wiedzieć, Sajo, że pamięć i doświadczenie to nie wszystko, czego możesz się od nas nauczyć. Wraz z naszymi

wspomnieniami przejmujesz też nasze umiejętności, takie jak walka czy znajomość języków.

– Oczywiście, będziesz musiała nauczyć twoje ciało tego, co twoja głowa już umie – dodała Nyss. – Ale idzie to dużo szybciej niż uczenie się od podstaw. Będziesz potrzebowała pewnie popołudnia, może całego dnia, żeby nauczyć się mówić językiem, w którym my jesteśmy biegłe.

Saja patrzyła na kobiety ze zdumieniem. Zaciekawiona, przeszukała rezydujące w niej wspomnienia. Nowe słowa, obrazy i umiejętności zalały ją chaotycznym potokiem. Dziewczyna złapała się za głowę z grymasem bólu na twarzy.

– Ostrożnie! – z niepokojem w głosie upomniała ją matka. – Powolutku. I przede wszystkim nie teraz. Przecież nie masz tu swojego ciała, więc nie masz kogo uczyć.

– Jak to nie mam mojego ciała?! – Saja, wciąż trzymając się za głowę, próbowała opanować potok myśli i pytań. – To nie jest moje ciało?

– Oczywiście, że nie, głuptasie! – uśmiechnęła się Nyss. – Tu jest twoja dusza. Dlatego wyglądasz tak... zdrowo – dodała z troską w pięknych oczach.

Saja przypomniała sobie dramatyczną ucieczkę przez las. Dotknęła prawego boku w poszukiwaniu jątrzącej się rany. Poruszyła lewą ręką, szukając bólu. Nie znalazła nic.

– Czy ja umarłam?! – zapytała z przerażeniem.

– Nie umarłaś, dziewczyno – uspokoiła ją Ioni. – Obudziłaś się. Twoja dusza odeszła od ciała, żeby się z nami spotkać. Ale nie obawiaj się, możesz wrócić. Twoje ciało jest trochę poturbowane po tej szaleńczej ucieczce, ale szczęśliwie wciąż żywe i pod dobrą opieką. Jak wyzdrowieje, przyciągnie duszę z powrotem.

– To ty byłaś wiatrem! – Nagły błysk zrozumienia zakwitł w głowie Sai.

Ioni spojrzała na dziewczynę, nie rozumiejąc.

– Mój przyjaciel wiatr! – tłumaczyła podekscytowana dziewczyna. – To ty ze mną biegłaś przez ten las!

– Ano ja – odpowiedziała Ioni, kiwając głową. – Tyle że nie z tobą, ale raczej tobą. Przepraszam za te potknięcia, tak długo tkwiłam w Zaświatach, że wyszłam trochę z wprawy. Do dłuższych nóg przywykłam... I większego zasięgu rąk. W moim ciele ten wilk nawet by cię nie drasnął. Będziemy musiały sporo poćwiczyć, jak już wydobrzejesz.

– Już nie mogę się doczekać... – zgryźliwie odparła Saja.

– Widzę – Ioni uśmiechnęła się promiennie. – Będzie zabawa, że hej!

– No ale co z moją babką? – Saja zwróciła się do matki. – Czemu cię wygoniła? Byłaś jeszcze bardzo mała, prawda?

– Byłam mała, miałam pewnie pięć albo sześć lat. – Lida w zamyśleniu spojrzała przed siebie. – To były trudne czasy. Wojna z Cesarstwem wisiała na włosku. Dwór w Sławie roił się wtedy od agentów Lobardii i Cesarstwa, napływających do Daboru pod przebraniem kupców, najemników, niewolników czy bazarzy. Szpiedzy cesarstwa znajdowali w Sławie wiele uszu przychylnych ich zdradzieckim podszeptom. Wena obawiała się, że jeśli cesarscy agenci będą wyłazić ze wszystkich kątów, sieć chrzesnych, naszych zaufanych agentów, może zostać odkryta. Obawiała się również, że możni, zawsze łasi na nowinki z zachodu, mogą zacząć ulegać podszeptom Cesarstwa. I, co najważniejsze, obawiała się o moje życie. Zakończenie panowania Witii leżało i nadal leży w interesie Cesarstwa. Twoja babka musiała znaleźć sposób, żeby pozbyć się tego całego tałatajstwa na dobre, bez rozpętywania wojny. Upozorowała więc tragiczny wypadek na polowaniu, w którym ja i mój ojciec zostaliśmy „zabici”. Nikt nie dziwił się, że po utracie ukochanego męża i dziecka Witia z żalu straciła zmysły. W tym rzekomym szaleństwie Wena zarządziła masowe egzekucje zdrajców, przez których, jak twierdziła, zginęła jej rodzina. Zresztą cały lud Daboru płakał po nas. Ognie żałobne paliły się dzień i noc, nieszczęśliwie powodując pożary. Atmosfera żałoby doprowadziła do rozprężenia w Drużynie, woje wszczynali bójki. Mieszkańcy Sławy za przykładem Witii urządzali polowania na ludzi obwinianych o śmierć moją i taty. W tym całym zamęcie nikt nawet nie zauważył, że w pożarach, ulicznych burdach i samosądach ginęli prawie wyłącznie ludzie Cesarza i Księcia Lobardii. Odesłanie mnie i mojego ojca było małą ceną za ponad trzydzieści lat pokoju, jaki nastąpił po tych wydarzeniach.

– W sumie to dobrze się złożyło – kontynuowała swoją opowieść Lida. – Dorastałam z dala od dworskich intryg, wśród wspaniałych, prostych ludzi, bez zmartwień, niebezpieczeństw, wojny. Poznałam twojego ojca... – Tu uśmiechnęła się z rozmarzeniem.

– Obudziłam się dla przodków po urodzeniu ciebie, Sajo. – Po chwili zamyślenia Lida podjęła swoją opowieść. – Ponieważ moja matka jeszcze żyła, przyszła po mnie Olena, zielarka. To od niej dowiedziałam się, że jestem z rodu Drewian. Olena nauczyła mnie, jak używać więzi. Wkrótce potem, wykorzystując handlową sieć twojego ojca, zaczęłam pracować dla Witii, głównie zbierając informacje. Moją matkę poznałam dopiero po jej śmierci.

– To stąd te tajne spotkania! – Saja nagle zrozumiała i aż podskoczyła z radości. – Pamiętam, że ojciec to nawet myślał, żeś niewierna!

– Kobiety Drewian mają różne umiejętności i talenty – wtrąciła Nyss. – Tylko bardzo nieliczne, tak jak ty, Sajo, mogą przyjąć więcej niż jedną, góra dwie

przodkinie. Najsilniejsze z nas zostają Witiami. Pozostałe pracują w sieci Witii jako żony kupców, dowódców, możnowładców lub nawet zwykłych wieśniaków.

– Albo szpiegów – dodała Ioni, mrugając do Nyssy. – I niekoniecznie żony. Kochanki też się trafiają. Najważniejsze jest to, że nikt nie podejrzewa nas o spiski czy intrygi. Porozumiewamy się przez przodków, nie da się tego podsłuchać czy wysledzić!

– Czy to znaczy, że żyją jeszcze inne kobiety z naszego rodu? – zapytała Saja. – Myślałam, że jestem ostatnia?

– W tej chwili jesteś jedyną żyjącą i obudzoną Drewian wystarczająco silną, żeby zostać Witią – odparła Nyss. – Bez ciebie będziemy musiały czekać, aż urodzi i obudzi się następna dziewczyna tak silna jak ty. Do tego czasu może być zbyt późno, aby uratować Dabor. Dlatego, Sajo, jesteś tak ważna w naszych planach.

– Co do rodu Drewian – wtrąciła Ioni – jeszcze całkiem sporo nas zostało na świecie. Niektóre kobiety są już obudzone, niektóre będziemy musiały obudzić, zanim włączymy je w nasze plany.

– Obudzić? – Saja skrzywiła się, przypominając sobie ból, jakiego doświadczyła.

– Czyli każda z nich będzie musiała zostać zagoniona niemal na śmierć?

– Ależ ty masz pomysły, Saja! – roześmiała się Lida. – Jak już mówiłam, ty obudziłaś się o wiele za wcześnie. Nie byłaś gotowa. Właściwie to miałyśmy dużo szczęścia, że przeżyłaś. – Lida wyciągnęła dłoń w stronę córki, niemal dotykając czule jej twarzy. – Zwykle obudzenie odbywa się w czasie porodu. Narodzenie dziecka w pewien sposób zbliża matkę do przodków i ułatwia stworzenie więzi z nami. Jest to również zdecydowanie mniej bolesne dla budzącej się.

– To znaczy, że będziemy musiały tym kobietom brzuchy przyprawić?

Trzy kobiety oniemiały, zaskoczone tak sformułowanym pytaniem. Chwilę potem wybuchły nieopanowanym śmiechem.

– Taki... – Nyss ocierała z policzków łzy rozbawienia – taki jest z grubsza plan. Jeszcze tylko musimy dopracować szczegóły. Jakiś jurnych młodzieńców znaleźć, alkierze postawić...

– Nyss, zachowuj się, proszę! – przerwała Lida, poważniejąc. – Toż to moja córka!

– Mamo, spokojnie, ja tę babę mam w głowie. – Saja machnęła dłonią z miną zblazowanej arystokratki – Widziałam rzeczy gorsze, niż ty sobie możesz nawet wyobrazić.

– No i widzisz, Lido. – Nyss uśmiechnęła się słodko z łobuzerskim błyskiem w oczach. – Ty sobie odpocznij, a my już z Sają wszystko zaplanujemy.

– Dziewczyno! Spokój! – zakomenderowała Ioni. – Dużo czasu nie mamy, a wy tu sobie jakieś wygłupy urządzać. Sajo – zwróciła się do dziewczyny – na razie plan jest taki, że musisz przeżyć. Nad przywracaniem cię na tron Witii możemy zastanawiać się później.

– Ale ja myślałam, że już przeżyłam? – zaniepokoiła się Saja. – Sama mówiłaś, że żywa i pod dobrą opieką?!

– Bogowie! Dajcie mi siłę! – Ioni błagalnie wzniosła oczy do nieistniejącego nieba. – Przecież to, że jesteś żywa, nie znaczy, że żywa pozostaniesz. Ktoś cię jednak niemal zabił. Na razie nie wiemy nawet kto i czy będzie dalej próbował. Przed tobą długa droga do Sławy i do tronu Witii. Naszym zadaniem jest cię przygotować na każde możliwe i niemożliwe niebezpieczeństwo.

– Przepraszam. – Saja opuściła głowę z zawstydzoną miną. – Nie pomyślałam o tym.

– Lekcja pierwsza – upomniała dziewczynę Ioni. – Nigdy nie przepraszaj. Jesteś Witią. Witia nie przeprasza, ponieważ każdy jej czyn jest celowy i przemyślany, a wszystkie owoce jej czynów są warte ich ceny.

– Lekcja druga – podjęła Nyss. – Nikt nie może wiedzieć, kim jesteś, dopóki nie przyjdzie taki czas, że ktoś musi się dowiedzieć. Zaczniemy więc, tęczowooka, od nauki panowania nad kolorem twoich oczu.

– Co jest nie tak z moimi oczami? – Saja, strofowana o jeden raz za dużo, zaczęła już tracić cierpliwość.

– Błyszczą jak gwiazdy we wszystkich kolorach tęczy – odpowiedziała rzeczowo Lida.

– Naprawdę? – Saja zaczęła robić przedziwne miny, próbując zobaczyć własne oczy. – A jest tu jakieś lustro?

– Nie ma tu lusterka, dziewczyno! – Ioni załamała ręce, bezsilna wobec dziecinnego zachowania świeżo upieczonej Witii. – I przestań wywracać tymi ślipiami! Jesteś Witią, to i oczy masz Witii. Nic w tym dziwnego.

– Nie przejmuj się – powiedziała Nyss, mrugając do Saji porozumiewawczo. – Jak tylko wrócisz do swojego ciała, zaraz ci poszukamy jakiegoś lusterka. Na razie przeszukaj wspomnienia. Masz takie same oczy jak twoja babka i każda inna Witia z czasów moich czy Ioni. Niestety, po tych oczach bardzo łatwo cię rozpoznać. Więc, wracając do nauki...

\*\*\*

Czas w otoczoną mgłą kręgu zdawał się nie płynąć. Saja nie wiedziała, czy pobierała nauki przez wieczność, czy tylko przez krótką chwilę. Po kilkunastu próbach zrozumiała w końcu, jak panować nad kolorem swoich oczu. Potem uczyła się, jak panować nad strachem, jak nie czuć bólu i jak ból zadawać. Nauczyła się, jak przeszukiwać wspomnienia i wiedzę swoich przodkiń oraz jak rozmawiać z dwiema lub nawet trzema z nich naraz. Nauczyła się, jak rozpoznać kłamstwo i jak przekonująco kłamać. Przez cały ten czas siedziała w kręgu z matką i ciotkami, chłonąc wiedzę jak gąbka i pragnąc nauczyć się jeszcze więcej. Uwolniona od potrzeb ciała, nie czuła się zmęczona ani śpiąca.

Wysłuchana w zawile tłumaczenia Nyss, Saja początkowo nie zauważyła, że kłębiąca się wokół mgła zaczęła powoli gęstnieć i jakby kurczyć się. Dostrzegła zmianę otoczenia, dopiero kiedy sylwetka Nyss zrobiła się bardziej przezroczysta, jakby rozplýwała się we mgle.

– Już czas – powiedziała Lida z niepokojem, obserwując swoje znikające palce.

– To prawda – zgodziła się Ioni.

– Co się dzieje? – zapytała Saja.

Czuła się dziwnie, jakby zapadała się w otoczonej przez mgłą nicości.

– Kochanie – Lida zwróciła się do córki – musisz już wracać. Nie możemy trzymać cię tu ani chwili dłużej. Skarbie, pamiętaj, twoje ciało jest bardzo słabe. Zaraz po powrocie będziesz się czuła trochę... – matka szukała odpowiedniego słowa – skołowana. Najlepiej rób i mów jak najmniej, dopóki nie usłyszysz naszych głosów.

– Zajmie nam chwilę, żeby się przebić. – Nyss odpowiedziała na malujące się na twarzy Sai pytanie. – Pamiętaj, twoja dusza ma nasze umiejętności, ale twoje ciało o tym nie wie. Nie rób nic, dopóki nie usłyszysz nas w głowie. I, na bogów, odpowiadaj nam w myślach, nikt inny nas nie słyszy! Jak zaczniesz mówić do siebie, ludzie gotowi pomyśleć, żeś rozum postradala!

– Kocham cię, skarbie. – Lida spojrzała na córkę z miłością. – Tak bardzo cię kocham.

– Już czas. – Ioni odciągnęła obie kobiety w mgłę. – Zobaczymy się wkrótce, Witio.

– Mamo! Mamo! – Mgła zaczęła gwałtownie kurczyć się i Saja wpadła w nicość.

---

<sup>12</sup> Rota – największa jednostka Drużyny Witii, dowodzona przez rotmistrza. Rota składa się z pięciu do dziesięciu szyków (dowodzonych przez mistrza). Szyk składa się z dziesięciu pięści, z których każda liczy dziesięciu wojów.

<sup>13</sup> Żupan – zarządca opola, najmniejszej jednostki administracyjnej Daboru. W czasie wojny żupan dowodzi chorągwią pospolitego ruszenia. Pod jego nieobecność obowiązki administracyjne przejmuje wojski.



# ROZDZIAŁ 3

*Otoczona płomieniami, okryta lśniącym srebrem płaszcz, Witia stanęła przed swoim ludem.*

Wojan z Chłodnej, „Kroniki Daboru”

Powrót nie był przyjemny. Z powodu ran i wycieńczenia ciało Sai stało się słabe, sztywne i obolałe. Złamana ręka pulsowała tęnym rwaniem, a gdzieś za oczami rodził się narastający ból głowy. Do tego chciało jej się siku. Po lekkości, jakiej doświadczyła w świecie duchów, przebywając we własnym ciele czuła się skrupowana, niemal uwięziona. Z rozczarowaniem stwierdziła, że nie słyszy głosu matki ani ciotek. Pomna ostrzeżenia Nyss, postanowiła na razie nie przejmować się tym za bardzo. *Nic nie mówić, nic nie robić, pilnować oczu* – powtarzała instrukcje przodkiń jak modlitwę.

Ostrożnie uniosła powieki. Zajęło jej chwilę, zanim zorientowała się, na co patrzy. Deski więźby obwieszane były przeróżnymi sprzętami i przedmiotami. W słabym świetle pomieszczenia nie widziała dokładnie szczegółów, ale rozpoznała wiązki obciążonych, suszących się promieni strzał, jakieś łapcie, kilka garnków, wypchane wory i sakwy, parę wiszących nonszalancko, nieco przetartych lnianych portek oraz kilka łyżek, obok których powbijana była kolekcja noży. W kątach pomieszczenia, podwieszane krzywo pod dachem, wisiały rozciągnięte na ramach skóry. A może były to krosna? Cokolwiek to było, dekoracja wnętrza sugerowała, że mieszkający tu ludzie nie są, delikatnie mówiąc, przy zdrowych zmysłach. Pamiętając słowa Ioni, która zapewniała, że ciało dziewczyny jest w dobrych rękach, Saja postanowiła nie martwić się na zapas. Przekreśliła ostrożnie głowę, by kontynuować oględziny pomieszczenia.

Na środku izby siedział ogromny wilk. Jego długie kły lśniły czerwono w świetle paleniska.

Saja zamarła. Przytłumione wspomnienia nie tak odległej walki z krwiożerczym drapieżką przemknęły przed jej oczami jak żywe. Poczowała ogarniające ją przerażenie. Jednocześnie gdzieś z głębi pamięci jedna po drugiej, szybciej niż myśl, zaczęły napływać do niej wizje możliwych sposobów obrony. *Odepchnij pysk*

*na bok, kciuk drugiej ręki wbij w oko. Pozwól mu wbić zęby w przedramię, drugą ręką zmiążdż tcharwicę. Źle, źle, nie mam drugiej ręki. Użyj siennika jak tarczy, zepchnij go w palenisko. Źle, on jest cięższy ode mnie. Zawiń się w skóry, atakuj nożem. Źle, nie mam noża, do powały nie sięgnę. Broń. Znajdź broń. Dobrze! Potrzebuję broni!*

Niesłychanym wysiłkiem woli Saja uspokoiła oddech. Powoli przeniosła wzrok z ogromnego zwierzęcia na otaczające ją przedmioty. Z ulgą dostrzegła solidny stołek, stojący w zasięgu jej prawej ręki. *Czekaj, aż zaatakuję, walnij z całej siły w łeb, złamany karwatek drewna wbij w brzuch, pod żebra.* Saja, zupełnie nie czując już strachu, powolutku, oddychając głęboko i spokojnie, zaczęła wyciągać rękę spod okrywających ją skór. Nagle poczuła coś mokrego i włochatego, oddychającego wprost w jej lewe ucho. Nie czekając ani chwili dłużej, z całą szybkością, na którą jej osłabione ciało mogło się zdobyć, sięgnęła po stołek i zaatakowała.

\*\*\*

Miro leżał rozkrzyżowany na ziemi, rozkoszując się chłodem śniegu. Dopiero co wyszedł z przydomowej łaźni, w której spędził niemal cały poranek. Oddychał głęboko, obserwując kłęby pary ulatujące ku błękitowi nieba. Leniwie zastanawiał się, czy nie powinien przypadkiem wrócić do gorącej łaźni, zamiast, jak planował wcześniej, zabrać się za robotę w obejściu. Po dokładnym przemyśleniu sprawy postanowił, że powrót do łaźni jest doskonałym pomysłem. Już miał wstać z topniejącego śniegu, kiedy usłyszał głośny trzask i przerażone beczenie dochodzące z chałupy. Usiadł, z zainteresowaniem spoglądając na drzwi. Rozbawiony zakładał się z samym sobą o to, co wścibska koza przewróciła tym razem i co wybiegnie z domu pierwsze. Krosna z kopytami? Portki z kudłatym ogonem? W chwilach takich jak ta bardzo żałował, że Skra urósł tak szybko. Widok był zdecydowanie zabawniejszy, kiedy na głowie wilka mieściły się mniejsze rzeczy, takie jak łapcie, onuce czy pusty kołczan.

Cisza.

Miro wciąż czekał, choć uśmiech powoli wiądnął na jego ogorzałej twarzy.

Głucha cisza.

*Zabiła go! Sucza mać go zabiła!* – przerażająca myśl pojawiła się nagle w głowie mężczyzny. Przeklinając wszędobylską kozę, poderwał się na nogi i pobiegł ku chacie. Gotowy rozszarpać Gruszkę gołymi rękami, nagi, z rozgrzaną jeszcze, niemal parującą skórą, stanął w otwartych drzwiach chałupy. Rozglądał się niecierpliwie, czekając, aż jego wzrok przyzwyczai się do półmroku izby. Nieco po lewej usłyszał rozpaczliwe beczenie Gruszki. Gdzieś z przodu dobiegały odgłosy

ostrożnych kroków wilka. Miro odetchnął głęboko z ulgą. *Żyje! Skra żyje!* – pomyślał, już spokojniejszy. W odległym kącie chaty dojrzał Gruszkę. Koza wyglądała na przerażoną. Cała się trzęsła i szukała schronienia pomiędzy nogami jałówki. Na środku izby stał Skra ze zjeżonym grzbietem, gotowy do ataku. Powoli przesuwiał się ku drzwiom. Tuż przy palenisku Miro z zaskoczeniem dostrzegł stojącą chwiejnie postać. Wychudzona, osłonięta tylko opaską na biodrach dziewczyna trzymała nad głową krótki kawałek drewna i czujnie obserwowała Skrę. Wyglądała na gotową do ataku.

– Skra! Do nogi! – krzyknął Miro.

Wilk z ociąganiem posłuchał. Dziewczyna spojrzała w stronę otwartych na oścież drzwi.

– Zamknij się! – warknęła ochrypniętym głosem.

Miro, oniemiały, dopiero teraz zdał sobie sprawę ze swojej nagości. Zmieszany, nogą pchnął Skrę na zewnątrz i zatrzasnął za sobą drzwi. Już na dworze oparł się plecami o ścianę i powolutku osunął na ziemię, chowając twarz w dłoniach.

Miro nigdy nie rozumiał niewiast. Zupełnie nie pojmował, czemu chodziły one zwykle w stadach i chichotały z byle powodu. Czemu w jednej chwili uśmiechały się zachęcająco, by w następnej odwrócić się plecami i odejść, obojętne na jego starania. Albo czemu krzyczały na niego, zamiast podziękować za odwołanie ważącego pewnie z pięć kamieni<sup>14</sup>, gotowego do ataku wilka. Nie po raz pierwszy i pewnie nie ostatni Miro siedział na mrozie zastanawiając się: *Co ja takiego powiedziałem?!*

Ostre igły zimna zmusiły go do otrząśnięcia się z rozważań o przeszłych i przyszłych niepowodzeniach. Z zakłopotaniem uświadomił sobie, że wszystkie jego ubrania znajdowały się w chacie. Po raz kolejny zaczął się zastanawiać jak, na bogów, udało mu się w to wszystko wpakować. *Takie miałem spokojne życie... Dziewczyny się zachciało, parchy, ratować!* – wyrzucał sobie w myślach. Wściekły, klnąc na czym świat stoi, zbliżył się do zatrzaśniętych drzwi chaty. Przez chwilę patrzył z nienawiścią na ściemniałe drewno. Chłód przenikał coraz głębiej jego nagie ciało. *Muszę się, parchy, ubrać!* – pomyślał. Dygocząc z zimna, zapukał w drzwi.

\*\*\*

– *To nie tak! Saja! Uspokój się!* – Głos Ioni dopiero teraz przedarł się do jej głowy. Dziewczyna bacznie obserwowała wilka. Gotowa była zaatakować zwierzę gołymi rękami. *Tym razem nie dostaniesz mnie tak łatwo* – pomyślała bojowo, szczerząc

zęby w niemal zwierzęcym grymasie. Potrzaskała stołek na głowie pierwszego napastnika, który z nieznanых powodów zaczął beczeć. *Musi być, mam już zwiady ze zmęczenia.* Potrząsnęła nieznacznie głową, starając się odgonić mroczki latające jej przed oczami.

– *Saja! Saja! Uspokój się!* – Ioni nie dawała za wygraną.

– Zamknij się! – warknęła poirytowana dziewczyna. W tej samej chwili ujrzała stojącego w progu chaty nagiego mężczyznę. Wilk w niezrozumiały sposób zniknął.

Poczuła ciepłą wilgoć moczu, spływającego po jej drżących nogach.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Naga, z jedną ręką przywiązaną do tułowia, w drugiej ściskając nogę połamanego stołka, owinięta mokrym płótnem jak pieluchą, świeżo upieczona Witia z plaśnięciem opadła na kolana, w ciepłe błoto na klepisku.

Potrząsnęła głową. Desperacko starała się zrozumieć, co się właściwie stało. Jej myśli leniwie pływały w lepkiej zupie otumanienia.

– *Saja! Saja! Kochanie! Nic sobie nie zrobisz?* – Głos matki wydawał się bardzo zatroskany.

– Nie wiem... Nie jestem pewna... – wymamrotała dziewczyna, patrząc bezmyślnie przed siebie.

Jej wzrok padł na przerażoną kozę, szukającą schronienia pomiędzy nogami jałówki. Jedno oko kozy wydawało się szybko puchnąć. Niewzruszona całym zamieszaniem krowa spokojnie żuła siano.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

– Proszę – odpowiedziała automatycznie, zupełnie już ogłupiała.

Drzwi uchyliły się powoli, a w szparze ukazała się owłosiona ręka.

– *Uuunizzzzenie wwwwybbbaczczczczenia prrrroszszszę, ppannnienkkko...* – zaszcząkał zębami męski głos.

Ręka na oslep coś złapała i natychmiast się cofnęła. Chwilę potem drzwi otworzyły się szerzej i do izby ostrożnie wkroczył nagi mężczyzna, zakrywając przyrodzenie jakąś szmatą.

– *Wwwwybbbaczczczeniaaaa bbbbbbłaggggammmm, ppannnienkkokoko...* – słowa wydobywające się spomiędzy jego szczękających zębów były ledwo zrozumiałe – *tttylkkko okkkrryiaciacia popopotrzzrzbwwwbuję...*

Unikając jak mógł patrzenia się na półnagą Saję, objijając się z sykami bólu o sprzęty, mąż kręcił się po izbie, zbierając fragmenty odzieży. Po chwili, z ubraniami utkniętymi pod pachą, trzymając buty w zębach i małe sanie z uprzężą w jedynej wolnej dłoni, mężczyzna pokracznie wycofał się z powrotem za drzwi.

– *Hmm...* – głos Nyss odezwał się w głowie Sai. – *Nie najgorszy ten twój opiekun...*

Dziewczyna przyglądała się bezmyślnie całej scenie, nawet się już specjalnie nie dziwiąc. Nagle, niemal jak grom z jasnego nieba, zrozumienie zakwitło w jej umyśle.

*Bogowie! Zsikałam się w gacie na oczach tego męża! O bogowie! Co za wstyd...*

Gdzieś w środku głowy Sai rozległ się nieopanowany, histeryczny śmiech.

– *Dziewczyno, trzeba przyznać, nadajesz nowe znaczenie poleceniu: „Nic nie rób”.* – Kpiący głos Ioni brzmiał już wyraźnie w głowie Sai.

– *Ale...* – Nyss krztusiła się ze śmiechu – *prawie nic... nie... powiedziała... tylko: „Zamknij się”!*

– *Biedny chłopak...* – chichotała Lida. – *Będzie miał koszmary do końca swoich dni!*

Saja, purpurowa na twarzy, poczuła, że jej myśli powoli się przejaśniają. Spojrzała na kozę, której oko, z powiększającą się opuchlizną, było już prawie zupełnie zamknięte i obficie łzawiło. Dziewczynie zrobiło się nagle bardzo żal nieszczęsnego zwierzęcia.

– *Biedna koza...* – powiedziała ze współczuciem.

Po chwili, nie zważając na obolały bok, wybuchnęła śmiechem.

\*\*\*

Miro ubierał się w ciasnej łaźni. W małym pomieszczeniu pozostało jeszcze wystarczająco ciepła, żeby ogrzać jego przybierającą już błękitny odcień skórę. Trzęsąc się z zimna, przytupywał i wyciągał ręce ku gorącym kamieniom. Nie znajdował w sobie siły na dalsze przekleństwa. Wydawało mu się, że słyszy głośny śmiech dochodzący z chałupy. *Jak nic, dziewczucha postradała zmysły* – pomyślał zgryźliwie. – *Prawie trzy tygodnie karmienia i przewijania... I po co? Następna opętana baba... Ech, głupiś, głupiś, chłopie.*

Odzyskawszy czucie w palcach, Miro przypasał sanie do pleców i narty do stóp. Był bardzo rad, że minionej nocy z lenistwa zostawił narty na dworze. *Jeszcze bym się musiał do tej obłąkanej dziewczki wracać.* – *Aż skrzywił się w duchu.*

*Trzeba zielarkę sprowadzić* – pomyślał zrezygnowany, wyruszając w drogę. – *Niech się baba babą zajmuje.*

Skra w podskokach podążył za panem.

\*\*\*

Saja ocierała łzy i próbowała opanować histeryczny śmiech. Naga skóra na kolanach zaczęła swędzieć, podrażniona od moczu, słomy i wilgotnej ziemi klepiska. Złamana ręka i rana na boku ćmiły kującym bólem. *Przynajmniej głowa mnie już nie boli.* Wzięła głęboki oddech, przygotowując osłabione, wciąż jeszcze obce ciało do podniesienia się z kolan. *Bogowie, jak ja śmierdzę!*

– *Pewnie, że śmierdzisz* – usłyszała głos Ioni. – *Prawie trzy tygodnie tu leżałaś.*

– *Trzy tygodnie?! Jak to możliwe?* – Saja otworzyła szeroko oczy, zdziwiona.

– *Miałas w myślach odpowiadać!* – zrugła ją matka. – *Czy to dziecko kiedykolwiek będzie mnie słuchać?!*

– *A co to za różnica?* – buńczucznie odparła Saja, podnosząc się chwiejnie. – *I tak nikt nie słyszy.*

– *Powolutku, skarbie!* – Lida płynnie przeszła od zrzędzenia do troski. – *Tam, z tyłu, po prawej, stoi ława. Oprzyj się o nią. A różnica jest taka, że nie wiesz, czy ktoś słyszy, czy nie. Masz odpowiadać w myślach i dość już tych kłótni.*

*Tak, mam* – pomyślała Saja, zrezygnowana i zbyt zmęczona, aby się sprzeczać. Rozglądając się za jakimś odzieniem, dziewczyna przypomniała sobie, że mężczyzna był nagi. *Łaźnia* – pomyślała. – *Tu gdzieś musi być łaźnia.*

Wychudłe, osłabione nogi trzęsły się z wysiłku, a w piersiach brakowało tchu. *Trzy tygodnie... Bogowie... Ależ jestem głodna!* Saja zacisnęła zęby i rozpoczęła powolną wędrówkę wokół izby. Systematycznie zaglądała do skrzyń i worków, szukając jedzenia i odzienia. Z jednej ze skrzyń wygrzebała świeże jeszcze podpłomyki. Pochłonęła je w całości, zagryzając wysuszoną cebulą. Nieco głębiej w tej samej skrzyni odkryła garnek ze smalcem. Żałując, że nie ma już podpłomyków, zjadła smalec palcami. Po wylizaniu garnka do czysta kontynuowała przeszukiwanie izby. Z uporem ignorowała ostrzeżenia i błagania matki, żeby się nie przejadać. W tym samym czasie Ioni opowiadała o swojej pieszej ucieczce z Trybaldu<sup>15</sup>, kiedy to z głodu zjadła zdechłego szczura na surowo. Nyss wydawała odgłosy obrzydzenia.

Nieprzyzwyczajona do obcych głosów w głowie, Saja czuła się jak na targowisku. Wydawało jej się, że zaraz oszaleje. Nie chcąc być nieuprzejma, zacisnęła zęby i cierpliwie przeszukiwała izbę. Znalazła jeszcze garść suszonych śliwek, korzeń pasternaku i kilka pomarszczonych jabłek. Wszystko to, do wtóru matczynych lamentów, zjadła ze złośliwym uśmiechem na ustach. W końcu na dnie ciśniętego w kąt izby worka znalazła nieco wilgotne, ale jeszcze niezniszczone kobiece ubrania. *Żona?* – przyglądała się haftowanemu giezłu w zamyśleniu. Rozejrzała się po izbie raz jeszcze. *Ten dom już dawno nie widział kobiecej ręki* – pomyślała.

– *Pewnie żona umarła* – odezwał się głos Nyss z przekonaniem.

– *Od razu umarła!* – klóciła się Ioni. – *Może jej się znudziło sprzątać po flejtuchu?*

– *I zostawiła takie cudo?! W życiu! Widziałaś, jakie ten chłop ma bary?!*

*Czy ja naprawdę muszę tego słuchać?* Szczerze już zmęczona hałasem w głowie Saja zaczęła się zastanawiać, czy nie dałoby się jakoś tego uciszyć.

– *Oczywiście, że możesz nas odestać.* – Odpowiedziała matka zimnym tonem. – *Przecież pokazałyśmy ci jak. Nie wiem tylko, jak zamierzasz...*

– *A tak, już sobie przypomniałam!* – przerwała matce Saja i bezceremonialnie wyrzuciła przodkinie ze swojej głowy. Odetchnąwszy głęboko z ulgą, rozkoszując się ciszą, pokuśtykała do łaźni.

\*\*\*

Miro niemal połamał sobie nogi, próbując zdjąć narty w biegu. Z trudem łapiąc oddech, walił teraz pięścią w drzwi chaty zielarki.

– Matko! Matko! Obudziła się! Mała się obudziła! – krzyczał, usiłując jednocześnie odpasać sanki z pleców. – Otwórzcie, matko!

Nieuważnie walnął w drewno o jeden raz za dużo i drzwi odskoczyły z trzaskiem. Zaklął pod nosem, oglądając szkody. Spędził chwilę, próbując wcisnąć połamane deski w wygięte okucia, ale w ogóle mu to nie szło. W końcu machnął ręką na smętne resztki drzwi. *Jakby co powiem, że to Skra zrobił...* – pomyślał sobie i wszedł do wnętrza chaty. Szybko przeszukał dwie izdebki. Najwięcej czasu spędził rozgrzebując posłanie, które przywalone było stertą skór i derek. Obawiał się, że w tej obfitości okryć przegapi drobną zielarkę. *No i polazła gdzieś baba!* – złościł się. – *Że też nigdy ich nie ma, jak potrzeba. A jak nie potrzeba to, parchy, z każdych kątów wylażą!* Skra, który obwąchiwał chatę z ciekawością, spojrzął na pana, jakby czekając na dalsze instrukcje. Miro koniuszkami palców podniósł z klepiska nieco sztywną onucę i podsunął ją pod nos wilka.

– Szukaj, Skra! – zwrócił się do zwierzęcia zachęcająco. – Szukaj! Raja! Gdzie jest Raja?!

Skra szczechnął krótko, spędził kilka chwil obwąchując klepisko, po czym wybiegł na podwórko. Mężczyzna, odrzuciwszy z obrzydzeniem niepotrzebną już onucę, wybiegł za wilkiem. Skra zawył podekscytowany. Złapał trop. Niecierpliwie truchtał w miejscu, czekając, aż Miro założy narty. W końcu wyruszyli.

Skra, pewny tropu, biegł szybko przez las. Od czasu do czasu oglądał się, by sprawdzić, czy Miro nadąza. *Daleko przecie nie zaszła na tych swoich chudych nogach* – pomyślał mężczyzna, zmuszając się do szybszego biegu. – *Nie ma co się oszczędzać.* Skra nie zdążył się nawet zziajać, kiedy wąska leśna droga

doprowadziła ich na skraj polany. Miro zwolnił, urzeczony niemal idyllicznym widokiem. Jasne zimowe słońce przebijało się przez nagie korony drzew, wzbudzając lśniąca feerię światła na otulonej cienką warstwą śniegu polanie. Białe, skąpane w słońcu kwiaty przebiśniegów kołysały się delikatnie w ciszy poranka. Szron pokrywający ocienione gałęzie nadawał drzewom bajkowy wygląd. Nawet pomarszczona twarz wykopującej przebiśniegi zielarki wyglądała łagodnie, niemal dobrotliwie.

– No i czego tak ganiasz? – Ochrypnięty głos i bezzębny uśmiech Rai zgrzytem przerwały urokliwą ciszę poranka. – Pali się czy co?

Skra skakał radośnie dookoła staruchy i próbował polizać jej twarz. Deptał przy tym bezlitośnie delikatne przebiśniegi.

– I weźże tego wilka odwołaj! – ciągnęła zielarka jazgotliwie. – Te wiosenne gładysze mocny sok mają. Jeszcze się zwierzak struje!

– Skra! Do nogi! – Miro posłusznie odwołał wilka. – Matko, unizenie proszę wybaczenia... Ja bym nie przeszkadzał, gdyby nie... hm... że tak powiem...

– No, wykrztuśże to w końcu! – Raja była wyraźnie poirytowana nieśmiałością rosnącego mężczyzny. – Mała się obudziła czy jak?!

– Obudziła się, matko...

– Obudziła się! – wykrzyknęła uradowana zielarka. – Już, tylko bulwy pozbieram i od razu idziemy.

– Iść nawet nie trzeba, matko. – Miro, dumny ze swojej zapobiegliwości, odpasywał już sanki. – Skra przecież pociągnie.

Raja zbierała rozrzucone przez wilka korzenie przebiśniegów. Nagle zastygła, spojrzała podejrzliwie na mężczyznę i po chwili rzekła ostrym tonem:

– Mironie, nie powiesz mi, żeś ją bez opieki zostawił?! Przecież ona skołowana pewnie jest po tym długim śnie. Jeszcze sobie coś zrobi!

– Sobie coś zrobi?! – zagotował się Miro. – Mało mi Skry nie zabiła! A Gruszka to już pewnie spod Łaty nigdy nie wyjdzie, taka zestrachana!

– A co by taka chudzina wilkowi mogła zrobić?! – odparła wzburzona zielarka. – Pewnikiem się przestraszyła! Bo kto to słyszał, żeby takiego wilka w domu trzymać?!

Miro aż zatrząsł się z oburzenia. Zacisnął gniewnie usta i pochylił się, by przymocować sanie do uprzęży Skry.

– Przestraszyła się, parchy, bidna dziewczuszka! – mamrotał pod nosem. – Trzeba było toto zostawić w lesie. Człek się stara, dobro czyni, tyłki podmywa, i nic tylko kłopoty z tego.

– Co tam mamrociesz? – dopytywała się zielarka.



– Nic, matko. – Miro nie widział większego sensu we wdawaniu się w dyskusje ze staruchą. – Wszystko już gotowe, jedźmy.

\*\*\*

Miro był bardzo zadowolony z chyżości wilka. Przejechali obok chaty zielarki zbyt szybko, żeby staruszka zdążyła zauważyć uszkodzone drzwi. *Jeszcze by mi i za to, parchy, nagadała.* Po wydarzeniach na polanie myśliwy nie sądził, aby Raja uwierzyła w historyjkę o Skrze wywalającym okute drewniane drzwi. Postanowił, że po południu wymknie się z chaty pod jakimś pretekstem. Miał nadzieję, że może uda mu się naprawić nieszczęsne drzwi, zanim Raja odkryje wyrządzone działaniem w słusznej sprawie szkody.

Zatrzymali się na podwórku przed domem. Skra, wielce zadowolony z wycieczki, energicznie machał ogonem. Miro, rozpryskując śnieg, wyhamował przy saniach i pochylił się, by pomóc zielarce. Wciąż naburmuszona Raja odtrąciła pomocną dłoń, z zadziwiającą szybkością wyplątała się z sań i pospieszyła w stronę chałupy. Miro aż podskoczył, kiedy chwilę potem rozległ się jej przerażony krzyk.

– Gdzie ona?!

Zaniepokojony mężczyzna pospieszył do chaty. Jeszcze raz rozejrzał się po podwórku, podświadomie szukając śladów kopyt czy krwi. Stał na progu chaty, czekając, aż oczy przyzwyczają się do półmroku panującego w izbie.

– Żem ją przecież tu zostawił, na klepisku, słaba taka była, na golasa, nigdzie by tak nie poszła!

– Słaba?! Na golasa?! – Zielarka aż zatrzęsała się ze złości – To gdzie ona, powiedz mi, chłopcze, jakżeś taki mądry?!

Miro rozejrzał się po izbie. Rozkopane skóry leżały na pościeli obok paleniska. Żałosne kawałki połamanego stołka rozrzucone były bezładnie na klepisku. Gruszka, machając krótkim ogonkiem, buszowała w otwartej na oścież skrzyni. Ze złośliwym wyrazem w żółtych oczach żuła zapamiętałe kolorową narzutkę. Jedno oko kozy było zapuchnięte, a na głowie rósł jej wielki guz. Miro, zbyt przejęty, aby martwić się garderobą nieżyjącej matki, zignorował niszczycielską Gruszkę. Z wprawą unikając wiszących pod powalą sprzętów, wielkimi krokami przeszedł przez izbę do sypialni. Drugie pomieszczenie wyglądało tak, jak je zostawił rano. Zaniepokojony, wrócił do głównej izby. Zielarka, po raz chyba piąty, przeszukiwała pościel dziewczyny.

– Nie pojmuje – wymamrotał Miro. – Była tu jeszcze chwilę temu.

Nagle z podwórza dobiegł głośny, przerażony wrzask. Oboje, mężczyzna i zielarka, pospieszyli na dwór. Miro, podświadomie oczekując walki, płynnym ruchem ustawił się przed Rają i czujnie rozejrzał się po podwórku.

Skra siedział przed drzwiami przydomowej łaźni, ziając i machając ogonem. Ze zbudowanej z wydrążonego pnia drzewa parówki dobiegały przytłumione syki bólu i przekleństwa. Miro rozluźnił się i szybkim krokiem podszedł do wilka. Uspokajającym gestem położył dłoń na głowie zwierzęcia.

– Spokojnie, panienko – powiedział głośno. – To nic, nie trzeba się bać. Skra tylko tak strasznie wygląda, ale krzywdy nie robi. Nawet nasza łasica go po kątach rozstawia, taki z niego wilk.

Drzwi łaźni uchyliły się nieco, a w szparze pojawiła się zaróżowiona, wychudzona twarz. W ogromnych, błyszczących oczach dziewczyny przerażenie mieszało się z ulgą.

– Ssss... Skra? – zapytała dziewczyna niepewnie. – To jest wasz, panie, wilk?

– A mój – z uśmiechem odpowiedział Miro. – I nie „panie”, tylko Miro jestem – dodał.

Już miał zacząć opowiadać całą historię znalezienia szczeniaka, gdy uszczęśliwiony, wysoki głos zielarki przerwał mu w pół słowa.

– Sa...! – zaczęła Raja, po czym zamilkła na chwilę, jakby zabrakło jej tchu. – Samą Matkę błogosławić! Dziewczyno! Już żem myślała, żeś przepadła! Zdrowaś? Rany się nie pootwierają? – dopytywała z troską w głosie.

– Zdrowam, bogom dziękować, matko – odpowiedziała Saja, odzyskując rezon. – Tylko mnie ten ogromny wilk znowu przestraszył. Myślałam, że to ten sam co... – Ochrypnięty głos dziewczyny załamał się na samo wspomnienie koszmaru ucieczki przez las.

– Już, już... – uspokajającym tonem powiedziała zielarka, uchylając drzwi łaźni. – Ze Skry to taki wilk, jak z koziej nogi wiadro. Chodźże, córuchno, zaraz się tobą zajmujemy.

Miro podniósł się i poklepał bok swojego czworonożnego przyjaciela.

– To ja tylko jakieś okrycie przyniosę – zamamrotał pod nosem.

\*\*\*

Saja przysypiała w ciepłe paleniska. Siedziała na pościeli, obejmując kolana zdrowym ramieniem. Od czasu do czasu bolesne ciągnięcie za włosy wyrывało ją z drzemki. Zielarka spędziła większą część popołudnia próbując rozczesać skudłany warkocz dziewczyny. Co chwilę obiecywała, że już prawie kończy, tylko jeszcze

rozplącze ten jeden kołtun. Saja zastanawiała się, czy nie lepiej byłoby te włosy po prostu obciąć. Staruszka tylko obruszała się na takie sugestie, twierdząc, że z krótkimi włosami dziewczyna będzie wyglądała jak po jakiejś chorobie i tylko ludziska się będą pytać. W ogóle zielarka zdawała się bardzo przejmować tym, co to ludzie mogą, a czego nie mogą pomyśleć. Słuchając pouczeń staruszki, dziewczyna czuła się niemal jak w domu, ze swoją własną matką. Pochyliła głowę i ukradkiem otarła oczy. *Nie będę płakać* – obiecywała sobie. – *Jestem przecież Witią.*

Drzwi do chałupy otworzyły się, wpuszczając powiew chłodu oraz zarumienionego zimmem Mira w towarzystwie nieodłącznego wilka. Po pełnym wrażeń poranku mężczyzna i Skra zniknęli na całe popołudnie. Zielarka Raja zrelacjonowała dziewczynie wydarzenia ostatnich kilku tygodni, wspominając, że to głównie Miro karmił Saję i troszczył się o nią, kiedy była nieprzytomna. Saja była niezmiernie wdzięczna za uratowanie życia oraz opiekę. Poczuli się okropnie, kiedy uświadomiła sobie, że gotowa była zabić przyjaznego, łagodnego wilka.

– Zapukałbym, matko – usprawiedliwiał się objuczony kosztami mężczyzna, ostentacyjnie patrząc w bok – ale rąk jakoś zabrakło.

– Wchodźże – łaskawym tonem odpowiedziała zielarka, walcząc z kolejnym kołtunem. – Obieśmy poubierane.

Miro odetchnął i zaczął opróżniać kosze, wykładając ich zawartość na drewnianą ławę.

– Przyniosłem trochę zapasów ze spiżarni – powiedział, poirytowanym gestem odganiając namolną Gruszkę. – Tylko to bydlę przywiążę i zaraz będę bryję nastawiać.

Sai aż ślina pociekła na myśl o ciepłej strawie. Poranne, przełykane na szybko jedzenie uleżało się już w żołądku dziewczyny i jej wygłodzone ciało dopominało się o więcej. Dopięła resztkę koziego mleka i usiadła wygodniej, krzywiąc się na kolejne pociągnięcie za włosy.

– Panie... – odezwała się nieśmiało, ochrypniętym od długiego snu głosem. – Ja... ja chciałam podziękować za opiekę i... i za uratowanie życia, i wszystko.... Ja mam wielki dług u ciebie, panie...

– Nic to! – Miro machnął ręką, zakłopotany. – I co mi tu panienka znowu z tym „panie”? Miro jestem. Skrę panienka poznała. To jest Gruszka, tam Łata, a Łaska, nasza łasica, też pewnikiem niedługo się pojawi – dodał, pokazując zwierzęta

*Miro? Tylko Miro?* – Saja zdziwiła się, słysząc imię mężczyzny. Rosły mąż wydawał się być wystarczająco stary, aby dorobić się jakiegoś fachu i związanego z nim przydomka, jak Kołodziej czy Bartnik. Saja nigdy jeszcze nie słyszała, żeby

mężczyzna w wieku Mira przedstawiał się tylko imieniem. Nie chcąc być nieuprzejma, dziewczyna postanowiła nie dopytywać się, jednakże z żalem pomyślała, że jej wybawca to pewnie jakiś życiowy nieudacznik.

– Wybacz, pan.... znaczy się Miro – poprawiła się, po czym ze szczerym zdziwieniem w głosie zapytała:

– A ten wilk to naprawdę wasz? Jakżeście zdołali tę bestię tak ułożyć?

– A mój jest. I ja żem go nawet specjalnie nie układał, sam jakoś tak wyrósł – odpowiedział Miro, ustawiając garnek na palenisku. – Znalazłem go szczeniakiem w lesie, będzie już ze dwa lata. Chudzina taka był, zmarznięty, i taki słaby, że ledwo dychał. Tak mi się widzi, że jego własna matka go nie chciała. I też, pewnie, rację miała. Bo ten Skra to zupełnie nie jak wilk. Niby wygląda jak należy, ale łagodny taki, w ogóle go do dzikości nie ciągnie. Jak mu powiem, żeby bronił, to broni, ale w ogóle to tylko głaskania i żarcia chce!

– To sam żeś go odchowal od maleńkości? – Saja spojrzała na rosnącego męża ze zdziwieniem.

– Ano sam. – Miro poklepał czule ogromną głowę wilka. – Ja wtedy w Drużynie Witii służyłem, to żadnych suk z mlekiem nie było pod ręką. Drużynny łapiduch, oby, za przeproszeniem panienki, mu parchy wyskoczyły, kazał mi się wilczego pomiotu pozbyć. To żem go zaniósł do takiej jednej zielarki w Sławie. Ta zielarka to była prawie taka dobra jak nasza Raja. – Tu mężczyzna uklonił się lekko starszej kobiecie. – Zaraz mi wszystko pokazała, jak takiego szczeniaka karmić i w ogóle.

– To i w Sławie byliście? I w Drużynie Witii? – Szczerze zdziwiona Saja zainteresowała się opowieścią mężczyzny jeszcze bardziej.

– Ano był nasz Miron, widział świat – wtrąciła się Raja z za pleców dziewczyny. – Ponad dziesięć років był na wojaczce. Już to nawet ludziska go zaczęli Wiara przezywać, a ten tylko Miro i Miro się każe zwać. A też opowiadać nic o tej wojaczce nie chce, jakby to wstyd jakiś był czy co.

– A tam, gadacie, matko! – Miro machnął znad garnka drewnianą łyżką. – Tylem się nawojowałem, że nie ma o czym opowiadać... – Sai wydawało się, że przez twarz mężczyzny przebiegł wyraz smutku czy może bólu. – A ty jak się, panienko, zwiesz?

– Oj, wybacz, nie przedstawiłam się. Nie chciałam uchybić...

Miro machnął łyżką, dając Sai znak, żeby się nie przejmowała etykietą.

– I żadna tam panienka! – dodała dziewczyna. – Jestem Saja z Gniewu. Córka Kasimira.

– Kasimir... Kasimir... – Mężczyzna przez chwilę drapał się po głowie dla poprawienia pamięci. – A to był taki Kasimir w Gniewie, końmi handlował, zdaje mi się. Miał taką piękną żonę, pamiętam, Lida jej było?

– To... to... – Saja musiała wziąć kilka głębokich oddechów, żeby powstrzymać płacz – to mój tata... i...

– Mironie, jak ty coś powiesz! – Raja opiekuńczo objęła dziewczynę ramieniem. – Już ty lepiej gotuj tę bryję, a ja zaraz podpłomyki zagniotę. Nie ma to jak gorąca strawa na smutki. I zobacz – zwróciła się do Sai – włosy rozczesane, obcinać nie trzeba. No już, już, nie ma co płakać. Jak to mówią, co było, będzie, rzeki nie zawrócisz.

Miro wydawał się bardzo zakłopotany. Stał przez chwilę, patrząc niepewnie na powstrzymującą płacz Saje. W końcu delikatnie pchnął ku niej Skrę. Kudłaty wilk usiadł obok zapłakanej dziewczyny. Stuknął jej ramię zimnym nosem, domagając się pieszczot. Saja, z nieśmiałym uśmiechem na zaczerwienionej twarzy, delikatnie pogłaskała głowę wilka.

– On to tak porządnie lubi – podpowiedział Miro.

Ośmielona dziewczyna zaczęła energicznie drapać Skrę, który z pomrukiem zadowolenia ułożył się na posłaniu ze skór. Saja pochyliła się i wtuliła twarz w puszystą sierść wilka. *Bogowie* – modliła się, tłumiąc łzy – *dajcie mi siły*. Tak bardzo tęskniła za domem, za rodzicami, przyjaciółmi. Najbardziej na świecie chciała się obudzić z tego koszmaru. Otrzeć oczy, ocknąć się jak ze złego snu i boso pobiec do głównej izby, do tak dobrze znanych ław i ogromnego paleniska. Zacisnęła mocniej powieki, próbując wyobrazić sobie to drogie miejsce, tych ludzi, których tak bardzo kochała. Jednak pomimo wyęźniania pamięci nie mogła przypomnieć sobie, jak wyglądał jej dom. Przed jej oczami przepływały tylko obrazy poszarpanych ciał, spalonych budynków i pustych oczu wpatrujących się w przestrzeń. Przez chwilę chciała przywołać matkę, choćby tylko po to, żeby usłyszeć jej głos. Miała nadzieję, że może Lida mogłaby pomóc jej przypomnieć sobie... poczuć jeszcze raz... *Nie!* – Saja zacisnęła usta w determinacji. – *Jestem Witiq. Muszę być silna.*

Poczuła delikatny dotyk na ramieniu. Podniosła się i otarła oczy. Z wdzięcznością przyjęła miskę smakowicie pachnącej bryi z kawałkami jeszcze ciepłego podpłomyka. Wygłodniała, zaczęła jeść, niemal nie żując kęsów stawy. Siedzący na klepisku Miro z podobnym apetytem pochłaniał swoją porcję. Raja przysiadła na jedynym ocalałym w izbie stołku. Skra usadowił się naprzeciwko zielarki i zaczął się ślinić. Chwilę potem dołączyła do niego łasica. Miro pokręcił głową z wyrazem niedowierzania na twarzy. Starucha, wzruszona błagalnymi

spojrzeniami zwierząt, odlała im porcję jadła. Saja aż przetarła oczy, kiedy zobaczyła wilka i łasicę zgodnie dzielących miskę. *Ten Skra to zupełnie jak nie wilk* – pomyślała.

Jedli w milczeniu. Po skończeniu posiłku dziewczyna odłożyła wylizaną do czysta miskę, beknęła głośno i przeciągnęła się, zadowolona.

– To było pyszne – powiedziała, patrząc na Mira z wdzięcznością. – Dziękuję.

– Głodny brzuch, to i wszystko pyszne – odparł mężczyzna, uśmiechając się przyjaźnie. – Lepiej?

– Lepiej – przytaknęła dziewczyna. – Ja... ja chyba już mogę powiedzieć...

– Powoli, dziecko – łagodnie przerwała jej Raja. – Nie ma pośpiechu. Jak nie chcesz, to nic nie mów.

– Ja mogę, naprawdę, matko – zapewniła zielarkę Saja.

Zapatrzyła się w ciepły ogień paleniska, wzięła głęboki oddech i zaczęła swoją historię:

– Jestem córką Kasimira, handlarza końmi z Gniewu, i jego żony Lidy. Żyliśmy w małym dworcu. Jednej zimowej nocy nasz dom został napadnięty. Ja... – zawahała się dziewczyna – ja nie pamiętam zbyt dużo... Pamiętam, że uciekłam do lasu, chyba ktoś za mną gonił... Potem wróciłam na pogorzelsko. Następnego ranka zaczęłam uciekać przez las. Pamiętam tylko trochę z tej ucieczki. – Saja przepaszająco spojrzała na mężczyznę i dodała: – Nie wiem, czy ktoś mnie gonił aż tutaj. Ale nie sądzę. Pamiętam, że schowałam się w jakimś drzewie na brzegu lasu.

Miro kiwał głową w zamyśleniu. Patrzył przez chwilę na dziewczynę, po czym łagodnym głosem zapytał:

– Czy ojciec miał jakąś waśń? Z miejscowym? Innym kupcem? Rodziną?

– Nie jestem pewna... – zamyśliła się Saja. – Chyba jakiś wuj był. Czy może kuzyn? Coś tam tatko mówił kiedyś... Ale nie wiem na pewno.

– Ja wiem, że to trudne... – Miro zwrócił się do dziewczyny ponownie – ale może pomnisz jeszcze, jak wyglądali ci ludzie, co napadli na twój dom?

– Ja nie... – zaczęła Saja.

*Ja nie widziałam, ale mama tam była* – uświadomiła sobie dziewczyna. Spojrzała na siedzącego na klepisku mężczyznę. Jego twarz wyrażała troskę i skupienie. *Martwi się o mnie* – Saja czytała w oczach Mira. – *Chce mi pomóc*. Pod wpływem impulsu dziewczyna zamknęła oczy i ostrożnie sięgnęła ku wspomnieniom matki, przesiewając je, szukając. W końcu znalazła te z ostatniej nocy. Przywołała nasycone przerażeniem obrazy, pozwoliła, by ją wypełniły. Poczowała zimne płatki śniegu topniejące na policzkach, mieszające się ze łzami. W ciepłym świetle

pożaru zobaczyła martwe ciało ojca, jego wykrzywioną cierpieniem twarz. *Kasimir! Bogowie, Kasimir!* – wykrzyzczała głosem matki. Długowłosa kobieta spojrzała na nią jaśniejącymi czerwienią oczami. – *Wybacz, pani* – usłyszała szept męskiego głosu. Poczowała zimny nóż na gardle. Szorstką skórę na policzku. W panice zatrzymała rzekę wspomnień. Nie chciała doświadczyć śmierci matki raz jeszcze.

– Nosili kozuchy. – Otworzyła oczy i niewidzącym wzrokiem patrzyła na okryte derką kolana. – Zwykłe takie, niezdobione. I bure sukmany.

*Jeśli powiem o czarownicy, to jak nic mnie z wioski wyrzucą* – pomyślała.

– Pamiętam łuki – ciągnęła swoją opowieść, postanowiwszy nie wspominać o czerwonoookiej kobiecie. – Nie wiem, jak się dostali do dworu. Chyba większość koni była nasza, to może piechotą przyszedli? Myślę, że ukradli konie, bo pamiętam, że rano ich nie było. Nie widziałam mieczy. Mieli noże. – Saja uniosła głowę i z bólem spojrzała w oczy mężczyzny. – Poderżnęli gardło mojej matce.

Ramiona dziewczyny zatrzęśły się. Jej pozorny spokój rozsypywał się pod naporem wspomnień.

– Czy... – zawahał się Miro – czy skrzywdzili twoją matkę?...

*Nie, tylko prosili o wybaczenie za poderżnięcie gardła* – pomyślała Saja gorzko. – *Litościwi, psia mać...*

– Mironie! Na bogów! – wykrzyknęła z oburzeniem słuchająca dotąd w milczeniu zielarka.

– Nie... Ja rozumiem... – Saja uspokajająco kiwnęła dłonią w kierunku Rai. – Nie zgwałcili jej – dodała, zdziwiona swoim opanowaniem.

– A co z Kasimirem? – dopytywał się Miro.

*Tata...* – Saja nie była przygotowana na to pytanie. Jej wspomnienia mieszały się ze wspomnieniami matki, tworząc koszmarny kalejdoskop martwych oczu, wykrzywionych cierpieniem twarzy. Okrutnych, zadanych jakąś nieznaną siłą ran. *Weź się w garść, Saja. Jesteś Witią.* – Zacisnęła pięści tak mocno, że paznokcie wbiły się w skórę.

– Nie wiem, jak... nie wiem, jak umarł mój tata... – odparła dziewczyna, z wysiłkiem powstrzymując szloch. – Miał wielką dziurę w piersi... Jakby coś... jakby coś go... rozerwało. Pamiętam, że... pamiętam, że chciałam tę dziurę jakoś zatkać... – roześmiała się gorzko.

– Dzielna dziewczyna – pochwaliła Saje zielarka. – Już dobrze, już dobrze – dodała pochylając się, by czułym gestem, delikatnie uścisnąć ramię dziewczyny.

Miro, wyraźnie wzburzony opowieścią, milczał. Zapatrzony w płomień siedział na klepisku, zaciskając szczęki. Raja zaczęła coś mieszać w glinianym kubku. Saja pochlipywała.

– Masz tu, napij się ziół, dziecko – przerwała ciszę zielarka.

Dziewczyna z wdzięcznością przyjęła kubek. Popijając gorzkawy wywar, przyglądała się zamyślonym twarzom mężczyzny i staruszki. *Moi opiekunowie* – pomyślała z żalem i goryczą – *będą jeszcze przeklinać dzień, kiedy przyjęli mnie pod swój dach.*

W czasie rozmów z matką i ciotkami Saja zrozumiała, jak niebezpieczni są jej prześladowcy. Doskonale wiedziała, że dopóki nie odzyska tronu Witii, samym faktem swojego istnienia sprowadzać będzie niebezpieczeństwo na każdego goszczący ją dach. Spojrzała na wygrzewające się przed paleniskiem zwierzęta. Przyjrzała się przeróżnym sprzętom porozwieszanym na więźbie. Pod tym dachem było jej ciepło, najadła się i czuła się bezpieczna. Wiedziała jednak, że będzie musiała to miejsce i tych ludzi jak najszybciej opuścić. Tłumiąc żal, podniosła głowę.

– Ja tylko o kilka dni proszę, nic więcej. Tylko trochę odpocznę i zaraz ruszam dalej. Nie musicie się martwić.

– A kto tu się martwi? – z kpiną w głosie zapytała zielarka. – My sobie tylko z Mirem rozmyślamy.

– A ty, panienko, nigdzie nie idziesz – dodał mężczyzna. – Nie po to ci tyłek przez całe tygodnie myłem, żeby cię teraz samą na świat wypuszczać! Będzie pewnie z miesiąc, zanim drogi odmarzną. Wtedy się będziemy martwić.

– Ale trzeba cię będzie z tej Mirowej chałupy zabrać – wtrąciła zielarka. – Żeby ludziska z daleka trzymać, nagadałam im, że biedak na krup zapadł. Ale Mironek już tyle choruje, że największe chucherko, by do tej pory albo umarło, albo ozdrowiało. To, myślę sobie, od jutra Saja pójdzie ze mną mieszkać, a nasz dzielny wojak ozdrowieje!

Dziewczyna uśmiechnęła się nieśmiało. Poczowała ogarniające ją nagle znużenie. *To pewnie te zioła* – pomyślała, patrząc w pusty już kubek. Ziewnęła i otuliła się ciałniej skórą.

– Matko – odezwał się Miro, wstając z klepiska. – To może ja matkę już odwiozę, żebyśmy się wszyscy na jutro wypali.

– Ano racja, chłopcze. I tak się zasiedziałam – odparła zielarka, otrzepując suknie.

\*\*\*

Saja pochrapywała cichutko, kiedy opuszczali chatę. Miro od razu zabrał się do zaprzęgania sanek. W jasnym świetle księżycy nawet nie musiał zapalać łuczywa.



- To, myślisz, wieśniacy? – zagadała Raja.
- Hmm? – Miro nieprzytomnie spojrział się na zielarkę, nie rozumiejąc pytania.
- Mówię, że może to jacyś miejscowi wieśniacy ten dworek najechali? – powtórzyła pytanie kobieta.
- Na pewno nie wieśniacy – odparł Miro, zaciskając rzemienie.
- Ale chcieli wyglądać jak wieśniacy – upierała się zielarka.
- Chcieć to chcieli. Tylko że wieśniacy to by matkę jak nic zgwałcili. Toż wszyscy mówili, że Lida była z jakiejś zacnej krwi – odparł mężczyzna. – Może kupiec jakiś?
- Eee... – pokręciła głową Raja. – Kupiec by pewnie skrytobójców wysłał. A taki otwarty atak?
- Rodzina? – podsunął Miro.
- Rodzina to by większe widowisko zrobiła – z przekonaniem powiedziała zielarka. – I też nie taką rzeź. Domu by przecież nie spalili.
- Prawda – przytaknął Miro w zamyśleniu.
- Żeglarze? – zasugerowała Raja.
- Żeglarze by wzięli niewolników. I przez Sławinę by nie przepłynęli o tej porze roku. Sławina wielka rzeka, ale zimą prawie całkiem zamarza. Sam widziałem.
- Lobardczycy? Kasztelan jakiś? – zgadywała zielarka.
- Wielcy panowie? Grabią handlarza koni z Gniewu? – zakpił mężczyzna. – Aż tak długo ta wojna jeszcze nie trwa.
- Dziwna jakaś ta historia. Może dziewczyna banialuki opowiada?
- Matko, sama matka widziała tę małą. Widać, że prawdę mówi – odpowiedział Miro, wyraźnie już znużony. – A że historia dziwna... Dziwniejsze rzeczy się widziało. Ważne, żeby małą jakoś ukryć. Bo to przecież jak nic szukać jej będą... Dzielna dziewczyna, do Gniewu to będzie pewnie ze cztery dni drogi przez las. Bogowie tylko wiedzą, jak dała radę. Szkoda, żeby po tym wszystkim ją złapali w Szubinkach.
- Ale gdzie tu ją ukryć, Miro? Wiosna idzie, to zaraz się ludziska rozleżą po wsi. W mojej chałupie nie da rady jej trzymać. Z nudów się wykończy dziewczyna. A jak do lasu pójdzie, to zaraz ją ktoś zobaczy. Nie może tu zostać na zawsze. Na wiosnę musi odejść.
- Miro przytupywał na śniegu i rozcierał marznące dłonie. Wyglądał na znużonego.
- Matko, jedźmy już. – Delikatnie popchnął kobietę w stronę gotowych do drogi sań. – Nic o tej porze nie uradzimy.

Zielarka, nic sobie nie robiąc z ponagień mężczyzny, chwyciła go za ramię. Spojrzała mu głęboko w oczy i niespodziewanie zapytała:

– Miro, pójdziesz z nią?

Mężczyzna, zaskoczony pytaniem i intensywnością spojrzenia zielarki, cofnął się o krok.

– Pójdziesz, Miro? – pytała Raja. – Przecież nie może tu zostać na zawsze.

*Co tę babę ugryzło?*

– Pójdziesz? – upierała się starucha. – Będą ją gonić, sama nie przeżyje.

Miro nie odpowiedział. Zmarznięty, poirytowany i zmęczony, bezceremonialnie usadził Raję na sankach.

– Jedźmy już, matko – powiedział. – Późno się robi.

\*\*\*

*Pójdziesz z nią?*

Miro nie mógł spać. Siedział na skórze, przed paleniskiem. Wpatrywał się w dogasający żar. Pomimo późnej pory nie był nawet senny.

*Pójdziesz?*

Słowa zielarki odbijały się echem w jego głowie. Kusił wędrownką, walką, nieznanym. Kusił jak piękna kobieta, której ulega się, nie zważając na nic. Jeszcze rok temu Miro nawet nie zastanawiałby się nad odpowiedzią. Wstałby i poszedł, choćby nawet jutro. Choćby nawet teraz.

*Będą ją gonić. Sama nie przeżyje. Pójdziesz z nią?*

Doskonale wiedział, co czai się za tym pytaniem. Czy zabijesz? Czy dasz się zabić? Czy podpalisz kolejny dom? Czy odmówisz prośbie o życie? Wyrwiesz miecz z kolejnej martwej dłoni? Przed jego oczami przepłynęła fala rozłupanych czaszek, odrąbanych rąk, wypływających jelit, białych ust wykrzywionych w agonii. Rozgoryczony uśmiech wpłynął na usta mężczyzny. Przecież od tego uciekał. Dlatego tu wrócił. Ten dom, ta wioska, to miało być jego odkupienie. Jego ojcowizna. To tu miał udowodnić, że potrafi coś więcej niż tylko zabijać. Ale bogowie i tu go znaleźli. Odebrali mu już druhów, odebrali ojca, siostrę, brata. Odebrali mu matkę. Tu, w tej wiosce, odebrali mu nawet sny, wypełniając każdą noc krwawą jatką wspomnień.

*Pójdziesz, Miro?*

Wielka dziura w piersi. Jego ojciec też ją miał. Miro pamiętał jego martwe ciało, rozkrzyżowane ręce. Grymas cierpienia zastygły na twarzy. I wielką dziurę w

piersiach. Zabawne, też chciał ją jakoś zatkać. Przyłożył dłoń do zimnej piersi, delikatnie nacisnął. Spomiędzy palców wypełzły mu robaki.

*Nie może tu zostać na zawsze.*

Brata i siostry nigdy nie znalazł, choć szukał miesiącami. Wrócił do matki zbyt późno. Ludzie mówili, że umarła z żalu. Że siedziała na stołku, wyglądając powrotu ukochanych. Każdego dnia. W deszczu. W słońcu. Kiedy umarła, rozsypali jej prochy na polach.

*Pójdiesz z nią?*

Miro wyciągnął zza pasa nóż. W zamyśleniu bawił się błyszczącym ostrzem. Patrzył na śpiącą dziewczynę. Zastanawiał się, jak można przeżyć to, co ona przeżyła. Jak można przeżyć to, co przeżył on. Samotność. Pustkę. Poczucie winy. Gniew. Otepienie. Sny płynące krwią, pełzające robakami, gorzejące pozogą.

Z wściekłością zacisnął dłoń na rękojeści noża. Napięte mięśnie na jego przedramieniu drżały. *Jak można to przeżyć?* – pytanie odbijało się echem po jego myślach. Samotna łza popłynęła po policzku i rozbiła się na napiętej skórze dłoni. Ostrze noża drżało, gotowe do ciosu.

Miro usłyszał ciche kroki wilka i chwilę potem poczuł zimny, wilgotny nos, dotykający jego pochylonej twarzy. Mimowolnie uśmiechnął się do burego pyska.

– Tak, Skra... Pan się znowu bawi nożem.

Podniósł się i schował nóż za pas. Skra uważnie go obserwował. Przechylił głowę na bok, jakby zdziwiony.

– Wiem, chłopie, wiem... To tylko głupie myśli...

Męższczyzna otworzył drzwi i odetchnął głęboko zimowym powietrzem. Na wschodzie niebo już się trochę przejaśniało. W powietrzu, choć zimnym i pachnącym śniegiem, dało się wyczuć nieśmiały smak wiosny. Woń żywicy, tającej ziemi i powracających z południa ptaków. Niespokojny, kuszący nieznanym, burzący krew w żyłach zapach wiosny.

Miro zaciągnął się zimnym powietrzem. Pomimo bezsennej nocy czuł się rześko, jakby dopiero co obudził się z długiego snu. Spojrzał ku rozgwieżdżonemu niebu. Ku ciemnej linii lasu i pokrytej krą rzece. Skrzywił się do własnych myśli.

– Ty się nigdy, chłopie, nie nauczysz... – powiedział sobie z wyrzutem.

Pokręcił głową, nie dowierzając własnej głupocie. Wiedział już, że bez względu na wszystko i tak pójdzie z Sają. Nie dlatego, że mała jest jeszcze dzieckiem, że taka dzielna, że ją będą gonić i sama sobie nie poradzi. Pójdzie, bo idzie wiosna i powietrze pachnie tak, że w domu i tak by nie usiedział.

---

<sup>14</sup> Kamień – jednostka wagi, ok 13 kg.

<sup>15</sup> Trybald – stolica Lobardii.

# ROZDZIAŁ 4

*Płacze licho po lesie, woda jego płacz niesie,  
Matki swojej w noc woła, czy odnaleźć ją zdoła?  
Skryj się, nim cię obaczy i pazurem uraczy.*

Dziecięca wyliczanka

Dni robiły się dłuższe i cieplejsze, pierwsze wiosenne kwiaty rozkwitły już na dobre, a lód na rzece zaczął trzaskać. Zbliżała się wiosna. Nadchodziły Darne Gody.

Darne Gody były wiosennym świętem obchodzonym w całym Daborze ku czci Dariego, boskiego syna Jara-Kowala i Żywii-Matki. Dari był bardzo niesfornym dzieckiem. Pełen energii, zawsze skory do psot, siał nieopisany zamęt w Kuźni. Pewnego dnia ukradł jajka łabędzi, ukochanych ptaków Żywii. Śnieżnobiałe ptaki były zrozpaczone, kiedy odkryły, że ich gniazdo jest puste. Płakały z żalości tak długo i tak głośno, że straciły głos. Żywia, która uwielbiała słuchać pięknych śpiewów łabędzi, była niepokieszona. Nie potrafiąc gniewać się na ukochanego syna, zrobiła awanturę mężowi. Obwiniała Boskiego Kowala o to, że nie dopilnował niesfornego potomka. Zwykle opanowany Jar wściekł się niepomieranie, słysząc oskarżenia żony. W napadzie szału wyrzucił syna z Kuźni. Kiedy Dari wylatywał przez bramy siedziby bogów, nieco żaru z Kuźni uciekło na ziemię, prowadząc wiosenne roztopy. Samotny, błakający się pomiędzy ludźmi potomek bogów bardzo płakał z tęsknoty za matką. Jego łzy przynosiły na ziemię wiosenne deszcze. Chcąc ułagodzić Żywię i skłonić ją do wyjścia z Kuźni, Dari dekorował świat łukami tęczy i wielokolorowymi kobiercami wiosennych kwiatów. Czekaając na matkę, dla rozrywki budził zwierzęta z zimowego snu, łamał krę na rzekach, strącał śnieg z dachów albo śpiewał razem z wiosennym ptactwem.

Podczas Darnych Godów ludzie próbowali zjednać sobie Dariego i przekonać go, żeby został wraz z wiosną na ziemi i nie próbował wracać do Kuźni. Uroczystości zaczynały się rankiem, kiedy wszyscy dorośli mężczyźni kapali się w żywej wodzie – lodowatej wodzie zaczerpniętej prosto z przerębla. Mężowie byli obserwowani i wyśmiewani w niewybredny sposób przez kobiety i dzieci. Ludzie chcieli w ten sposób nie tylko rozśmieszyć Dariego, ale również pokazać mu, że

zaden mąż na ziemi nie wybucha gniewem, nawet w obliczu najgorszych szyderstw i kpin.

Przez cały dzień robiono sobie najgłupsze dowcipy. W zasadzie dozwolone było wszystko, co nie skutkowało śmiercią lub okaleczeniem: polewanie wodą, rzucanie zasuszonymi żabami czy jaszczurkami, wrzucanie ziół na przeczyszczenie do strawy czy wiązanie butów śpiącym. Powszechnie wierzono, że Dari może przybrać postać każdego dziecka. Dlatego też tego dnia pozwalano dzieciom robić wszystko, czego tylko zapragnęły. W dniu Darnych Godów nie raz widziało się roślących mężów przyodzianych w długie suknie i z włosami zaplecionymi w wymyślne warkocze. Czasem mężowie ci, na życzenie zachwyconych córek, tańczyli w kółeczku śpiewając skoczne piosenki. Aby pilnować domostw i zwierząt przed hordami roześmianych, bosych malców, dorośli przez cały dzień nie wykonywali żadnych prac poza niezbędnymi. Zwyczajowo również dawano dzieciom prezenty. Na zakończenie dnia wszystkie pociechy powyżej trzeciego roku życia zbierały się w kuźni, z której następnie były uroczyście wyganiane przez kowala. Po tym symbolicznym wygnaniu, w czasie wieczornej uczyty, najmłodszym dzieciom nadawano imiona.

W ramach przygotowań do Darnych Godów Miro postanowił zabrać się w końcu do rozpalenia ognia w opuszczonej od miesiący kuźni. Stał teraz w progu przybytku swojego ojca, spoglądając na równo powieszona narzędzia i wielkie kowadło, stojące obok wygaszonego paleniska. Od czasu powrotu do Szubinek mężczyzna wielokrotnie już zbierał się na odwagę, aby przekroczyć próg kuźni. Pod ciężarem oczekiwań nieżyjącego ojca czuł się odpowiedzialny za los ojcowizny i Szubinek. Doskonale wiedział, jak ważna dla wioski jest działająca kuźnia. Wśród mieszkańców osady żywe jeszcze były opowieści o tym, jak upadające Szubinki rozkwitły w ciągu zaledwie kilku lat po przybyciu Gorana w te okolice. Żyzne pola uprawiane porządnymi, żelaznymi narzędziami przynosiły większe plony. Głód na przednówku stał się wspomnieniem przeszłości, a mieszkańcy wioski zaczęli nawet sprzedawać nadwyżki zboża. Wkrótce po kowalu do Szubinek sprowadził się młynarz i porządny szkutnik. Ojciec Mira często śmiał się, że jeszcze trochę i trzeba będzie w osadzie otworzyć siedzibę cechów.

Od śmierci Gorana minął już prawie rok i Szubinki boleśnie odczuwały nieobecność kowala. Mieszkańcy wioski desperacko potrzebowali narzędzi i napraw przeróżnych żelaznych przedmiotów. Jeszcze bardziej potrzebowali kowala – kapłana boskiego Jara, przynoszącego błogosławieństwo ogniewi, krzepę mężczyznom i płodność zwierzętom, dającego plonom siłę, aby rosnąć, przetrwać burze, suszę czy wiosenne przymrozki. Nadchodziły Darne Gody, a Szubinki nie

miały kowala, który otworzyłby kuźnię i sprowadził wiosnę. Wyglądało na to, że w tym roku to radosne zwykle święto będzie zaprawdę bardzo smutne.

Miro był zdeterminowany, aby pomóc mieszkańcom Szubinek. Przymknął oczy, wziął głęboki oddech i wszedł do warsztatu ojca. Przez chwilę stał w napięciu, podświadomie czekając na grom rozgniewanego boga. Powszechnie wiadomo było, że z nielicznymi wyjątkami do kuźni wstęp miał wyłącznie mistrz młota i kowadła. Miro, choć był synem kowala, nigdy nie miał ani talentu, ani zapału do tego rzemiosła. Kiedy był jeszcze ledwo co wyrosniętym chłopcem, ojciec wielokrotnie próbował go nauczyć sztuki kształtowania żelaza. Jednak po miesiącach wysiłków zmordowany i zniechęcony Miro z trudem radził sobie nawet z najprostszymi zadaniami. *Taki ze mnie kowal jak ze Skry wilk* – pomyślał mężczyzna z gorzkim grymasem na ogorzalej twarzy.

Nieco ośmielony brakiem Jarowego pioruna wolnym krokiem podszedł do wieszaków z narzędziami. Delikatnie, zaledwie muskając zimną stal palcami, przesunął dłonią po kolekcji kleszczy, przebijaków, pilników, punc i młotków. Uśmiechnął się smutno, przypominając sobie własne, nieudolne próby używania tych narzędzi. *Bogowie* – pomyślał z goryczą – *to Wilen powinien tu stać, nie ja...*

Wilen, młodszy syn Gorana, odziedziczył wielki talent ojca. Kiedy Miro wyruszał na wojaczkę, zaledwie dwunastoletni Wilen potrafił już kuć drobniejsze żelazne przedmioty, jak nożyki czy zapinki, niemal tak dobrze jak Goran. Ojciec, niezwykle dumny z talentu syna, spędzał z Wilenem niemal każdą chwilę, ucząc go tajników kowalstwa. Zielarka Raja, która przychodziła czasem do kuźni, często znajdowała młodego Mira przykucniętego gdzieś w progu, obserwującego ojca i brata. *Powinieneś być dumny, Mironie* – mawiała. – *To dar od bogów, taki kowal. Jak chleb, jak sól...* Miro zawsze grzecznie odpowiadał, że i owszem, dumny jest. Ale zazdrościł Wilenowi tego czasu spędzanego z ojcem, tej niewidzialnej nici, która łączyła ich wokół kowadła i paleniska.

Miro doskonale pamiętał dzień, kiedy z plecakiem wypchanym prowiantem wyruszał do Zatonia, do Drużyny. Zapłakana matka przytulała go, błagając bogów, by chronili syna. Ojciec poklepał go tylko po ramieniu, by chwilę potem, nie podnosząc nawet wzroku, oddać się pracy przy kowadle. Rozgoryczony Miro spojrział na swoje pokryte bliznami ręce. *Solą tej ziemi byli...* *A ja co? Pożoga...* W bezsilnej złości uderzył zaciśniętą pięścią w kowadło.

Zimna, wygaszona kuźnia wyglądała nienaturalnie. Wyglądała martwo. Powinno być tu gorąco. Powietrze powinno wibrować od uderzeń młota. Przy kowadle powinien stać Goran. W skórzanym fartuchu, w skupieniu, niestrudzenie kształtować metal. Silne, żylaste, pokryte oparzeniami ojcowskie ramiona powinny

unosić ciężki młot. A nie, jak w wyrytym w pamięci Mira obrazie, leżeć rozrzucone bezwładnie na stosie trupów. Szeroka, silna pierś ojca powinna unosić się w rytmicznym oddechu. A nie, jak w wizjach ze wspomnień, ziać wypełnioną robakami raną.

Uderzony falą wspomnień Miro zatoczył się i upadł na kolana. Wsparty o kowadło zastanawiał się po raz tysięczny, co, na bogów, mogło wyrwać tak wielką dziurę w piersiach potężnego kowala. Ponownie spojrzął na narzędzia, podświadomie próbując dopasować ich kształt do zastygłego w pamięci obrazu. *Kto ci to zrobił, ojczcze? Kto, na bogów, ośmielił się podnieść na ciebie rękę?!*

W Daborze zawód kowala był niezwykle poważany. Dzierżący młot i kowadło uważani byli za wybrańców bogów. Trzeba było szaleńca, żeby podnieść rękę na kowala. Powszechnie wierzono, że sprowadzało to gniew Jara i skazywało sprawcę oraz wszystkich jego przodków i potomków na wieczne wygnanie z Kuźni. Miro wiedział, że podobną estymą cieszyli się mistrzowie młota w Cesarstwie i na Rudzi. Nie mógł sobie wyobrazić, kto mógłby ośmielić się zadać tak okrutne rany jego ojcu.

Odgłos kroków na śniegu wyrwał go z zamyślenia. Od czasu swojego powrotu do Szubinek Miro nie miał wielu gości. Aby ograniczyć ryzyko pożaru, kuźnia stała w pewnej odległości od głównych zabudowań wioski. Nikomu nie zdarzało się po prostu przechodzić obok. Nieco zaniepokojony zbliżającymi się szybko krokami, mężczyzna odruchowo spojrzął na Skrę. Wilk leniwie wygrzewał się we wczesnowiosennym słońcu. Leżał na grzbiecie przed drzwiami kuźni. Z ciałem wygiętym w przedziwny sposób i wszystkimi czterema łapami dyndającymi w powietrzu, Skra wyglądał jak słodki szczeniaczek. Wyrwany z drzemki wilk otworzył jedno oko i spojrzął w stronę zbliżającej się postaci. Nie okazując zaniepokojenia, ziewnął szeroko, pokazując białe, ostre zęby. Uspokojony Miro wyszedł na próg. Przysłonił oczy przed jasnym wiosennym słońcem, wyglądając gościa. *Zelik* – pomyślał, rozpoznając kręłą postać zbliżającego się mężczyzny. *Zelik* był jedynym synem młynarza i bardzo przyjaźnił się z Wilenem, młodszym bratem Mira. *Pewnie wystali go z wioski, żeby pytać, czy kuźnia już na Gody gotowa.*

– Pochwaleni! – odezwał się z uśmiechem *Zelik*. – Co tam? Widzę, robota wre?

– Pochwaleni! – odpowiedział Miro, krzywiąc się na uszczypliwy komentarz. – Wre, że hej...

– Nie dziwota, że siły nie masz, chłopie – odparł *Zelik*. – Żeś był chorobą złożony tyle czasu, każdy by niedomagał.

Miro przez dobrą chwilę patrzył na syna młynarza, zastanawiając się, o czym też ten niespodziewany gość opowiada. Zajęło mu moment, zanim przypomniał sobie



o ciężkiej chorobie, której jakoby doświadczył.

– Ale widzę, że Raja się tobą porządnie zajmowała – kontynuował Zelik, nie zauważając skonfundowania rozmówcy. – Nawet dobrze wyglądasz, tylko trochę schudłeś.

*Moje zapasy zżera wiecznie nienasycona dziewucha. To i, parchy, chudnę* – pomyślał Miro z przekąsem, po czym, już na głos, odpowiedział:

– Ano, Raja przednia zielarka przecież. Jakby nie jej driakwie, to bym pewnie wykaszlał płuca.

– I bogom dziękować! – przytaknął Zelik, po czym podjął, widocznie zakłopotany: – Tak zachodzę sprawdzić, czy pomocy jakiejś nie potrzebujesz w obejściu. No i też zapytać, czy kuźnia rozpalona na czas będzie? Toż to ledwie trzy dni do Godów...

*No i masz...* – Miro zaklął w myślach. – *Co ja mu mam powiedzieć? Że nie potrafię? Syn kowala, parchy, kuć nie potrafi... Żeby tu choć Wilen był, a nie, parchy, ja... Co ja im, psia mać, mogę dać?...*

– Tobie też pewnie niełatwo – odezwał się Zelik, zakłopotany milczeniem rozmówcy. – Jak to radować się na Gody, kiedy cała rodzina już na polach Nawii odpoczywa...

Miro spojrział na młynarskiego syna z wściekłością. Przez chwilę korciło go, żeby po prostu zawołać Skrę i iść na łowy. Nie widział sensu w tej rozmowie. Wiedział, że nie może tej wiosce pomóc i nie rozumiał, czego ci ludzie od niego oczekują. *Że się, osrane parchy, kuć w pół tygodnia nauczę?! Skra, jakby wyczuwając podły nastrój pana, przewrócił się z grzbietu na brzuch. Podniósł głowę, zastrzygł uszami i pytająco warknął.*

– Pomyślałem więc... – Zelik jękał się pod przeszywającym, wściekłym spojrzeniem Mira – że może odwiedzę... bo... tego... Wilen to czasem... jak Goran w podróży był, znaczy się... Wilen czasem mi trochę pokazywał... tego... no...

– Wilen cię uczył? – zapytał ze szczerym zdziwieniem Miro, zapominając nagle o łowach. – Uczył cię w kuźni?

– A, no uczył trochę. – Zelik rozluźnił się odrobinę widząc, że Skra zaczyna znów leniwie machać ogonem. – Nawet mówił, że smykałkę do tego mam. I też to porządna robota, nie takie byle co, jak w młynie.

Miro uśmiechnął się szeroko i serdecznie objął krępego młynarczyka ramieniem. Właśnie wpadł mu do głowy wspaniały pomysł.

– No to, chłopie, czemu tak od razu nie mówisz? – stwierdził jowialnie, popychając Zelika w stronę kuźni.

Saja leżała na posłaniu ze skór i stukała się w czoło kolanami. Nie było to specjalnie przyjemne uczucie, ale dziewczyna była tak wynudzona, że na dobrą sprawę było jej wszystko jedno. Jej ciało, zupełnie już zdrowe i dużo lepiej odżywione, domagało się ruchu. Rozpierała ją energia, miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie. Wydawało jej się, że od czasu przeprowadzki do domu zielarki minęły wieki. Robiła, co mogła, żeby wypełnić samotne dni, które spędzała w małej chatce. Przejęła wspomnienia kilkunastu przodkiń i korzystając z ich pomocy nauczyła się mówić w mowie Żeglarzy oraz w kilku dialektach hemarskich i rudzkich. Nauczyła się, a raczej przypomniała sobie nazwy wszystkich ziół w domu Rai. Nauczyła się wykonywać perfekcyjnie wszystkie, nie wymagające dużej przestrzeni, formy walki wręcz. Nauczyła się stać na głowie, rękach i palcu dużej stopy. Nauczyła się tańca brzucha. Wreszcie, niemal umierając z nudów, nauczyła się gotować. Denerwowało ją, że tak łatwo przychodzi jej opanowanie tych wszystkich umiejętności. Gdyby było trudniej, gdyby zajmowało to więcej czasu, przynajmniej teraz nie nudziłaby się tak straszliwie.

– *Mamo! Nudzę się!* – pomyślała po raz chyba pięćdziesiąty tego ranka.

– *Wiem, skarbie...* – odpowiedział głos matki. – *Ale co ja ci na to poradzę?*

– *Żeby przynajmniej Miro przyszedł... albo Skra...*

– *Kochanie, wiesz przecież, że Miro ma obowiązki. A jak ludzie zaczną go widywać bez Skry, od razu zaczną wypytywać.*

– *Ale ja się nudzę, mamo!*

– *Wytrzymaj jeszcze trochę, Raja na pewno niedługo wróci.*

*Gdzie ona w ogóle poszła o tej porze?* – zastanawiała się Saja. Zielarka zwykle wstawiała wcześniej, ale dziś musiała chyba wyjść jeszcze przed świtem.

– *Pewnie trzeba jej było dopilnować czegoś na Darne Gody. Wiesz przecież, ile wioskowa zielarka ma obowiązków* – cierpliwie odpowiedział głos matki.

– *Darne Gody!* – wykrzyknęła radośnie Saja, podrywając się z posłania. – *Dziś są Darne Gody?!*

– *Saja, uspokój się! Jeszcze cię ktoś usłyszy!*

Dziewczyna, ignorując nakazy matki, zaczęła tańczyć dookoła izby, klaszcząc w ręce i wyśpiewując:

– *Dziś są Darne Gody! Lalalalala! Będę miała prezent! I życzenie! Lalalalala!*

– *Saja! Ani się waż! Saja!*

Dziewczyna bezceremonialnie wyrzuciła matkę z głowy. Miała już dość tej izby, tych skór i tego wiecznie płonącego paleniska. Rzuciła się przetrząsać skrzynie w poszukiwaniu ubrania i broni. Miała plan.

\*\*\*

– Dziś są Darne Gody!

Raja zamarła na progu chaty, zaskoczona oskarżycielskim tonem dziewczyny.

– Pochwaleni i tobie, córuniu – powiedziała w końcu, zamykając drzwi. – Widzę, żeś już wstała i gotowaś do wyjścia? – dodała z przekąsem.

– A żebyście wiedzieli, matko! – Saja, zbyt podekscytowana, by przejmować się dobrymi manierami, wzięła się pod boki i zaczęła przytupywać na klepisku w rytm ułożonej na poczekaniu pieśni. – Dziś są Darne Gody! Lalalalala! I ja chcę wyjść na dwór, a ty mi nie możesz odmówić! Lalalalala!

– Widzę, że z beczynności już nie tylko rozum, ale i dobre maniere ci odjęło – stwierdziła nieporuszona zielarka, stawiając na klepisku kosz wypełniony jakimiś płótnami.

– Każdemu by odjęło, matko... – przeproszającym tonem odparła dziewczyna. – A co to jest? – Z zainteresowaniem zajrzała do kosza i zaczęła wyciągać postrzępione i porwane na brzegach, dobrze już znoszone zielonkawe lniane suknie.

– A to jest, córuchno, twoje ubranie na dzisiaj – odpowiedziała Raja z tajemniczym uśmiechem. – No już, wskakuj w te szmatki szybko, bo jeszcze trzeba ci włosy przystroić.

Saja spojrzała na starszą kobietę otwartymi szeroko ze zdziwienia oczami.

– No co się tak gapisz? – ponagliła dziewczynę zielarka. – Jak rusałka masz wyglądać. Przecież jak ktoś cię zobaczy bez przebrania, to od razu się będzie zastanawiał, skąd takie chude się do lasu przyplątało. A jak ludziska zobaczą rusałkę, to nic, tylko uciekać będą.

– Aaaaa! – Saja podskoczyła radośnie i klasnęła w dłonie. – Naprawdę?! Pójdziemy do lasu?! Naprawdę?!

– Ty pójdiesz, bo ja zaraz do wioski muszę wracać – odpowiedziała Raja, opędzając się od uścisków dziewczyny. – No już, przestańże, bo mi stare kości połamiesz. Wskakuj w te szmatki i idziemy. Ludziska wszystkie w wiosce siedzą, to przynajmniej do południa masz czas, żeby kości rozprostować. Tylko z rozwą, córuchno, jak cię matka uczyła. Nóż weź albo lepiej dwa, zwierząt unikaj, na drzewa się nie wspinaj za wysoko, do rzeki nie wchodź, bo jeszcze cię

jakiś wodnik dorwie. Pamiętasz, jak ci las rysowałam? Zostawię cię przy starym uroczysku, ludziska tam nie chodzą. Jak słońce będzie wysoko na dwa palce, to się przy dębie spotkamy.

Saja aż trzęsła się z radości. Ubrała się tak szybko, jak tylko potrafiła. *Mamo! Mamo! Słyszalas? Wychodzę stąd! Bogowie, w końcu stąd wychodzę!* – przywoływała matkę.

– *Słyszałam* – odparła Lida. – *Jeszcze raz mnie tak wykopiesz z głowy i się naprawdę zdenerwuję. W dupę ci przylać nie mogę, ale to nie znaczy, że można mnie tak traktować bez szacunku.*

– *Przepraszam...* – pomyślała niespecjalnie skruszona Saja. – *Ale zaraz byś mi mówiła, że Gody, nie Gody, i tak nie mogę wyjść. A tu, zobacz, Raja pomyślała o wszystkim!*

– Siadaj, dziewczyno, siadaj – ponaglała zielarka. – Jeszcze ci włosy trzeba przybrać.

Nabrała jakiejś zielonej mazi z garnuszka i niecierpliwie wskazała dziewczynie stołek.

– Już siadam, matko! – Saja mocowała się z grubym skórzanym pasem. – Jeszcze tylko to przypnę.

– A na co ci to? – zdziwiła się zielarka. – Toż to większe od ciebie!

– A to zrobiłam sama! – dumnie odparła Saja. – Io.... Znaczy się, ojciec mnie nauczył. To do wspinania na drzewa i do walki trochę też.

– Do walki? – kpiła Raja, zabierając się za wplatanie liści w długi warkocz dziewczyny. – A ty dasz chociaż radę w tym chodzić?! Ale nic to! Mówią, że rusałki ani mądre, ani piękne nie są, to i nikt się dziwować pewnie nie będzie!

– A to matka widziała kiedyś taką rusałkę? – Saja, zbyt podekscytowana, aby przejmować się złośliwymi zaczepkami, zignorowała kpiny. – To może ja lepiej zostanę z daleka od uroczyska?

– Rusałek to już dawnośmy w tych stronach nie widzieli – uspokajającym głosem odparła Raja. – I nikt ci przecież na uroczysko nie każe wchodzić! Tylko trzymaj się blisko, bo tam ludzie prawie wcale nie łążą.

Zielarka wytarła dłonie kawałkiem szmatki i zaczęła gmerać w kącie izby. Po chwili wyciągnęła z kąta mały parciany worek, podała go Sai i powiedziała:

– Weź jeszcze trochę prowiantu na drogę. Pewnie dobrze zgłodniejesz, zanim cię z powrotem do chaty zaciągnę!

– Dziękuję, matko! – Dziewczyna grzecznie się ukloniła i zarzuciła całkiem ciężką sakwę na ramię. – To już na rusałkę wyglądam? Możemy iść?

– Ależ ty niecierpliwa jesteś, córuchno!

Zielarka kciukiem nakreśliła na czole Sai święty znak koła.

– Idź z bogami, dziecko – powiedziała. – Jeszcze tylko wyjrzę, czy na drodze nikogo nie ma.

\*\*\*

Saja siedziała na gałęzi ogromnego dębu, machała nogami i leniwie obgryzała jabłko. Po prawie całym dniu biegania, skakania i wspinania się po drzewach jej mięśnie pulsowały przyjemnym zmęczeniem. Płuca wypełniały się czystym, pachnącym wiosną powietrzem. Oczy patrzyły na chmury, powoli przesuwane się po błękitnym niebie.

– *Nie ma mowy* – pomyślała. – *Nie ruszam się stąd, choćby nie wiem co. Nie wracam do tej zadymionej chaty.*

Podświadomie oczekiwała jakiegoś komentarza od matki czy ciotek, lecz w jej głowie panowała cisza. Przodkinie były dzisiaj zadziwiająco milczące. *Muszę być dla nich trochę miłsza* – pomyślała ze skrucą dziewczyna. – *Też by mi się pewnie nie podobało, gdyby mnie ktoś tak w kółko uciszał i wyrzucał za drzwi.* Wzięła szeroki zamach i odrzuciła ogryzek najdalej, jak potrafiła. Z westchnieniem oparła się plecami o pień drzewa. Pogrzebała w pustej już sakwie, w nadziei, że znajdzie jeszcze coś do jedzenia. Na samym dnie worka poczuła pod palcami coś zimnego. Zaintrygowana, wyciągnęła okrągły, pokryty okruciami podpłomyków przedmiot. *Pierścionek! Kto by pomyślał, że Raja nosi pierścionki?* Obrączka była mała i zmyślnie wykonana na kształt oplatających się pędów roślin. Wydawało się, że kiedyś pierścionek miał cztery malutkie oczka. Teraz pozostały tylko cztery puste okucia, ukryte pomiędzy delikatnymi metalowymi listkami. *Lepiej założę to na palec* – zdecydowała. – *Jeszcze się zgubi w tym worku.*

Zerkając co chwilę na nową ozdobę, Saja ułożyła się wygodnie na gałęzi drzewa. Leciutki wietrzyk delikatnie poruszał zielonkawe kosmyki jej włosów. Cień olbrzymiego dębu wyraźnie się wydłużył. Jego wyciągnięty niczym szpony ciemny kształt niemal dotykał już granicy mokradła. Nad uroczyskiem, błyskającym kałużami i plackami topniejącego śniegu, zaczęła zbierać się mgła. Wody rzeki błyskały w oddali. *Raja powinna już niedługo przyjść...* – pomyślała smutno dziewczyna. Naprawdę nie chciała wracać do chaty zielarki. Przyglądała się wiosennemu krajobrazowi. Starła się zapamiętać każdy szczegół. Nie sądziła, że Raja będzie pozwalała jej wychodzić z domu zbyt często. Po powrocie do ciasnej izby chciała mieć przynajmniej jedno wspomnienie z pobytu na wolności. Dziewczyna nieraz już zastanawiała się, jak długo jeszcze będzie zmuszona do

przebywania w chatce zielarki. Matka i ciotki zdawały się nie mieć żadnego konkretnego planu. W ciągu niemal półtora miesiąca Saja nauczyła się ufać przodkiniom i polegać na ich decyzjach. *Może jednak sama muszę zacząć coś planować?* – zastanawiała się. – *W takim tempie do przyszłego roku nie wyrwę się z tych Szubinek...*

Opar nad moczarami robił się coraz gęstszy. *Dziwna jakaś ta mgła* – pomyślała, przyglądając się uroczysku z zaciekawieniem. Nagle gdzieś od strony lasu usłyszała stłumiony tętent kopyt. Poderwała się, zaniepokojona. Przechyliła głowę, przysłuchując się uważnie. *Konie! Bogowie, to konie!* Niemal zapomniane już wspomnienia ucieczki przez las zawirowały w głowie dziewczyny i na chwilę ogarnęło ją czyste przerażenie. *Mamo! Ioni! Znaleźli mnie!* – desperacko nawoływała w myślach. Usłyszała jednak tylko ciszę i coraz głośniejszy odgłos kopyt. *Uspokój się! Oddychaj!* – nakazała sobie dziewczyna. *Muszę się schować. Na tej gałęzi to i ślepy by mnie zobaczył...* – pomyślała. Wiedziała, że musi znaleźć schronienie. Nie wiedziała tylko, jak i gdzie. *Ioni! Na litość bogów, Ioni, gdzie jesteś?!* Odpowiedziała jej cisza.

– Parchy, nęcia mać! – zakłęta pod nosem.

Pomyślała o Mirze i Skrze. Od razu zrobiło jej się raźniej. Jak uczyły ją przodkinie, wzięła kilka głębokich, spokojnych oddechów, po czym już dużo przytomniej rozejrzała się dookoła. Ponad lasem ujrzała kilkanaście ptaków zrywających się z drzew. *Nie są daleko...* – pomyślała ze złością raczej niż z przerażeniem. – *Do lasu nie ucieknę...* Chwyciła pusty worek i przewiązała go w talii. Spojrzała w stronę mokradeł, gdzie tuż na granicy uroczyska stał wysoki, rozłożysty i, co najważniejsze, pokrywający się już liśćmi wiąz. Kiwnęła głową, zadowolona. *Tam dam radę się ukryć* – pomyślała, sięgając po ciężki skórzany pas.

Ze zwinnością akrobatki Saja zsunęła się z dębu i pędem pognała w stronę starego wiazu. Nie miała czasu, żeby zatrzeć za sobą ślady, więc pozostawało jej tylko modlić się, by konie zdeptały odciski stóp, zanim jeźdźcy zdołają je dostrzec. W biegu zamachnęła się rozłożonym skórzany pasem, który owinał się wokół najniższej gałęzi wiazu. Płynnie, niemal nie gubiąc kroku, wspięła się na drzewo i schowała w liściach. Właśnie wciskała się w wąskie rozgałęzienie przy pniu, kiedy usłyszała wyraźne już odgłosy kopyt i męskie głosy. Ostrożnie wyglądając przez liście, spojrzała w stronę lasu. Sześciu jeźdźców właśnie zatrzymywało się przy olbrzymim dębie. Siódmy, podążając w ich ślady, wyjeżdżał z pomiędzy drzew. Wszyscy nosili bure ubrania bez żadnych ozdób. Fachowym okiem córki handlarza koni Saja szybko oceniła zwierzęta. *Akurat!* – pomyślała. –

*Tacy z was wieśniacy jak ze mnie cesarzowa. Za całe Szubinki jednego takiego konia nie kupisz.*

– Jest?! – wyraźnie usłyszała głośnie pytanie siódmego jeźdźca.

– Nie ma, panie! – odpowiedział niski, donośny głos spod dębu. – Stara mówiła, że ma tu być...

*Stara mówiła?... Stara mówiła?...* – Saja, nagle zlaną zimnym potem, próbowała zrozumieć znaczenie słów mężczyzny. Nikt poza zielarką nie wiedział, że miała tutaj być. *Spokojnie* – powiedziała sobie. – *Raja by mnie nie zdradziła. Może ją torturowali?* Po chwili, wraz ze zrozumieniem, gorzki uśmiech wypłynął na twarz Sai. *Głupia... Nikt nie torturuje zielarek. Wydała mnie. Raja mnie wydała...*

– Panie, tu są jakieś ślady! – Krzyk jednego z mężczyzn przedarł się przez zasłonę oszołomienia.

Dziewczyna zacisnęła zęby. Szybko otrząsnęła się z odrętwienia wywołanego zdradą zielarki. Ścisnęła pas w dłoni i zwinnie przeskoczyła po gałęziach na drugą stronę drzewa. *Zostało tylko uroczysko* – pomyślała z zimną determinacją. Niemal bezszelestnie zsunęła się na ziemię. *Muszę uciec* – powtarzała sobie. – *Muszę przeżyć. Zaczęła biec.* Chwilę potem rozległy się pierwsze kroki ruszających do galopu koni.

– Tam jest! Mamy ją! – usłyszała nawoływania goniących ją mężów.

Biegła przez moczary, niemal nie dotykając ziemi. Jej stopy instynktownie znajdowały twarde podłoże. W gasnącym świetle dnia gęsta mgła wydawała się zapraszająco wyciągać ku niej ręce. Wciąż słyszała krzyki prześladowców, ale nie dobiegały jej już odgłosy końskich kopyt. *Pewnie czekają, aż się utopię* – przemknęło Sai przez myśl. Jej stopy coraz częściej rozpryskiwały lodowatą wodę. *Pewnie mają rację...* W gęstych, białych oparach nie widziała już ziemi i swoich własnych nóg. Mgła oplatała ją miękkim kokonem. Przez chwilę wydawało jej się, że słyszy radosne, dziewczęce chichoty. Potrząsnęła głową, by rozjaśnić otępiałe zmysły. Stłumione męskie głosy zdawały się dochodzić z przodu zamiast zza pleców. *Mamo!* – wysłała błagalną myśl, rozglądając się bezradnie, widząc tylko mgłę. – *Mamusiu! Proszę!* Odpowiedziała jej cisza.

– Śliczna... – usłyszała szept gdzieś z boku.

– Śliczna dziewczynka... – odezwał się następny głos, z drugiej strony.

Przerażona Saja obracała się dookoła, szukając przeciwników. W dłoni ścisnęła nabity gwoździemi pas. Nie dostrzegła nic prócz falowania białej mgły.

– Kto tam? Pokaż się! – krzyknęła w mgłę.

Odpowiedział jej zimny chichot i jeszcze więcej szeptów.

– Sama taka... Nie bój się, dziewczynko... – Mglista dłoń pogłaskała jej głowę.

- Śliczna, śliczna panienka! Zaraz będziesz z nami...
- Nikt cię już nie kocha... Zostawili cię... – Lodowate usta pocałowały jej policzki.
- Nieprawda! – krzyczała Saja, opędzając się od mgły. – Nieprawda! Kocha mnie! Mama mnie kocha!
- Zostawili cię... – odpowiadały uparcie szepty.
- Płacz, płacz!
- Pobawisz się z nami?
- Śliczna dziewczynka... Zaraz będziesz z nami...

Saja czuła chłodne dłonie na swoich ramionach. Zimne palce niosły smutek i zrozumienie. *Zostawiła mnie* – szeptały jej własne myśli. – *Mama mnie nie kocha*. Otumaniona, nie wrywała się już. Mgliste dłonie wydawały się jakoś cieplejsze. Dziewczęce szepty bardziej przyjazne. Nikt jej nie kochał. Nikt na tym całym świecie jej nie chciał. Przodkinie milczały. Słodkie szepty mgły kusiły, by się poddać. Dziewczyna stanęła w miejscu. Jej ramiona opadły bezwładnie.

– Zostawili cię... Nikt cię już nie kocha...

– To prawda – wyszeptła Saja.

Opadła na ziemię. Schowała twarz w dłoniach. *To prawda*. Twarze ukochanych przemknęły pod jej powiekami. *Ojciec... Matka... Ioni... Nyss... Odeszli, porzucili mnie... Raja...* Sama myśli o zdradzie zielarki wywołała falę głębokiego bólu. *Przecież odeszłabym... Raja, czemu mnie po prostu nie odeszłaś? Czemu?*

– Śliczna dziewczynka... Zaraz będzie z nami...

– Pobawisz się?...

– Płacz, płacz!...

Saja, zmęczona, zagubiona we mgle, zapłakała. Nie było sensu walczyć. Była zupełnie sama. Nikt jej nie kochał. Zostawili ją. *Bogowie, jestem taka zmęczona...*

Gorąca łza spłynęła pomiędzy palcami i osiadła na liściu metalowego pierścienia. Zagubiona we mgle Saja płakała.

\*\*\*

Podwórko przed kuźnią wypełnione było ludźmi. Wszyscy mieszkańcy Szubinek zebrali się wkoło starannie ułożonego stosu drewna. Napięta cisza przerywana była tylko nerwowymi szeptami.

Nagle zza zamkniętych drzwi kuźni dobiegło rytmiczne stukanie młota. Na twarzach zgromadzonych wkoło ludzi pojawiły się uśmiechy, początkowo nieśmiałe, potem szerokie i radosne. Stukanie młota przyspieszyło.



– Chwała! Chwała! – rozległy się okrzyki zgromadzonego tłumu. – Kowal! Kowal wrócił do Szubinek!

Mieszkańcy wioski radośnie obejmowali się, wiwatowali i kreślili święty znak koła na piersiach.

– Chwała! Chwała!

Nagle stukanie młota zamilkło. Zgromadzeni ludzie zastygli w radosnym oczekiwaniu. Chwilę potem dobiegł ich rozsierdzony ryk i drzwi kuźni otworzyły się z hukiem. Ciepły blask paleniska rozlał się po podwórku.

– Zabierajcie mi się stąd, rozwydrzone bachory! – Dzierżący młot, owinięty fartuchem mężczyzna wrzasnął, aż się ściany zatrzęsły.

Piszczące, przerażone dzieci wybiegły z kuźni. Mały chłopczyk potknął się i zapłakał głośno, wołając mamę. Ogromny, noszący przerażającą maskę kowal złapał malucha za kapotę i lekko postawił na nogi. Mężczyzna pochylił się, wyszeptał coś do ucha chłopca i wcisnął płonąca żagiew w dziecięcą dłoń.

– Mamo! Mamo! Układłem ogień! – z szerokim uśmiechem wyseplenił maluch i triumfującym gestem wznosił żagiew ku niebu.

Podwórko aż zatrzęsło się od radosnych wiwatów i oklasków. Matki podbiegły do dzieci. Przytulały je, szepcząc uspokajające słowa. Tłum zamilkł, obserwując w skupieniu dzierżącego pochodnię chłopca. Maluch, dumny teraz jak paw, podszedł do ułożonego na środku podwórka stosu drewna. Z pomocą równie dumnej mamy rozpałił pierwszy wiosenny ogień.

Drzwi kuźni zamknęły się z trzaskiem. Wybuch radosnej muzyki bębnów i fujarek przerwał ciszę wiosennego popołudnia. Mieszkańcy wioski gromadzili się wokół ognia. Na podwórko przed kuźnią wkroczyła Raja. Wraz z nią zbliżał się kowal, którego twarz wciąż jeszcze ukryta była pod maską.

– Szszsz! Szsz! Matka będzie mówić! – rozległo się wśród zgromadzonych ludzi i po chwili na podwórku raz jeszcze zapanowała cisza.

– Ludziska! – rozpoczęła donośnym głosem Raja. – Wiele było zmartwień ostatnimi czasy! Parszywa wojna nie dość, że plony nam zabrała, to jeszcze i kowala! Wszyscyśmy się martwili, że ten rok jeszcze gorszy będzie!

Potakiwania i pomruki zgody rozległy się pośród zgromadzonego tłumu.

– Ale pobłogosławił nam Dari! – podjęła zielarka. – Kowala nam dał!

Raja wspięła się na palce i zdjęła maskę z twarzy krępego mężczyzny. Spocona, uśmiechnięta twarz Zelika wywołała pomruk zadowolenia pośród tłumu.

– A tu, ludziska – Raja wskazała na tulone w ramionach matek, wciąż jeszcze oszołomione dzieci – pobłogosławił nam Dari! Dziecków nam zdrowych i silnych dał! Chwała!

– Chwała! – rozległ się gromki okrzyk tłumu.

– Zbierzmy się więc, ludziska, i chwalmy bogów! – nawoływała zielarka. – Czas nam ogniki zacząć! Czas nam imiona naszym dzieciom nadać!

Mieszkańcy Szubinek rozstąpili się, by zrobić więcej miejsca wokół ognia. Matki delikatnie stawiały dzieci na ziemi. Zachęcająco popychały przestraszone maluchy w stronę uśmiechniętych przyjaźnie kowala i zielarki. Raja zsunęła zieloną chustkę z głowy. Ciepłe światło ognia i burza siwych włosów nadały jej twarzy łagodny, życzliwy wyraz.

– Posłuchajcie, dzieci, bo co wam powiem, jest prawdą – zaczęła zielarka. – Kiedy rodziście się, Matka i Starucha, nasze boginie, wysłały trzy siostry, które zwą się Rodzanice. Rodzanice zebrały się wokół waszych mam, wyciągnęły gwiazdne krosna i księżycowe nożyce i zaczęły tkąć wasze Dole. Czy wiecie, co to Dola, dzieci?

– To taki duszek, co siedzi w moim brzuszku! – powiedziała odważnie jedna z dziewczynek.

– Doskonale! – Zielarka pochwaliła dzielnego brzdąca. – Każdy ma swoją własną Dolę. Rodzanice tkają jedną dla każdego z nas. Siadają przy rodzącej matce i zaczynają splatać nici. Czasem nić jest gładka i tkanie Doli idzie szybko. Czasem nić się rwie i trzy siostry muszą zaczynać od nowa. Czasem tkają z promieni słońca, czasem ze światła księżyca. Czasem z pajęczych nici, a czasem z deszczu.

– Twoja Dola, synku – tu Raja zwróciła się do jednego z chłopców – utkana była z burzy. A burza to była nie byle jaka. Kiedy się rodziłeś, pioruny uderzały w ziemię jak młot Jara. Błyskawica zapaliła ten stary dąb przy młynie. Twoja Dola więc utkana była też z płomieni. Dlatego twoja matka nazwała cię Żegota.

Zielarka odwróciła się do kowala, który podał jej zawieszony na rzemieniu okrągłe, żelazne krzesiwo. Z krzesiwem w dłoni Raja znów przemówiła do małego chłopca:

– Żegoto, to jest twój własny ognik. Wykuty został w płomieniach uświęconego przez Jara dębu<sup>16</sup>. Dziś zobaczyłeś płomienie Kuźni. Od tej pory sam możesz je krzesać.

– Chwała! Chwała! – wykrzyknęli gromko mieszkańcy Szubinek.

\*\*\*

Ceremonia ogników dopiero co się zakończyła. Miro, oparty o ścianę swojej chaty, z ramionami skrzyżowanymi na piersi obserwował weselących się ludzi. Nieopodal Skra próbował właśnie ściągnąć ze stołu kawałek mięsiwa.

– Oby nam się! – pozdrowiła go nadchodząca od podwórka zielarka.  
– Oby nam się, matko! – odpowiedział Miro. – Tak sobie myślę, że nawet ludziska nie byli tacy zdziwieni, jak Zelika zobaczyli.  
– A co mają być zdziwieni? – odparła Raja. – Sami przecież chłopca do ciebie wysłali.

Miro spojrział na starszą kobietę zaskoczony.

– I co się tak dziwisz? To mała wioska, wszyscy wszystko tu wiedzą – podjęła zielarka. – Toż wiedzieli, że Wilen Zelika uczył i wiedzieli, że ty się na kowala nie nadajesz.

– To nie mogli jakoś zwyczajnie pogadać? – zdenerwował się Miro, do tej pory niezmiernie dumny ze swojego misternego planu. – Od razu bym kuźnię oddał.

– Eh, Miro, Miro... – Raja machnęła ręką. – A jak tu z tobą, chłopie, gadać? Nic nie mówisz, tylko się na człowieka tym strasznym wzrokiem patrzysz. A czasem to jeszcze Skra warczy. Bali się ludziska, ot co!

– Od razu się bali! Tak jakbym ja jakiś potwór był! – obruszył się Miro.

Rozejrzał się dookoła i upewniwszy się, że nikt nie słyszy, dodał:

– Saja taka mała i jakoś się nie boi!

– Ta mała tyle widziała, że już się pewnikiem niczego nie stracha – odparła zielarka.

*Z tą staruchą to nie idzie wygrać!* – pomyślał Miro, wciąż nie mogąc uwierzyć, że się go ludzie z wioski boją. Stał przez chwilę w milczeniu, przyglądając się uczującym mieszkańcom Szubinek. *Cała zima minęła, a to wciąż obcy ludzie... Proste życie tu miało być – roześmiał się w duchu. – Ej, drogi ci trzeba, chłopie, porządnej drogi, nie jakiś wioskowych spisków.*

– A gotowyś ty na jutro? – zapytała Raja, jakby czytając w jego myślach.

– Gotowy jestem, jak byłem – odpowiedział Miro. – Już wszystko spakowane, tylko żem na Gody czekał.

– No i dobrze, Mironie, żeś przygotowany – pochwaliła go zielarka, kiwając głową z zadowoleniem. – Bo to o samym świcie trzeba będzie wyruszać.

\*\*\*

Pogrążona w rozpacz Saja nie dostrzegła wynurzającej się z mgły postaci. Niezwykle smukła, dziecięca dłoń jednym gestem rozproszyła gęsty opar i odgoniła rusałki. Drobna postać pochyliła się nad szlochającą dziewczyną.

– Ja też szukam mamy. – Melodyjny, jakby wygrywany na kryształowych dzwoneczkach dziecięcy głos przerwał ciszę.

Paluszek dotknął łyzy, błyszczącej na pierścieniu Sai.

\*\*\*

Saja poczuła nieopisaną, potężną moc wypełniającą jej ciało, unoszącą ją z otchłani rozpaczy. Oślepiające światło wirowało w niej, odbijając się od zakamarków pamięci, wyważając drzwi, oświetlając kąty, szukając. Oplecione jasnością, porwane strzępy wspomnień i obrazów zalały myśli dziewczyny.

*Ja! Chcę! Moje! Teraz! Przytul!*

Kolorowe motyle uciekające od malutkich dłoni. Wielka kula słońca tak daleko poza zasięgiem rąk. Uśmiech przeznaczony dla kogoś innego. Kolorowa spódnica oddalająca się zbyt szybko, by za nią nadążyć na krótkich, dziecięcych nóżkach. Pragnienie. Tęsknota. Rozczarowanie. Samotność.

Saja aż zachłysnęła się prostotą świata tych myśli. Jedno niespełnione marzenie, jedna, jedyna rzecz potrzebna, żeby na nowo spleść te poszarpane dusze. *Kochaj mnie. Chciej mnie. Przytul mnie. Nie odchodź. Nie zostawiaj.*

Jedna jedyna tęsknota wypełniała zwiewne postacie ukryte we mgle. Poczwała ich obecność. Proste dziecięce dusze. Niechciane, odrzucone, samotne. Rusałki. Siostry.

Podniosła głowę i otworzyła jarzące się wszystkimi kolorami tęczy oczy. Spojrzała przez mgłę ku samotnym duszom. Rozłożyła szeroko ramiona w powitalnym geście.

– Jestem tu. Jestem z wami – wyszeptała do mgły. – Kocham was.

Szczęśliwe w tej jednej chwili rusałki tuliły się do piersi Sai, karmiąc się wypełniającym ją światłem. Dziewczyna spojrzała ponad głowami sióstr, wprost na czekających przy linii drzew mężczyzn. Przechyliła głowę, a na jej usta wypłynął złośliwy grymas.

– Ci mężowie nie byli mili – powiedziała nieco ochryplym, słodkim głosem. – Trzeba ich ukarać.

Płynnym ruchem odsunęła ukojone rusałki, sięgnęła do pasa i dobiła obu noży. Postąpiła jeden krok do przodu i w mgnieniu oka, szybko jak myśl, znalazła się na grzbiecie konia, tuż za plecami najbliższego mężczyzny. Płynnym ruchem obu noży poderżnęła mu gardło. Jakby zdziwiona tym czynem, w zamyśleniu spojrzała na ociekające krwią ostrze. *Prosta, dziecięca sprawiedliwość.* Powolnym ruchem, z uśmiechem dzikiej radości na twarzy, oblizwała zakrwawione żelazo. Wciąż przykucnięta na grzbiecie konia, podniosła obie ręce do nieba.

– Chodźcie, siostry! Zabawki czekają! – wykrzyknęła w kłębiącą się mgłę.

Zimne, rozcapierzone dłonie, długie ostre zęby i fale zielonych włosów zalały krwią podmokłą ziemię. Ciszę nocy przerywał tylko zimny, radosny chichot i przerażone kwiczenie koni.

\*\*\*

W szarówce przedświt Saja obmywała zaschniętą na skórze i włosach krew. Pochylona nad lustrem wody w zamyśleniu przyglądała się wykrzywionemu odbiciu swojej twarzy. Głowa, pełna wspomnień minionej nocy, pulsowała bólem. Zakrwawione ostrza. Zakrwawione dłonie. Zdziwienie, ból i żal w gasnących oczach umierających mężczyzn. *Bogowie, co ja zrobiłam...* Poczowała wzbierającą w gardle żołąć. Opadła na kolana. Zgięta w pół, gwałtownie zwymiotowała.

Bolesne skurcze żołądka zdawały się trwać w nieskończoność. W końcu wymęczona Saja otarła usta i usiadła. Przycisnęła kolana do piersi, szukając ciepła. Szeroko otwartymi oczami patrzyła w bystry nurt rzeki. Minionej nocy zemściła się za śmierć swojej rodziny. Uwięziona w chatce Rai, wielokrotnie wyobrażała sobie tę chwilę. Zemsta miała być słodka. Miała być tryumfalna. Ta przelana krew miała naprawić wszystkie krzywdy. Jednak zamiast szczęścia i spełnienia dziewczyna czuła tylko obrzydzenie do samej siebie. *Co teraz?* – pytanie bez odpowiedzi odbijało się echem w jej myślach.

*Nikt mnie nie kocha... Nikt mnie już nie chce...* – Wspomnienie pieśni rusalek na nowo rozjątrzyło ból po stracie rodziny. *Powiedziała, że nigdy mnie nie zostawi. Że już zawsze ze mną będzie...* – Saja świadomie karmiła gniew w swoim sercu. Wiedziała, że tylko złość może dać jej siłę, by powstać. *Nie, to nie. Sama sobie dam radę* – powiedziała sobie w końcu. Zaciśnęła usta, podniosła się z ziemi i ruszyła przez uroczysko. Jakaś jej część wciąż starała się zrozumieć, czemu matka porzuciła jej myśli. *To pewnie przez Raję...* – myślała. – *Powinnam była przejrzyć tę zdradliwą staruchę...* *Czemu nie mogłam przejrzyć jej kłamstw?* Starala przypomnieć sobie każdą chwilę, jaką spędziła z zielarką w ciągu ostatnich kilku tygodni. Wiedziała, że gdzieś tam był gest czy spojrzenie znamionujące kłamstwo i zdradę. Szczegół, którego nie dostrzegła pomimo nauk Nyss i Ioni. *Nic dziwnego, że mama odeszła...* *Każdy by się wstydził za taką nieudaczną córkę.* Jakaś jej część chciała błagać matkę o przebaczenie i drugą szansę. *Przecież mam tylko dwanaście lat, jestem jeszcze młoda, nie wiedziałam. To tylko jeden błąd...*

– Nie – powiedziała sobie surowo. – Jestem Witią. Witia nie popełnia błędów. Witia nie przeprasza.

Dziewczyna uniosła wysoko głowę. Rozłożyła ręce i zanurzyła dłonie we mgle. Odszukała zagrzebane w pamięci wspomnienia matczynej miłości. Każdy uśmiech, każdy pocałunek, każde kochające objęcie ramion. Miała tych wspomnień tak wiele... Zebrała je wszystkie i pozwoliła im odpłynąć wzdłuż ramion i dłoni, przez koniuszki palców. Ciepłe nici światła zawirowały w gęstym oparze, unosząc się ponad mokradłem. Jasność karmiła uśmiechające się przez sen rusalki, wsiąkała w podmokniętą ziemię, nasycając uroczyiska kolorowymi snami dzieciństwa. Saja, znacząc swe kroki pasmami światła, doszła do skraju mgły. Spojrzała z czułością na uśpione rusalki. Po chwili namysłu odwiązała z talii wymięty parciany worek i zaczęła napełniać go wilgotną ziemią z uroczyiska. Zdjęła poplamioną krwią, zieloną wierzchnią suknię, by zawinąć zniszczony materiał wokół ciężkiej sakwy. W końcu strząsnęła z palców ostatnie krople jasności i wyszeptała:

– Znajdę wam dom, siostry. Przysięgam na moją krew, znajdę wam dom.

Z tą przysięgą na ustach zwróciła się w stronę starego dębu i czekających pod nim dwóch koni. Z odrobiną żalu pomyślała o pozostałych pięciu zwierzętach. Pewnym gestem doświadczonego jeźdźca dotknęła miękkich końskich nozdrzy. Przesunęła dłonią po sierści, jedwabistej i błyszczącej w pierwszych promieniach porannego słońca. Zapragnęła wskoczyć na szeroki koński grzbiet i po prostu pojechać przed siebie, jak najdalej.

Nagle usłyszała radosne szczekanie. Zaskoczona, odwróciła się i spojrzała w stronę lasu. Zmrużyła oczy, by dokładniej przyjrzeć się znajomej sylwetce mężczyzny i dużego psa.

– Miro? – wyszeptała. – Skra?

Gdzieś w środku jej zimnego serca obudziła się mała iskierka nadziei. Dziewczyna niepewnie postąpiła kilka kroków ku zbliżającemu się mężczyźnie.

– Saja! Poczekaj na nas! – usłyszała wyraźny głos opiekuna.

Ciężki worek upadł z plaskiem na ziemię. Twarz Sai rozpromieniła się szczęściem. Wszystkie zimne, samotne myśli odlatywały, rozpędzone donośnym głosem przyjaciela. Z radosnym okrzykiem, niemal potykając się o skaczącego Skrę, Saja pobiegła w stronę rozłożonych szeroko, zapraszających ramion.

– Miro! Miro!

– Już dobrze, pchełko. – Silne ramiona przytulały chude ciało dziewczyny. – Pójdziemy razem, dobrze?

W odległej Sławie matka Sliwa, najstarsza z zielarek, wspinała się z mozołem po schodach. Wykute w skale, pokryte mchem stopnie ciągnęły się do samego szczytu Pałacu Witii. Od śmierci Weny co roku po Darnych Godach stara kobieta pięła się po tych schodach o świcie, by stanąć przed solidnymi, okutymi żelazem drzwiami, prowadzącymi do ogrodu Witii. Jak co roku matka zawahała się przed otwarciem drzwi. Oparła pomarszczoną dłoń na pociemniałym drewnie.

– Pani – wyszeptała krótką modlitwę do Starki. – Pani, pozwól, by to stało się teraz. Pozwól, by to był ten rok. Pani, daj nadzieję Daborowi.

Matka Sliwa pchnęła ciężkie drzwi. Pierwsze ciepłe promienie wschodzącego słońca oślepiły ją na chwilę. W twarz uderzyło mroźne powietrze poranka. Osłoniła oczy dłonią i odetchnęła głęboko. Wydawało jej się, że oprócz zapachu śniegu w powietrzu unosił się również delikatny zapach kwiatów. *Czyżby?* – W duszy rozbrzmiał płomyk nadziei.

Stopy starej kobiety dotknęły zmarzniętej ziemi. Matka Sliwa zamknęła oczy, nie czując się jeszcze gotowa, aby patrzeć na martwy po śmierci Weny ogród Witii. W pamięci miała rozczarowanie poprzednich lat. Co roku modliła się o rozkwitający ogród, lecz jedynym, co znajdowała, była popękana, wyschnięta ziemia i sterczące gdzieś tam wyschnięte badyle krzewów.

W końcu matka otworzyła oczy i spojrzała na ogród. Przed nią rozciągał się oślepiający kolorami kobierzec świeżej trawy i otwierających się ku porannemu słońcu różnobarwnych pąków. Roztapiający się w krople rosy szron pokrywał młode pędy i kołyszące się na wietrze kolorowe kielichy wiosennych kwiatów.

Matka z westchnieniem ulgi opadła na kolana. Jej pomarszczone, wąskie usta drżały ze wzruszenia, a po policzkach spływały łzy szczęścia.

– Chwała! Chwała! – szeptała, przyciskając złożone dłonie do piersi. – Witia w końcu nadeszła!

---

<sup>16</sup> Drzewo uderzone piorunem uważane było za uświęcone przez Jara.

# KOZDZIAŁ 5

*(...) cudzoziemcy nie powinni podróżować przez lasy Daboru samotnie i w żadnym wypadku nie powinni w lasach nocować chyba, że pod opieką zielarki lub przewodnika zwanego w tych stronach leśnikiem.*

Khaleel al Nimh „Opowieści z dróg i traktów”

Miro obawiał się wędrowki z Saja. Wyobrażał sobie, że nastoletnia dziewczynka będzie gadała bez przerwy, domagała się ciągłych postojów na siku, narzekała na obolałą pupę i bogowie jeszcze wiedzą co jeszcze. Jednak wbrew oczekiwaniom mężczyzny Saja okazała się doskonałym kompanem. Prawie nic nie mówiła, na grzbiecie końskim trzymała się, jakby się tam urodziła i bez narzekania utrzymywała dobre tempo. *Zuch dziewczyna!* – cieszył się Miro. Był niezmiernie zadowolony z pierwszego dnia podróży.

Pogoda im dopisała. Słońce roztopiało samotne plamy śniegu, odsłaniając zielen młodych traw i ziół. *Jedzenia dla koni będzie w bród.* Zmarznięta jeszcze ziemia dawała twarde podparcie dla kopyt wierzchowców, które aż rwały się do podróży. Również Skra, upojony świeżym, wiosennym dniem, od samego rana zachowywał się jak opętany. Biegał dookoła jeźdźców, straszył konie, buszował w trzcinach, znikał w lesie i raz po raz, niezmiernie dumny, przynosił upolowane zwierzęta. Na drewnianym łąku siodła Mira wisiały już trzy wiewiórki, gęś, kuna i chudziutki zając.

Podróżując z dala od głównego traktu, jak do tej pory nie napotkali żadnych śladów zbrojnego pościgu. *Dobra pogoda, dobre towarzystwo i święty spokój...* Miro dziękował bogom za te dary. Z zadowolonym westchnieniem zaciągnął się świeżym powietrzem, delektując się zapachem żywicy i topniejącego śniegu. Aż wzdrygnął się na wspomnienie zadymionej izby rodzinnego domu. Pomysł statecznego, spokojnego życia w Szubinkach wydał mu się nagle nieprawdopodobnie idiotyczny. *Co ja sobie myślałem?! – zastanawiał się, wspominając zimowe miesiące spędzone w wiosce. – Te same gęby, dzień po dniu... Te same domy... Toż tak żyć się nie da!*

Miro, jak zwykle na wiosnę, już od tygodni nie mógł usiedzieć w miejscu. Czuł się uwięziony w ścianach rodzinnego domu. Wraz z zielarką zaplanowali, że Saja



opuści wioskę zaraz po Darnych Godach. Ze względu na obowiązki kowala Raja nie chciała, żeby Miro wyruszał w drogę przed wiosennym świętem. *W sumie – pomyślał mężczyzna, wciąż zirytowany tym, że nikt nie powiedział mu o kowalskiej praktyce Zelika – wychodzi na to, że mogliśmy ruszyć w drogę jeszcze przed Godami. Do tej pory już pewnie do ujścia Stawiny byśmy doszli... A z takimi konikami to i jeszcze dalej.* Miro poklepał umięśnioną szyję swojego wierzchowca. *Też ciekawe, skąd Raja wzięła takie zwierzęta? Roste i do tego jeszcze z rzędem...* Przez chwilę zastanawiał się, czy nie warto by zapytać Sai o pochodzenie wspaniałych wierzchowców. *Eee tam, zagadywać ją będę...* – zdecydował w końcu. Lata spędzone w Drużynie Witii nauczyły go, żeby nie zadawać zbędnych pytań. *Konie są i dobrze. Tylko trzeba się ich będzie pozbyć, zanim do ludzi dojedziemy.*

Trzask łamanych gałęzi przerwał rozmyślenia mężczyzny. Jego wierzchowiec zatrzymał się nagle i zarżał zaniepokojony. Miro odruchowo sięgnął do zawieszzonego przy siodle łuku. Chwilę potem cofnął dłoń, dostrzegłszy wynurzający się z krzaków czarny nos Skry. Wilk wyskoczył radośnie z lasu, trzymając w zębach martwego zająca. Machając ogonem, wyraźnie dumny z siebie, położył zwłoki zwierzęcia na ziemi i spojrzał na Mira, oczekując pochwały.

– Skra, na miłość bogów! Dajże zwierzakom spokój! Co my, karczmę otwieramy, czy jak? – marudził Miro.

Ze stęknieniem pochylił się, by zejść z konia. Nie zdołał nawet przerzucić nogi przez kulbakę, kiedy usłyszał za plecami tętent porywającego się do galopu wierzchowca. Obejrzał się, zaskoczony. Spokojna i cicha do tej pory Saja przemknęła obok niego na swoim koniu. W biegu wyskoczyła z siodła. Trzymając się łuku jedną ręką, kopnęła ciało zająca w powietrze. Z niemożliwą niemal zwinnością odbiła się od ziemi, złapała szaraka za uszy i płynnie wylądowała w siodle. Potem z tryumfalnym okrzykiem pogalopowała przed siebie. Skra, widząc okazję do zabawy, pobiegł za wierzchowcem Sai. Dobre staje dalej dziewczyna zawróciła. Po chwili, szeroko uśmiechnięta, siedząc pewnie na grzbiecie tańczącego wierzchowca, podała mężczyźnie bezwładne ciało zająca.

– Proszę, dziadku! – powiedziała z niewinnym uśmiechem. – Nie trzeba się kłopotać.

Miro aż poczerwieniał z oburzenia.

– Widzę, że pchła zmienia się w złośliwą kozę – odpowiedział kwaśno. – Uważaj, mała, żeby ci się od tych skoków druga rączka nie złamała.

Roześmiana Saja uspokoiła tańce swojego konia. Spojrzała na kolekcję zwierzyny łownej zawieszoną u siodła Mira.

– Może by tak coś upiec? – zapytała. – Głodna jestem...

– Znowu?! – Miro przewrócił oczami. – Czy ty masz dziurę w tym brzuchu, czy jak? Dobraliście się ze Skrą jak nic! Dopiero południe, a już cały prowiant przejezdzony!

– A co ja na to poradzę, żem głodna? – odpowiedziała Saja ze wzruszeniem ramion i niewinną miną. – A też, Miro, za dużo tych zapasów nie wzięłeś...

– Jak miałem dużo wziąć?! – zdenerwował się mężczyzna. – W Szubinkach powiedziałem, że do Łędziny idę. W pół dnia bym tam doszedł, to i po co brać zapasy?

– To my całą drogę będziemy jeść tylko mięso? I czemu? Żeby ludzie nie gadali?! – Saja niemal już płakała. – Co wy z Rają się tak o ludzi troszczyacie? To niech gadają! Żeby chociaż podpłomyka z tym mięsem...

– A co ci, biedaczko, dziadunio poradzi – odpowiedział Miro, udając trzęsący się, starczy głos. – Na stare lata to tylko mały woreczek idzie unieść.

– Miro! Tak nie można! – zdenerwowała się Saja. – Ja naprawdę jestem głodna!

– Wiem, wiem... – odparł mężczyzna normalnym głosem. – Zobacz. Tam, nad rzeką, pod tą wierzbą, tam staniemy na popas. Koniki też muszą odpocząć po tych twoich gonitwach.

– Chwała bogom!

Uradowana dziewczyna skierowała wierzchowca w stronę ogromnej, samotnej wierzby. Zeskoczyła z konia jeszcze w biegu i zdołała już rozsiodłać zwierzę, zanim jej towarzysz dotarł na miejsce odpoczynku. Skra obwąchał dokładnie pień rozłożystego drzewa, po czym uniósł nogę i starannie obsikał popękaną korę.

– Skra! – wykrzyknęła oburzona Saja – Miro, powiedz mu coś!

– Co mam mu mówić? – Mężczyzna, niewzruszony manierami wilka, machnął lekceważąco dłonią. – Wilk jest, to i teren znaczy. Bym się dołączył, ale przy panience to nie wypada...

Skra sumiennie rozkopywał ziemię tylnymi nogami. Saja ostentacyjnie przeniosła swoje siodło na drugą stronę drzewa. Potem wróciła do konia i zabrała się za czyszczenie obłoconych kopyt.

– Może ja się zajmę końmi, a ty byś rozpalil ogień? – zapytała towarzysza.

*No i już się zaczyna rządzić* – kwaśno pomyślał Miro. – *One to we krwi mają, czy jak? A taka miła podróż miała być...* Ledwo spojrział na Saję i już miał złośliwy docinek na końcu języka, ale dostrzegł, że grube podróżne ubrania ledwo co maskowały chudość dziewczyny. Długi, słomianej barwy warkocz wydawał się grubszy od jej nadgarstków. Dziecięca jeszcze twarz miała skupiony, poważny wyraz, pasujący raczej do przeoranego pierwszymi zmarszczkami oblicza dojrzałej kobiety. *Daj jej spokój, chłopie.* – Miro przełknął kąśliwe słowa. – *Głodna jest i*

zmęczona, to pewnie, że chce się w mig uwinąć ze strawą. Gwizdnął na Skrę i szybkim krokiem skierował się w stronę lasu.

– A niech będzie po twojemu... Pójdę pozbierać drzewa... I tak muszę rozciągnąć nogi po tym końskim grzbiecie – powiedział. – Ale ty tę drobnicę sprawiasz! – rzucił na odchodne, wskazując wiszącą przy siodle zwierzynę.

\*\*\*

Pochylona nad końskim kopytem Saja starannie oskrobywała zaschnięte błoto i wydlubowała kamyki wciśnięte w podkowy. Mechanicznie wykonywana, tak dobrze znana czynność uspokajała jej myśli i pozwoliła prawie zapomnieć o przeżyciach minionej nocy. *Gdyby tylko można było tak łatwo oczyścić pamięć...* Delikatnie opuściła nogę wierzchowca i łagodnie poklepała jego szyję. Koń zarżał cicho, wyraźnie zadowolony z tej pieśczoły. *Powinien się mnie bać* – pomyślała dziewczyna. – *Przecież widział, do czego jestem zdolna.* Piękne zwierzęta zdawały się nie pamiętać krwawej łaźni urządzonej przez rusałki. *Może i ja kiedyś zapomnę...* – pomyślała z nadzieją. Przytuliła policzek do ciepłej skóry zwierzęcia. Pod zamkniętymi powiekami przepływały upiorne wizje. Krew na nożu, krew na rękach, słony smak krwi w ustach. Rozczapierzone dłonie rozrywające ciało. Zimny dziecięcy chichot. Jej imię wypowiedane szeptem, raz po raz. Dziewczyna potrząsnęła głową, próbując wyrwać się z wiru wspomnień. Spojrzała w stronę siodła i opartego o nie zawiniątka, wypełnionego ziemią z uroczyska. *Saja, Saja...* – nawoływały ją szepty. Czując, że za chwilę oszaleje, z furią ruszyła w stronę parcianego worka.

– Cisza! – wyrzeszczała, pochylając się nad tobołkiem.

Szepty umilkły. Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów, z całych sił starając się uspokoić. *To nie ich wina* – pomyślała, zawstydzona wściekłym wybuchem. – *Były porzucane tyle razy. Nie dziwota, że boją się, że i ja je opuszczę.*

– Już dobrze... – czule pogłaskała wypchany worek. – Już dobrze, jestem z wami.

Kiedy tak uspokajała rusałki, jej spojrzenie padło na pierścień błyszczący na dłoni. Raz jeszcze przyjrzała się małemu, okrągłemu kryształowi schowanemu pomiędzy metalowymi listkami obrączki. Mogłaby przysiąc, że jeszcze wczoraj ten mały pierścienek nie miał żadnych oczek. *Musi być już pamięć mnie zarodzi.* *Przecież oczko nie włożyło się samo!*

Głaskała sakwę przez kilka chwil, dopóki nie upewniła się, że rusałki zasnęły. *Muszę coś z tym zrobić* – pomyślała z determinacją. – *Kto to widział, żeby Witia gadała do worków...* Oparła się plecami o siodło, skrzyżowała nogi i schowała

twarz w dłoniach. Skupiona, zaczęła przetrząsać wspomnienia przodkiń, szukając zabójstw, morderstw i rzezi. Wiedziała, że kobiety Drewian zabijały. Gdzieś tam w jej głowie musiała być odpowiedź. *Jak zabić i nie oszaleć?* – pytała pamięci przodkiń. We wspomnieniach znalazła więcej krwi, niż się spodziewała. Większość została przelana w ciemnych zaułkach, prywatnych izbach, na polowaniach i ucztach. Zlecenia wykonane bez emocji, z kamienną twarzą doświadczonego mordercy. *Może to ze mną jest coś nie tak?* – zastanawiała się. Głowa pulsowała tępym bólem, jakby za chwilę miała wybuchnąć od napływu wspomnień. *Może jestem za miękka? W końcu ci jeźdźcy chcieli mnie zabić. Przecież miałam prawo się bronić.* Pod powiekami raz jeszcze przepłynął obraz zakrwawionych rąk. W ustach poczuła smak krwi. Aż wzdrygnęła się z obrzydzenia do samej siebie. Wiedziała dobrze, że minionej nocy zabijanie sprawiło jej przyjemność. Zgięta w pół, z palcami wplecionymi we włosy, niemal zawyla z bezsilności. *Zapomnieć... Proszę, chcę tylko zapomnieć...*

Od lasu rozległo się szczekanie. Dziewczyna podniosła głowę i spojrzała nieprzytomnie w stronę linii drzew. *Miro i Skra wracają.* Otarła twarz i zabrała się za oprawianie wiewiórek.

– Weź się w garść, Saja – powiedziała sobie. – Witia. Jesteś Witią.

\*\*\*

Wiewiórki opiekowały się nad małym ogniskiem. Skra wygrzewał się w południowym słońcu. Co chwilę podnosił głowę i z zachwytem wpatrywał się w brązowiejące tuszki. Zapach przyprawionego znalezionymi w lesie ziołami mięsa sprawiał, że żołądek Sai boleśnie się kurczył.

– Można już? – zapytała dziewczyna.

Miro przewrócił oczami, zmęczony odpowiadaniem na zadawane co chwilę pytanie. Kończył właśnie nabijać mięso zajęcy na patyki. Przecież *te obżartuchy nie najedzą się wiewiórkami – pomyślał, patrząc na towarzyszy podróży.* Sięgnął po zebrany w lesie kawałek kory i delikatnie zsunął upieczone już wiewiórki z ostrego patyka. Saja w mgnieniu oka znalazła się przy nim. Wyciągnęła dłonie, trzęsąc się z niecierpliwości.

– Spokojnie! Przecież nie ucieknie – roześmiał się Miro.

Jedli w milczeniu, obserwując piekące się króliki i dym zbierający się pod gęstą koroną wierzby. Błękitne wody rzeki Lany szumiały w pobliżu. Słońce wspinało się po wypełnionym śpiewem ptaków niebie. *Dopiero południe* – pomyślał

zadowolony Miro. – *W takim tempie zajedziemy do Sawków dobrze przed zmierzchem.*

– Miro? – Dziewczyna przerwała wypełnioną mlaskaniem ciszę.

– Hmm? – odpowiedział, żując gorące mięso.

– A... A ty długo byłeś w Drużynie? – zapytała jakby od niechcienia.

– Trochę byłem – odparł Miro niechętnie.

– I jak to w tej Drużynie było?

*Parchy, na rozmowy przy posiłku jej się zebrato! Co się kosa tak wypytuje? – W skupieniu odgryzł następny kawałek mięsa, ignorując pytanie.*

– Hm? To jak było w Drużynie? – Po chwili milczenia Saja znów podjęła temat.

– A jhak miaho bych? – Zirytowany Miro odpowiedział z pełnymi ustami.

– No... – uparcie drażyła dziewczyna. – Byłeś w jakiejś bitwie?

*Co ona tak nagle chce gadać o wojacze? – zastanawiał się. Zdziwiony niespodziewanym pytaniem, spojrzał w poważną twarz dziewczyny. Na zaróżowionej od słońca buzi malowało się niezwyčajne skupienie i napięcie. Twarz Sai wydała mu się nagle dziwnie znajoma, jakby podobna do... Miro niemal udławił się, olśniony przeblyskiem zrozumienia. Bogowie... – pomyślał, przypominając sobie dziesiątki żołnierskich twarzy o tym samym przerażonym, zaszczutym spojrzeniu. – Ona zabiła człowieka... Ponownie spojrzał na Saję. Musi być w tym ataku na jej dom, bo kiedy? Parchy, nie mogła z Rają pogadać?! Dla zyskania na czasie włożył do ust następny kawałek strawy. Znów wszystko na mojej głowie – myślał, żując bez apetytu. Co ja mam jej powiedzieć?! Przecież nie zabiorę jej na nęty<sup>17</sup>!*

– Co mam ci mówić – zaczął Miro powoli. – Ani dobre, ani złe takie życie na wojacze. W Drużynie prawie całe życie zem spędził. Wyrośniętym był, to mnie wzięli, jak byłem może kilka lat starszy od ciebie. Zacząłem jako zwykły chłopiek w szyku<sup>18</sup> w Zatoniu, a potem to już poszło. Pierwsze kilka lat nie były złe, obsadzali nas na grodach, trochę się drogi patrolowało. Potem mnie do Szyku Drzewa<sup>19</sup> wzięli i samej Witii pilnowałem.

– W korowych byłeś? Naprawdę pilnowałeś Witii? – zapytała Saja z błyszczącymi oczami.

– A pilnowałem – odpowiedział Miro, nie ukrywając dumy. – Jak mnie do korowych wzięli, to akurat Witia jechała do Trybaldu dogadywać się z tymi wszawymi Lobardczykami. Żeśmy tak jej pilnowali z chłopakami, że nawet włos jej z głowy nie spadł. Wspaniała kobieta... Już dobrze w latach wtedy była, ale jak się na koniu trzymała... I jak spojrzała na ciebie tymi oczami, to jakby do środka ci zaglądała. Taka szkoda, że się jej pomarło... Niech jej Kuźnia ciepłą będzie.

– A potem to wojna się zaczęła, nie? – Saja przerwała przedłużające się milczenie.

Miro pokiwał smutno głową. *No i zaczyna się, parchy, pogadanka...* – pomyślał. – *Co ja jej, nęcia mać, mam powiedzieć?* Sięgnął po bukłak z cienkim piwem i łyknął sobie solidnie. Podał naczynie Sai. Podrapał się po brodzie. Dorzucił drewna do ognia. Wcale nie miał ochoty kontynuować tej trudnej rozmowy.

– Miro? – zagadnęła Saja ponownie. – Potem zaczęła się wojna?

– Ano zaczęła się... – podjął w końcu Miro z głębokim westchnieniem. – Witii już nie było, wojów brakowało, to i nas wysyłali ze Sławy na zachód. W lasach się dużo siedziało, wyglądało wrogów... Tego lobardzkiego tałatajstwa zabijalim na kopy... Pamiętam, dużo młodzików wtedy z nami było. Takich, co to im pierwszy raz zabić przyszło. Ci to chorowali po tym, jakby w tej krwi hemarskich psiajuchów jakaś trucizna była.

– A była? – Saja zapomniała o trzymanym w dłoni bukłaku.

– Gdzie tam! – Mężczyzna machnął ręką. – Prawie każdy tak choruje, jak pierwszy raz ubije człowieka. Większość rzyga, a co niektórzy to jak w gorączce całymi dniami chodzą. Są jeszcze tacy, co najpierw się cieszą, a potem chorują jeszcze gorzej.

– O... – Wyraz ulgi rozjaśnił skupioną twarz dziewczyny. – Nie wiedziałam...

– A co miałaś, pchło, wiedzieć...

*Patrz, jak sprytnie zagadałem* – pomyślał Miro z dumą i sięgnął po dobrze już dopieczone zające. Podał Sai zawinięte w korę mięso. Przyglądał się jej przez chwilę, po czym dodał poważnym tonem:

– To nie wstyd zabić kogoś, kto chce zabić ciebie. Wiesz, może być tak, że zanim ci znajdziemy jakieś bezpieczne miejsce, sama będziesz musiała kogoś utłuc...

Saja tylko pokiwała głową w milczeniu.

– Jak będzie chwila, to pokażę ci, jak używać tych nożyków. Nie po to ci tyłek przez tygodnie podmywałem, żeby cię jakiś przybłęda na drodze zaciukał – rzekł i niezręcznie poklepał kolano dziewczyny.

– Ja już umiem – odpowiedziała z dumą Saja.

– Wiem, że umiesz. Poćwiczymy, żebyś umiała jeszcze lepiej – powiedział Miro, sięgając po swoją porcję mięsa. – A teraz wsuwaj to żarcie, a potem się już będziemy zbierać. Dobrze by było dojechać do Sawków przed zmierzchem.

– Do Sawków? – zdziwiła się dziewczyna.

– Zobaczysz... – powiedział Miro z tajemniczym uśmiechem i wgrzyzł się w swoją porcję.

Słońce już niemal dotykało koron drzew, kiedy Miro i Saja natknęli się na przedziwny płot, biegnący od lasu aż do samej rzeki. Drewniane, dobrze już ściemniałe od słońca ogrodzenie udekorowane było zbielełymi czaszkami i kośćmi najróżniejszych zwierząt. Większość czaszek zdobiły wymalowane rdzawą farbą znaki. Saja zmrużyła oczy, przyglądając się dziwacznej konstrukcji. Wydawało się, że płot ciągnie się nie tylko do linii drzew, ale również przez sam las. Dziewczyna spojrziała pytająco na towarzysza. Miro z szerokim uśmiechem na twarzy zaczął cofać konia, szykując się do skoku. Skra przeskoczył już przez ogrodzenie i pewnym krokiem truchtał przed siebie.

– No, co się tak gapisz? – zapytał wesoło mężczyzna. – Skacz, bo tego płotu i w trzy dni nie obejdiesz.

Dziewczyna z niewyraźną miną patrzyła to na Mira, to na płot. Przeszukiwała pamięć przodków, bezskutecznie próbując rozszyfrować znaczenie symboli zdobiących powieszonych na ogrodzeniu czaszek. Bezwiednie dotknęła zawiniątka z ziemią z uroczyska. *Następna zasadzka zielarki?* – zastanawiała się przez chwilę. Niezdecydowana, niepewna, co robić, cofnęła konia, chcąc zyskać na czasie. Miro, już po drugiej stronie ogrodzenia, machał na nią niecierpliwie.

– Skacz, pchło! Na co czekasz? – ponaglał ją. – Sawkowie sami do nas nie przyjdą!

Saja poczuła się nagle bardzo zmęczona i jeszcze bardziej głodna. Ciało, obolałe od całodziennej jazdy, domagało się posłania, ciepłej strawy i odpoczynku. *Chrzanię!* – pomyślała. – *Jakby co, zawsze mogę wypuścić rusałki.* Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, ponagliła konia do skoku.

Wylądowała gładko po drugiej stronie ogrodzenia. Z westchnieniem ulgi stwierdziła, że wciąż jest w jednym kawałku. *A co masz nie być, głupia?* – skarciła się w myślach. – *To tylko kości powieszzone na płocie.* Spokojniejsza już, ponagliła konia. Miro prowadził pewnie, zmierzając ku linii drzew. Wielce podekscytowany Skra biegał od swojego pana do brzegu lasu i z powrotem. Kiedy jeźdźcy niemal już dotarli do pierwszych drzew, ogromy wilk zniknął w lesie na dobre. Po chwili dało się słyszeć jego radosne ni to wycie, ni to szczekanie.

– Miro? – Saja ponagliła konia, żeby zrównać się z towarzyszem. – O co tu chodzi? Gdzie jedziemy?

– Zaraz się dowiesz – odpowiedział rosy mężczyzna z uśmiechem nastoletniego łobuziaka. – Musimy tu zostawić konie. Już niedaleko.

Sprawnie zsiadł z wierzchowca i przywiązał wodze do drzewa. Saja niechętnie poszła w jego ślady. Raz jeszcze zmierzyła towarzysza wyćwiczonym wzrokiem Witii. Nie dostrzegała w nim złej woli, kłamstwa czy podstęp. *Tylko czemu on się tak cieszy?* – zastanawiała się. Wiedzioną bardziej ciekawością niż zaufaniem do opiekuna, zdecydowała w końcu, że podąży za nim przez las.

Po kilku chwilach szybkiego marszu drzewa zaczęły się przeredzać. W prześwitach pomiędzy pniami dawało się dostrzec błękit nieba. Miro wydawał się coraz bardziej podekscytowany i niemal już biegł, nie oglądając się na towarzyszkę podróży. Saja z trudem za nim nadążała. *Gdzie on tak pędzi?* – zastanawiała się.

– Miro! Zaczekaj na mnie! – krzyknęła poirytowana.

Mężczyzna nie odpowiedział. Saja, porządnie już zasapana, dotarła w końcu do brzegu zagajnika. Oparła się o pień drzewa, by złapać oddech. Podniosła wzrok, szukając Mira i dojrawszy go, zamarła. Przez złote piaski rozpościerającej się przed nią plaży galopował ogromny niedźwiedź. Wielkie zwierzę z rykiem rzuciło się na jej opiekuna, przygważdżając go do ziemi.

– Miro! Nie!!! – wrzasnęła Saja.

Z bezsilną wściekłością uświadomiła sobie, że zawiniątko wypełnione ziemią z urocyska zostało po drugiej stronie zagajnika, przytroczone do siodła jej konia. Zmusiła się, by oddychać. Zmusiła się, by myśleć. Spod kudłatego cielska niedźwiedzia zdawały się dochodzić słabe stękania i jęki bólu. *Jeszcze żyje!*

– Miro!!! – Saja, wyciągnąwszy noże z za pasa, gotowa na śmierć, pędziła po piasku w stronę ogromnego zwierzęcia. – Wytrzymaj!!!

Niespodziewanie niedźwiedź przewrócił się na bok z głuchym łupnięciem. Miro, cały i zdrowy, wydobył się spod brunatnego cielska i zaczął czochrać kudłatą sierść na brzuchu zwierzęcia. Oniemiała Saja stanęła w pół kroku. Jej opiekun podniósł wzrok i spojrzał na nią z wyrazem najgłębszego zdziwienia.

– Dziewczyno! – wykrzyknął z podziwem w głosie. – Czyś ty oszalała?! Na niedźwiedzia się rzucasz z nożami?

Saja, kompletnie ogłupiała, ścisnęła obnażone noże w dłoniach. Patrzyła w osłupieniu to na mężczyznę, to na ogromnego, pomrukującego z zadowolenia zwierza. Dopiero teraz zauważyła, że pysk niedźwiedzia pokryty był siwizną, a oczy zamglone ze starości.

– Miałaś się wspiąć na drzewo i portkami trząść ze strachu! – karcącym tonem kontynuował Miro. – Matka cię niczego nie nauczyła?

– Ale... – wydukała dziewczyna, powoli odzyskując głos.

– Chłopcze, kimkolwiek ta mała jest, z pewnością na nią nie zasługujesz – odezwał się łagodny, męski głos.



Saja, do tej pory skupiona na niedźwiedziu, zupełnie nie zauważyła dwóch mężczyzn zbliżających się od strony rzeki. Skóra jednego z nich miała bardzo ciemną, niemal brązową barwę. Białe, równe zęby lśniły w szerokim uśmiechu. Długie, czarne, związane na karku w węzeł włosy przeplatała siwizna. Przykucnięty na piasku, czochrał kudłatą sierść Skry i patrzył ku Sai przyjaźnie. Drugi mąż, wysoki i szczupły, bez jednego włosa na głowie, za to z długą siwą brodą, stał z ramionami skrzyżowanymi na piersi i z niezadowoloną miną nazywał Mira chłopcem. Obaj mężczyźni byli już w dość podeszłym wieku, jednak ich postawa i gesty emanowały siłą i pewnością siebie.

– Saja – Miro zignorował kąśliwy komentarz starszego mężczyzny. – Na bogów, odłóż te noże! Jeszcze się Muszka przestraszy! – Poklepał czule bok wielkiego niedźwiedzia. – To jest Sawa i Wars, moi najstarsi przyjaciele. – Tu zwrócił się do uśmiechających się przyjaźnie mężów. – Sawa, Wars, to jest Saja.

– Sajo, niezmiernie miło cię poznać – odezwał się brodaty mężczyzna, nazwany Warsiem. – Bardzo mi przykro za bezmyślne wygłupy tego durnego chłopaka. Pomyślałby, że po tylu latach znudzi mu się straszenie ludzi Muszką, nie, Sawa?

– Widać za dużo razy na łeb spadł – dopowiedział ciemnoskóry mąż, nazwany Sawą. – Toż to już Skra mądrzejszy od niego! – Przemówił bezpośrednio do kudłatego wilka, targając go czule. – Prawda, Skierka? Taka jestem mądra wilka! A mój pan zupełnie bez pomysłu! Tak! Głu-pi Mi-ro! Mą-dra Skier-ka!

Saja powoli wsunęła noże za pas. Przyjrzała się badawczo Warsowi i Sawie. *Wars i Sawa, z mianowania Witii Weny Mistrzowie Leśnicy Opoli Zatońskiego* – podsunęły pomocnie wspomnienia przodków.

– Warsie, Sawo. – Saja ukloniła się dwornie starszym mężczyznom. – To dla mnie zaszczyt poznać tak zacnych mężów. Mniemam, że to was mój nieszczęsny towarzysz podróży nazywał Sawkami?

– Nieszczęsny towarzysz podróży! – powtórzył Wars z szerokim uśmiechem. – A to przednie! Chłopcze, zaprawdę niewartyś tej perły!

Miro podniósł się z ziemi i otrzepał ręce z piasku. Ogromny niedźwiedź z głębokim pomrukiem przewrócił się z pleców na bok. Pacnął mężczyznę łapą, domagając się pieśczo.

– Mucha, no weźże! Ile można? – Miro aż się zatoczył od uderzenia potężnej łapy. – Saja, toż to żart miał być – zwrócił się do dziewczyny. – Miałaś się zeszczuć w gacie ze strachu, a nie rzucać z nożami na bogom ducha winne zwierzę.

Saja aż się zagotowała, słysząc słowa mężczyzny. Otworzyła usta, żeby dać upust swojej złości. W tym samym momencie zmieniła zdanie. *Witia. Jesteś Witią* –

powiedziała sobie w myślach. Uniosła dumnie głowę, ostentacyjnie odwróciła się od Mira i dostojnym tonem rzekła do niedźwiedzicy:

– Bardzo mi przykro, Muszko. W moim zaślepieniu nie zauważyłam, na kogo powinnam była się rzucić z nożami.

Muszka, jakby rozumiejąc słowa Sai, wydała głęboki pomruk i jeszcze raz pacnęła nogę Mira.

– Panowie – dziewczyna zwróciła się do leśników – mniemam, że to pod waszym dachem przyjdzie nam spędzić noc?

– A pod naszym, panienko – odpowiedział Sawa z olśniewającym uśmiechem. – Widzę, że Miro panience już wszystko opowiedział. Zapasy i juki gotowe, będziecie mogli wyruszyć z samego rana. Macie jakieś wierzchowce? Raja mówiła, że będziecie podróżować konno.

– Raja? – zainteresował się Miro. – To i zielarka was odwiedziła?

– Ano Raja – odpowiedział Sawa. – Była tu jakoś ze dwa dni temu. Powiedziała, żeby się was spodziewać dzień po Darnych Godach i że będziecie jechać wierzchem. To żeśmy przygotowali z Warssem wszystko jak trzeba.

– Jeszcze mówiła coś o jakiś jeźdźcach, żeby ich wysłać do Szubinek na uroczyska, jak będą pytali o Saję – dodał Wars.

Pobladła nagle Saja przysłuchiwała się rozmowie mężczyzn, próbując ogarnąć zdobyte informacje. *Wiedziałam! Raja ich wysłała! Ale czemu kazała szykować dla nas prowiant? Czy Miro o tym wiedział? O co tu chodzi?*

– Mam nadzieję, żeście ich nie spotkali? – dopytywał się Sawa. – Bo zajęchali tu tacy, pewnie z siedmiu ich było, będzie wczoraj raniutko. Pytali się o dziewczynę.

– Droga była spokojna – powiedział Miro z poważną miną. – I co? Wysłaliście ich do Szubinek?

– A wysłalim – przytaknął Sawa. – Raja kazała, to co mieliśmy nie wysłać. Szkoda trochę, bo tacy byli napuszeni, że ja bym raczej Muszkę na nich spuścił. A tak, to trzeba było puścić...

– Musi być pojechali traktem. Nic zem po drodze nie widział... – zamyślił się Miro. Po chwili zwrócił się do Sai: – Chodź, lepiej zabierzmy te konie z widoku. Nie ma co losu kusić.

Saja patrzyła na mężczyznę oszołomiona. Nic już nie rozumiała. Nie wiedziała, co robić. Pomimo szkolenia, które przeszła u Ioni, nie potrafiła opanować ogarniającej jej paniki. *Kto przyjaciel? Kto wróg? Komu mogę zaufać?* – pytania bez odpowiedzi kłębiły się w jej głowie. Pomimo odległości – sakwa z ziemią z uroczyska została przy koniach – nawoływanie rusalek nabierało na sile. *Saja, Saja...* Szepty były już tak głośne, że mąciły myśli. Słyszała je, ale również czuła.

Zimne, natarczywe uderzenia. Instynktownie zakryła dłońmi uszy, próbując odnaleźć się w tym zamęcie.

– Saja? Saja? – usłyszała jeszcze zatroskany głos Mira, a potem cały świat rozpułynał się w białej mgłę.

\*\*\*

– Jest! Przebiliśmy się! – radosny głos Ioni przedarł się przez mgłę.

– Saja? Saja? Wszystko w porządku? – zatroskane pytania matki dobiegły z drugiej strony.

Saja, wciąż oszołomiona, otworzyła oczy. Potrząsnęła głową, próbując odegnać mgłę wypełniającą myśli.

– Mamo? – zapytała drżącym głosem.

Poczuła ramiona oplatające jej ciało i falę miękkich włosów opadających na twarz.

– Saja! Kochanie! Tak się martwiłam! – usłyszała wypełniony miłością szept matki.

*Umarłam...* – pomyślała. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nawet jej to nie martwi.

– Nie umarłaś, głuptasie! – Nyss poklepała ją przyjaźnie po ramieniu.

Saja delikatnie odsunęła się od matki i rozejrzała dookoła. Znajomy krąg mgły wypełniony był kobiecymi postaciami. Nyss, Ioni, Wena, Lida, wszystkie inne przodkinie, których wspomnienia przejęła i chyba jeszcze ze dwa tuziny nieznanymi kobietami Drewian.

– Akurat – powiedziała kpiąco. – To czemu mama może mnie dotknąć?

– Czy ty, dziewczyno, w ogóle nauczyłaś się czegośkolwiek z naszych wspomnień? – Babka Wena skrzyżowała ramiona na piersi i patrzyła na wnuczkę surowym wzrokiem. – Usiadłaś w skupieniu, zastanowiłaś się? Oczywiście, że nie. Bo po co komu myśleć, jak się można rozbijać po lasach z wojami...

– Mamo – wtrąciła łagodnie Lida – przecież to jeszcze dziecko.

– Dziecko? – nie dawała za wygraną Wena. – Ona jest Witią! Wi-tią!

– To wy mnie zostawiłyście! – Saja wybuchnęła oskarżeniami. – Co miałam zrobić! Siąść i się w skupieniu dać posiekać?! Wołałam was! Błagałam o pomoc! A wy co?! Zostawiłyście mnie... – Głos dziewczyny załamał się. – Musiałam uciekać na uroczysko... Któraś z was była kiedyś na uroczysku?! Tam jest okropnie....

– Sajo – uspokajającym tonem powiedziała Ioni – żadna z nas na uroczysku nie była, bo na uroczysko się nie chodzi! Co ci w ogóle strzeliło do głowy? Nie mogłaś po prostu zostać na tym drzewie? Rusałki zajęłyby się wojami. Taki był plan.

– Plan? – wybuchnęła Saja, aż trzęsąc się z wściekłości. – Plan?! To czemu mi nikt o tym planie, parchy, nie powiedział?!

– Saja, język – surowo upomniała ją matka.

– Język, język... – Dziewczyna przewróciła oczami, skrzyżowała ramiona na piersi i ostentacyjnie odwróciła się od matki.

– Plan był taki – cierpliwie tłumaczyła Ioni – że ty siedzisz na drzewie, przerażona, opuszczona i niekochana, Dari cię znajduje, lituje się nad tobą i daje ci błogosławieństwo. Jakbyśmy ci powiedziały o tym planie, to byś była spokojna i Dari by się w ogóle nie przejął.

Saja podniosła głowę, olśniona nagle zrozumieniem. Nie mogła uwierzyć, że przodkinie potrafią być aż tak podstępne.

– Plan... – wykrzyczała oskarżająco. – Wykorzystałyście mnie! Mamo! Jak mogłaś na to pozwolić?!

– Kochanie, nie wykorzystałyśmy ciebie. Wykorzystałyśmy boga. Jak inaczej miałyśmy skłonić Dariego, żeby dał ci błogosławieństwo?

– Jakie błogosławieństwo?! – Saja wrzeszczała już niemal histerycznie. – Jakie, parchy, błogosławieństwo?!

Wena szybkim krokiem podeszła do wnuczki, chwyciła prawą dłoń dziewczyny i podetknęła ją stanowczym gestem przed twarz Sai.

– To błogosławieństwo – powiedziała chłodnym głosem. – Pierścień Łez.

*Pierścień Łez* – podsunęły pomocnie wspomnienia przodkin. – *Pierścień noszony przez Witię jako symbol błogosławieństwa bogów.*

– O... – wydukała tylko Saja, przyglądając się klejnotowi. – Nie wiedziałam...

– Wiedziałaś! – surowym tonem zrugła wnuczkę Wena. – Przejęłaś moje wspomnienia! Tylko że zamiast korzystać z mądrości, wolałaś się bujać po drzewach. Jakbyś przeszukała moją pamięć, to byś sobie przypomniała. Myśl! Przecież wiesz, czym ten pierścień jest dla Witii. Od prawie czterystu lat przekazywany z pokolenia na pokolenie, nigdy nie utracił mocy. Aż do mojej śmierci...

– Bo nie było Witii, żeby ten pierścień przejąć – przypomniała sobie Saja. Spuściła głowę zawstydzona i wymruczała pod nosem: – Muszę odzyskać błogosławieństwa bogów. Mam już jedno i dlatego mogę was dotykać... – Po chwili milczenia podniosła głowę i dodała: – Raja mnie nie zdradziła. Raja jest z rodu Drewian, prawda?

– Nareszcie – z ulgą westchnęła Wena. – Już się zaczynałam martwić, że moja wnuczka jest tępa.

– Mamo! – Lida stanęła w obronie córki. – Saja nie jest tępa!

- Tępa to może nie – zakpiła Nyss. – Ale w gorącej wodzie kąpana to na pewno.
- I silna jak zaraza – z uznaniem dodała Ioni. – Patrz, ile nas trzeba było, żeby się przebić do tego łba!
- Saja ze zdziwieniem rozejrzała się po tłumie przodków.
- A czemu się musiałyście przebijać?
- A skąd ja mam wiedzieć? – odparła Ioni, wzruszając ramionami. – Wyrzuciłaś nas i nie chciałaś wpuścić. Nie wiem, czy to żal, czy złość, czy co...
- Lida chwyciła Sają za ramiona i spojrzała w jej twarz z troską.
- Nigdy więcej tego nie rób! – powiedziała. – Rozumiesz? Nigdy!
- Broda Sai zadrżała, jej usta wykrzywiły się w podkówkę, a oczy wypełniły łzami.
- Obiecuję, mamoo... – Dziewczyna z płaczem rzuciła się w objęcia matki. – Tak bardzo się bałam! Myślałam, że mnie nie kochasz... I...i... poderżnęłam gardło temu... – Jej głos załamał się w głośnym szlochu.
- Ciii. – Lida tuliła córkę czule. – Cichutko, już dobrze... Wszystko będzie dobrze...
- No i, psiajucha, szybko kipnął – rzeczowo skomentowała Nyss. – Ja to bym złamasowi jaja żywcem wycięła. Dzieci po lasach gania, taki dzielny, nęcia jego mać.
- Jeszcze się nasza Saja trzebić złamasów nauczy – pogodnie wtrąciła Ioni. – Już ty się, siostra, nie martw.
- Saja uśmiechnęła się przez łzy. Otarła oczy i jeszcze raz przytuliła się do matki.
- Kocham cię, mamoo – wyszeptała.
- Ja też cię kocham, najbardziej na świecie – odpowiedziała Lida. – Będziesz już musiała wracać, dobrze? Żeby się Miro nie martwił.
- Dobrze, mamoo – zgodziła się Saja przez łzy. – Ale zostaniesz ze mną, prawda?
- Zostanę, obiecuję – odpowiedziała matka, delikatnie odpychając dziewczynę.
- Saja zapadła się w nicość.
- \*\*\*
- Miro! Ruchy z tą wodą! – usłyszała jak przez mgłę. Chwilę potem kłująca fala lodowatej wody załapała jej twarz. Saja poderwała się z ziemi, krztusząc się, kaszląc i odruchowo zasłaniając się ramieniem.
- Co, parchy?! – wykaszała, odzyskawszy oddech.
- No i proszę. – Miro już klęczał przy niej; na jego twarzy malowała się wyraźna ulga. – Widzę, że już pchełce lepiej?
- Lepiej, lepiej – odburknęła Saja.

- Otarła mokrą twarz i krzywiąc się poruszyła obolałą z jakiegoś powodu żuchwą.
- Trzeba było od razu polewać wodą? – zapytała.
  - W pysk ci kilka razy dalim, ale nie pomogło – radośnie wtrącił Wars.
  - Cud, że w ogóle się obudziłam... – mruknęła dziewczyna, podnosząc się na nogi.
  - Nie marudź. – Miro delikatnie podtrzymał ramię Sai. – A to ja nie wiedziałem, że ty z tych mdlejących.
  - Prawda, na twardą wyglądała – zgodził się Sawa.
- Dzięki, dziewczyny – pomyślała Saja zgryźliwie. – Delikatnego kwiatka ze mnie zrobiliście.*
- *Do usług, kochana* – roześmiany głos Nyss odezwał się w odpowiedzi.
  - *Mam nadzieję, że to cię czegoś nauczy na przyszłość* – dodała matka.
  - Zaraz ty z mdlejących będziesz – kąśliwie powiedziała Saja, uwalniając ramię z dłoni Mira. – Dziękuję, już mi lepiej.
  - No i dobrze! – stwierdził Wars. – To posiedź sobie tu jeszcze chwilkę, a my tylko ryby pozbieramy. Trzeba by się zabrać do domu przed zmierzchem.
- Saja z westchnieniem ulgi usiadła na jeszcze ciepłym od słońca piasku. Pomimo otępienia zwykle towarzyszącego powrotowi z mglistego świata dziewczyna czuła się szczęśliwa i lekka jak piórko. Radosny uśmiech rozpromienił jej twarz. *Kocham cię, mamo* – pomyślała.
- *Ja też cię kocham* – odpowiedział miękko głos matki.
- Saja rozejrzała się dookoła. Wyglądało na to, że piaszczysta plaża rozciągała się pomiędzy brzegami szerokiej Sławiny i uchodzącej do niej Lady. *Niedaleko stąd do Gniewu...* – pomyślała dziewczyna. Niemal poczuła kojące dotknięcie dłoni matki.
- *Pomścisz nas, kochanie* – usłyszała ciepły głos Lidy. – *Nic więcej nie możesz zrobić. Teraz to tylko miejsce.*
  - *Wiem, mamo* – pomyślała dziewczyna w odpowiedzi. – *Wiem...*
- Podciągnęła kolana do piersi i objęła nogi ramionami. Pozwoliła, by wiatr osuszył spływającą po policzku łzę. W milczeniu przyglądała się pracującym przy brzegu rzeki mężczyznom. Wars i Miro ścigali właśnie sieci z rzeki. Sawa, z wiadrem pełnym ryb, pilnował Muszki. Ogromna, niedowidząca niedźwiedzica czuła zapach złowionych ryb i usiłowała wejść do rzeki, płacząc przy tym sieci. Sawa z godną podziwu cierpliwością machał rybami przed jej nosem, zachęcając uparte zwierzę do pozostania na plaży. Skra, zachwycony towarzystwem, latał jak szalony po piasku, to wyjąc, to szczekając radośnie.
- *To ci leśnicy?* – zapytała Wena w głowie Sai. – *Sawa i Wars?*

– *Tak powiedział Miro* – odpowiedziała Saja. – *Myslałam, że ich znałaś?*  
– *Ty w ogóle nie przeglądasz tych wspomnień...* – z westchnieniem stwierdziła babka.

– *Babciu, ale to naprawdę bardzo trudne... Tyle jest tego w mojej głowie, nawet nie wiem, od czego zacząć. Czasem mi się samo przypomina... Ale znaleźć coś trudno.*

– *Bo trzeba mieć w głowie porządek, a nie takie byle co* – odparła Wena łagodniejszym tonem. – *Jak będzie trochę czasu, to ci pokażę, jak to wszystko poukładać.*

Pracujący na brzegu mężczyźni w końcu wypełnili rybami ostatni kosz i załadowali cały połów na szeroki grzbiet Muszki. Sawa na zmianę z Warssem prowadzili teraz ogromnego niedźwiedzia przez piaszczystą plażę, używając ryb jako przynęty.

– *To znałaś ich czy nie?* – dopytywała się Saja.

– *Nigdy ich nie spotkałam, ale to była taka sławna historia...* – zaczęła Wena. – *Będzie pewnie ze dwadzieścia lat temu. Uratowali córkę Pera Wernadzia, żupana Zatonia. Nie pamiętam dokładnie, ale podobno zaatakował ją niedźwiedź albo może dzik, kiedy była z ojcem na polowaniu. Sawa i Wars uratowali dziewczynę i z wdzięczności żupan dał im na własność cały las. Leśnicy na tej ziemi to jak udzielni władcy. Nikt nie może się tu osiedlić, zwierzyny łowić, nawet jednego drzewka ściąć. Wtedy też Per zaczął się troszczyć o lasy i zwierzynę. Pamiętam, jak dopraszał się o widzenie, żeby uchwalić prawo przeciw kłusownictwu. Że to niby kłusownicy zabijają zwierzęta w złym czasie.*

– *I podpisałaś to prawo!* – ucieszyła się Saja, w końcu przypominając sobie coś z życia babki. – *Powołałaś urząd leśnika!*

– *No proszę, może jeszcze będzie z ciebie Witia* – pochwaliła wnuczkę Wena.

Przedziwna procesja ludzi, niedźwiedzia i wilka zbliżała się już ku dziewczynie.

– *Wskakuj na Muszkę, Saja!* – Miro machnął ku niej ręką. – *Ja tylko pójdę po konie i spotkamy się na miejscu.*

Saja poderwała się na nogi. Podbiegła do opiekuna, który złapał ją w pasie i zręcznie posadził na kudłatym grzbiecie niedźwiedzia.

– *Nie będzie jej za ciężko?* – zatroszczyła się dziewczyna.

– *A tam, za ciężko!* – odparł Sawa znad wiadra ryb. – *Muszka to taka leniwa, że jak jej za ciężko, to się po prostu kładzie i za nic nie pójdzie dalej.*

Miro gwizdnął na Skrę i zniknął w lesie. Saja usadziła się wygodniej na grzbiecie niedźwiedzicy, która zdawała się nawet nie odczuwać dodatkowego ciężaru.

– *A Muszka to stara jest?* – zagadła dziewczyna do idącego obok Warsa.

– Stara dziewczynka, będzie już ze dwadzieścia lat, nie, Sawa? – odpowiedział brodaty mężczyzna.

– Ano będzie – odparł Sawa. – Tak po prawdzie to myślelim, że się nawet już w tym roku nie obudzi.

– Ale jak Mira zobaczyła, to od razu jej lat ubyło, nie, Sawa? – dodał Wars.

– To się Miro z Muszką dobrze zna? – dopytywała się Saja.

– A Miro nic panience nie powiedział? Toż oni się razem wychowywali! – rzekł Sawa, machając kolejną rybą. – To smutna historia w sumie... Wars, ty opowiedz, ty wtedy z młodym byłeś.

Wars odchrząknął kilka razy, poprawił półkożuszek i zaczął opowiadać:

– To było kilka miesięcy po tym, jak Miro uciekł z domu.

– Miro uciekł z domu?! – zdziwiła się Saja.

– Uciekł, uciekł – odpowiedział Sawa. – Ale nie przeszkadzaj, dziewczyno, jak się historia zaczyna.

Saja, zawstydzona, zasłoniła usta dłonią. Wars spojrział na nią karcąco, odchrząknął i zaczął jeszcze raz:

– Jak już mówiłem, to było kilka miesięcy po tym, jak Miro uciekł z domu. Goran, jego ojciec, chciał go przyuczać do kowalstwa, ale młodemu to za nic nie szło. Nikt nie zliczy, ile to razy ojciec z synem na siebie wrzeszczeli. A że Miro był zawsze raptus, to raz się miarka przebrała, wskoczył na konia i pojechał w las. Jak pojechał, to nie stanął, dopóki nie zajechał na naszą plażę. Pogadalim sobie z nim, ja i Sawa, to w końcu chłopak do domu wrócił. Ale potem to już w odwiedziny często przyjeżdżał. Uczylim go o zwierzętach, o lesie, ślady czytać i takie tam.

Któregoś dnia zabrałem Mira, żeby oglądać młodego niedźwiadka. Była taka niedźwiedzia gawra niedaleko, a że ten niedźwiadek był przezabawny, to i chciałem go pokazać chłopakowi. Tego dnia Per, niech mu Kuźnia ciepłą będzie, żupan z Zatonia, wymyślił sobie, że na niedźwiedzie będzie polował. Per to jeszcze młody wtedy był i taki głupi, że szkoda gadać. Wybrał się na to polowanie z całą świtą i nawet córeczkę swoją małą zabrał. Wytropili tę niedźwiedzicę i bez pomysłu i planu zaczęli do niej mierzyć z łuków. A zwierzak, broniąc małego, jak się nie rozjuszy. Rozerwała wtedy pewnie ze dwóch ludzi na pół. Ja to z Mirem tylko z drzewa patrzyliśmy i się zaśmiewaliśmy. Jak głupi umiera, to nic, tylko śmiać się trza – bo sam sobie winien! No, ale jak się niedźwiedzica za Rózię, Perową córkę, zabrała, to już nam do śmiechu nie było. To żem zeskoczył z drzewa, wziąłem oszczep i niedźwiedzia utłukłem. Miro, jak to zobaczył, to mało mnie gołymi rękami nie udusił, tak się zezłościł. Pobiegł do Pera i jak mu z piąchy



nie przywali, mordercą go nazywa, pokazuje tego niedźwiadka, co to przy matce siedział i płakał. Ja to myślałem, że już Miro stracony...

Perowa córka, Rózia, tak się wzruszyła losem niedźwiadka, że zaraz stanęła obok Mira i jak na ojca nie zacznie wrzeszczeć. A że Per poza córką świata nie widział, to się zaraz na kolana rzuca przepraszać. Ja to aż oczy przecierałem, bo, Kował mi świadkiem, nigdy żem takich cudów nie widział, żeby żupan wieśniaka na kolanach przepraszał. I tak mu córka kazała przepraszać, że aż Per nam z Sawą cały las dał i mówi, żeby się zajmować tym osieroconym niedźwiadkiem.

Od tamtej pory Miro jeździł do domu tylko co kilka dni, tyle, żeby matkę uspokoić. A resztę czasu to u nas spędzał i Muszką się zajmował. A Rózia, córka żupana, też przyjeżdżała często, nie, Sawa?

– A przyjeżdżała – zgodził się Sawa. – Toż Rózia z Mirem to się tak kochali, jak nie przymierzając ja z Warssem. Ale też żupan miał inne plany i córkę za wojwodę chciał wydać.

– Bo ta żupania córka to piękna była nad wyraz – podjął opowiadanie Wars. – I jak ją ten wojwoda z Ortyszu zobaczył, to od razu ją za żonę chciał. Miro się wściekł, chciał już w Ortyszowe góry jechać, krwi szukać. Potem chciał uciekać z Rózią do Żeglarzy. Ale dziewczyna bardziej chyba ojca kochała niż Mira, nie, Sawa?

– Ano widać tak... – potwierdził Sawa. – Pojechała w te góry, za mąż wyszła. A Miro to w takiej żalości był, że na wojaczkę poszedł...

– Biedny Miro... – wzruszyła się Saja. – To ja myślałam, że on żonę miał? Jakies kobiece suknie znalazłam w jego chacie.

– To młody ci nic nie powiedział? – zdziwił się Wars. – Toż jego matka umarła zeszłego roku. Ojciec też. A siostra i brat zaginęli. Miro dopiero na jesień wrócił do Szubinek, zaszył się w domu rodzinnym, w żalości takiej. Ja to sobie myślę, że jakby nie Skra, to już by się Miro dawno powiesił, nie, Sawa?

– Też tak sobie myślę – zgodził się Sawa. – Jeszcze jesienią nas odwiedzał, z Muszką się bawił. Ale jak stara – tu mężczyzna poklepał czule siwy pysk niedźwiedzicy – poszła spać, to już młodemu w ogóle przestało zależeć. Pamiętam, tylko siedział i patrzył się na tę gawrę, jakby na wypalony stos własnej matki.

Saja, zasluchana w smutną historię, nawet nie zauważyła, że doszli już do wielkiego drewnianego domu.

– Wy tu dwór cały macie! – wykrzyknęła w podziwieniu.

– A my urzędowi przecież, mianowani leśnicy – z dumą odpowiedział Sawa. – To przecież w lepiance nie uchodzi, nie, Sawa?

– Nie uchodzi – zgodził się Wars, zatrzymując Muszkę i poklepując ją czule. – Komin tu nawet mamy. I stajnię. A płot widziałas?

– Widziałam. – Saja przypominała sobie udekorowane czaszkami ogrodzenie. – Straszny trochę...

– Bo i ma być straszny! – ucieszył się Wars. – Niby napisane mamy, że nikt tu się nie może osiedlać, ale wiesz, jak to jest. Porządny płot lepszy od pergaminu, nie, Sawa?

Sawa kiwnął głową na znak, że się zgadza i wyciągnął ręce ku Sai, by pomóc jej zejść z grzbietu niedźwiedzicy.

– Tylko mi tu nie zasłabnij – ostrzegł ją, uśmiechając się przyjaźnie.

– *Ależ on cudny!* – zachwyciła się Nyss.

– *Całkiem, całkiem* – zgodziła się Ioni.

Saja potrząsnęła głową, odzwyczajona już od rozmów z przodkiniami. *Jak mnie zemdlejecie, to przysięgam, żeby wam powybijam!* – ostrzegła ciotki w myślach.

– *Ciekawe jak!* – zakpiła Ioni.

Sawa odczepiał właśnie kosze z grzbietu Muszki. Silne pomimo podeszłego wieku mięśnie napinały się pod rozpiętym półkożuszkiem. Ramieniem odgarnął z twarzy czarno-srebrne kosmyki włosów.

– *Na bogów, ależ on cudny!* – Głos Nyss znów odezwał się w głowie Sai. – *Że też tacy zawsze mężów wolą...*

– *Też to zauważyłaś?* – zapytała Ioni.

– *Dziewczyny!* – Karcący głos Lidy przerwał tę wymianę zdań. – *Nie rozpraszać mi, proszę, córki!*

– *Dziękci, mamó!* – pomyślała Saja z ulgą i rzuciła się, by pomóc w rozładunku ryb.

– Mała – Wars spojrzał na chude ręce dziewczyny – może ty lepiej naszykuj stajnię. Ani patrzeć, a Miro będzie z wierzchowcami wracać. Przy tych koszach to jeszcze żyłka ci jakaś pęknie.

Saja aż sapnęła z oburzenia. Nie przejmując się sugestią Warsa, złapała za rączkę kosza i napięła mięśnie. Chwilę później, czerwona na twarzy, do wtóru śmiechów obu mężów walnęła tyłkiem w uklepaną ziemię. Kosz ani drgnął. Podniosła się z ziemi i otrzepała ręce.

– To ja pójdę do tej stajni. I tak na koniach się lepiej znam – oznajmiła, okręcając się na pięcie.

– No, lubię tę dziewczynę! Uparta jak nasza Muszka! – usłyszała jeszcze donośny głos Warsa.

Saja właśnie odstawiała widły w kąt stajni, kiedy Miro wrócił z wierzchowcami. Dziewczyna, wciąż jeszcze wzruszona smutną historią opiekuna, podbiegła do niego i pod wpływem impulsu rzuciła się mu na szyję.

– Kocham cię, Miro – powiedziała, przytulając się mocno do jego szerokiej piersi.

Miro, zaskoczony tym wylewnym przywitaniem, niezgrabnie poklepał chude plecy dziewczyny.

– Już dobrze, pchło – wymamrotał. – Już dobrze...

Niezgrabnie odczepił kościste ramiona ze swojej szyi i delikatnie postawił Saję na ziemi. Przykucnął, chwycił dłonie dziewczyny i patrząc jej prosto w oczy, stanowczym głosem powiedział:

– Ale jeżeli jeszcze raz tak głupio rzucisz się na kogoś w mojej obronie, to przysięgam na Kowadło i Młot, dobrze nie będzie.

Saja, zawstydzona, pokiwała tylko głową.

– Rozumiemy się? – zapytał Miro.

– Tak, Miro....

– No, to do roboty – powiedział mężczyzna lekkim już tonem. – Konie rozsiodłać, oczyścić, nakarmić, a ja się wezmę za strawę.

– Tak, Miro! – Saja rzuciła się do koni.

Oporządziła wierzchowce z wprawą i szybkością, której niejeden stajenny mógłby jej pozazdrościć. Była głodna i zmęczona, ale jednocześnie czuła się bardzo szczęśliwa. Jej połamany na drobne kawałki świat powoli układał się z powrotem w coś, co można by nazwać rodziną. Uśmiechała się promiennie, odwiązując zawiniątko z ziemią z uroczyska. *No, to teraz was nakarmię, siostry!* – pomyślała.

– *Na Matkę i Staruchę, co to jest?!* – Przerażony głos matki wyrwał Saję z błęgiego nastroju.

– *A co ma być?* – odpowiedziała dziewczyna. – *Rusałki przecież.*

– *Żywio, pomóż nam!* – Głos babki wypełniony był trwogą.

– *No to pojechałaś, dziewczyno.* – Ioni najwyraźniej była pod wrażeniem. – *Rusałki... Tego jeszcze nie było...*

– *No to przecież wyrzucić trzeba.* – Lida uspokoiła się nieco. – *Do Sławiny najlepiej.*

– *Nikt ich nie będzie wyrzucał!* – Saja przytuliła zawiniątko ochronnym gestem. – *Przecież to są dzieci!*

– *To są potwory!* – rzeczowo stwierdziła Wena. – *Potrafiają wyrznąć całe wioski, jak im się znudzi siedzieć na uroczyskach!*

– *Nie ma mowy! Obiecałam im dom i ich nie zostawię!* – oznajmiła Saja głosem nieznoszącym sprzeciwu.

– *Lida, zrób coś!* – zażądała babka.

– *Mamo, ani się waż!* – nie poddawała się wnuczka. – *Rusałki zostają! Uratowały mi życie.*

– *Ale co ty z nimi zrobisz, jak zgłodnieją?* – z troską zapytała matka.

– *Nie zgłodnieją, karmię je przecież* – odparła Saja.

– *Karmisz je?!* – głowa dziewczyny aż zadzwoniła od wrzasku Weny.

– *Bogowie, ona je karmi* – powiedziała Ioni z niedowierzaniem.

– *A karmię!* – odparła rezolutnie Saja, pozwalając złotemu blaskowi spłynąć wzdłuż palców.

Cisza w głowie dziewczyny była jedyną odpowiedzią przodkiń. Zadowolona, przepelniona szczęściem Saja usiadła wygodniej na klepisku i oparła policzek o wilgotne zawiniątko.

– *Bogowie...* – usłyszała jeszcze westchnienie matki.

---

<sup>17</sup> Nęty – prostytutki.

<sup>18</sup> Szyk – jednostka wojska daborskiego. Szyk składa się ze stu wojów, dowodzony jest przez mistrza.

<sup>19</sup> Szyk Drzewa – elitarna jednostka wojska daborskiego, zajmująca się ochroną Witii. Członkowie Szyku Drzewa popularnie nazywani są korowymi.

# KOZDZIAŁ 6

*I tylko ból płacze w sercu i pustka  
I tylko chłód tuli ciało i myśli  
Znany świat splotnął  
A język ognia  
Mą przyszłość piętnem przekreślił*

Pieśń rodu Drewian

– Alwino, już za tobą tęsknię – wyszeptał wytwornie ubrany mąż, ściskając jędrny pośladek tulącej się do niego kobiety.

– Kalinie! – Alwina żartobliwie uderzyła okryte gronostajowym futrem ramię mężczyzny. – Jeszcze ci mało?!

– Mnie? – Kalin wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i dumnie wyprężył pierś. – Nigdy!

Na piękną twarz Alwiny wypłynął wyraz smutku i zamyślenia. Kobieta sięgnęła smukłą dłonią do szyi Kalina. Delikatnie pociągnęła za cienki łańcuszek, by wyciągnąć ukryty pod ubraniem mężczyzny medalion. Otworzyła puzderko i poprawiła schowany w nim, zaplątany w wymyślny węzeł pukiel ciemnych włosów. Zamknęła srebrny medalion w dłoni, po czym przytuliła się mocniej do kochanka.

– Nie zapominaj o mnie w tym Zatoniu – powiedziała, ocierając łzę. – I wracaj, wracaj szybko!

– Alwino, ukochana. – Kalin pocałował czubek głowy kobiety. – Z medalionem czy bez, myślę o tobie w każdej chwili dnia i nocy. Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. Wykurzę te staruchy i wkrótce będziesz mogła pojechać ze mną.

– Będę się za ciebie modlić! – wyszeptała Alwina przez łzy.

Kalin pocałował kochankę, po czym dosiadł czekającego nieopodal, osiodłanego konia. Po chwili odjechał leśnym traktem, śląc ostatnie pocałunki ku zapłakanej, drżącej w chłodzie poranka kobiecej postaci.

Alwina patrzyła za odjeżdżającym mężczyzną, ocierając łzy z gładkich policzków. Poczekwała, aż jeździec zniknie pomiędzy drzewami, po czym szybkim krokiem podążyła jego śladem. Na skraju lasu pochyliła się i podniosła drobny

przedmiot, leżący na ubitej ziemi traktu. Zadowolona z oględzin wstała, otrzepała suknię i wróciła do zbudowanego na leśnej polanie drewnianego dworku. Starannie zamknęła drzwi i z westchnieniem ulgi oparła się plecami o ścianę.

– Co za wypierdek... – powiedziała z niesmakiem, potrząsając głową. – Myślałam, że się już go nie pozbędę.

Poprawiła suknie i energicznym krokiem przemierzyła przestronną izbę. Pochyliła się nad jedną ze stojących w kącie skrzyń.

– No, zobaczymy, czy wracają ci obsrani woje – mówiła do siebie, przerzucając suknie. – Żeby tyle czasu się za jednym dzieciakiem uganiać.

Podniosła się znad skrzyni ze zwojem pergaminu i pięknie zdobionym nożem w dłoni. Sięgnęła po olejną lampkę, zapaliła ją od płonącego w kamiennym palenisku ognia. Siadła przy drewnianym stole na środku izby. Ostrożnie rozwinęła sztywny brązowy zwój i przesunęła go ponad płomieniem lampki. Ogień lizał gładką powierzchnię cienkiej karty, nasączając pergamin światłem, lecz nie paląc go. Alwina delikatnie położyła kartę na stole. W milczeniu obserwowała pojawiające się na niej linie. Cienkie, wyglądające jak pęknięcia kreski zaczęły poruszać się i spletać tworząc obraz rzek, lasów i wzgórz. Alwina sięgnęła po nóż. Nakłuła palec, po czym wycisnęła kroplę krwi, pozwalając jej opaść na gładką powierzchnię pergaminu. Czerwona kropla jeszcze w powietrzu rozdzieliła się na osiem małych części, które jak żywe rozpląnęły się po mapie. Jedna czerwona kropka pospieszyła ku górze i podążała powoli przed siebie. Siedem krwistych plamek zgromadziło się na południu i zastygło nieruchomo tuż przy linii rzeki. *Co oni tam robią tyle czasu?* – zastanawiała się, oblizując krew z palca. – *Na dupy poleźli czy jak?*

– Jak zwykle, sama muszę się wszystkim zająć – powiedziała z kwaśną miną.

Przesunęła dłonią nad pergaminem, który pod jej dotknięciem zmieniał się z powrotem w pusty, brązowy zwój. Odłożyła magiczną mapę i nóż do skrzyni, zamknęła starannie wieko i sięgnęła po stojący w kącie gruby drewniany kostur. W jej dłoni solidny kij zatańczył w powietrzu, jakby wyrywając się do lotu. Alwina wyszła na dwór i starannie zamknęła za sobą drzwi.

*Przynajmniej śniadania poszukam po drodze...* – pomyślała, po czym dostojnie dosiadła kostura i uleciała pomiędzy drzewa.

\*\*\*

Stojko, wojski Zatonia, z westchnieniem usiadł na drewnianej ławie. Oparł łokcie o stół i z jeszcze głośniejszym westchnieniem schował twarz w splecionych

dłoniach.

– Bogowie, dajcie mi siły... – wyszeptał zmęczonym głosem.

Duszka, żona wojskiego, podniosła wzrok znad dymiącego garnka. *Pewnie znowu ten Kalin...* – pomyślała – *żupan od siedmiu boleści*. Spojrzała na męża z troską. Stojko, jak zwykle kiedy był zmęczony i zły, zawzięcie drapał bliznę po straconym w bitwie oku.

– Urzędów się, psiajucha, zachciało... – marudził wojski. – Trza mi było na tych Lisich Polach zostać...

*Bogowie, ten znowu o tych Polach...* – pomyślała Duszka, z niezadowoleniem kręcąc głową. – *To już będzie chyba ze trzeci raz w tym miesiącu. Zalażł mu ten Kalin za skórę jak nic.*

Legendarna bitwa na Lisich Polach miała miejsce osiemnaście lat temu. Dzięki informacjom zdobyтым przez wywiad Witii wojska Veita, księcia Lobardii, poniosły wtedy sromotną klęskę. Siły Daboru wyszły z tej bitwy niemal bez strat. *Ale Stojko i tak oberwał* – pomyślała kobieta, przeklinając brawurę męża. Po Lisich Polach Duszka pod groźbą przecięcia swačby<sup>20</sup> zabroniła mężowi sięgać po broń. Nigdy nie żałowała swojego uporu. Po wystąpieniu z drużyny Stojko został mianowany wojskim Zatonia i jako prawa ręka żupana radził sobie doskonale. *Dopóki się ten Kalin nie przyplątał.*

– W Drużynie to przynajmniej wróg jest wróg, a przyjaciel przyjaciel – marudził wojski. – A tu?... Nic tylko się pociąć.

– Już nie gadaj, Stojko! Jeszcze licho<sup>21</sup> skusisz! – Duszka strofowała męża, oburzona jego lekkomyślnymi słowami. – Trza ci bogom dziękować, żeś tylko oko tam zostawił, a nie życie!

– I co mi z tego? Nic tylko mozól i mitręga... Tak to przynajmniej bym w Kuźni się wygrzewał – odparł wojski z ponurą miną.

– No, przestań już! – Kobieta podeszła do drzwi i aby ułaskawić złe duchy, wysypała na dwór garść mąki. – A co ja tu bym bez ciebie zrobiła? Kto by moje gotowanie chwalił?

– Ja tam lubię spaleniznę. – Pomimo znużenia Stojko uśmiechnął się do żony. – A też z twoją buzią zalotników pewnie byś w tydzień uzbierała z tuzin!

Duszka spojrzała na męża z lubością. *Jak tu się na niego złościć?* – pomyślała, niezmiennie od trzydziestu lat urzeczona łobuzerskim uśmiechem męża.

– To co ten Kalin znowu wymyślił? – zapytała w końcu zrezygnowanym tonem.

– Duszko, Duszko, szkoda gadać... – Stojko masował pobrużdżone zmarszczkami czoło. – Stary Wernadź to się pewnie w Kuźni ze wstydu pali. Per



dobry chłop był, sama wiesz, kochałem go jak brata, ale ten jego syn, Kalin... – Mężczyzna zwiesił głowę bezradnie.

Stojko znał Pera Wernadzia od dziecka. Wychowali się razem, razem zaciągnęli się do Drużyny Witii. Razem zarządzali Zatoniem – Per jako żupan, Stojko jako wojski. Przez lata przyjaciele wspierali się i pracowali razem dla dobra Zatonia. Aż do zeszłego roku, kiedy to Per poległ w kolejnej bitwie z Lobardią. Wtedy to do Zatonia powrócił Kalin.

– Pamiętasz te cła z zeszłego roku? – podjął Stojko. – Te, co to młody Wernadź się o nie w Sławie tak pięknie wyklócił?

Duszka skinęła głową na znak, że pamięta.

– No to żem myślał – kontynuował Stojko – że jak tyle złota do skarbcza płynie, to jak nic, więcej wojska się wystawi, żeby się przed tymi rabusiami z lasów bronić. A ten chłopak teraz planuje, że za to złoto będzie ten, jak mu tam... ten kloster budował.

– Kloster? – zdziwiła się Duszka. – Ten, co to munkowie tam żyją?

– Ten sam! – Mężczyzna w złości aż walnął pięścią w stół. – Lobardzki, psiajucha, kloster będzie budował. Mówi, wyobraź sobie, że taki kloster to jak nic się w Zatoniu przyda, że to niby wino będą ci munkowie robić, ludzi leczyć i dzieci uczyć. I jeszcze mówi, słuchaj, że o nowym bogu nas będą munkowie uczyć, bo nasza Czwórka to zabobony!

– Matko i Starucho! – Przestraszona nagle Duszka wykreśliła święty symbol koła na piersi. – Żeby z tego gadania jakieś nieszczęście nie wyszło! Toż to Darne Gody dopiero wczoraj były! Jeszcze Dari usłyszy!

– No przecie mówię, kobieto! – Stojko niemal darł włosy z głowy. – A jeszcze wiesz, gdzie on ten kloster będzie stawiał?! Przy Ladzie, na ziemi Sawków!

– No to przecież nie postawi! – ucieszyła się kobieta i wróciła do nakładania strawy. – Sawkowie mu w życiu nie pozwolą.

– Też żem tak myślał! Ale Kalin mówi, że jak już Witii nie ma, to i ziemię Sawkom można zabrać! Podobno nasz żupan, żeby go trzasło, dostał jakiś list ze Sławy. List od uczonego w prawie, rozumiesz, co to mówi, że bez Witii stare prawa już nieważne i ziemię można Sawkom zabrać!

– Że też ten Kalin bogów się nie boi... Nigdy się młody Wernadź ze starym nie lubili, ale żeby tak od razu nadania własnego ojca odwracać...

Kalin przejął urząd żupana po śmierci ojca. Mąż Duszki sam po niego posłał, spodziewając się, że młody Wernadź z radością podejmie dzieło ojca i będzie polegał na doświadczeniu i radach starego przyjaciela rodziny. *Stojko zawsze miał słabość do tego Kalina* – pomyślała Duszka z goryczą. – *I co mu z tego przyszło?*

*Też, po prawdzie chłopak łatwego życia nie miał.* – Pochylona nad miską Duszka pogrążyła się we wspomnieniach. Doskonale pamiętała, jak Per niemal powiesił się z żalości, gdy jego ukochana żona umarła wydając na świat Kalina, jedyne go syna żupana. *Pewnie dlatego stary Wernadź nigdy serca nie miał do chłopaka. Córkę Rózię na rękach nosił, ale syna to zawsze tak szorstko jakoś... No i wystął Kalina do szkół do Sławy, jak tylko chłopak był wystarczająco duży, by na koniu sam usiedzieć. A ze Sławy to już Kalin sam do Trybaldy wyruszył...*

Niestety, okazało się, że lata spędzone na naukach w Trybaldzie zmieniły Kalina nie do poznania. Młody żupan zdawał się nie mieć ani szacunku do daborskich tradycji, ani zrozumienia dla sposobu życia mieszkańców Zatonia. Z narzekań Stojka wynikało, że Kalin wymyślił sobie, aby z małego daborskiego grodu uczynić nowy Trybald. Na nieszczęście młody Wernadź odziedziczył upór po ojcu, a bystry umysł po matce. Miał też mnóstwo znajomości w Sławie i Lobardii. Mąż Duszki obawiał się, że Kalin po trupach i zgłiszczach może dopiąć celu i zrealizować swoje trybaldzkie mrzonki.

Kobieta spojrzała na męża z troską. Stojko żuł strawę z ponurą miną. Mięsień na jego policzku drżał nerwowo, a krzaczaste, siwe brwi rozdzielone były głębokimi, zwykle ledwie widocznymi bruzdami zmarszczek. *Jak nic jeszcze coś go gryzie* – pomyślała Duszka.

– No to co jeszcze ten Kalin wymyślił? – zapytała męża.

Stojko wpatrywał się w miskę bryi i żuł w skupieniu. Spojrzał przelotnie w błękitne, przenikliwe oczy żony. Wzruszył ramionami i ze zrezygnowaną miną odwrócił wzrok.

– No przecież widzę, że coś cię jeszcze gryzie – naciskała Duszka, czułym gestem dotykając spracowanej dłoni męża.

Mężczyzna cofnął dłoń i nerwowo podrapał się po pustym oczodole. Starannie odłożył drewnianą łyżkę na stół, westchnął kilka razy i trąc dłonią nieogolony policzek, oznajmił:

– Kalin chce przegonić zielarki i wyciąć Święty Gaj.

Zaskoczona Duszka spojrzała na męża szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. Po chwili, jakby przemyślawszy nowiny, wybuchła głośnym śmiechem.

– Przegonić zielarki! – wykrztusiła chichocząc. – A to pyszne! To jakby przeganiać wodę ze Sławiny!

Śmiech kobiety gasł powoli pod poważnym spojrzeniem męża.

– No jak to, Stojko? Toż z Zatonia kamień na kamieniu nie zostanie, a staruchy ciągle tu będą. Te baby się nigdy nie dadzą z Gaju ruszyć.

– Też tak myślałem, kobieto – odparł zirytowany wojski. – Ale chłopak nie żartuje. Może i łeb ma wypchany bzdurami z tych lobardzkich szkół, ale głupi Kalin nie jest. Podśluchałem, jak z tym Elią po hemarsku szwargotał. Biegły w tej psubrackiej mowie nie jestem, ale na pewno dobrze rozumiałem. Podobno mają sposób, jak się zielarek na dobre pozbyć. Czarownicę jakąś znaleźli do pomocy.

Duszka upuściła łyżkę i zasłoniła usta dłonią.

– Nie... – wyszeptwała.

– A tak... – Stojko pokiwał smutno głową. – Nasz żupan twierdzi, że zielarki tylko ludziom w głowach mącą, a te cisowe drzewa są warte fortunę, jeśli się drewno sprzeda.

– Stojko! – Zatrokana Duszka chwyciła dłoń męża. – Przecież ty coś musisz zrobić!

Mężczyzna wyrwał dłoń z uścisku żony i gniewnie uderzył pięścią w stół. Gwałtownie wstał z drewnianej ławy. Wzburzony zaczął przemierzać izbę.

– A co ja mogę, psiajucha, zrobić?! – zagrzmiał ze złością. – Do Sławy napisać?! Tam się bardziej zajmują kłótniami o tron Witii niż sprawami Daboru! Pisałem już przecież zeszłej jesieni, jak Kalin wojsko zaczął rozpuszczać. Do tej pory żadnej odpowiedzi nie było! Poza tym młody Wernadź ma w Sławie tylu znajomków, że zaraz się wszystko wyda. Jeszcze mnie za zdradę będą wieszać.

– No to idź do Gaju, staruchom powiedz! – nie ustępowała Duszka.

– Toż staruchy go na papkę przerobią! – Wojski w końcu przestał krążyć po izbie, stanął przed żoną i bezradnie rozłożył dłonie. – Perowego syna będę miał na sumieniu!

Duszka patrzyła na męża zaniepokojona. Stojko, zawsze silny, pewny siebie i gotowy na nowe wyzwania, zdawał się teraz załamany, niemal bezradny. *Przekleństwo na tego Kalina i jego lobardzkie pomysły. Zatonie niech i sobie urządza, ale od mojego Stojka to wara!* Zacisnęła gniewnie usta. *Sama do zielarek pójdę* – zdecydowała, zdeterminowana, by stanąć w obronie rodziny. Wstała od stołu, położyła dłoń na ramieniu męża i lekkim tonem rzekła:

– Wiesz, Stojko, nic tu przecież nie uradzimy. Może ty idź lepiej do karczmy, pogadaj z Newenem. On w świecie był, różne rzeczy widział, może i coś doradzi?

Stojko popatrzył na żonę zaskoczony.

– Do karczmy? – zapytał, jakby nie wierząc własnym uszom. – Do karczmy mnie wysyłasz?

– A do karczmy! – odparła kobieta butnie. – Toż każda żona wie, że czasem mężowi tylko garniec piwa pomoże.

Szeroki uśmiech rozjaśnił ogorzałą twarz wojskiego.

– No, skoro tak mówisz... – odpowiedział z udawanym ociąganiem. – To może i piwo pomoże...

Jakby obawiając się, że żona zmieni zdanie, szybko ucałował jej policzki i w pośpiechu zniknął za drzwiami. Duszka stanęła na progu, patrząc za oddalającym się śpiesznie mężem. Gdy jego krępa postać zniknęła za bramą wiodącą na podgrodzie, sięgnęła po chustę, zamknęła drzwi i zdecydowanym krokiem podążyła ku Gajowi.

\*\*\*

Wiosenne słońce chyliło się już ku zachodowi. Błękit nieba odbijał się w szerokich wodach Sławiny. Lekki wietrzyk rozwiewał starannie ufryzowane, jasne włosy stojącego na wieży strażniczej Kalina Wernadzia. Młody mężczyzna z grymasem obrzydzenia oparł upierścienione dłonie o drewnianą poręcz. *Drewno* – pomyślał z niesmakiem – *wszędzie drewno. Ziemia, słoma, wiklina i drewno.* Ostrożnie, uważając, by zbłąkane drzazgi nie zniszczyły rękawów wytwornej koszuli, oparł ramiona o poręcz strażnicy. Z ponurą miną przyglądał się gęstym zabudowaniom, chaotycznie rozmieszczonym wewnątrz wałów i na podgrodziu. *Ledwie czasem jakaś podmurówka się znajdzie. Co za dziura...* – westchnął zniesmaczony. Z rozmarzeniem wspominał kamienne i ceglane budynki Trybaldu. Ruchliwe ulice. Zatłoczone, brzmiące dziesiątkami języków targi. Muzykantów w licznych karczmach. Głośno rozprawiających, popijających wino żaków. Oznajmiające pory dnia, donośne dzwony kościoła. *A tu? Koguty mnie budzą o świcie!* – Kalin aż wzdrygnął się z obrzydzeniem.

Rozmyślenia żupana przerwały porykiwania wołów i głośne okrzyki rolników wracających z pól. Zrezygnowany Kalin schował twarz w dłoniach. *Boże, daj mi siłę* – modlił się w myślach. – *Panie, napętnij mnie cierpliwością, abym dopełnił twojego dzieła. Poraż swą potęgą tych bezmyślnych wieśniaków!* Pokrzepiony na duchu tą krótką modlitwą, mężczyzna uniósł głowę i ponownie spojrzął na rozciągające się przed nim Zatonie.

Rządzony przez Kalina gród wciśnięty był pomiędzy szeroką Sławiną i uchodzącą do niej, płynącą ze wschodu Rwę. Zatonie otoczone było wysokimi wałami, usypanymi z ziemi i wzmocnionymi drewnianymi palami. Wewnętrzne wały otaczały dwór żupana i przyległe do niego budynki, zamieszkiwane przez wojów zatońskiego szyku. Domostwa mieszkańców grodu znajdowały się zarówno pomiędzy wałami, jak i poza otaczającą zewnętrzne umocnienia fosą. Wysoki, wielorzędowy częstokół ciągnął się pomiędzy Sławiną i Rwą, oddzielając gród i

podgrodzie od żyznych zatońskich pól. W niewielkiej odległości od grodu, chroniony przez drewnianą palisadę, znajdował się wiecznie zielony, zamieszkiwany przez zielarki Święty Gaj.

Zgodnie z tradycją przy każdym daborskim grodzie rósł Święty Gaj. W tym uświęconym przez Matkę i Staruchę miejscu rosły pielęgnowane przez zielarki cisy. Zielarki, zwane inaczej staruchami czy siostrami, zajmowały się leczeniem, organizowaniem i planowaniem obrzędów, doradzaniem ludności oraz wyrobem sławnych na całym świecie daborskich łuków. Każdego roku w każdym Świętym Gaju powstawały cztery łuki. Jeden długi, jeden krótki i dwa podwójnie zakrzywione łuki jezdzieckie. Broń ta, wykonywana z niedoścignionym kunsztem, niezwykle droga w Daborze, poza granicami kraju osiągała niewyobrażalne wręcz ceny. Kalin spojrzał ku cisowym drzewom. Oczami wyobraźni widział już wory złota, zarobione na sprzedaży cennego surowca. *A może by tak te staruchy zostawić? Trzymać pod kluczem i kazać robić te łuki? Tak ze dwa tuziny rocznie...* – rozmarzył się.

Chwilę potem przypomniał sobie, czemu zdecydował się pozbyć zielarek.

– Alwino! – wyszeptał teatralnie. – Wykurzę te śmierdzące staruchy, choćby to miała być ostatnia rzecz, jaką w tym życiu zrobię!

Alwina Godwulf od wielu lat był potajemną kochanką Kalina. Mężczyzna poznał ją jeszcze w Trybaldzie, na dworze księcia Veita. Pochodząca ze starej szlacheckiej rodziny, niezwykle piękna i wykształcona kobieta była wszystkim, o czym młody mężczyzna mógł tylko zamarzyć. Kalin był z siebie niezwykle dumny, kiedy po śmierci jego ojca, Pera, udało mu się przekonać Alwinę, aby przyjechała do Daboru. Młody żupan wyobrażał sobie, że ze swoją ukochaną u boku będzie budować w Zatoniu pierwszy przyczółek zachodniej cywilizacji. Jakiegoż wstydu się najadł, kiedy na widok jego rodzinnego grodu Alwina wydeła piękne usta, zmarszczyła zgrabny nosek i z pogardą w głosie zapytała:

– Tu mam mieszkać?! W tej dziurze? Z tymi śmierdzącymi staruchami? Liebe raczy żartować, czyż nie?

Twarz Kalina oblała się purpurą na wspomnienie tej chwili. Ukochana nie uległa jego błaganiom i prośbom. Pierwszą noc w rodzinnych stronach kochankowie spędzili w małym domku myśliwskim, a następnego ranka Alwina pod obstawą strażników wyruszyła w podróż powrotną do Sławy. Dzięki uprzejmości ambasadora Lobardii piękna Trybaldka zamieszkała w pobliżu stolicy, czekając, aż Kalin przygotuje odpowiednie dla niej miejsce. Od tej pory, od niemal już roku, młody żupan spotkał się ze swoją ukochaną zdecydowanie zbyt rzadko, zawsze albo w myśliwskim dworku, albo w posiadłości ambasadora pod Sławą.

– Alwino – wyszeptał dramatycznie młody żupan. – Moja Alwino... Zbyt długo... zbyt długo nam przychodzi cierpieć tę rozłąkę...

Oparty o ścianę wieży, zapatrzony w przestrzeń, Kalin pogrążył się w tęsknych rozmyślaniach o ukochanej. Wspomnienia długich gęstych włosów, niskiego, z lekka zachrypniętego głosu, krągłych bioder i piersi sprawiały mężczyźnie niemal fizyczny ból w piersi i zupełnie fizyczną, bolesną twardość w podbrzuszu.

– Jebana dziura! – zaklął szpetnie, otrząsając się z tęsknych rozmyślań. – Nawet porządnego zamtuza nie ma!

\*\*\*

Rozparty wygodnie na szerokiej ławie Stojko z lubością wpatrywał się w napełniany klarownym płynem kubek.

– Newen, przyjacielu! – Serdecznie poklepał brodatego karczmarza. – Co ja bym bez ciebie począł!

– Nic, tylko szczęśliwyś marnie – odpowiedział Newen z szerokim uśmiechem. – Oby nam się, bracie! Do dna!

– Do dna!

Siedzieli w przestronnej, niemal pustej teraz izbie karczmy. W dalekim kącie kilka skulonych postaci pochylało się nad stołem. Na kamieniach ogromnego paleniska dopiekały się przyprawione ziołami podpłomyki. Stojąca przy palenisku pulchna żona karczmarza rzuciła mężowi krzywe spojrzenie.

– Uh! – sapnął Stojko, ocierając usta dłonią. – Dobrze to!

– A dobre, nie? – Newen zignorował spojrzenia żony i sięgnął po marynowane grzybki. – Piwo miodowe, wyobraź sobie!

– Piwo miodowe? – zainteresował się wojski. – A to też od Sawków?

– Od Sawków, jakżeby nie! – entuzjastycznie wykrzyknął karczmarz. – Takie zmyślne chłopaki. Tańsze od miodu, a smakuje równie dobrze! Jutro jadę tam do nich, nad Ladę, coby więcej i piwa i miodu przywieźć. Trzeba piwniczki wypełnić, bo jak drogi się otworzą, to nijak czasu na takie podróże nie będzie.

– A to dużo ty tego miodu tu sprzedajesz? Kogo to stać na takie specjały? – zapytał Stojko.

– No przecie ci kupcy z południa, ci co taką ciemną skórę mają i chodzą pozawijani w te płótna. Toż to oni tylko miód i miód żłopiają. Podobno piwa im bogowie zabraniają czy jak.

– Patrz, to nie wiedziałem... – Wojski uniósł krzaczaste brwi w zdziwieniu. – Tyle lat człowiek po świecie łązi i jeszcze się nowych rzeczy dowiaduje. Swoją

drogą to jakiś parszywych bogów tam na południu mają.

– Jak nic, parszywych – zgodził się Newen. – W kieckach im każą chodzić, piwa zabraniają pić...

Zarumieniony od trunku Stojko pokiwał głową w milczeniu. Sięgnął do rozstawionych na stole mis z zakąskami i wybrał kilka solonych kiełbi.

– A widzę, że gości już masz. – Wojski wskazał postaci siedzące w odległym kącie izby. – O tej porze to zwykle pusto.

– Pusto zwykle, to prawda – zgodził się Newen. – A ci tam to muzykanci, rozumiesz. Jadą teraz, dopóki ziemia nie rozmokła. Do Sławy się wybierają, coby tam odwilż przeczekać.

– Muzykanci, mówisz? – Stojko napełnił puste już kubki. – A dobrze muzykują? Może by coś zagrali?

– Zagrają, zagrają... – karczmarz poklepał ramię wojskiego. – Tylko niech się ludziska na wieczór zejdą. Bo to niezwykle przecież o tej porze w karczmie przesiadywać. Aż się dziwię, że ciebie Duszka nie gania?

– A nie gania! – z dumą odparł podchmielony już Stojko. – Moja Duszka to, rozumiesz, taaaki skarb!

– No, jak do karczmy puszca, to musi być skarb – zgodził się Newen, zaplatając dłonie na wydatnym brzuchu. – To może by cię ten skarb ze mną do Sawków puścił, co? Pojechalibym jak za starych czasów, ryb byśmy nałowili. Jak się z flisakami na barce z powrotem zabierzemy, to i w dwa dni obrócim, co?

– Pewnie i puści. Taki kwiatuszek najdroższy... – rozczulił się Stojko.

– No i bogom dziękować, że taką żonkę ci dali. – Newen poklepał wojskiego po plecach. – Nie to, co moja. Nic tylko Newen to, Newen tamto...

Skrzypienie drzwi gospody przerwało narzekania karczmarza. Pierwsi wieczorni klienci rozsiadali się przy szerokich, drewnianych stołach. Newen wraz z żoną zaczęli krzątać się po izbie, podając strawę i trunki. Stojko w błogim nastroju popijał piwo i przyglądał się zarumienionym od wiosennego słońca twarzom mieszkańców Zatonii. Wyglądało na to, że wieść o muzykantach rozniosła się po grodzie, gdyż izba wypełniała się nie tylko spracowanymi mężczyznami, ale i całymi rodzinami z dziećmi. Nastrój radosnego oczekiwania udzielił się nawet obytemu w świecie wojskiemu.

– Zobaczmy, co te muzykanty warte – powiedział sobie Stojko, usadzając się wygodniej na ławie.

Siedem zakapturzonych postaci, przycupniętych do tej pory w odległym kącie, podniosło się teraz i wystąpiło na środek izby. Grupa wyglądała przedziwnie. Jedna postać wydawała się nieludzko wysoka, cztery były malutkie jak dzieci i

tylko dwie stojące po bokach olbrzyma sylwetki zdawały się normalnych rozmiarów. Muzykanci, z twarzami wciąż zasłoniętymi kapturami, stali w milczeniu, nieruchomo, jakby oczekując na uwagę. Posykiwania i okrzyki: „Zamknij gębę!”, „Ciii!” rozległy się w całej izbie i po chwili w gospodzie zapanowała cisza, przerywana tylko trzaskaniem drew w palenisku.

Ogromne dłonie najwyższej postaci powoli uniosły się ku osłaniającemu twarz kapturowi płaszczu. Grube palce chwyciły ciężkie płótno i zamarły. Zgromadzeni w izbie ludzie w napięciu wpatrywali się w milczącego olbrzyma. Atmosferę podekscytowania i oczekiwania można było kroić nożem. Nawet Stojko nieświadomie zacisnął palce na dzbanie piwa. Niemal rozlał trunek, kiedy zakapturzona postać nagle odrzuciła płaszcz, ukazując publiczności zdeformowaną, rozjaśnioną szerokim uśmiechem twarz.

– Witajcie! – wykrzyknął olbrzym niezwykle niskim głosem, rozkładając ramiona w powitalnym geście.

Ludzie zgromadzeni w izbie odpowiedzieli radosnymi okrzykami i brawami. Pozostałe sześć zakapturzonych postaci również odrzuciło płaszcze, ukazując widowni czwórkę szczerbatych i piegowatych dzieci oraz dwie prześliczne, wyglądające identycznie kobiety. Olbrzym ściągnął z pleców gęśle i wykrzyczał do zgromadzonej widowni:

– Zagramy?!

W izbie rozległy się niewyraźne okrzyki i przytakiwania. Olbrzym, jakby niedosłyszając, przyłożył dłoń do ucha, pochylił się ku zgromadzonym ludziom i wykrzyczał jeszcze raz:

– Zagramy?! Tak?!

– Taaaak! – rozległa się zgodna odpowiedź z całej izby.

– To i zagramy! – Olbrzym przyłożył smyczek do strun i wybijając rytm ogromną stopą, wykrzyczał: – Raz! Dwa! Trzy!

Głośna, radosna muzyka wypełniła izbę. Wysoki mężczyzna wygrywał na gęslach jak szalony. Mały, na oko siedmioletni chłopiec wybijał rytm na wielkim bębnie. Pozostała trójka płowowłosych dzieci z pieszczalkami przy ustach podskakiwała w rytm muzyki. Prześliczne bliźniacze siostry stanęły na środku izby i zaczęły śpiewać pięknymi, czystymi głosami:

*Modre oczy Kochna miała,*

*Nimi na Gniewka zerkata.*

*Oj, zerkata ci na niego,*

*Jak na tego jedynego.*

*Modre oczy, modrusieńkie, jak jeziora tonie.*



*Oj, uważaj chłopcze miły, wielu w nich zatonie!*

Kilku mężczyzn rzuciło się odsuwać stoły i ławy, aby zrobić miejsce dla tańczących par. Raz po raz rozlegało się rytmiczne klaskanie męskich dłoni i radosne piski kobiet. Do wtóru wesołej, skocznej muzyki zabawa w gospodzie rozkręcała się na dobre.

– Oj, dobre te muzykanty, co? – wykrzyczał Newen do ucha wojskiego.

– Dobrze, dobrze! – Stojko nie spuszczał wzroku z pięknych śpiewaczek. – Żeby nie Duszka, to bym je zaraz do domu prosił!

– A co ja mam do tego? – Wojski zamarł, gdy w drugim uchu usłyszał głos żony.

– Duszko! – Stojko wyszczerzył zęby w wymuszonym uśmiechu.

*Przerąbane... Mam przerąbane...* – myślał w desperacji.

– Stojko! – odpowiedziała z uroczym uśmiechem żona. – Widzę, że ci Newen doradza w kłopotcie.

– A jak ma doradzać, jak taki ruch – odparł momentalnie otrzeźwiały wojski. – To siedzę sobie cichutko w kącie, jak na dobrego męża przystało. Za to myślałem sobie, Duszko, że może bym z Newenem do Sawków pojechał? W drodze cisza będzie, spokój, pogadać porządnie można.

– Do Sawków, mówisz... Pomyślimy... – wykrzyczała Duszka, ujmując męża pod ramię. – A dobrze mówili ludzie, że muzykanci będą. Może byśmy zatańczyli?

W odpowiedzi Stojko poderwał się z ławy i chwycił wciąż jeszcze pomimo wieku smukłą kibić żony. *Skoro chce tańczyć to, chłopie, źle nie jest* – powiedział sobie i poprowadził Duszkę ku wirującym parom.

Muzykanci z braku miejsca wskakiwali już na ławy. Olbrzym odłożył na chwilę gęśle, jedną ręką złapał chłopca, drugą podniósł baraban i płynnym ruchem postawił dziecko i instrument na solidnym drewnianym stole. Urodziwe śpiewaczki, wybijając rytm na dzwoneczkach i klekotkach, zaśpiewały ostatnią zwrotkę pieśni:

*Złote włosy Kochna miała,*

*W warkocz gruby je wiazała.*

*Warkocz niby tańcuch jaki,*

*Da się Gniewkowi we znaki.*

*Złote włosy złociusieńkie, jak słońce na niebie.*

*Oj, uważaj chłopcze miły, pęta to na ciebie!*

– A piękne te śpiewaczki jak sama Żywia – zagadała Duszka w przerwie pomiędzy piosenkami.

– Gadasz, że piękne, bo żeś siebie nie widziała! – wykrzyknął rozgrzany tańcem Stojko.

Pomimo siwych włosów i zmarszczek zarumieniona, uśmiechnięta Duszka wyglądała promiennie. Machnęła drobną dłonią z żartobliwą naganą.

– No i jak tu się na ciebie złościć? – zapytała, patrząc na męża z lubością.

– Ano nie da się! – Stojko wyszczerzył zęby z miną nastoletniego łobuza.

– Jakby ten, pozałcie się Bogi, Kalin miał takie dwie pod dachem, to od razu by mu głupie pomysły ze łba wyparowały – powiedziała kobieta, wskazując na piękne śpiewaczki.

Stojko zagapił się na żonę, olśniony trafnością tej myśli. Po chwili, obejmując talię Duszki, zapytał:

– A pogadałabyś z nimi?

– Z kim?

– No, z tymi śpiewaczkami, a z kim? – tłumaczył cierpliwie Stojko. – Mnie to nie uchodzi, zaraz pomyślą, że jakiś stręczyciel!

– A mnie to uchodzi?! – obruszyła się Duszka.

– Ale, skarbie, co szkodzi zapytać? – przymilnym tonem przekonywał wojski. – Zawsze mogą nas wyśmiać, a tobie to przynajmniej w twarz nie dadzą.

Dalszą rozmowę przerwał wybuch głośnej muzyki. Duszka pociągnęła męża ku tańczącym parom.

– No proszę, takie trudne to nie było... – mruknęła, uśmiechając się pod nosem.

– Co?! – Stojko przekrzykiwał muzykę.

– Nic, nic ważnego – odparła Duszka. – Zatańczmy!

\*\*\*

Zapadał zmrok. Po słonecznym dniu pozostała już tylko delikatna, różowa poświata na zachodnim niebie. Mieszkańcy Zatonia z ociąganiem opuszczali karczmę Newena. Wraz z nadchodzącą wiosną pracy na polach było w bród i rolnicy nie mogli sobie pozwolić na brak snu przed następnym ciężkim dniem pracy.

Stojko nerwowo wyłamywał palce, czekając na żonę przed karczmą. Uprzejmie kłaniał się wychodzącym sąsiadom i co chwilę zerkał na drzwi gospody. Od pożegnania ostatniego gościa minęła już dłuższa chwila, kiedy usłyszał zbliżające się szybko, ciężkie kroki.

*Bogowie* – pomyślał zaniepokojony. – *To ten olbrzym...* Niemal poskoczył, kiedy drzwi karczmy otworzyły się z trzaskiem.

– Wyście ten wojski? – zapytał basowym głosem niezwykle wysoki mężczyzna.

Nagle pobladły Stojko spojrział w górę ku zdeformowanej twarzy olbrzyma. *Na Kuźnię i Młot! Toż on musi mieć ponad siedem stóp!*

– Ja... Ja tu tylko na żonę czekam, panie – wydukał.

*Bogowie* – myślał, czując ogarniającą go panikę. – *W co ja nas wplątałem?!*

– Na Duszkę, tak? – dopytywał się olbrzym z podejrzliwą miną, marszcząc wysokie czoło.

– Na Duszkę, tak. Taka drobna, moja żona. – Wojski nerwowo zerkał na drzwi gospody. – Biedulka, sama taka nieporadna... Wybaczcie, ja pójdę już, zobaczę, co to ją zatrzymało.

– To wyście ten wojski! – zadudnił ogromny mężczyzna z przyjaznym uśmiechem na szerokiej twarzy. – Jam Bogusz – dodał, wyciągając dłoń w powitalnym geście. – Dziewczyny zaraz przyjdą, tylko dzieciaki do snu ułożą.

– Stojko. – Wojski wyciągnął ku olbrzymowi rękę i ścisnął potężny nadgarstek. – Chłopie, aleś ty wielki – dodał, widząc swoją dłoń niknącą w potężnym uścisku olbrzyma.

– Ale już nie rosnę! – powiedział Bogusz z dumą.

Stojko przez chwilę wpatrywał się w ogromnego męża z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. *Nie rośnie?!* Kilka razy bezgłośnie poruszył ustami zanim w końcu wydukał:

– To... To dobrze?...

– Pewnie, że dobrze! Jeszcze rok temu to mi chyba z palec co miesiąc przybywało! – radośnie opowiadał Bogusz. – Już tak mnie wszystko bolało, żem nawet na gęśli nie mógł grać. Bogom dziękować, te słodkie panienki znalazły mnie w tej boleści i zaraz mnie do Gaju zabrały. Jak zielarki mnie zobaczyły, rozumiesz, od razu mówią, żebym się kładł, naparami mnie poiły i żem przestał rosnąć! Tylko serce, mówią, mam słabe od tego rośnięcia, to i zioła pić muszę. I jeszcze trochę lekarstwa z tego... jak mu tam... – olbrzym podrapał się w zamyśleniu po łysej głowie – no... ze sporyszu muszę brać.

– Sporyszu?! – Oczy Stojka niemal wypadły z orbit ze zdziwienia.

*Toż to jakiś obłąd! Zielarki go trucizną karmią?!*

– A sporyszu – z dumą przytaknął Bogusz. – Mądre te zielarki, bogom dziękować, kto by pomyślał, że taka trucizna mnie może wyleczyć. Ale tylko odrobinę biorę. – Tu olbrzym zbliżył dwa palce do zmrużonego oka, pokazując, jaką odrobinę. – Takie tyciu!

– To... to dobrze... że... że tylko tyciu... – Stojko pokiwał głową, ogłupiały.

W panice rozglądał się za Duszką, obawiając się, że potężny, naćpany sporyszem mężczyzna w każdej chwili może dostać ataku obłądu.

– Ale co tam, o sobie tylko gadam! – Bogusz przyjaźnie poklepał wojskiego po plecach. – A tu przecież dziękować trzeba!

– Tak? – zapytał ostrożnie Stojko, starając się opanować nagłe pragnienie ucieczki.

– No pewnie, że tak! Dziękować, żeście nam wejście na żupański dwór załatwili! Taki żupan to wiadomo, bogaty jest, dobrze zapłaci. A może jeszcze jakieś pisma do znajomków żupanów wyśle czy jak. Tak sobie myślę, że do końca roku to i na samym dworze Witii będziemy wygrywali!

– Witii? – zdziwił się po raz kolejny Stojko. – Przecież Witia, niech jej Kuźnia ciepłą będzie, już dawno umarła.

– A to nie słyszeliście?! – odparł Bogusz z miną światowca. – Toż do lata w Daborze nowa Witia będzie!

Wojski, oniemiały, patrzył w szeroką twarz olbrzyma. *Musi być ten sporysz już mu się na głowę rzuca* – pomyślał. Dla bezpieczeństwa cofnął się o kilka kroków. Z ulgą spostrzegł, że drzwi karczmy otwierają się ponownie.

– No, widzę, że już Boguszka poznałeś. – Duszka wyciągnęła ręce ku mężowi. – A tu masz jeszcze Miłę i Rawę, nasze wspaniałe śpiewaczki.

Stojko czułym gestem objął żonę, przytulając ją do piersi. Pochylił głowę i dyskretnie wyszeptał w ucho Duszki:

– W porządku?

– W porządku. Gładko poszło, idziemy do Kalina – również szeptem odpowiedziała drobna kobieta.

– No i proszę, jak szybko się dziewczyny uwinęły – zahuczał Bogusz. – Już wojskiemu podziękowałem – dodał w stronę Miły i Rawy. – Tylko po żagwie jakieś skoczę i zaraz możecie iść.

– To ty, Boguszkule, z nami się nie wybierasz? – zapytała Duszka.

– A co ma się wybierać! – roześmiała się jedna z pięknych sióstr. – Ktoś z dziećmi musi zostać, a myślę, że żupan to raczej nas dwie woli zobaczyć niż Boguszka.

– Dziewczyny sobie dadzą radę! – zapewnił olbrzym Duszkę. – Rawa na lirze pięknie gra, a jak coś źle pójdzie, to nożyki mają przecież pochowane.

Stojko spojrział na piękne śpiewaczki, ciekawy, gdzie też te nożyki mogą być pochowane. Bliźniacze siostry wyglądały zachwycająco. Odrzucone poły płaszczy i głębokie dekolty gieźl odsłaniały mlecznobiałą, gładką skórę i doskonale ukształtowane ramiona. Ciasno zasznurowane staniki opinały smukłe talie, uwydatniając rysujące się pod białym płótnem jędrne, krągłe piersi. Idealne twarze w kształcie serc obramowane były falą jasnych, jedwabistych włosów. Migdałowe

oczy, zaróżowione policzki i usta wręcz zapierały dech w piersiach. *I to wszystko podwójne!* – Stojkowi zakręciło się w głowie. – *Jak te dwie Kalinowi w głowie nie zawrócą, to już nie wiem co...*

– Stojko!... – Wojski poczuł łokieć żony wbijający się mu pod żebra.

– Aaaa... Tak... – Zakłopotany, skłonił się dwornie pięknym siostram. – Stojko jestem, wojski Zatonia. Miła, Rawo. – Tu skłonił się przed każdą z siostr. – Wybaczcie, jeśli imiona mi się pomyła...

– Nie ma co wybaczać! – odparła Miła czy może Rawa. – Nawet nasza własna matka czasem się myliła. A już dzieciaki to cały czas!

– Wcale się nie dziwię – powiedział Stojko, odzyskując kontenans. – Panienki to podobne do siebie jak nie przymierzając dwie krople wody.

– A podobne – zgodził się Bogusz, wracający właśnie z pochodniami. – Jak je pierwszy raz zobaczyłem, to myślałem, że już mi się z bólu w oczach dwoi.

Jedna z siostr roześmiała się perłście, a druga otuliła się płaszczem i zapytała:

– A daleko do dworu żupana? Chłodno jakoś...

– Rawa! Zachowuj się! – skarciła siostrę Miła, po czym zwróciła się do wojskiego i jego żony: – Wybaczcie, tyle czasu już w drodze jesteśmy, to się jakoś ogładę traci...

– Nie ma co wybaczać – odparła Duszka z uśmiechem. – Stojko stary wojak, to i pewnie gorsze rzeczy słyszał.

– A pewnie, żem słyszał – dodał Stojko i gestem dłoni pokazał drogę ku bramie prowadzącej na podgrodzie. – Wcale niedaleko do dworu. Może pójdziemy? Po drodze i cieplej się zrobi.

– No to w drogę! – rzekła radośnie Miła – A ty, Boguszk, to już musisz odpocząć – zwróciła się do olbrzyma czule. – Pamiętasz, co zielarki powiedziały?

Bogusz pocałował obie siostry w policzki i posłusznie zniknął za drzwiami karczmy. Obejmujący żonę Stojko wraz z bliźniaczkami podążyli w stronę grodu. Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Niezatrzymywani przekroczyli bramę. Na podgrodziu zwolnili nieco kroku, zmuszeni manewrować pomiędzy gęsto ustawionymi domostwami.

– A to z daleka idziecie? – zapytał Stojko, znużony milczącym marszem.

– Teraz to z Tyczy, z flisakami żeśmy Rwą spłynęli – odpowiedziała Rawa.

– A tak w ogóle to my z siostrą z Wróżyna – dodała Miła.

– Z Wróżyna? – zdziwił się wojski. – Tego na granicy z Lobardią? A to pisali przecie ze Sławy, że Wróżyn spalony.

– Bo spalony... – potwierdziła Miła, smutno kiwając głową. – Zeszłego lata te skurwysyny Veita zajęły cały gród. Mężów nam pozabijali... Cud, że z dziećmi

nam się udało uciec. Muzykowaniem się zajęliśmy, żeby mieć co do gęby włożyć, a potem to już jakoś poszło.

– Bogusza pod Ostroniem spotkałyśmy i do nas dołączył z tą swoją gęślą – dodała Rawa.

*Bogowie, toż one prawie cały Dabor przeszły! I do tego z dziećmi!* Stojko patrzył na piękne kobiety z podziwem. Na jego usta wpłynął złośliwy uśmieszek satysfakcji. *Biedny Kalin... Nie ma chłopak szans!*

– Bogom dziękować, że dzieci całe! – wzruszyła się Duszka. – Przekleństwo na tę wojnę!

– Ech, nie ma co gadać, jest jak jest – westchnęła Rawa, otulając się ciasniej płaszczem.

Przez chwilę znów szli w milczeniu. Piękne siostry nie chciały rozdrapywać starych ran. Stojko przytulił mocniej żonę, wdzięczny, że bogowie oszczędzili jej takiego losu. Duszka, jakby czytając w myślach męża, pogłaskała go czule po ramieniu.

– Wasz towarzysz mówił coś o Witii – podjął pogawędkę wojski, przypominając sobie wcześniejszą rozmowę z olbrzymem.

– Pewnie, że mówił! Takie radosne nowiny, to każdemu powtarzamy! – ożywiła się Miła. – Toż mówią staruchy, że na sławskim zamku w końcu kwiaty zakwitły. To znaczy, że do lata nowa Witia będzie!

– A pewne to? – zapytała Duszka, chwytając dłoń męża. – Toż, ciągle ktoś tam nową Witię zapowiada i jakoś nic z tego nie wychodzi.

– Pewne, pewne! Ludziska to zawsze gadają, ale staruchy przecież nie rzucają słów na wiatr. Jak mówią, że Witia będzie, to będzie! – Rawa pokiwała głową z przekonaniem.

– Stojko, słyszałeś?! – Duszka niemal podskoczyła z radości. – Nowa Witia będzie!

Łzy szczęścia wypełniły zmęczone oko wojskiego. Mężczyzna objął Duszkę silnym ramieniem, przyciągnął do piersi i ucałował serdecznie roześmiane usta żony.

– Chwalić Bogi... – wyszeptał. – Witia... Nowa Witia będzie!

Stojko, rozradowany wspianą nowiną, poczuł się nagle bardzo niezręcznie. *Takie wieści przywożą, a ja je Kalinowi podtykam* – skrzywił się w duchu.

Doszli już niemal do dworu żupana. Wojski gestem dłoni uspokoił pilnujących wewnętrznej bramy strażników. Weszli na przestronny, otoczony krużgankami dziedziniec dworu Wernadzi. Stojko zwolnił kroku, zastanawiając się, czy nie należałoby jednak odwołać całego planu. Spojrzał ku owiniętym płaszczami

siostram. Obie kobiety wyglądały na podekscytowane raczej niż przestraszone. Rozglądały się ciekawie po dziedzińcu i pięknie rzeźbionych krużgankach.

– To tutaj? – zapytała jedna z sióstr, patrząc na wojskiego błyszczącymi oczami.

– Jejku! – cieszyła się druga. – Dla żupana będziemy śpiewać!

Słyszając radość w ich głosach, Stojko rozpogodził się nieco i przyspieszył kroku. *Kalin na pewno dobrze zapłaci.* Może nawet złoto jakieś znajdzie? *Przyda się dziewczynom na drogę.* Odpędziwszy wątpliwości, uniósł wysoko głowę i z powagą godną urzędu wojskiego przekroczył próg dworu.

– A ty to na straży masz być, nie na zydłu! – z gniewną miną zwrócił się do woja siedzącego przed wejściem do głównej sali.

Zmieszany strażnik poderwał się w pośpiechu, poprawiając ubranie. Przycisnął zaciśniętą pięść do piersi i wybąkał:

– Taa jest, wojski. Wybaczcie, wojski.

– No, żeby mi to było ostatni raz – dobrotliwie odparł Stojko. – Żupan gdzie?

– W sali się zamknął i pewnie znowu mieczem macha – odparł posłusznie woj.

– No i dobrze, że w sali – rzekł Stojko.

Otworzył ciężkie drzwi i puścił przodem żonę wraz ze śpiewaczkami.

– A ty nam tu nie przeszkadzaj – rzucił na odchodne.

– Taa jest! – Strażnik, wyprężony jak struna, uderzył zaciśniętą pięścią w pierś, aż zadudniło.

Wojski podążył za kobietami do głównej sali dworu Wernadzi. Starannie zamknął za sobą drzwi. Sala była bardzo przestronna, z wysokimi sufitami i rozmieszczonymi w kątach paleniskami. Przy ścianie, naprzeciwko drzwi, stało ogromne, fantazyjnie zdobione, wymoszczone poduszkami krzesło. Długi, solidnie wykonany stół, zwykle znajdujący się na środku, przesunięty był teraz na bok. Zamiast stołu na środku sali stał drewniany, mocno obtłuczony manekin. Kalin Wernadź z furią i głośnym sapaniem skakał wokół kukły, okładając ją treningowym mieczem. Rozpięta koszula żupana przesiąknięta była potem. Pod delikatną materią widoczna była trzęsąca się z nadmiaru tłuszczu, pokryta rzadkimi, jasnymi włosami pierś.

Doświadczony w walce Stojko spojrzał na żupana z politowaniem. *Nie mogli go w tych szkołach nauczyć mieczem robić?... Jak nic chłopak sobie zaraz stawy poprzetrąca.* Stojące obok Miła i Rawa patrzyły na Kalina z nieukrywanym zdziwieniem. Duszka mimowolnie krzywiła się przy każdym uderzeniu drewnianego miecza.

– Stojko, ty weź coś zrób – wyszeptała do wojskiego. – Jeszcze sobie chłopak krzywdę jakąś zrobi.

Stojko z trudem stłumił wybuch śmiechu. Syknął do żony, by powstrzymać dalsze komentarze.

– Pochwaleni, Kalinie – odezwał się gromkim głosem, zmierzając w stronę sapiącego żupana. – Może odziej się, bo ci tu gości sprowadzam.

Kalin odwrócił się na pięcie i zamachał mieczem w niezwykle skomplikowany sposób. Zatrzymał się w wykroku, kierując ostrze drewnianej broni ku wojskiemu. Z trudem utrzymując równowagę, spojrział przerażającym wzrokiem na starszego mężczyznę i wysapał:

– Mówiłem ci tyle razy, żebyś mi nie przeszkadzał, jak ćwiczę! Przecież wiesz, jak zatracam się w fechtunku. Jeszcze bym cię zranił...

*Akurat mnie zranisz* – pomyślał Stojko, z wysiłkiem powstrzymując się od korygowania zupełnie niestabilnej postawy Kalina. – *Prędzej się o własne nogi poprzewracasz.*

– Już tak nie krzycz! – powiedział na głos do żupana. – Lepiej popatrz, jakich ci sprowadziłem muzykantów. To Miła i Rawa, zaiste wspaniałe śpiewaczki.

Kalin z dramatycznym westchnieniem otarł spocone czoło i spojrzął ku drzwiom, gdzie Miła i Rawa kłaniały się dwornie. Głęboki ukłon sióstr uwydatnił ich jędrne piersi i smukłe szyje. Zapatrzone w bliźniaczki młody Wernadź przez chwilę zapomniał oddychać.

Duszka zachęcająco pchnęła śpiewaczki w stronę żupana. Miła i Rawa zbliżyły się do wciąż milczącego Kalina i ukłoniły raz jeszcze.

– Panie – odezwała się Miła, patrząc na żupana spod długich rzęs – wybaczcie to najście. Spodziewałyśmy się zastać was odpoczywającego po długim dniu.

– Ach... – Kalin odzyskał mowę. – Nie ma odpoczynku dla sługi urzędu...

– No widzisz, Kalinie. – Stojko jowialnie poklepał młodego mężczyznę po ramieniu. – To teraz możesz sobie odsapnąć. Znajdziemy jakieś stołki dla śpiewaczek, siadą i ci będą muzykować.

– Tak, oczywiście... – odparł żupan, wciąż zapatrzone w piękne siostry. – Siadajcie, panie! To rzadkość, żeby zawitali do Zatonia tak utalentowani goście.

– A skąd on wie, że utalentowane? – wyszeptała Duszka do ucha męża.

– Ciii! – syknął Stojko.

Wojski szybko znalazł wciśnięte w kąt sali stołki. Rawa wyciągnęła lirę ze skórzanego pokrowca, usadowiła się wygodnie i zaczęła grać spokojną, smutną melodię. Miła stanęła obok siostry, opierając dłoń na jej ramieniu. Kalin usiadł dostojnie na wyściełanym poduchami siedzisku. Dystyngowanym gestem dłoni odrzucił kosmyk włosów ze spoconego czoła. Pilnie obserwował przygotowujące się do występu śpiewaczki. Rozsunął nieco poły koszuli, obnażając bladą, pokrytą



skąpymi włosami pierś. Stojko musiał przygryźć wargę, aby nie zakpić z młodego Wernadzia. Ukłonił się żupanowi, objął Duszkę w talii i skierował się ku drzwiom.

– Nic tu po nas, co Duszko – wyszeptał do żony.

W przestronnej sali rozbrzmiał kryształowy, czysty głos Miły:

*I tylko ból płacze w sercu i pustka*

*I tylko chłód tuli ciało i myśli.*

*Znany świat splotnął*

*A język ognia*

*Mą przyszłość piętnem przekreślił.*

\*\*\*

Światło księżyca wpadało przez uchylone okiennice, oświetlając skotłowaną pościel i ubrania rozrzucone w nieładzie na podłodze komnaty. Długowłosa, naga kobieta pochylała się nad leżącą na łożu sylwetką mężczyzny. Nasłuchiwała. W półmroku jej oczy zdawały się pulsować kolorami fiołków i zachodu słońca.

– Śpi? – rozległ się szept z kąta komnaty.

– Śpi! – kiwnęła głową naga kobieta i bezszelestnie zsunęła się z łóżka. – Znalazłaś coś? – zwróciła się do przycupniętej w kącie towarzyszki.

– Akurat znalazłam... – marudziła siedząca na podłodze kobieta, z obrzydzeniem odrzucając pachnące zgnilizną resztki kołacza. – Syf tu taki...

– Oj, nie marudź, Rawa. – Naga postać przykucnęła obok towarzyszki. – W komnatach żupana na pewno się coś znajdzie, trzeba tylko poszukać.

– Mądrała się znalazła! Ty, siostra, lepiej skrzynię sprawdź, bo tu tylko światło zaślaniasz.

Miła kiwnęła głową i na paluszkach skierowała się ku stojącemu nieopodal meblowi. Z opaski na czole odczepiła wymyślną zausznicę, wygięła ją zębami i zaczęła delikatnie dłużyć metalowym drucikiem w zamku.

Siostry pracowały w milczeniu. Cisza księżycowej nocy przerywana była tylko szelestem papieru i pochrapywaniem śpiącego smacznie Kalina Wernadzia.

– *Jak idzie, dziewczyny?* – obie siostry drgnęły nieznacznie, słysząc w głowach znajomy głos przodkini. – *Coś ciekawego?*

– *No, w końcu!* – z ulgą pomyślała Rawa. – *Już myślałam, że nigdy się nie pojawisz. Mało żeśmy chłopca tymi szeptami nie obudziły.*

– *Rawa, no weźże przestań marudzić! Co cię dzisiaj ugryzło?* – pomyślała w odpowiedzi Miła. – *Nie pierwszy raz bez Nyss pracujemy.*

– *Tylko że z Nyss łatwiej...* – narzekała Rawa, przeglądając stertę papierów. – *Już mnie oczy pieką od tego czytania po ciemku. Przecież tu fortuna musi być w samym pergaminie! Takie marnotrawstwo... A bzdury ten Wernadź wypisuje, że aż zęby bolą...*

– *Listy jakieś?* – zaciekała się Miła znad skrzyni.

– *Żeby listy... Poezja, kurza noga...*

– *Ej, to czytaj, siostra, może jakiś pomysł na balladę nam się trafi!*

– *Sama se czytaj!* – Sfrustrowana Rawa warknęła na bliźniaczkę. – *Twórczość, taka... przez duże Tfu...*

– *Ale mi was, dziewczyny, brakowało!* – roześmiała się Nyss. – *Sprawdzałyście pod siennikiem? Jak taki romantyk, to może i tam jakieś listy ma poutykane.*

– *A wiesz, że nie* – odpowiedziała Rawa, podnosząc się z podłogi. – *Zaraz sprawdzę.*

– Nyss – zwróciła się do przodkini Miła. – *Ja tu jakieś pisma od Astholma mam. Weź mi je zapamiętaj, bo tak po ciemku to naprawdę trudno czytać.*

– *Nie ma sprawy* – odparła Nyss. – *Proszę, proszę, Kalin i Veit są w niezłej komitywie, jak widzę... – dodała po chwili. – Z Żeglarzami w układy wchodzi, klasztory będą zakładać.*

– *To przecież Duszka mówiła, że Wernadź chce Sawkom zabierać ziemię* – wtrąciła Rawa, macając dłonią pod siennikiem. – *Do zielarek z tym poszła, a zielarki do nas.*

– *Szczęśliwie się w sumie złożyło* – powiedziała Miła, dalej grzebiąc w skrzyni. – *Żupan płaci po pańsku.*

Kłęcząca nieopodal siostra pokiwała w milczeniu głową. Ostrożnie, by nie obudzić śpiącego mężczyzny, sprawdziła wymyślnie rzeźbione wezgłowie wielkiego łoża.

– *Nyss?* – zagadnęła, macając drewno w poszukiwaniu skrytek. – *Naprawdę będzie nowa Witia? Zielarki mówiły, że kwiaty w Pałacu zakwitły...*

– *Nowa Witia jest* – odparła Nyss. – *I wygląda na to, że będzie. Błogosławieństwo Dariego już mamy, więc najtrudniejsze za nami.*

– *Mam!* – Twarz Rawy rozjaśniła się w triumfalnym uśmiechu.

Z pomiędzy siennika i wezgłowia łoża wyciągnęła związany wstążką plik papierów.

– *No proszę, jednak romantyk* – pomyślała do siostry i przodkini.

Młoda kobieta kucnęła przy łożu i zabrała się za rozwiązywanie czerwonej wstążki, oplatającej gruby plik listów. Po chwili, poradziwszy sobie ze skomplikowanym węzłem, zaczęła przeglądać pergaminowe karty.

- *Nyss! Musisz to zobaczyć!* – Nagle podekscytowana Rawa zwróciła się do przodkini. – *Wygląda na to, że znalazłam naszą czarownicę!*
- *Czarownicę?* – nie rozumiała Nyss.
- *Oj, bo mówiła przecież Duszka – tłumaczyła Miła – że Wernadź znalazł jakąś czarownicę, coby się pozbyć zielarek.*
- *I dopiero teraz mi mówicie?!* – zdenerwowała się Nyss. – *Dawaj te listy, zaraz zobaczymy, co i jak.*
- *Ta Alwina to bardziej jak nęta...* – stwierdziła Nyss po chwili czytania.
- *Może się coś Duszce pomyliło?* – zasugerowała Miła, zamykając wieko skrzyni.
- *To nie Duszce, ale Stojkowi. Mówiła przecież, że mąż podsłuchał* – wtrąciła Rawa.
- *Godwulf... Godwulf...* – mamrotała Nyss. – *A to nie ten ród z zamku Kalder?*
- *Mnie się pytasz?* – burknęła bliźniaczka, oplątując przeczytane listy czerwoną wstążką. – *A co ja mogę wiedzieć o jakiś lobardzkich, kurza noga, szlachetkach.*
- *Nie ciebie się pyta, tylko retorycznie.* – Miła zdawała się tracić cierpliwość do siostry.
- *Oj, już się nie czepiaj!*
- *Na bogów, dziewczyny, czy wy się zawsze musicie kłócić!* – odezwała się Nyss znużonym tonem. – *Wygląda na to, że się mężowi pomyliło... Ale co tam, nie zaszkodzi sprawdzić... Za jakiś tydzień mogę mieć dziewczynę w Kalderze, to się dowiemy.*
- *No i dobrze.* – Miła ziewnęła szeroko. – *Robota skończona, to się może trochę prześpiemy, zanim się jaśnie pan obudzi?*
- Rawa kiwnęła głową w milczeniu, wsuwając listy pod siennik.
- *Jak zwykle świetna robota, dziewczyny* – rzekła Nyss. – *Odpocznijcie sobie, a ja wracam do Witii.*
- *Nyss?* – Miła wsuwała się już do łoża. – *Ale uważaj na tę nową Witię, co? Już najwyższy czas, żeby się ta przeklęta wojna skończyła...*
- *Będę* – obiecała Nyss ciepłym głosem i wysunęła się z myśli podopiecznych.

---

<sup>20</sup> Swaćba – opaska nakładana na głowy małżonków. Swaćba wykonywana jest przez zielarki ze swatów – taśm używanych do przewiązywania dłoni nowożeńców w czasie ceremonii ślubnej. W czasie pierwszego roku małżeństwa swaćba noszona jest przez małżonków na głowie, potem zwykle przechowywana w bezpiecznym miejscu. Przecięcie swaćby w obecności zielarki, w Świętym Gaju, według daborskiego prawa oznacza rozwód.

<sup>21</sup> Licho – w daborskich wierzeniach zły duch wędrujący po świecie, przynoszący ludziom nieszczęście i choroby.

# KOZDZIAŁ 7

*I chociaż Matki głos jest wciąż ze mną  
I chociaż dotknąć jej w swej myśli mogę  
Za drogim ojcem  
Za sobą samą  
W sercu dziś noszę żałobę.*

Pieśń rodu Drewian

– Puszczaj! – zawyła czerwona na twarzy Saja.

Dziewczyna wściekle szarpała się w silnym uścisku męskich ramion. Próbowwała kopać i gryźć, jednak każdy jej atak był albo blokowany, albo przechwytywany przez dużo silniejszego przeciwnika. Nagle poczuła, że żelazny uścisk rozluźnia się. Nieprzygotowana na tak niespodziewany koniec walki, dziewczyna boleśnie uderzyła kościstą pupą o podłoże.

– Parchy, nęcia mać! – Walnęła pięścią w ziemię.

– To już było lepsze, pchło. – Miro trzymał bezpieczny dystans od pieniającej się ze złości dziewczyny. – Ale zupełnie nie pojmuję, czemu atakujesz tak, jakbyś była przynajmniej dwa razy wyższa i silniejsza.

*Bo Ioni jest...* – pomyślała zrezygnowana Saja. Ramieniem otarła pot z czoła. Zmęczona, ze spuszczoną głową, siedziała na trawie z przedziwnie powyginanymi nogami. Po chwili, patrząc ponuro na opiekuna, zapytała:

– Miro, co ja robię źle? Czemu mi nie wychodzi?

– Boś za mała, żeby ci wyszło – cierpliwie tłumaczył Miro, siadając obok na trawie. – Spójrz na twoje ramiona i spójrz na moje. Nie ma mowy, żebyś dała radę zablokować mój cios. Ja tych twoich uderzeń nawet nie czuję! Mała jesteś, to musisz pomyślniku używać, a nie siły.

Saja ze smętnie spuszczoną głową wyrывała źdźbła trawy. *W ogóle się do tego nie nadaję... Jestem beznadziejna...*

– *Wcale nie jesteś beznadziejna* – usłyszała głos Ioni. – *Mówiłam ci przecież, że wiedzieć to jedno, a umieć to już zupełnie inna sprawa. Słuchaj Mira, on wie, co mówi.*

– *Radzisz sobie doskonale, Saja* – zapewniała matka. – *Pamiętasz, jak cię ojciec uczył strzelać z łuku? Jak się uparłaś, że będziesz sama naciągać cięciwę?*

– *Pamiętam...* – Saja uśmiechnęła się do wspomnień.

– *Mało sobie rąk nie połamałaś, jak próbowałaś naśladować ojca!* – przypominała Lida.

– *A potem wymyśliłam, jak naciągać łuk rzemieniem!*

– *No właśnie* – przytaknęła matka. – *Tak jak mówi Miro. Mała jesteś, to i musisz głową ruszyć, a nie mięśniami.*

Podniesiona na duchu Saja wstała, rozmasowała obolały tyłek i z zaciętą miną zwróciła się do opiekuna:

– Spróbujemy jeszcze raz?

– To jeszcze, pchło, nie masz dosyć? – roześmiał się Miro. – Konie się już napasły, trzeba się ruszać. Przez te zapasy z tobą i tak będziemy musieli jeść w siodle.

– Miro, proszę... – Saja patrzyła na opiekuna z miną niewinnego szczenięcia.

Siedzący na trawie mężczyzna spojrzał na dziewczynę i pokręcił głową, rozbrojony błagającym spojrzeniem podlotka.

– Ale tylko atak na targu! I tylko raz! A potem od razu jedziemy, tak?

– Tak! Obiecuję! – Uradowana Saja klasnęła w dłonie.

– Swoją drogą – rzekł Miro, podnosząc się z trawy. – Całkiem niezła ta twoja błagalna minka. Zanim zaczniesz z kimś walczyć, warto spróbować tego szczenięcego spojrzenia, a nuż jakiś suczy syn się na to nabierze!

– Tak sądzisz? – zapytała dziewczyna, poprawiając ochronne wełniane taśmy oplątane wokół kłykci.

– Tak sądzę – odparł mężczyzna. – Buzię masz dzieciaka, może być, że któryś z tych psiajuchów się wzruszy. Jakby jeszcze jakąś lalkę czy coś – zamyślił się.

– Parciana! – zapaliła się Saja. – Można by jakieś kamienie w nią upchać. Miałabym większy zasięg!

– Bogowie! – Miro spojrzał na dziewczynę z podziwem. – Ależ ty jesteś wredna!

Saja odpowiedziała promiennym uśmiechem. Sprawdzała właśnie rzemienie przymocowujące pochwę noża. Upewniała się, że skórzany pokrowiec nie zsunie się z ostrza w czasie udawanej walki.

– Gotowa? – zapytał Miro, wyginając plecy, by rozciągnąć mięśnie.

– Gotowa! – odparła dziewczyna, wsuwając nóż za pas.

– Pamiętaj – nauczycielskim tonem powiedział mężczyzna – to nie pojedynek. Nie musisz mnie zranić, nie musisz mnie zabić. Musisz tylko uciec, rozumiesz? Trzymaj dystans, bo jak cię złapię, to już przegrałaś.

Saja wzięła głęboki oddech i w milczeniu pokiwała głową, dając znak, że rozumie.

– Dobrze – rzekł Miro – więc stoisz sobie na targu i jeden z tych suchych synów cię widzi. Tłumu nie ma, więc nie możesz się schować wśród ludzi.

Miro stanął w pewnej odległości od Sai i mierzył ją wzrokiem. Dziewczyna, zaciskając pięści, odwzajemniła spojrzenie. Pomna nauk Ioni uspokoiła myśli i skupiła się na przeciwniku. *Uciec. Masz uciec* – powtarzała sobie. Miro zaczął iść spokojnym, równym krokiem. Wydawało się, że patrzy w niebo i w ogóle nie zwraca uwagi na uczennicę. Nauczona wcześniejszymi doświadczeniami dziewczyna wiedziała, że w rzeczywistości korowy cały czas obserwuje ją kątem oka. *Uciec* – powiedziała sobie raz jeszcze Saja. Skupiła się na powolnym, równym oddychaniu. Wdech. Rozluźniła mięśnie i jak gdyby nigdy nic zaczęła obgryzać paznokciec kciuka. Wydech. Spojrzała ku wylegującemu się na trawie Skrze. Wdech. Bardziej poczuła, niż zobaczyła nagły atak przeciwnika. Z nieprawdopodobną zwinnością odbiła się od ziemi i skoczyła na ramiona sięgającego ku niej, pochylonego mężczyzny. Wydech. Odbiła się od ramion Mira i zanurkowała przed siebie, zawijając ciało w powietrzu. Wylądowała na ziemi, przeturlała się po zielonej trawie i płynnie poderwała na nogi. Wdech. Zerwała się do biegu. Pędząc przed siebie sięgnęła po nóż. Wydech. Wciąż biegnąc, ułożyła nóż w dłoni, gotowa do rzutu. Wdech. Płynnie, nie gubiąc kroku odwróciła się, by cisnąć nożem w przeciwnika.

– *Gdzie nożem!* – wydarła się Ioni. – *Kamieniem! Kamieniem go!*

– *Ale...* – zaczęła Saja.

– *W ogóle nie musisz rzucać* – wykrzyknęła radośnie Lida. – *Patrz!*

Spojrzeła na Mira i oniemiała. Spodziewała się ujrzyć biegnącego za nią opiekuna. Zamiast tego zobaczyła, że Miro, pół leżąc pół klęcząc na ziemi, przeklinał straszliwie i opędzał się od obskakującego go Skry. Mężczyzna spojrzał wściekle na Saję. Otarł krew sączącą się z nosa. Dziewczyna uśmiechnęła się tryumfalnie.

– *Jest!* – wzniosła ramiona ku niebu w zwycięskim geście. – *Udało się!!!!*

– *Nie najgorzej* – mruknęła Ioni. – *Jakby nie ten nóż....*

– *Saja, co tak stoisz?* – wtrąciła się Lida. – *Idź, zobacz, czy Miro nie potrzebuje pomocy!*

– *Nigdy, przenigdy nie rzucaj nożem w przeciwnika!* – uparcie pouczała Ioni. – *Skąd weźmiesz drugi, jeśli nie trafisz?*

Saja była zbyt dumna z siebie, aby słuchać wykładów. Podbiegła do Mira i opadła na kolana obok obficie krwawiącego z nosa mężczyzny. Skra czekał i machał ogonem, zachwycony faktem, że jego pan w końcu docenił walory tarzania się w trawie.

– Skra, na miłość bogów! – wychrypiał Miro, ocierając krew i łzy z twarzy. – Głupie bydłę, masz pana bronić, a nie dobijać!

– Nic ci się nie stało? – Saja bardzo starała się nie uśmiechać. – Myślałam, że mnie będziesz gonić...

– Jak gonić, parchy?! – Wściekły mężczyzna spojrział na podopieczną. – Nawet nie wiem, co mnie, nęcia mać, pizgło! Kolanem mnie walnęłaś czy jak?!

Skra uspokoił się nieco i teraz próbował oczyścić umazaną krwią i ziemią twarz pana. Czerwony jęzor przejechał po policzku Mira, który w końcu zrezygnował z płonnych wysiłków opędzania się od ogromnego wilka.

– No już dobrze, Skra – powiedział spokojniejszym głosem. – Pozwól mi tylko wstać.

Miro podniósł się na nogi. Zgięty w pół, zaczął wydmuchiwać skrzepy krwi z nosa. Saja odwiązała wełniane taśmy owinięte wokół dłoni. Podeszła do opiekuna i podała mu prowizoryczny tampon.

– Masz, przyłóż sobie.

– Dzięki... – odparł Miro, sięgając po zawinięte w kłębek taśmy. – Co to w ogóle było?! – zapytał łypiąc na dziewczynę zażawionymi oczami.

– No... – zaczęła tłumaczyć Saja. – Skoczyłam na ciebie i chyba cię przewróciłam... Naprawdę nie chciałam ci zrobić krzywdy...

– Krzywdy?! – wybuchnął Miro, po czym, próbując się uspokoić, zamknął oczy i przez chwilę oddychał głęboko. – Mam nadzieję, że mi nosa nie złamałaś...

– Ale udało się! Uciekłam! – Dziewczyna nie mogła już dłużej powstrzymać radości. – Uciekłam!

– Ano uciekłaś... I załatwiłaś mnie, parchy, pięknie...

– Jesteś na mnie zły? – dopytywała się dziewczyna.

– Zły? – Miro ostrożnie dotykał nosa, by sprawdzić, czy kość nie jest złamana. – Nie, nie jestem zły, pchło. Tylko następnym razem musimy przygotować jakieś ochraniacze czy coś...

– Ja... – Saja starała się wyglądać na skruszoną. – Ja naprawdę nie chciałam...

– Wiem, że nie chciałaś – rzekł Miro, wycierając dłonie o lniane portki. – No już, nie ma co gadać. Miałaś swój jeden raz, zbieramy się.

Mężczyzna otarł resztki krwi z twarzy. Nieco chwiejnym krokiem pomaszerował ku pasącym się nieopodal wierzchowcom.

– Ale dobrze było, co, Miro?! – Radosna Saja to biegła, to podskakiwała, podążając w ślady opiekuna. – No, weź powiedz, że było dobrze!

– Dobrze było – burkliwie i z ociąganiem rzucił Miro. – Konie ty siodłasz, bo mi zaraz znowu jucha z nosa będzie lecieć...

Miro zaklął pod nosem, kiedy gałęzie kolejnego mijanego krzewu smagnęły jego obolałą łydkę. Bezdrzewny pas ciągnący się wzdłuż brzegu rzeki stawał się coraz węższy. Zaznajomiony z tymi okolicami mężczyzna wiedział, że niedługo będą musieli zsiąść z koni i pokonać kolejny odcinek drogi, idąc na przełaj przez las. Znów zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie powinni byli zatrzymać się u Sawków i poczekać na przepływające barki flisaków. *Tyle że z barki trudno byłoby przemknąć się niepostrzeżenie do Zatonia* – pomyślał, krzywiąc się w duchu na samą myśl o prowadzeniu wierzchowców przez las. *Mam nadzieję, że wieści Newena będą tego warte...* Jeszcze w Szubinkach wraz z Rają planowali podróż do Zatonia. Miro chciał zostawić Saję bezpieczną w lesie, a sam przejść zatońskim mostem na drugą stronę Sławiny. Newen, miejscowy karczmarz, zawsze przyjazny i skory do pogawędki, był jedną z najlepiej poinformowanych osób w okolicy. Doświadczony wojak miał nadzieję, że wieści uzyskane od karczmarza pomogą zdecydować o dalszym kierunku podróży.

Bolesne uderzenie kolejnej gałęzi wyrwało Mira z zamyślenia. Mężczyzna poprawił się w siodle, starając się usiąść tak, aby lepiej osłonić zmaltretowane łydki. Zmiana pozycji wywołała protesty innych obolałych części ciała. Po długich zimowych miesiącach beczynności, drugi dzień podróży wyjątkowo dawał się Mirowi we znaki. Bez względu na pozycję doskwierało mu albo rwanie w plecach, albo obolały tyłek. Jakby tego było mało, nos wciąż jeszcze pulsował od porannego uderzenia, a ramiona, pokryte zadrapaniami po zabawie z Muszką, swędziały go wściekle. *Starzeję się czy jak?* – zastanawiał się ponuro. Obrócił się w siodle i spojrzał przez ramię, by zobaczyć, jak radzą sobie jego towarzysze. Rzucił okiem na biegnącego obok Skrę. Wyglądało na to, że kudłaty wilk również był zmęczony po szaleństwach minionego dnia. Zamiast, jak wczoraj, kręcić się po lesie i biegać dookoła jak obłąkany, Skra spokojnym truchtem podążał za wierzchowcem swego pana. Saja natomiast zdawała się być zupełnie odporna na trudy podróży. Rozparta wygodnie na końskim grzbiecie, bawiła się nożem, przerzucając ostrze z ręki do ręki. Dostrzegłszy, że jest obserwowana, uśmiechnęła się i zapytała:

– W porządku?

Miro tylko skinął głową. *Skąd ona bierze tyle siły?!* – zastanawiał się. Przypominał sobie straszne rany na ciele dziewczyny. *Wygoiła się tak szybko...* *Podróż jej nie męczy...* *Ech, młodość...* – pomyślał, czując się stary i zużyty. Raz jeszcze spróbował poprawić się w siodle. Aż stęknął, czując sztywność w nogach i plecach. *No nic...* *Może się jakoś rozchodzę po kilku dniach?* – pocieszał się.



Konie, obciążone zapasami od Sawków, były dużo wolniejsze niż pierwszego dnia podróży. *Dzisiaj zrobimy pewnie ze dwie trzecie tego, co wczoraj* – pomyślał Miro. – *Co tam, przynajmniej konie są. Na piechotę to byśmy pewnie dopiero teraz do Sawków dochodzili. No i całych tych zapasów przecież nie dalibyśmy radę zabrać.* Mężczyzna rozpogodził się na myśl o wypełniającym sakwy zaopatrzeniu. Jedzenie, ubrania na zmianę, derki, liny, porządny żelazny kociołek. Solidny zapas strzał, tuzin lekkich oszczepów i nawet krótki łuk dla Sai. Jeszcze u Sawków okazało się, że dziewczyna jest doskonałą łuczniczką. Nie mogła naciągnąć łuku cięższego niż dwadzieścia funtów, więc zasięgów wielkich nie miała, ale celnością dorównywała najlepszym znanym Mirowi łucznikom. *Zuch dziewczyna! Nożem umie robić, na koniu się trzyma, z łukiem obyta... Może być, że nawet wyjdziemy z tego w jednym kawałku.*

Rozmyślenia przerwało mu kolejne smagnięcie gałęzi. Bezdrzewny pas wzdłuż brzegu rzeki był już zbyt wąski dla wierzchowców. Miro zaklął szpetnie, zsiadł z konia i dał Sai sygnał, by poszła w jego ślady. Rozejrzał się dookoła, wyglądając znanej mu, wydeptanej przez zwierzęta leśnej ścieżki.

– W porządku? – Zaniepokojona Saja niemal bezszelestnie zsunęła się z konia i podeszła do Mira.

– W porządku – odparł mężczyzna. – Będziemy musieli tu odbić i prowadzić konie przez las. Gdzieś tu jest ścieżka...

Dziewczyna kiwnęła głową i wróciła do swojego wierzchowca. Miro, dojrawszy w końcu wąską dróżkę, zagłębił się w las.

Po dwóch dniach spędzonych w siodle piesza wędrówka zdawała się nieznośnie mozolna. Niskie gałęzie uderzały Mira po twarzy. Zirytowany mężczyzna co chwila ścierał pajęczyny z policzków. *Przynajmniej komarów jeszcze nie ma* – pocieszał się. Skra zniknął gdzieś w chaszczach. Miro wyglądał bocznych ścieżek. Bardzo chciał uniknąć wchodzenia na główny trakt i miał nadzieję, że któraś z wydeptanych przez zwierzęta drożynek będzie wystarczająco szeroka dla objuczonych sakwami koni. *Jakby co, zawsze mogę ponieść część zapasów... Byle się tylko trzymać z daleka od traktu.*

Miro poważnie zastanawiał się nad rozjuczeniem koni, kiedy poczuł rodzący się gdzieś w żołądku niepokój. Zwolnił kroku i zaczął jeszcze uważniej rozglądać się dookoła, nasłuchując. Ufając instynktowi, starał się zidentyfikować źródło swojego niepokoju. *Pajęczyny!* – uświadomił sobie w końcu. – *Nie ma pajęczyn.* Bardziej poczuł, niż usłyszał zbliżającą się z tyłu Sają.

– Coś jest nie tak – wyszeptała dziewczyna, dotykając ramienia opiekuna.

– Wiem – odpowiedział Miro.

Skra wynurzył się z lasu. Kudłate uszy postawione były wysoko. Puszysty ogon ułożony niemal w linii prostej z grzbietem. Wilk spojrział na pana, wyraźnie sygnalizując kłopoty.

– Wiem, Skra – wyszeptał wojownik, muskając głowę wilka.

Powoli, nasłuchując, przeszli może z pół staja. Konie wyczuwały napiętą atmosferę. Zaczęły nerwowo parskać. Saja bez słowa rzuciła się je uspokajać. Miro dobył łuku, dał towarzysze znać, by czekała i zagłębił się w las. Skra bezszelestnie podążył za panem.

– *Co się dzieje?* – zaniepokojony głos matki odezwał się w głowie dziewczyny.

– *Nie wiem. Coś jest nie tak. Miro poszedł się rozejrzeć* – odparła Saja.

Sięgnęła do siodła. Zaczęła odwiązywać rzemyki przytrzymujące sakwę z rusałkami. *Tym razem nie dam się zaskoczyć* – powiedziała sobie z determinacją. Cisza otaczającego ją lasu przerywana była tylko skrzypieniem drzew i pojedynczymi parskaniami koni.

– *Saja! Uciekaj!* – Dziewczyna niemal podskoczyła, słysząc przerażony głos matki.

Nauczona doświadczeniem, nie dopytywała o powody alarmu. W mgnieniu oka oplątała uzdy wokół niskich gałęzi i rzuciła się przed siebie biegiem.

– *Nie tędy! Biegnij do rzeki! Uciekaj!* – ponaglała ją matka. – *Tam jest czarownica! Miro i Raja są w niebezpieczeństwie!*

– *Raja? Co ona tu robi?* – dopytywała się dziewczyna, zwalniając kroku. – *O co tu chodzi? Mam ich zostawić?!*

– *Saja, proszę cię, uciekaj! Ty jesteś ważniejsza* – błagała Lida.

Dziewczyna zatrzymała się. Spojrzała do tyłu, ku niewidocznej za drzewami rzece. *Uciekać?* Niepewna, co robić, patrzyła to do przodu, to za siebie. Zaciskała bezsilnie pięści, próbując podjąć decyzję. *Jak długo jeszcze mam uciekać?* Przycisnęła ramię do boku, gdzie pod grubą skórą kozucha kryła się ogromna blizna, pamiątka szaleńczej ucieczki przez zimowy las. *Znowu sama?* Widmo spalonego domu rodzinnego i samotności uroczyska mieszało się ze wspomnieniami czasu spędzonego z Mirem, Rają i Skrą. Przelykane na szybko, znalezione na pogorzeliisku jedzenie i pierwszy gorący posiłek w Szubinkach. Szepty wiatru w koronach drzew i długie rozmowy w chacie zielarki. Zimny dotyk rusałek i miękkość puszystego futra Skry. Głos Mira: „Jeżeli jeszcze raz tak głupio rzucisz się na kogoś w mojej obronie...”. *Mam go zostawić?! Jego życie za moje?*

– *Saja!* – nalegała matka.

– *Chrzanię!* – zakląła dziewczyna. – Nic nie jest warte tej ceny.

– *Saja! Na miłość bogów!* – błagała Lida.

*Przepraszam, mamó...* – ze smutkiem pomyślała Saja, podrywając się do biegu. – *Nie mogę, po prostu nie mogę ich zostawić...* Pamiętając prośby matki, nie zamknęła swych myśli. Po prostu przestała słuchać lamentów Lidy. Skupiła się na oddechu, omijaniu przeszkód i nasłuchiowaniu. Nic innego nie miało znaczenia. W szaleńczym pędzie, zwinnie omijając niskie gałęzie, biegła wąską ścieżką. Przeskakując kolejny korzeń, usłyszała wypełniony cierpieniem, niemal zwierzęcy wrzask. Nie gubiąc kroku zbiegła ze ścieżki. Kierowała się w stronę, z której dobiegał mrozący krew w żyłach krzyk. Po chwili spostrzegła jasny blask słońca, przebijający się pomiędzy rzednącymi pniami drzew. Zwolniła kroku. Ostrożnie, stąpając na palcach, zaczęła skradać się ku brzegowi lasu.

Przykucnęła za gęstym jeżynowym krzakiem i ostrożnie spojrzała ponad kolczastymi gałęziami. Powietrze pachniało ozonem i było tak naelektryzowane, że włosy Sai niemal iskrzyły się od wyładowań. Przed jej oczami rozciągała się pogrążona w nienaturalnej ciszy mała polana. Na zielonej trawie, otoczona dziwnie drżącym powietrzem, stała piękna, ubrana w ciemnoszare szaty kobieta. Długie włosy, jakby porywane podmuchami wiatru, falowały powoli wokół jej gładkiej twarzy. Wydatne piersi unosiły się w przyspieszonym oddechu. Ramiona kobiety łapały kule drżącego powietrza i ciskały je jak pociski. Jej oczy jaśniały czerwienią.

– Czarownica. – Saja rozpoznała twarz ze wspomnień matki.

Wzrok dziewczyny podążył torem magicznych kul. Ze stłumionym okrzykiem zaskoczenia dziewczyna dostrzegła bombardowaną powietrznymi pociskami zielarkę z Szubinek. Oparta o sękaty kij Raja stała nieruchomo, z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami. Starucha otoczona była poświatą jasnego, zielonego światła, które zdawało się napływać do jej kostura z ziemi i drzew. Ciskane z furją powietrzne pociski rozpływały się łagodnie wokół zielarki, nie czyniąc jej wyraźnej szkody.

Na brzegu lasu Saja dostrzegła trzy przywiązane do pni drzew męskie postacie. Ciało jednego z mężczyzn oplecione było grubymi pnączami i zwisało bezwładnie. Ponad jego wydatnym brzuchem Saja dostrzegła wielką dziurę w piersi. Ogromna rana wyglądała niemal identycznie jak ta, którą dziewczyna znalazła na zwłokach swojego ojca. Młoda Witia zmarszczyła brwi, próbując zrozumieć znaczenie tego spostrzeżenia.

Drugi mężczyzna, żylasty i siwowłosy, zdawał się nieprzytomny. Jego głowa zwisała bezwładnie, z kącika ust i z rany na czole sączyła się krew. Piers unosiła się w powolnym oddechu. Ciało mężczyzny było półnagie i pokryte mnóstwem świeżych ran.

Trzecim mężczyzną był Miro. Nieruchome ciało Skry leżało u jego stóp.

*Za późno! Jestem za późno!* – pomyślała Saja z przerażeniem. – *Ta suka go zabiła!*

Pierś Mira poruszyła się. Zwisająca bezwładnie głowa drgnęła. *Żyje!!! Żyje!* – Saja odetchnęła z ulgą. Przywołała Ioni. Miała nadzieję, że ciotka pomoże jej opracować plan uwolnienia przyjaciół. Jednakże głośne lamenty i błagania matki tłumili głosy innych przodkiń. Dziewczyna zaklęła szpetnie. *Sama sobie poradzę* – pomyślała w końcu z determinacją. Sięgnęła po broń.

– Parchy, nęcia mać – wycodziła przez zęby, kiedy zdała sobie sprawę, że w pośpiechu nie wzięła ze sobą nic oprócz worka wypchanego ziemią z uroczyska.

Wściekła, przeklinając swoją głupotę, przyglądała się bezsilnie wydarzeniom na polanie. Powietrze wokół czarownicy rozrzedziło się i nie drgało już z początkową intensywnością. Kobieta wyraźnie traciła siły. Promieniujące od zielarki fale mocy zaczęły zbliżać się, otaczać piękną wiedźmę. Zupełnie nieprzejęta tym czerwonoooka kobieta spojrzała ku nieprzytomnym, przywiązany do drzew mężczyznom. Wyciągnęła dłoń w kierunku Mira. Saja z przerażeniem dostrzegła, że widoczna pod rozchełstany kożuchem skóra opiekuna zaczyna falować, jakby przyciągana przez wiedźmę. Dłoń kobiety szarpnęła gęstniejące powietrze. Bezwładne dotąd ciało Mira wygięło się w pałąk.

– Miro! Nie! – Nie bacząc na nic Saja poderwała się z ziemi.

Jednym skokiem przeskoczyła niski jeżynowy krzak, w kolejnych kilku susach dobiegła do odwróconej do niej plecami wiedźmy. Zamachnęła się i z całych sił walnęła wypełnionym rusałkami workiem w głowę kobiety.

Rozdarte jeżynowym kolcem płótno pękło. Ciemna ziemia z uroczyska rozsypała się po leśnej polanie. Powietrze zapachniało stojącą wodą i gnijącymi liśćmi. Ponad zieloną trawą zaczęła unosić się gęsta mgła.

– Śliczna, śliczna panienka... – rozległy się zimne, przeplatane chichotami szepty.

– Już nas nie kocha... Śliczna dziewczynka...

– Płacz, płacz!

– Pobawisz się?

– Śliczna dziewczynka.... Już nas nie kocha...

– Płacz, płacz!...

Wiedźma zachwiała się i straciła równowagę. Jej ciało obróciło się, padając. Jej dłoń, przed chwilą wysysająca życie z Mira, teraz zaczęła zasysać mgłę. W mgnieniu oka materializujące się rusałki zostały wciągnięte przez moc czarownicy. Ciało wiedźmy wydeło się i zaczęło śmigać po polanie, objając się o drzewa i wirując w powietrzu z przeraźliwym jękiem. Oniemiała Saja przyglądała się

widowisku szeroko otwartymi oczami. Raja, jakby obudzona, powoli podniosła głowę i otworzyła oczy.

Nagle wiedźma zatrzymała się i zawisła w powietrzu. Jej ciało wygięło się w pałąk, napięło przeraźliwie i z przeszywającym świstem wypchnęło ubitą kulę mgły. Postać wiedźmy jakby skurczyła się, pomarszczyła i stała niemal przezroczysta. Z cichym westchnieniem cień uleciał pomiędzy drzewa.

Chwilę później skondensowana kula mgły zaczęła rozpuszczać się w delikatny opar. Rozzłoszczone i nadal głodne rusałki rozglądały się po polanie, obnażając zęby. *Bogowie, trzeba je jakoś połapać, zanim zrobią komuś krzywdę!* – myślała Saja w panice.

– Chodźcie, siostry, chodźcie do mnie – powiedziała kojącym głosem.

Rusałki przechylały głowy, przyglądając się młodej Witii. Kilka kropeł złotego światła spadło z palców dziewczyny. Mgliste duchy rzuciły się żarłocznie na tę odrobinę pożywienia. Kłębiły się i wyciągały ręce ku Sai, domagając się więcej. Dziewczyna desperacko szukała w sobie źródła kojącego złotego światła. Z przerażeniem stwierdziła, że nie znajduje nic. Jej poplątane paniką myśli wypełnione były strachem, złością, żądzą zemsty, lecz nie miłością.

– Śliczna panienka nie kocha... – rozległy się mrozące krew w żyłach jęki rusałek.

– Jeść, trzeba nam jeść...

– Mała dziewczynka już nie chce...

– Płacz! Płacz!

Zimna mgła rozpełzała się po ziemi, zamieniając zieloną trawę w gęsty, mleczny opar. Pulsujące, zielone światło promieniujące od Rai zdawało się chronić zielarkę, lecz nie robiło krzywdy rusałkom. Lodowate, wyblakłe oczy zjaw dostrzegły przywiązanego do drzewa, odzyskującego przytomność Mira.

– Niedobry pan... – rozległy się chichoczące szepty.

– Zaraz będziesz z nami....

– Pobawisz się?...

Oczy Mira otworzyły się szeroko w przerażeniu. Jego pierś unosiła się w szybkim, histerycznym oddechu. Spojrzenie mężczyzny spotkało się ze wzrokiem Sai.

– Uciekaj! – wycharczał Miro – Uciekaj!

– Nie! Nie, Miro! – Saja rzuciła się ku rusałkom. – Siostry! Nie!

Mleczne, ostre pazury dotykały już nagiej piersi Mira. Ostre zęby szczyrzyły się obok jego szyi. Saja, zbyt przerażona, by myśleć, skoczyła ku korowemu.

– Zabieraj się z stąd, dziewczyno! – wydzierał się Miro, szarpiąc grube więzy. – Won!

Saja zignorowała nakazy opiekuna. Gołymi rękami próbowała odganiać mgliste postaci. Rusałki rozwiewały się wokół jej dłoni, by w mgnieniu oka zmaterializować się z powrotem. Dziewczyna szlochała z bezsilności i przerażenia. Tak bardzo nie chciała być sama. Nie mogła znieść myśli o utracie kolejnej ukochanej osoby. Oparła się plecami o szeroką pierś mężczyzny. Rozpaczliwie próbowała zasłonić potężną sylwetkę przyjaciela swoim drobnym ciałem.

– *Saja! Nie!* – usłyszała przerażony krzyk matki.

Czas jakby zwolnił. Oczy młodej Witii rozjarzyły się wszystkimi kolorami tęczy. Rusałki, głodne i rozsierdzone, zbiły się w gęsty tuman mgły i z wielką szybkością nadciągały ku Mirowi i osłaniającej go Sai. Dziewczyna kątem oka dostrzegła stojącą nieopodal, wspartą o kostur Raję. Zielarka przyglądała się dziewczynie ze spokojem. Saja chciała zawołać do staruchy, jednak zabrakło jej tchu, kiedy fala mgły uderzyła w jej wątłą pierś.

Tęczowe oczy zmętniały w bólu.

Ciało dziewczyny bezwładnie opadło na ziemię.

– *Saja! Nie!* – zaszlochał Miro, szamocąc się w więzach.

Poraniony, leżący na ziemi wilk zaskomlał.

– *Córeczko! Kochanie! Nic ci się nie stało?* – Młoda Witia usłyszała zatroskany głos matki.

– Nie wiem... – mruknęła.

Z wysiłkiem podniosła ociężałe powieki. Bolało ją wszystko. Głowa wirowała od chichotów. Żołądek skręcał się od zimnej obecności rusałek. Saja uniosła się ociężałe na ramionach i gwałtownie zwymiotowała. Zielarka opadła na kolana i delikatnie pogłaskała plecy dziewczyny.

– *Saja!* – charczał wciąż przywiązany do drzewa Miro. – *Ty głupia dziewczucho! Miałaś uciekać!*

– *W porządku?* – zapytała z troską zielarka, delikatnie przytrzymując włosy Sai.

– *Raja! Na Kuźnię i Młot, odwiąż mnie, kobieto!* – Wściekły Miro zupełnie zapomniał o należnym zielarkom szacunku.

– *Już idę, idę, nie ma się co denerwować* – odparła starucha.

– *Denerwować?!* – zawył purpurowy na twarzy mężczyzna. – *Kto to w ogóle był?! Jak ona mnie złapała?! Jak?... Ona go zabiła! Zabiła Newena! Jebana wiedźma... Wyrwała mu... – głos mężczyzny załamywał się szlochem. – Wyrwała... jak ojcu...*

Zielarka przecinała więzy Mira. Zamarła na chwilę, usłyszawszy słowa korowego.

– Coś ty powiedział?

Miro zdawał się nie słyszeć pytania staruchy. Jak opętany wrywał się z więzów. Potężnym szarpnięciem ramion rozerwał nadpiłowaną linę i z głuchym łupnięciem upadł na ziemię. Półożąc, wsparty na ramieniu, przyciskał dłoń do piersi.

– Miro... – Raja przykucnęła przy mężczyźnie i delikatnie dotknęła jego ramienia.

– Zostaw mnie, kobieto! – wycharczał, odtrącając dłoń zielarki.

Uspokoiwszy się nieco, poderwał się z ziemi i rzucił ku Skrze. Wilk leżał na boku, jego kudłate futro było posklejane krwią. Klatka piersiowa zwierzęcia unosiła się z trudem, z nosa wydobywała się krwista piana. Wypełnione bólem oczy patrzyły na Mira ze strachem. Ogromny wilk szeroko otwierał pysk, walcząc o każdy oddech.

– Raja! Pomóż! – krzyknął histerycznie mężczyzna, po czym delikatnie położył szeroką dłoń na głowie umierającego przyjaciela. – Skierka, trzymaj się! Trzymaj się, chłopie. Zostań ze mną! – szeptał czule do kudłatego ucha.

– Posuń się – szorstkim głosem rzuciła zielarka i klęknęła przy poranionym wilku. – Nic tu po tobie.

Miro z ociąganiem cofnął dłoń. Siedział na ziemi i w napięciu patrzył to na umierającego wilka, to na zielarkę.

– Możesz pomóc? Możesz coś zrobić? – dopytywał się z niepokojem. – Mam rozpalić ogień?

Raja machnęła ku mężczyźnie, odganiając go niczym niesfornego chłopca. Położyła dłoń na posklejanym krwią boku Skry. Palce drugiej dłoni zanurzyła w młodej zielonej trawie. Kiwając się rytmicznie, zaczęła szeptać coś pod nosem. Pulsujące w rytm gardłowych szeptów zielone światło gromadziło się wokół opartej na ziemi dłoni, wsiąkając w pomarszczoną skórę. Złoty blask sączył się z dłoni dotykającej boku wilka, otulając ciało zwierzęcia ciasnym kokonem. Po chwili oddech Skry uspokoił się. Jego niebieskawy do tej pory język nabierał zdrowszego, różowego koloru, a krwawa piana przestała dobywać się z nosa. Raja wciąż mruzczała rytmiczną pieśń, otulając wilka kolejnymi warstwami jasności.

– Chwała! – Miro otarł łzy z twarzy i westchnął z ulgą. – Bogowie! Dzięki Wam! Chwała!

Wyciągnął dłonie ku Skrze, jakby chciał go przytulić. Cofnął jednak ręce w pół drogi, niepewny, czy może dotknąć złotego kokonu opatulającego ciało

nieprzytomnego teraz zwierzęcia. W końcu z ociąganiem podniósł się z ziemi. Stał przez chwilę, patrząc to ku Sai, to ku bezwładnym ciałom przywiązanych do drzew. Machnął ręką i zataczając się nieco, podążył ku wciąż nieprzytomnemu siwemu mężczyźnie.

– Dupę ci, dziewczyno, stłukę później – rzucił przez ramię do Sai. – Jak słońce na niebie, obiję ci ten kościsty tyłek!

Saja uśmiechnęła się krzywo. Jej ciałem wciąż szarpały fale nudności, ale zwróciwszy całą zawartość żołądka, nie miała już czym wymiotować. Za to jej głowa cały czas pulsowała od zimnych chichotów i szeptów. Drżącą dłonią otarła usta. Próbowwała wstać, lecz nogi ugięły się pod nią. Na czworakach podczołgała się do Rai i Skry.

– Przeżyje? – zapytała z troską, patrząc na otulonego w jasność wilka.

– Wygląda, że przeżyje – odparła zmęczonym głosem zielarka, odsuwając dłoń od oddychającego spokojnie Skry. – Żebra pewnie połamane. Trzeba będzie później opatrzeć.

– Matko, co się stało? – zapytała Saja, walcząc z nudnościami. – Czy ta czarownica umarła, czy jak?

– Nie umarła, ździra, ale mało brakowało – odparła Raja. – Rusałki prawie całą ją, zarazę, wysały. Szkoda, że nie mogły utrzymać się dłużej...

– Rusałki co?!

– No, wysały ją – opowiedziała rzeczowym tonem zielarka. – Przecież rusałki martwaki są, to i wysysają życie, nie? Skąd ty je w ogóle wytrzasnąłeś, dziewczyno?

– Jak to wysysają życie?! – dziewczyna zignorowała pytanie Rai. – To co będzie ze mną?!

– Jak to co? – Starucha spojrzała na Saję jak na półgłówka. – Martwaki życie lubią, ale naprawdę to przecież nic tylko do zaświatów, do Nawii chcą, spoczynku w końcu zaznać.

– Znaczy umrę?! – Przerazona Witia chwyciła ramię Zielarki.

– Gadasz, dziewczyno, jak głupia koza jakaś. – Raja lekceważąco machnęła ręką. – Toż ty Witia jesteś, zaświaty w sobie nosisz. Nic ci nie będzie!

– O... – Saja z westchnieniem ulgi puściła ramię zielarki. – Ale strasznie się w środku wiercą, wiesz? Da się je jakoś wywalić czy coś?

– Wywalić się da, tylko gdzie? – odparła cierpliwie Raja. – Przecież jak je wypuścisz, to zaraz zaczną polować. Lepiej niech zostaną, gdzie są. Możesz je przecież zamknąć, prawda?

– Zamknąć? – nie rozumiała dziewczyna.

– Bogowie! – załamała ręce zielarka. – Niczego cię Wena nie nauczyła?



Saja z trudem powstrzymywała wybuch złości. Głowa bolała ją wściekle, ledwie mogła pozbierać myśli. *Dopiero co uratowałam im wszystkim skórę, a ta się na mnie wydziera...* Znow zebrało jej się na wymioty. *Czego jeszcze, parchy, mam się uczyć?!* – myślała, przełykając żółć.

– No dobrze... – powiedziała Raja, jakby czytając w myślach młodej Witii. – Siądź tu, naprzeciwko mnie, zaraz ci pokażę. To zajmie tylko chwilkę.

Dziewczyna, zadowolona, że nie będzie znow musiała słuchać o swoich niedociągnięciach, usiadła naprzeciwko zielarki ze skrzyżowanymi nogami. Raja przyciągnęła ją nieco bliżej, tak że zetknęły się ich kolana. Potem zielarka pochyliła się i czołem dotknęła czoła dziewczyny.

– Zamknij oczy – poinstruowała młodą Witię spokojnym, hipnotycznym głosem. – Oddychaj. Rozluźnij się. Odpuść.

Saja otworzyła jedno oko, marszcząc czoło w zdziwieniu.

– Odpuścić? Że niby rzeką czy jak? – zapytała. – Przecież tu żadnej wody nie ma...

Stara zielarka przewróciła oczami, zirytowana.

– Nie rzeką, dziewczyno! Od swojego ciała odpuść! Nie wiem, jak to wytłumaczyć... Jakby wyslizgnij się ze swojego ciała do zaświatów. Tak jak wtedy, kiedy się obudziłaś.

*Tyle że ja się nie obudziłam...* – zgryźliwie pomyślała Saja. – *Zostałam, parchy, obudzona. I podobno nie byłam gotowa...*

– No już, dziewczyno, całego dnia nie mamy – ponagliła ją Raja. – Spróbuj jeszcze raz.

Słuchając pouczeń zielarki, Saja zamknęła oczy i skupiła się na swoim oddechu. Starła się ignorować wierzące się i hałasujące w jej głowie rusalki. Rozluźniła mięśnie i czując się strasznie głupio, spróbowała wyslizgnąć się ze swojego ciała. Wierciła się i kręciła, ale bezskutecznie. W końcu otworzyła oczy, by raz jeszcze poprosić Raję o instrukcje. Aż zamrugnęła, zdziwiona, kiedy zamiast szarych oczu staruchy zobaczyła gęstą, mleczną mgłę.

– *Udało się!* – pomyślała radośnie.

– *No proszę, dałaś radę!* – usłyszała zadowolony głos Rai.

– Gdzie jesteś? – Saja rozejrzała się, szukając zielarki.

– *Tuż obok. Jeszczem żywa, więc tak jakoś trudno mi po zaświatach chodzić, nie sądzisz?* – odparła zgryźliwie starucha. – *Co tu tak mglisto?*

– A skąd mam wiedzieć? – wzruszyła ramionami Saja.

– *Jak to skąd? Przecież to twoja głowa!* – W głosie Rai brzmiały nutki rozbawienia.

– Moja? – zdziwiła się dziewczyna.

– *A czyja? Jesteś Witią czy nie?*

Saja odpowiedziała milczeniem i wzruszeniem ramion. Miała już dosyć bycia pouczaną i traktowaną jak idiotka. *Staram, się parchy, ratuję im tyłki i wciąż niedobrze...*

– Nie możesz mi po prostu powiedzieć, jak te rusałki zamknąć? – powiedziała na głos.

– *No, skoro już ratujesz nam, parchy, tyłki to pewnie i mogę* – złośliwie odpowiedziała Raja.

*Pięknie... Następna czyta w myślach...* – pomyślała Saja zgryźliwie.

– *No już dobrze, dobrze...* – nauczycielskim tonem rzekła zielarka. – *Widzę, że w ogóle nie wiesz, jak to działa.*

– Nie wiem. Nie wiem nawet, o czym mówisz. – Naburmuszona dziewczyna siadła na nieistniejącej ziemi i objęła kolana ramionami.

– *No, to tak pokrótce, bo dużo czasu nie mamy* – zaczęła Raja. – *Jesteśmy w zaświatach dla rodu Drewian. Całe to miejsce pozostaje we władaniu Witii. Możesz sobie tu poukładać, jak chcesz. Podobno za czasów Weny stał tutaj jakiś zamek czy coś. Ale ty zrobisz, jak zechcesz. Co do rusałek – kontynuowała zielarka – to sprawa jest prosta. Wymyśl jakąś skrzynię i je pozamykaj.*

– W skrzyni?! – oburzyła się Saja.

– *A czemu nie?* – odparła Raja. – *Tylko solidne jakieś wieko wymyśl, żeby się łatwo nie wyrwały.*

Dziewczyna, zainteresowana pomysłem kształtowania mgły, na próbę wyobraziła sobie solidną, drewnianą skrzynię. Mleczny opar posłusznie zaczął zbierać się w prostokątny kształt i po chwili przed oczami zachwyconej dziewczyny pojawiła się masywna dębowa skrzynia.

– Jejku! – Saja klaskała w dłonie z radości. – Ale cuda!

– *Właśnie tak* – pochwaliła zielarka. – *No, to ty je pozamykaj, a ja wracam. Jeszcze Skrę i tego drugiego męża trzeba będzie opatrzyć.*

– A jak ja stąd wrócę? – zapytała dziewczyna.

– *A jak wracałaś wcześniej?*

– No... Zasysało mnie tak jakoś...

– *Bogowie...* – westchnęła zielarka. – *Jak chcesz wrócić, to musisz się po prostu z powrotem wsunąć do swojego ciała.*

– Aha! Nie wiedziałam. – Zachwycona nowymi możliwościami Saja nawet nie gniewała się na protekcyjny ton staruchy. – Tak? – dodała, otwierając oczy i patrząc na pochyloną przed nią skupioną twarz zielarki.

– Pięknie – pochwaliła Raja.

Starucha podniosła się z ziemi i szybkim krokiem podeszła do pochylonego nad bezwładnym ciałem Mira.

– To się pobaw – rzuciła przez ramię do Sai. – Jakby coś, wołaj Olenę. Ona mnie może sprowadzić, gdyby pomocy było trzeba.

Dziewczyna w odpowiedzi uśmiechnęła się radośnie.

\*\*\*

Saja wtulała twarz w wiszący na kołku kozuch. Mieszanka zapachu koni, potu i zimowego poranka pachniała jak jej tata. Tak łatwo było uwierzyć, że wydarzenia ostatnich tygodni były tylko złym snem. Podświadomie oczekiwała czułego dotknięcia szorstkiej ojcowskiej dłoni. Czekwała na ten dotyk w nieskończoność. Potrzebowała go tak bardzo, lecz ojciec nie nadchodził.

W końcu uniosła głowę. Odwróciła się i oparła plecami o solidną drewnianą ścianę. Jeszcze nie mogła uwierzyć, jak wiele zdołała upleść z mgły zaświatów. Skąpe początkowo wspomnienia rodzinnego domu wracały bardzo szybko w miarę tworzenia tego miejsca. Posłuszny opar układał się we wszystko, czego tylko zapragnęła. *Mój dom...*

Obszerne wnętrze oświetlone było słonecznym blaskiem, wpadającym przez szeroko otwarte okiennice. Przestronna izba wyglądała dokładnie tak, jak Saja pamiętała. Szeroki, solidny stół zastawiony był misami, garncami i kubkami, jakby biesiadnicy dopiero co wstali od posiłku. Gotująca się nad kamiennym paleniskiem zupa pachniała smakowicie grzybami. Ukochana przez matkę kolekcja malowanych dzbanów stała jak zawsze na szerokiej półce, wystarczająco wysoko, aby Saja nie mogła dosięgnąć cennych przedmiotów. Na ścianie przy drzwiach wisiały wymagające naprawy skórzane uzdy, nachrapniki i wypinacze. Na szerokiej ławie powinien pracować jej ojciec. Z szydłem w dłoni, pochylony się nad przetartą uzdą czy wodzami. W odległym kącie izby, przy wypełnionej kolorową przędzą skrzyni, powinna siedzieć jej matka.

Oprócz Sai w izbie nie było nikogo.

*Zaświaty.* Mogła stworzyć tu wszystko. Oprócz tego, czego najbardziej potrzebowała. Ożywione wspomnienia wywoływały ból, nie radość. Wywoływały gniew i głębokie poczucie niesprawiedliwości. *Mgła była lepsza...* – pomyślała dziewczyna z goryczą.

Saja podeszła do ulubionego kącika matki. Musnęła palcami bardko<sup>22</sup> z ledwie rozpoczętą, szeroką krajką. „Będziesz mogła ją wpleść we włosy na Darne Gody!”

– powiedziała jej mama tak bardzo, bardzo dawno temu.

– To nie tak miało być! – wykrzyknęła gniewnie dziewczyna. – Miałam tańczyć na Darnych Godach! Miałam pojechać z ojcem do Sławy!

Dziewczyna objęła się ramionami, szukając ukojenia. Opadła na kolana i zapłakała za utraconym domem. Prawdziwy, wypełniony krwią, ogniem i czarownicami świat wydawał się tak okrutny. Nie chciała tam wracać. Zapragnęła zawołać matkę, zatrzaskać drzwi izby i nigdy, przenigdy już nie wychodzić.

Drgnęła zaskoczona, kiedy usłyszała delikatne pukanie. Z ociąganiem podniosła się i podeszła do solidnych drewnianych drzwi. Otworzyła je, by w zdumieniu zobaczyć matkę, babkę Wenę i Ioni, stojące na ubitej ziemi podwórka.

– Saja! Czyś ty rozum postradała?! Mówiłam ci przecież, żeby się trzymać z daleka od czarownicy! – Zdenerwowana matka doskoczyła do Sai.

– Lida, daj spokój – mitygowała Ioni. – Dziewczyna poradziła sobie z rusałkami, to z czarownicą nie da rady?!

– Roztkliwiasz się nad nią jak nad jajkiem – dodała Wena. – Nawet Raja mówiła, żeby przysłać Saję do pomocy.

– Bo wy nic, tylko ją chcecie w zasadzki wpędzać! – naburmuszyła się Lida. – Saja, ja nie miałam z tym nic wspólnego! – zwróciła się do córki.

– Wiem, mamo, wszystko w porządku... – Znużona kłótniami przodkiń Saja nie chciała wdawać się w dalsze dyskusje.

– Widzę, że Raja cię czegoś nauczyła – zmieniała temat Wena, rozglądając się po podwórku. – Sama miałam to zrobić, ale jakoś okazji nie było...

– Akurat, nie było okazji – kpiła Ioni. – W tej mgłę nie musiałaś pukać, ot co!

– Właściwie to czemu pukacie, zamiast po prostu wejść? – zapytała Saja.

*Jak zwykle* – dodała w myśli. – *Bez pytania. Z buciorami. Wtrącając się we wszystko.*

– Bo jak ściany postawiłaś, to już nie możemy chodzić, gdzie chcemy. Nie słyszymy też twoich myśli, chyba że nam pozwolisz – wyjaśniła matka, całując córkę w czoło. – Możemy wejść?

Saja zawahała się. Wena patrzyła na wnuczkę niecierpliwie. Ioni zdawała się rozumieć rozterki młodej Witii. Poklepała ją po ramieniu i powiedziała:

– No już, już. Zawsze nas możesz wyprosić.

– Możemy? – powtórzyła pytanie matka.

– Tak, proszę. – Saja z ociąganiem cofnęła się do izby i otworzyła drzwi na oścież.

– Saja! – wykrzyknęła Lida na widok wnętrza domu. – Córeczko! To jest... – Głos matki załamał się.

Wena i Ioni rozglądały się po izbie z zaciekawianiem.

– Nie najgorzej – powiedziała babka, siadając przy zastawionym stole. Podniosła gliniany kubek i przyglądała się krytycznie prostemu naczyniu. – Chociaż ja bym tu nieco inaczej urządziła.

Niespodziewane dla Weny glinianemu kubkowi urosły długie rączki i pełen komplet ostrych zębów. Rączki kubka złapały dłoń byłej Witii, a zębki wbiły się wściekle w jej palec.

– Pięknie! – zaśmiewała się Ioni. – Co się będzie babka wymądrzała.

Wena odrzuciła kubek z odrazą i cofnęła dłoń. Skóra na pogryzionym palcu zafalowała, wracając do normalnego, nieuszkodzonego wyglądu.

– No wiesz... – Babka spojrzała na wnuczkę z wyraźnym rozczarowaniem. – Takie zachowanie nie przystoi Witii.

– A ja uważam, że i owszem! – Rozbawiona Ioni stanęła w obronie Sai. – Musi dziewczyna umieć bronić swoich poglądów!

Młoda Witia, z zaciśniętymi ustami i oczami wciąż czerwonymi od płaczu, zignorowała babkę i ciotkę. Podeszła do wpatrującej się w bardko, milczącej Lidy. Przytuliła się do ramienia matki.

– Pamiętasz? – zapytała cicho.

Lida skinęła głową, nie odwracając wzroku od niedokończonych krajki.

– Myślałam – zaczęła ostrożnie Saja – że może dałoby się tu ściągnąć tatę?...

Lida w milczeniu chwyciła córkę za rękę i poprowadziła ją w kąt izby. Siadła na stołku, po czym delikatnie przyciągnęła Saję bliżej i usadziła dziewczynkę na swoich kolanach.

– Kasimir nie jest... – Lida przymknęła na chwilę oczy i pochyliła głowę – nie był... – poprawiła się. – Nie był Drewian. A nawet gdyby był, nie był kobietą... Tylko kobiety mogą przebywać w tym miejscu.

– Co? – Zaskoczona Saja uniosła głowę z ramienia matki. – Jak to? To już nigdy go nie zobaczę?

Lida pokręciła głową w milczeniu. Wena przykucnęła na klepisku obok córki i wnuczki.

– To jest cena za nasz dar – powiedziała miękko babka. – Nasi mężowie odchodzą do Kuźni, a my zostajemy tutaj. Dla nas nie ma „do śmierci i poza nią” – zacytowała daborską przysięgę małżeńską.

– Tak mi przykro – wyszeptała Lida przytulając córkę. – Tak bardzo mi przykro, córeczko.

Saja wtuliła się w objęcia matki. Trwały tak przez chwilę, pogrążone w tęsknocie za utraconym szczęściem. Wena i Ioni siadły przy stole. Czekały cierpliwie, w

milczeniu, popijając z glinianych kubków. W końcu Saja otarła oczy i podniosła głowę.

– Mamo?

– Tak, kochanie? – Lida pocałowała włosy córki.

– A mogłabyś skończyć tę krajkę? – zapytała Saja, wskazując leżące na skrzyni bardko.

– Mogłabym – odparła matka. – Tylko... Tylko nie możesz zabrać jej poza to miejsce, wiesz o tym?

– Wiem – przytaknęła dziewczyna. – Ale przynajmniej miałabym ją tutaj.

– Dobrze. – Lida znów przytuliła córkę. – Nie ma sprawy, skończę ją.

– Przepraszam, że przeszkadzam – zagadnęła Wena od stołu – ale myślę, że czas nam usiąść i wypracować jakiś plan. Przyszły nowe wieści, Żeglarze mają atakować...

– Wena! – Ioni spojrzała na byłą Witę z oburzeniem. – Co ty? Serca nie masz?

– W porządku, już skończyliśmy – uspokajającym tonem odezwała się Lida, delikatnie podnosząc córkę z kolan.

– Gdzie jest Nyss? – Saja dopiero teraz zauważyła brak pięknej przodkini.

– Jest zajęta gdzieś indziej. Dołączy do nas, jak tylko będzie mogła – odparła Ioni.

– Och... Szkoda... – Nagle ożywiona Saja otarła oczy i spojrzała z dumą ku przodkiniom. – Bo przecież nie pokazałam wam jeszcze wszystkiego!

Trzy kobiety spojrzały na dziewczynę pytająco. Młoda Witia ukloniła się głęboko, po czym szerokim gestem wskazała ku tylnym drzwiom.

– Zapraszam do ogrodu!

Wena z podejrzliwą miną wstała od stołu i podeszła do drzwi. Spojrzała przez ramię ku wnuczce.

– Jakieś wściekłe naczynia? Meble? – zapytała nieufnie.

– Żadnych! Przysięgam! – odparła Saja z radosnym uśmiechem.

Wena otworzyła drzwi i wyszła do ogrodu. Lida i Ioni podążyły za nią, zaciekawione.

– No to pojechałaś, dziewczyno – powiedziała Ioni patrząc na ogród szeroko otwartymi w podziwie oczami.

– Saja! To jest piękne! – zachwyciła się matka.

– Bogowie... – Wena tylko przewróciła oczami i przesunęła dłonią po twarzy.

Za drzwiami prostego, drewnianego dworku rozciągał się iście królewski ogród. Po lewej stronie rosły niskie drzewa owocowe. Ich gałęzie były ciężkie od kwiatów

i dojrzewających owoców. Ponad drzewami, na błękitnym, bezchmurnym niebie, jaśniała wspaniała, podwójna tęcza.

– To jest w ogóle możliwe? – dziwiła się Ioni.

– A kogo to obchodzi? – odparła Saja, szczerząc zęby w promiennym uśmiechu.

Po prawej stronie ogrodu szumiał wysoki wodospad. Spieniona woda wpadała do rozlewającego się na pół ogrodu jeziora. Na jego tafli unosiły się lilie wodne wielkości dwóch męskich dłoni, a na brzegach kwitły łany niezapominajek. Tuż przy wodospadzie rosły poziomki wielkości jabłek i ogromne jak pięści jagody. Po ogrodzie latały motyle o wielkich, oślepiających kolorami i wzorami skrzydłach.

Na środku jeziora rosło, a raczej unosiło się wysokie, rozłożyste, drzewo. Jego pień wydawał się być spleciony z kilkudziesięciu mniejszych pni. Po srebrzystej korze drzewa grubymi, tęczowymi kroplami ściekała oleista żywica. Opalizujący płyn gromadził się u stóp drzewa, tworząc owalną plamę na tafli jeziora. Nad tą plamą rozciągał się kryształowy mostek. Korzenie widoczne pod przejrzystą wodą, zamiast rozwidlać się na boki, splatały się w przedziwny, stożkowaty kształt, zakończony pojedynczym, grubym kłęczem. Rozłożyste gałęzie drzewa zamiast liśćmi pokryte były ogromnymi kwiatami we wszystkich kolorach tęczy. W kielichach przepięknych kwiatów siedziały malutkie, uskrzydłone dziecięce postaci. Wyglądające jak wróżki stworzenia uśmiechały się błogo, rurkami popijając złotawy płyn z dna kwiatów.

Ioni weszła na mostek i zmrużyła oczy, by lepiej przyjrzeć się popijającym nektar wróżkom. Ich skóra i włosy miały zielonkawy kolor, usta wypełnione były ostrymi ząbkami a palce zakończone mlecznobiałymi, ostrymi pazurami.

– Nie wierzę! – wykrzyknęła Ioni, rozpoznając uskrzydłone postaci. – Naćpane rusałki!

– Dobrze, co? – Saja pękała z dumy. – I pomagają mi porządkować wspomnienia!

Dziewczyna wyciągnęła dłoń, by złapać złotą kroplę, upuszczoną przez przelatującą rusałkę. Podeszła do kryształowego mostu i upuściła kroplę na jego gładką powierzchnię.

– Czy to jest bezpieczne? – Lida przyglądała się rusałkom podejrzliwie.

– Lida! – zrugła córkę Wena. – Dałabyś już spokój. Saja jest tutaj niczym Jar w Kuźni. Nic jej nie grozi. Pytanie jest, natomiast, co stanie się po jej śmierci.

– Mamo! – obruszyła się Lida.

– Co „mamo”? – odparła była Witia. – Przecież trzeba się przygotować na najgorsze.

– Oooo! – Ioni rozplywała się w zachwycie, przyglądając się obrazowi na powierzchni kryształowego mostu. – Wena, musisz to zobaczyć!

Była Witia podeszła do mostu i zerknęła przez ramię Ioni. Kropla złotego płynu rozlała się po gładkim kryształ. Okrągła plama żywicy ukazała obraz kilkuletniej, szczerbatej i umorusanej błotem dziewczynki, podejrzenie podobnej do Weny.

– No wiesz... – westchnęła kobieta, potrząsając głową. – Nie masz ważniejszych wspomnień?

– Babciu – przymlała się Saja. – Ale to jest takie słodkie!

Dziewczyna wsunęła dłoń pod ramię babki i pociągnęła ją w kierunku drzew owocowych.

– Mam coś jeszcze! Specjalnie dla ciebie!

Wena zrobiła umęczoną minę, lecz podążyła za wnuczką. Ioni i Lida, zaciekawione, ruszyły w ślady Witii. Kiedy przeszły przez krótką alejkę pomiędzy drzewami, ich oczom ukazał się strzelisty zamek. Wysokie, smukłe wieże mieniły się odcieniami różu i fioletu. Wąskie, oszklone witrażami okna ozdobione były rzeźbami uskrzydłonych koni. Zamek otoczony był wysokim akweduktem, z którego obu końców przelewała się woda. U stóp zamku znajdowała się, zasilana przez spadające z akweduktu wodospady, malownicza fosa.

– Zamek! – radośnie oznajmiła Saja. – Cały twój!

– Oooo! – rozplýwała się Lida. – Jaki śliczny!

– Saja, lepiej zwiewaj, zanim cię Wena lutnie! – kpiła Ioni.

– Czemu? – zmartwiła się Saja. – Nie podoba ci się? – zwróciła się do babci.

– Hmm – odkaslnęła Wena. – Jakby tu... Wiesz, ja nie przepadam za różowym...

– Ach tak, przepraszam... – zakłopotana się Saja. – Tak lepiej?

Baśniowy zamek rozplýnął się, by powrócić w mgnieniu oka, cały w czerniach i fioletach. Akweduktem zamiast wody plýnęła teraz lawa. Uskrzydłone konie zmieniły się w wywerny. Na najwyższej wieży siedział ogromny smok, którego smukłe ciało pokryte było opalizującymi, ciemnymi łuskami.

Wena aż podskoczyła, kiedy smok ryknął i zionął ogniem.

– Cudo! – wykrzyknęła zachwycona Ioni. – Mogę też taki mieć?

– Jest cały twój – mruknęła była Witia.

– Och... Też źle?... zafrasowała się Saja. – Nic to! – rzekła po chwili, znów uśmiechnięta. – Ten zostanie dla Ioni, a my zaraz zbudujemy coś razem. Zawsze chciałam mieć babcię, wiesz? Taką prawdziwą, co to historię opowie i kołacz upiecze. Myślisz, że mogłybyśmy jakąś kuchnię i piec...

– Dziecko, naprawdę nie trzeba! – broniła się Wena. – Musimy przecież jeszcze przedyskutować plany. Mamy nowe wieści, mało czasu... Trzeba usiąść, zastanowić się...



– To zajmie tylko chwileczkę – upierała się Saja. – Jeszcze będzie czas, żeby układać plany.

Ioni i Lida popatrzyły za oddalającymi się Witiami i wybuchnęły śmiechem.

– Ona jest kompletnie szalona! – wykrztusiła w końcu Ioni, ocierając łzy rozbawienia.

– Moja krew! – z dumą rzekła Lida.

\*\*\*

Zimny wiatr gnał chmury po wieczornym niebie. Korony drzew gięły się pod jego naporem. Młode pędy i pąki lśniły w czerwonym świetle zachodu słońca. Na cienkiej gałęzi wysokiego świerku kołysał się miotany wiatrem cień. Przezroczyście patykowate palce kurczowo ścisnęły wątlą, kłującą gałązkę. Zwiewna postać, zbyt lekka, by opaść na ziemię i zbyt słaba, by przyciągnąć się do grubszej gałęzi, falowała w podmuchach wiatru.

– Pomóż mi... Pomóż mi, panie... – cichy szept wydobył się z pomarszczonych, bezzębnych ust.

*Głupia!* – pomyślał wątlą cień, który kiedyś zwał się Alwiną. – *On nie słucha modlitw. Ma już moją duszę. Nie mam nic więcej by mu ofiarować...* Osadzone głęboko w łysej czaszce oczy błysnęły czerwienią, desperacko rozglądając się za ratunkiem. *Zwierzę, potrzebuję jakiegoś zwierzęcia...* – myślał gorączkowo cień pięknej kobiety. Alwina próbowała już wysysać życie z pąków. Bezskutecznie. Nie słysząc bicia serca, bez pulsującej krwi, nie mogła uchwycić życiodajnej energii. Osłabiona, niemal na granicy śmierci, zaczęła szykować się na spotkanie Tego, któremu oddała duszę. *Wieczność w płomieniach...* – pomyślała gorzko. – *Za jaką cenę? Sto? Sto pięćdziesiąt lat? Nie tak miało być. Miałam być królową...*

Alwina, jak na czarownicę przystało, była siódmą córką siódmej córki. W Hemarze siódme córki siódmych córek były zabijane i palone zaraz po narodzinach. Alwina miała bardzo dużo szczęścia, gdyż jej otumaniona gorzałką matka nigdy nie potrafiła doliczyć się własnych dzieci. Młoda czarownica, wychowana w brudzie i smrodzie, z radością przyjęła ofertę nauki u starej, mieszkającej w pobliskich lasach wiedźmy. Nauczycielka Alwiny była surowa i potrafiła być okrutna, ale dziewczynie to nie przeszkadzało. Wytrwale uczyła się magii. Po kilkunastu latach stara czarownica została spalona na stosie. Alwina, której udało się uciec przed przeszukującymi lasy wieśniakami, nie uroniła nawet łzy. Używając swojego młodego ciała, olśniewającej urody i magii, po długiej tułaczce dostała się do zamku Kalder, do łóża samego hrabiego Godwulf. Bez

większych problemów skłoniła go do małżeństwa i spędziła lata, żyjąc w przepychu i dobrobycie. Pewnego dnia na jej czole pojawiły się jednak pierwsze zmarszczki. Wtedy to starzejący się hrabia zaczął ulegać wdziękom młodszych dziewcząt. Alwina zwalczała konkurentki jak mogła, jednakże, pomimo wielkiej inteligencji i sprytu, niewiele mogła poradzić. Jej przemijająca uroda z czasem zwiędła na tyle, że hrabia postanowił odesłać ją z zamku. Wtedy to Alwina wezwała Pana Ciemności. W zamian za swoją i tak już zbrukaną duszę dostała od Niego wieczną młodość i więcej mocy, niż wydawało jej się możliwe osiąść.

Alwina zaśmiała się gorzko. *Taka moc. Taka potęga...* – myślała. – *I co? Nawet nie wiem, co mnie zalałwiło. Niksy jakieś? Obsrane syreny? W środku jebanego lasu? Dabor, w dupę kopany... Przekłęta ziemia...*

Przyjechała do Daboru trochę z nudów, a trochę z ciekawości. Zainteresowała się tym krajem, kiedy na dworze Veita w Trybaldzie poznała Kalina Wernadzia. Kalin, choć zapatrzony w siebie, z mózgiem wyzartym poezją i nienawiścią do ojca, zdawał się być inny. Miał w sobie tę obcą, fascynującą energię. *Zapach starych bogów*, jak po przybyciu do Daboru zaczęła to nazywać Alwina. Ta ziemia była przesiąknięta magią. Prawie można było zobaczyć odciski stóp spacerujących po niej bogów. Do tego, jak Alwina dowiedziała się później, Dabor potrzebował Witi.

– *Miałam być Witią...* – pomyślał cień kobiety. – *Miałam być królową. Przegonić zielarki. Miałam mieć całą tę moc dla siebie...*

Dobiegające gdzieś z boku melodyjne gwizdanie przerwało rozmyślenia czarownicy. Czerwone, prawie już gasnące oczy dostrzegły siedzącą nieopodal na gałęzi malutką sówkę. Ptak zdawał się być tak przejęty śpiewem godowym, że nie zwracał najmniejszej uwagi na kołysany wiatrem cień kobiety. Szybkie bicie serca sówki było jak pieśń dla umęczonej czarownicy. Z przyływem nadziei wątle, pomarszczone i omdlewające już ramiona zdobyły się na ostatni wysiłek. W mgnieniu oka rozczapierzone palce zamknęły się na drobnym serduszku ptaka. Iskierka życia wypełniła usychające ciało Alwiny. Nie było to dużo, ale wystarczająco, aby patykowate ramiona sięgnęły pnia wysokiego świerku. Nie wierząc we własne szczęście, Alwina zaczęła mozolnie zsuwać się z drzewa.

– Widać jeszcze nie czas, Panie! – wyszeptała czarownica. – Jeszcze nie czas.

---

<sup>22</sup> Bardko – proste urządzenie do tkania.

# KOZDZIAŁ 8

*Niewiasty te, zwane zielarkami, uczone są w prawie i obyczajach, w leczeniu chorób tak ludzi, jak i zwierząt, w uprawie ziemi i wielu innych zagadnieniach. Potrafią też mówić mową wiatru i wedle potrzeby chmury deszczowe przywoływać lub rozwiewać.*

Elia Meinbuch,  
„O pracy ziemskiej i pomożeniu dóbr wszelakich”

Rawa zadrzała w chłodzie poranka. Po dwóch nocach spędzonych z Kalinem była zmęczona i pomimo porannej wizyty w łaźniach żupana czuła się brudna.

– *Rawa!* – Otulona płaszczem kobieta usłyszała głos Nyss. – *Nawet tak nie myśl. To był karwał dobrej roboty. Dowiedziałyśmy się mnóstwo, a Kalin nic nie podejrzewa. Nie ma niczego złego w używaniu tego, co ci bogowie dali.*

– *Wiem...* – Rawa osłoniła kapturem twarz przed zimnym wiatrem. – *Tylko czasem... Tylko czasem nie wiem... Chyba miłości mi w tym wszystkim brak.*

– *Czy ja jestem we właściwej głowie?* – zakpiła Nyss. – *Gadasz jak Miła!*

– *Wiem...* – Rawa uśmiechnęła się na myśl o bliźniaczej siostrze. – *Może się starzeję?*

– *Jak ty coś powiesz...* – parsknęła Nyss. – *No nic, głowa do góry. Jeszcze tylko odwiedzimy te staruchy i zwijamy się do Sławy. Na tratwie sobie odpoczniesz.*

– *Akurat odpocznę...* – marudziła Rawa. – *Podróżowałaś kiedyś z czwórką dzieci?!*

Chwilę potem kobieta uświadomiła sobie, z kim rozmawia. Przypominała sobie, że jedyna córeczka Nyss zmarła wkrótce po urodzeniu. Przodkini nigdy nie miała więcej dzieci.

– *Bogowie, Nyss, przepraszam!* – tłumaczyła się zawstydzona Rawa. – *Jestem zmęczona i głupoty płotę...*

– *Nie ma sprawy* – odparła Nyss po chwili milczenia. – *To były dwie długie noce, masz prawo być zmęczona. A co do podróżowania z dziećmi... Nie, nigdy nie miałam przyjemności. Choć z mojej strony mogę doradzić, kochana, żebyś doceniała to, co masz. Prawdziwie ważne rzeczy są tak kruche...*

Rawa w milczeniu pokiwała głową. Zła na siebie za nieprzemyślany komentarz, resztę drogi pokonała szybkim krokiem, bez słów. Pokazując znak Kalina, przeszła przez bramę Zatonia niezatrzymywana. Po krótkim marszu stanęła przed

wysokim cisowym żywopłotem otaczającym Święty Gaj. Zgodnie z tradycją zsunęła kaptur z głowy, wykreśliła święty symbol koła na piersi, po czym delikatnie pchnęła plecioną furtkę. Powoli, z nabożną niemal czcią, weszła do Gaju.

– Pochwaleni, dziecko – pozdrowiła ją stojąca przy furtce, okutana zielonym płaszczem zielarka. – Z jaką to troską do nas zachodzisz?

– Pochwaleni, matko – ukloniła się Rawa. – Bogom dziękować, nie z troską was odwiedzam. Przychodzę z polecenia siostry Wedrzany. Dwa dni temu spotkała się z nami w gospodzie, u Newena.

– Pamiętam, pamiętam – pokiwała głową starucha. – Poczekaj tu, dziecko, zaraz sprowadzę Wedrzanę – dodała i oddaliła się zważnym krokiem.

Rawa, rozgrzana szybkim marszem, odrzuciła poły płaszcza i z westchnieniem ulgi oparła się o gruby pień najbliższego drzewa. W ciągu minionego roku ze względu na chorobę olbrzyma Bogusza obie siostry były częstymi gośćmi w daborskich Świętych Gajach. Rawa lubiła atmosferę tych miejsc. Spokój i cisza panujące pod rozłożystymi koronami cisów kołysały myśli. Wiekowość drzew i zielarek sprawiała również, że troski i zmartwienia Rawy wydawały się mniej ważne. Nawet podróżująca z matkami czwórka dzieci w Gajach zachowywała się ciszej i spokojniej. *Może na starość sama tu zamieszkać?* – zastanawiała się. Przyglądała się małym chatkom, wyobrażając sobie spokojne życie wśród zielarek. Rozrzucone pomiędzy drzewami domki obrosnięte były starannie ukształtowanymi cisowymi krzewami. Niezwykle gęste, często przycinane krzaki pokrywały ściany zabudowań w Gaju lub wręcz je tworzyły. Kurnik, zagroda dla osłów, niewielki daszek dla oczekujących na leczenie – wszystko to utworzone było z gęstych, wiecznie zielonych krzewów.

Plecione drzwi jednej z wciśniętych pomiędzy drzewa chatek uchyliły się. Rawa spostrzegła kiwającą ku niej dłonią Wedrzanę. Szybkim krokiem podążyła ku zielarce.

– Pochwaleni, Rawo – pozdrowiła ją starucha z ciepłym uśmiechem. – Miło cię widzieć ponownie.

– Was również, matko – odparła Rawa, kłaniając się z szacunkiem. – Robota u żupana skończona, to przyszedłam, jak prosiłście, pozdrowić was przed wyjazdem.

– To dobrze, dobrze, dziecko, że pamiętałaś o starych kobietach. – Zielarka otworzyła szerzej drzwi, zapraszając ją do środka. – Wejdz, wejdz, rozgrzej się, bo ranki jeszcze przecież zimne.

Z wdzięcznym ukłonem Rawa wsunęła się do niskiej, skromnie urządzonej izby. W przytulnym, uszczelnionym słomą i mchem wnętrzu było bardzo ciepło.

Kobieta zdjęła płaszcz i usiadła przy palenisku, na podsunętym przez zielarkę pięknie rzeźbionym stołku.

– Dziękuję, matko – powiedziała Rawa, wyciągając dłonie ku żarowi. – Z flisakami się zabieramy, to pewnie na rzece wymarzniemy do kości.

– Wiem, wiem – odparła Wedrzana. – Czesna, jedna z siostr, wybiera się już do przystani, żeby flisaków przed podróżą zbadać i pobłogosławić.

Zgodnie z tradycją dla bezpieczeństwa flisaków i ich pasażerów w każdej przystani członkowie załóg flisu badani byli przez zielarki. Staruchy szukały nie tylko objawów chorób, które mogłyby zarazić daborskie osady, ale również oznak nadmiernego opicia trunkami.

Bez błogosławieństwa zielarek flisacy nie mogli ani zejść na ląd po przybyciu do przystani, ani wejść na swoje barki przed wyruszeniem w dalszą drogę. Dzięki temu przestrzeganemu ściśle zwyczajowi tak ważny dla daborskiego handlu flis od pokoleń odbywał się niemal bez śmiertelnych wypadków.

– Dziękować bogom, że błogosławi – odparła Rawa. – Toż płyniemy z czwórką dzieci. Z Tyczy podróż była spokojna, oby do Sławy okazała się taka sama.

– Nie gniewaj się, dziecko – ostrożnie zaczęła zielarka – ale tak sobie z Duszka myślałyśmy, że może byście z siostrą chciały dzieci tutaj zostawić? Życie takie, ciągle w drodze, niebezpieczne przecież.

Rawa spojrzała na zielarkę w zamyśleniu. Przypomniała sobie opisane w sekretnych listach, odważne plany Kalina. Pochyliła się ku Wedrzanie i powiedziała:

– Wdzięcznam za to zaproszenie, ale coś mi się widzi, że dzieci będą bezpieczniejsze z nami.

– Hmm... – zacisnęła usta zielarka. – Czyli Duszka dobrze usłyszała?

– A dobrze – odparła Rawa. – Może nawet i Żeglarzy będziecie gościć...

– To takie buty... – Starucha zamyśliła się na chwilę. – No nic, z ludziskami trzeba będzie pogadać, przygotować się... A co do flisu – zmieniła temat – dadzą Bogi, spokojna podróż będzie. Do Sławy zmierzacie?

– Do Sławy – potwierdziła Rawa. – Jeszcze trochę wiosennego słońca i drogi rozmokną. Nijak będzie nam podróżować. Sława duże miasto, a nuż jakiś zarobek wpadnie. Przeczekamy tam z miesiąc i ruszymy dalej.

– Żupan, mniemam, w dobrym humorze. Listy jakieś wam dał? – dopytywała się zielarka.

– A dał, co miał nie dać. – Rawa odwiązała zawieszoną u pasa sakiewkę. – Jak prosiłyście, matko, przyniosłyśmy też trochę tych poplątanych przedmiotów. Mam nadzieję, że któryś się nada?

Zielarka pochyliła się i sięgnęła po podany jej skórzany woreczek. Rozwiązała rzemyki, by wysypać zawartość sakiewki na dłoń. Rawa z zainteresowaniem przyglądała się Wedrzanie. Na prośbę zielarki wraz z Miłą przetrząsnęły komnaty żupana w poszukiwaniu „czegoś małego, pewnie poplątanego albo wymyślnie zawiązanego”, jak opisała to starucha. Patrzyła teraz z niepewnością na owoce intensywnych poszukiwań. Na dłoni zielarki leżał mały kłębek cienkiej nici, kilka związanych kawałków rzemieni i sznurków oraz splątany lok ciemnych włosów.

– Nic innego nie mogliśmy znaleźć... – odezwała się Rawa po chwili milczenia.

– Pamiętasz, gdzie to było? – zapytała zielarka, ostrożnie podnosząc lok ciemnych włosów.

– To znalazłyśmy w medalionie na szyi Kalina – odpowiedziała młoda kobieta. – Miła wrzuciła ten medalion pod łożę, pewnie trochę czasu żupanowi zajmie, żeby to znaleźć.

– Doskonale się spisałyście, dzieci. Dziękuję – powiedziała Wedrzana, wkładając przedmioty z powrotem do sakiewki. – Mam tu dla was coś, żeby wynagrodzić wasze wysiłki.

– Żadnej nagrody nam nie trzeba, matko. Toż jak zielarka prosi, to każdy z radością pomaga – odparła Rawa z pełnym szacunku ukłonem.

Wedrzana uśmiechnęła się, zadowolona. Sięgnęła po spoczywającą na klepisku torbę i zaczęła wyjmować z niej owinięte w płótno zawiniątka i garnuszki.

– Zatem nie jako nagrodę, ale jako dar to przyjmij – powiedziała. – Pamiętam, że czytać z siostrą umiecie?

– Umiemy – potwierdziła Rawa.

– To i dobrze, mniej tłumaczyć trzeba. Tu masz lekarstwo dla Bogusza. – Wedrzana pokazała starannie zawiązaną, zielonkawą sakiewkę. – Tu masz różne zioła i maści, co na rany i dziecięce dolegliwości się przydadzą. Wszystko jest opisane, co i jak dawać, czytaj uważnie, zanim otworzysz. A tu – zielarka wyciągnęła ostrożnie czerwone zawiniątko – masz zioła, coby krwawienie miesięczne sprowadzić. Pilnuj tego tylko, z dala od dzieci trzymaj. I nie więcej niż szczyptę na dzień zaparzaj.

– Dziękuję, matko. – Zachwycona Rawa z wdzięcznością przyjęła dary. – Gorąco dziękuję.

Zielarka spojrzała na piękną kobietę w zamyśleniu. Podeszła do kąta izby i otworzyła wieko ciężkiej, zdobionej skrzyni. Ostrożnie wyjęła niewielką szkatułkę i grubą skórzaną sakwę.

– Mam tu coś – zaczęła, wsuwając szkatułkę do sakwy – przeznaczonego dla siostr w Sławie. Tu masz list do matki Sliwy. – Pokazała Rawie rzeźbioną

tabliczkę woskową, po czym schowała ją razem z drewnianą szkatułką. – To najstarsza z zielarek, znajdziesz ją w Pałacu Witii. Czy możesz to dostarczyć do Sławy?

– Matko, to zaszczyt... – zawahała się Rawa. – Ale w drodze różne rzeczy mogą się zdarzyć, zwłaszcza jak z dziećmi podróżujemy. Jeśli to coś ważnego, to może lepiej kogoś innego trzeba wysłać?

– A kto będzie matki z dziećmi sprawdzał? – uśmiechnęła się dobrotliwie Wedrzana. – I do tego takie piękne? Toż to tylko jeden dzień podróży, a dobrą pogodę możemy zapewnić. Wielką przysługę byście Gajowi oddały...

*To taka historia... – pomyślała Rawa. – Weź paczkę, to pogoda będzie dopisywała, nie bierz, to i za wiosenne wody nie możemy ręczyć.*

– W takim razie nie odmówię – odparła z ukłonem i sięgnęła po sakwę.

– Tylko uważaj, żeby nie zamokła – powiedziała zadowolona Wedrzana, po czym podeszła do drzwi. – Idź z bogami, dziecko.

*Postuchanie skończone – z ulgą pomyślała Rawa, otulając się płaszczem. – Teraz tylko do Sławy dotrzeć, to może i trochę snu w końcu złapię...*

\*\*\*

Flisacy zbierali się wokół okutanej płaszczami zielarki, gotowi do badania i błogosławieństwa. Bogusz, jako że miał pomagać we flisie, stał wraz z załogą barek. Jak zwykle zagadywał przyjaźnie do wszystkich zgromadzonych. Na jego ramionach siedziała Jana, najstarsza córka Miły. Dziewczynka promieniała dumą i pokazywała język trójce skaczących wokół olbrzyma dzieci.

– Jak tam? – zapytała Rawa, poklepując ramię siedzącej na ziemi siostry. – Wszystko gotowe?

Miła spojrzała na siostrę spod czerwonej, haftowanej chustki.

– Gotowe, gotowe – odparła marudnie. – Ty, widzę, do zielarek na śniadanko poszłaś?

– Nie marudź, siostra! – odparła Rawa, zdejmując zwisające z ramion pakunki. – Nie na śniadanku byłam, tylko staruchy sprawę miały, to mi dłużej zeszło.

Miła zmierzyła badawczym wzrokiem wypchaną skórzaną torbę i sakwę.

– Jakbyśmy wystarczająco pakunków nie mieli... – westchnęła, podając siostrze błękitną chustę. – Zakładaj, bo znowu się dzieciaki będą mylić.

– Oj, Miłka – odparła pogodnie Rawa, zawiązując chustę na głowie. – Ufności w siostrę w ogóle nie masz. Torba to same cudeńka. Zioła, maści, sama zobacz. A

sakwę mamy do Sławy zabrać. Zielarkom się przecież nie odmawia... No i pogodę dobrą obiecały.

– A, no chyba że tak... – Miła odwróciła się od siostry i zaczęła przyglądać się dzieciom szalejącym w grupie flisaków.

– Będzie dobrze, nie martw się. – Rawa objęła siostrę ramieniem. – Dzieciaki się wybiegają to, dadzą Bogi, na tratwie trochę podrzemią. W Sławie sobie odpoczniemy, może nawet same w łózkach będziemy spać?

Miła oparła głowę na ramieniu siostry. Była zmęczona tym całym podróżowaniem. W zeszłym roku nie było tak źle. Mieli wóz i wołu, w drodze dzieci mogły się wybiegać albo przespać. Jeszcze na jesieni, po dotarciu do Tyczy, sprzedali jedno i drugie. Planowali spędzić w Tyczy całą zimę i nie chcieli płacić za paszę i oborę dla zwierzęcia. Mieli kupić nowy wóz na wiosnę, jednak Nyss wymyśliła, że wyruszą w drogę z flisakami. Wprawdzie rzeką podróżowało się dużo szybciej, jednak znudzone bezczynnością maluchy miawały głupie pomysły. Miła dziękowała bogom za spokojną podróż Rwą do Zatonia, ale bardzo obawiała się tego flisu do Sławy. *Sławina większa rzeka* – myślała z niepokojem. – *Wiadomo, co to dzieciakom do głowy przyjdzie?*

– Ale Bogusz sobie pięknie z dziećmi radzi, co? – zmieniła temat Rawa. – W ogóle obrotny taki. I z tobą jakoś lubi pogadać...

Miła uśmiechnęła się mimowolnie.

– A tu cię mam! – ucieszyła się Rawa. – Proszę, jak się panna pięknie uśmiecha! Weźmiesz go?

– A tam, gadanie – zbyła siostrę Miła i podniosła się z ziemi. – Z tą wojną i robotą od Nyss to nijak o swadźbie myśleć.

– A kto tu o swadźbie mówi? – kpiła siostra. – Ja tam tylko o przytulaniu myślałam.

– Idź, Rawa – machnęła ręką Miła. – Też się z Nyss dobrałaś... Chodź, zbierajmy się lepiej, bo błogosławieństwa prawie skończone.

Rawa pobiegła za siostrą i wsunęła dłoń pod jej ramię.

– Który to pilot? – zapytała, przyglądając się ciekawie flisakom.

– Ten rudy – odparła Miła. – Sławko ma na imię.

– Rudy i pilot? – zdziwiła się Rawa. – Dobry jakiś musi być. Ci flisacy są przesądni, nawet na baby krzywo patrzą, a co dopiero na rudych!

– Wydają się mieć Sławka w poważaniu. To pewnie i dobry – odpowiedziała siostra i pomachała do biegnących ku niej córek.

– Gadałaś z nim? – dopytywała się Rawa.



– A tu cię mam! – Miła złapała najstarszą córkę w biegu i zakręciła się radośnie z roześmianą dziewczynką w ramionach. – Gadałam. Tyle mu powiedziałam, że mam siostrę – rzuciła do Rawy, która już kuciała, by przywitać się z bliźniaczkami Żywą i Mają, młodszymi córkami Miły.

– Macie może jakiegoś buziaka dla ciotki? – zapytała Rawa siostrzenic.

– A mamy! – odpowiedziała Maja.

– Nawet dwa – dodała Żywa, patrząc krytycznie na matkę, wciąż przytulając Janę. – Jak mama nas nie chce przytulać...

– Ach... ta okropna mama – zaśmiewała się Rawa, przytulając i obcałowując siostrzenicę. – Takich cudeniów nie chce przytulać!

– Bo te cudenka to zarazy są małe – wtrąciła się Miła, stawiając starszą córkę na ziemi. – Wolą ciotkę niż własną matkę!

– Nie wolimy! – zgodnym chórem wykrzyczały bliźniaczki i rzuciły się w ramiona matki.

– To ja pójdę się z naszym pilotem przywitać. – Rawa mrugnęła do siostry. – Zostań tu chwilkę, co?

– Ach, dziewczyny – zwróciła się do córek Miła. – Ta wasza ciotka to nigdy nie dorośnie...

Rawa zmierzała już ku grupie mężczyzn. Po drodze zsunęła z głowy chustkę, zdjęła płaszcz i odpięła przytrzymującą dekolt sukni fibulę<sup>23</sup>. Stała obok wpatrującego się w niebo pilota flisaków, dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się promiennie.

– Hmm? – Zapatrzony w niebo ryży mężczyzna nawet nie spojrzał na piękną kobietę. – Coś dziwna ta pogoda... Na deszcz się zanosilo, a teraz jakby ktoś chmury nie wiadomo jak rozgonił.

– Może być błogosławieństwa zielarki takie cuda czynią – rzuciła niezrażona brakiem uwagi Rawy.

– Może by... – Sławko w końcu odwrócił wzrok od chmur i patrzył teraz oniemiały na Rawę.

– Wy Sławko jesteście, tak? – Piękna bliźniaczka dygnęła dwornie, obserwując pilota spod długich rzęs. – Miło mi poznać.

– A... – Rudy mężczyzna stał z otwartymi ustami.

Na osłupiałą twarz pilota wpłynął rumieniec tak ciemny, że jego piegi stały się niewidoczne. Rawa, zadowolona z efektu, uśmiechnęła się jeszcze piękniej. Miła zdjęła chustkę, rozchyliła płaszcz i włączyła się do zabawy. Objęła talię siostry i rzekła:

– A to jest właśnie moja siostra, Rawa.

Pilot wraz z towarzyszącymi mu flisakami wpatrywali się w urokliwe siostry jak w obrazek. Od strony grupy mężczyzn rozległ się głośny łomot, jakby ktoś upuścił coś ciężkiego.

– Mamo! – Ilia, syn Rawy, stanął w obronie męskiego rodu. – Ciotka! Przestańcie!

– Mały ma rację – zadudnił Bogusz, przerywając rozmowę z zielarką. – Rawa, Miła, zachowywać mi się proszę!

– Przecież ja nic nie robię – obruszyła się Rawa, po czym zwracając się do purpurowego na twarzy pilota dodała: – Jak już mówiłam, jestem Rawa. Z Wróżyna. Niezmiernie wdzięczna, że nas na swoje pokłady zabieracie.

– A... tak... żaden kłopot – wydukał w końcu Sławko. – Znaczy... moja... nasza, znaczy, przyjemność.

Rawa ukloniła się raz jeszcze, ukazując piękny dekolt w głębokim rozcięciu sukni.

– Rawa – Miła trąciła siostrę łokciem – dajże już spokój!

– Już dobrze, dobrze. – Rawa przewróciła oczami i otuliła się płaszczem. – To nie pierwszy nasz raz na tratwach – zwróciła się do odzyskującego kontenans pilota – i zapewniam, że dzieci będą się odpowiednio zachowywać. Tak, dzieciaki? – zapytała przysłuchujących się maluchów.

– Tak... – odparły dzieci nierównym chórem, przecząco kręcąc głowami.

– Sławko, to może zaczniecie się zabierać za ładowanie, a ja jeszcze o bezpieczeństwie z dzieckami pogadam? – Bogusz stał już obok pilota i przyjaźnie klepał go po plecach.

– Tak... To świetny pomysł – Sławko był wyraźnie wdzięczny za ratunek.

Odwrócił się od pięknych bliźniaczek, wsunął dwa palce do ust i zagwizdał przeraźliwie.

– Oj, chłopcy! – krzyknął, aż w uszach zadzwoniło – Do roboty! Ładuję!

– No i czemu wy tak, dziewczyny, chłopom w głowach maciecie? – surowym tonem zadudnił Bogusz. – Mało to flisaki mają pracy?

– Oj, przepraszam, Boguszkule, jakoś tak nam zawsze wychodzi... – Rawa patrzyła na olbrzyma z miną niewiniątka.

– Ty mi tu, Rawa, oczami nie błyskaj! Na mnie to już nie działa! – strofował bliźniaczkę Bogusz. – I chustka na głowę, bo to przecie nijak nie idzie was rozróżnić!

Rawa posłusznie przykryła włosy niebieską tkaniną. Przytuliła czule syna i pocałowała go w czubek głowy.

– Jak tam, Ilia? Stęskniłeś się za starą matką? – zapytała.

– Mamo! – chłopak wywinął się z objęć matki. – Mężowie patrzą!  
– No i zobacz, siostra – zakpiła Miła. – Syna zawstydzasz!  
– To już syna własnego nie można wyściskać? – Rawa teatralnie załamała rękę.  
– Można... – naburmuszył się mały Ilia. – Ale nie przy ludziach, co?  
Bogusz roześmiał się i poklepał chłopca po plecach.

– Chodź tu, mężu – powiedział z powagą. – Flisakom pomożemy, bo te baby to nic nie rozumią.

Pod kierownictwem rudego pilota ładowanie towarów szło bardzo składnie. Sławko zdawał się mieć wielki posłuch wśród załogi. Średniego wzrostu, chudy i żyłasty, zwinnie przeskakiwał z tratwy na tratwę, sprawdzając ich stabilność. Co chwilę donośnym gwizdem wołał członków załogi, by poprzesuwać ładunek w tę czy inną stronę. Słońce na niebie ruszyło się o mniej niż palec, kiedy cały flis gotowy był do wyruszenia.

– Ej, tam, baby! – donośnie krzyknął Bogusz, machając ręką. – Jedziemy!

Miła zebrała dzieci i ruszyła ku tratwom. Pozbierawszy ostatnie pakunki Rawa podążyła za siostrą.

– Rawa! Miła! – usłyszała dobiegające z tyłu wołanie.

Owinięta błękitną chustą siostra odwróciła się i przysłoniła oczy od słońca. Ku przystani zmierzała szybkim krokiem obładowana zawiniątkami Duszka.

– Miła? – zapytała żona wojskiego Zatonia.

– Rawa – uśmiechnęła się Rawa. – Miła ma czerwoną chustę. Miło was widzieć, Duszko. Wszystko w porządku? Mąż się dobrze miewa?

– Stojko do Sawków z Newenem się wybrał – odparła zdyszana Duszka. – Wrócę najwcześniej wieczorem, ale znając ich, to pewnie jutro. Tak się cieszę, że jeszcze was złapałam! Różności takie dla dzieci przyniosłam. – Tu podała Rawie zawiniątka. – I kołacz na drogę upiekłam! Jeszcze ciepły!

Rawie aż ślinka pociekła, kiedy powąchała owinięty płótnem pakunek.

– Rawa! – rozległ się donośny głos Bogusza. – Ruchy!

– A tu masz drobiazgi dla mojego najstarszego i najmłodszego. – Duszka w pośpiechu podawała ostatnie zawiniątka. – Bo to wszak obaj w Sławie mieszkają. I jeszcze listy do nich napisałam, sąsiadka mi pomogła. W obcym mieście to jak nic wam się jakiś dach nad głową przyda.

– Duszko, nie trzeba było! – Piękna bliźniaczka, obładowana pakunkami, zaczęła już kierować się w stronę łodzi.

– Gadanie! – Siwa kobieta ze wzruszeniem słała całusy w stronę usadowionych już na tratwach Miły i czwórki dzieci. – No, już z bogami jedźcie. Takie dzielne dziewczyny, oby Matka was pod opieką miała.

Rawa zwinnie wskoczyła na tratwę. Dopiero dużo później zdała sobie sprawę, że Duszka nie powiedziała jej, gdzie w Sławie szukać Stojkowych synów.

\*\*\*

Saja powoli otworzyła oczy. Jak zwykle po powrocie z zaświatów ciało ciążyło jej nieznośnie. Poruszyła szyją i ramionami, by rozciągnąć zeszywniałe mięśnie. Ze zdziwieniem zauważyła, że polana pogrążona jest w szarówce świtu. Wciąż siedziała tam, gdzie zostawiła ją Raja. Tuż obok żarzyło się palenisko. Nieopodal stał drewniany wóz, do którego przywiązane były konie i wół. Naprzeciw ognia z pochyloną głową siedziała zielarka. Miro drzemał oparty o koło wozu. Saja zadrżała w chłodzie poranka i otuliła się ciałem derką, którą ktoś litościwie przykrył jej ramiona. Z cichym stęknieniem podniosła się z ziemi. Zachwiała się na zdrętwiałych nogach i aby utrzymać równowagę, oparła się o pień drzewa.

– Trochę ci zajęło z tymi rusałkami – wymruczała Raja, podnosząc głowę.

– Saja! – Miro poderwał się na nogi. – Znaczy, wybaczenie, pani – poprawił się szybko, pochylając głowę z szacunkiem.

*Pani?!* – Oniemiała dziewczyna patrzyła szeroko otwartymi oczami to na zielarkę, to na opiekuna.

– Miro, weź się nie wygłupiaj – rzuciła Raja, dorzucając do ognia. – Mówiłam ci przecież, żeby ją zwykle traktować. Jeszcze się w głowie dziewczynie poprzewraca.

– Pozwolisz, pani? – Miro delikatnie chwycił ramię Sai, by podprowadzić ją bliżej do ognia.

– Miro, na miłość bogów, przestań z tą panią! – zdenerwowała się dziewczyna. – Czemuście mu powiedzieli? – oskarżająco rzuciła w stronę Zielarki.

– Ja tam mu nic nie mówiłam – broniła się Raja. – Jak siedziałas pod tym drzewem, to się Mirowi ubzdurało, że cię struła czy coś. Zaczął ci serce sprawdzać, w oczy zaglądać, no i te twoje tęczowe ślipy dojrzał. Oczy miałam mu wyłupić czy jak?

– Pani, wybac. Jakbym wiedział, żeś Witia, tobym z szacunkiem się odnosił, a nie tak...

– Miro! – Saja uderzyła ramię korowego. – No co ty? Nos mam ci znowu rozwalić?!

Mężczyzna dotknął nosa i spojrzał na dziewczynę niemal normalnym wzrokiem.

– Przecież ci mówię – tłumaczyła Raja jak dziecku. – Zapomnij o tej Witii. Nie dość, że się dziewczynie w głowie poprzewraca, to jeszcze ktoś niepożądany się dowie i będzie kłopot.

- Słuchaj matki, dobrze gada. – Saja szturchnęła mężczyznę łokciem i zapytała:  
– Jak Skra?  
– Jako tako – odparł nagle posmutniały Miro.  
– Życ będzie – dodała Raja. – Tylko czasu trzeba, żeby się wszystko w środku pogoilo.  
– Ale jeszcze się nie obudził – martwił się korowy. – Wieczery nie zjadł...  
– Miro! Na miłość bogów! – zdenerwowała się zielarka. – To wilk! Bez jedzenia może i z tydzień chodzić!  
– Ale on nie chodzi. Nawet głowy nie podnosi...  
– Wyliże się. – Zielarka zwróciła się do Saji, ignorując załamanego mężczyznę. – Szczęśliwie wóz mamy, to będzie się mógł w spokoju goić.  
– No to chwała bogom – z wyraźną ulgą odparła Saja. – A ten wóz to skąd?  
– Newena, tego, co go, zaraza, ta czarownica wyssała. – Raja splunęła ze złością. *Newen* – podrzuciły pomocne rusalki. – *Karczmarz z Zatonia, chresny Witii*.  
– Newen. – Saja z przejęcia aż zasłoniła usta dłonią. – To był chrz...  
– Saja! – przerwała jej Zielarka.  
– Co?

Raja zmarszczyła brwi i położyła palec na ustach.

- Mam nie mówić? – zgadywała dziewczyna.  
Zielarka kiwnęła głową twierdząco. Miro patrzył to na staruchę, to na Witie, nie rozumiejąc wymiany zdań.  
– Czemu nie? – zapytała Saja buntowniczo.  
– Bo to tajemnica! – Zielarka wyraźnie traciła cierpliwość.  
– Przecież Miro nikomu nie powie!  
– Skąd wiesz? – upierała się Starucha.  
– Bo to Miro!  
– A jak go wezmą na męki?  
– Miro. – Saja zwróciła się do korowego. – Prawda, że nie powiesz?  
– Eee... – zawahał się mężczyzna. – Pani, na mękach to raczej każdy powie... – rzekł w końcu niepewnie.  
– Widzisz! – powiedziała zielarka z tryumfem.  
Saja zamilkła. Zaciśnęła usta i patrzyła na staruchę wrogo. Miała dosyć tego, że wszyscy mówili jej, co robić. Miała dosyć spisków, półprawd i sekretów. Miro był jej przyjacielem. Wiedziała, że może mu zaufać. *Może jak mu powiem, to przestanie z tą panią?* Pochyliła się ku korowemu. Położyła dłoń na jego kolanie.  
– Newen był chresnym! – powiedziała.

Na polanie zapanowała niezręczna cisza. Zielarka machnęła ręką, zrezygnowana. Kręcąc głową z niesmakiem, podniosła się i skierowała w stronę wozu.

– Co? – broniła się Saja. – Newen i tak już nie żyje. Nawet jak ktoś się dowie, nie ma to znaczenia, prawda?

– Chrzesnym? – zapytał Miro.

– Tak, chrzesnym – potwierdziła Raja. – Pracował dla Witii.

– I to jest wielka tajemnica, ale ja ci powiedziałam – dodała Saja z przejęciem. – Więc jesteś teraz specjalnym korowym i możesz mi mówić po imieniu!

Miro wyglądał na oszołomionego.

– Ale wracając do Newena. – Zielarka zdawała się godzić z nadmierną gadatliwością Witii – Był chrzesnym i wygląda na to, że nie pierwszym, co się w ręce tej czarownicy dostał.

– Nie pierwszym? – Saja przypomniała sobie ogromną ranę na piersi swojego ojca. – Mój tato przecież...

– Nie Kasimir. Goran.

*Goran – podpowiedziały pomocne rusałki. – Kowal z Szubinek. Chrzesny Witii.*

– Goran? – Miro podniósł głowę i spojrzał ku zielarce ze zdziwieniem. – Mój ojciec Goran?

– A jak sądzisz, czemu taki wspaniały kowal osiedlił się w takiej dziurze jak Szubinki? – odparła Raja, sięgając po sakwę z jedzeniem. – Twój ojciec był chrzesnym. Wygląda na to, że wiedźma go dorwała. Przynajmniej wiadomo, skąd te sukinsyny się o Sai dowiedzieli.

– Goran? Chrzesnym? – Miro patrzył na Zielarkę z ogłupiałą miną.

– Chrzesny? Zdradził? – zdziwiła się Saja.

– Starko, daj mi siły! – Raja załamałaby ręce, gdyby te nie były wypełnione zapasami. – Miro – zwróciła się do korowego – twój ojciec pracował dla Witii. Sprowadził się do Szubinek, żeby być blisko Lidy, córki Weny i Sai, jej wnuczki.

Potem z westchnieniem zwróciła się do Sai:

– Goran nie zdradził. Kiedy czarownica wysysa życie, przez chwilę może też zobaczyć wspomnienia swojej ofiary. Najprawdopodobniej zaatakowała Gorana przypadkowo i zabijając go, dowiedziała się o istnieniu córki Witii.

– Ta suka zabiła mojego ojca! – wycedził przez zaciśnięte zęby Miro. – Byłem, parchy, tak blisko...

– Miro, nic byś jej nie zrobił! Gdyby nie Saja, to i ciebie by zdzira wykończyła! – Zirytowana Raja podała mężczyźnie sakwę z jedzeniem. – Uspokój się i lepiej za strawę się bierz. Już jasno przecież.

– A was, matko, by nie wykończyła? – obruszył się Miro.

Raja parsknęła śmiechem, wyraźnie rozbawiona.

– Saja, pomóż Mirowi. – Zignorowała pytanie korowego. – Ja do chorych zajrzę. Już wystarczająco jasno, żeby rany dojrzeć.

– Pani. – Korowy z szacunkiem podał Sai mąkę.

Dziewczyna w milczeniu skinęła głową i zabrała się za mieszanie ciasta. Miro wrzucał kawałki solonego mięsa do stojącego na palenisku kociołka. Co chwilę zerkał ku młodej Witii. Saja skupiła się na gnieceniu ciasta. *Pani, parchy* – myślała gniewnie. – *Panią mnie nazywa... I na co mi tą, parchy, Witią być, jak nawet po ludzku sobie z nikim nie można pogadać...*

– A ty co, kołacze tu gnieciesz? – Miro odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

– Strawa już niemal gotowa, a podpłomyków jak nie było, tak nie ma.

– Miro! – ucieszyła się Saja. – Wróciłeś!

– A tam wróciłem... – obruszył się mężczyzna. – Raja dobrze mówi, jeszcze ktoś cię po drodze rozpozna i Lobardczyków albo, jeszcze gorzej, tę zarazę czarownicę naśle. Korowy jestem, Witii muszę bronić. – Tu pochylił się ku Sai i wyszeptał: – Pani.

Saja zrobiła zęza i pokazała przyjacielowi język.

– Masz połowę – powiedziała, rozrywając porządnie wygniecione ciasto. – Takis mądry, to sam se placki lep.

Miro już miał otwierać usta w odpowiedzi, kiedy z wozu dobiegły odgłosy szamotaniny. Kłębek lnianych bandaży wyleciał z furgonu wysokim łukiem i z plaśnięciem wpadł do parującego kociołka.

– Skra! – krzyknął Miro

Poderwał się z ziemi i rzucił w stronę wozu, niemal przewracając przy tym wrzącą strawę. Saja z kulami ciasta w dłoniach pobiegła w ślad przyjaciela.

– Spokojnie! Spokojnie! – usłyszeli wysoki głos Rai.

Zielarka odskoczyła od machającego rękami siwego mężczyzny. Chaotycznie poruszające się ramię rannego uderzyło w bok leżącego na wozie, obandażowanego Skry. Wilk zaskomlał z bólu.

– Żesz ty! – ryknął Miro.

Rzucił się na mężczyznę i brutalnie ściągnął go z wozu. Siwy mąż wył jak zwierzę. Jego pokryta bliznami twarz wykrzywiona była w grymasie przerażenia. W jedynym oku malował się obłęd.

– Miro! – Raja wyciągnęła ręce ku walczącym. – Nie zabijaj!

Saja skoczyła na wóz i opadła obok skomlącego Skry. Patrzyła przez chwilę na trzymane w ręku kule ciasta. Po chwili zastanowienia wzruszyła ramionami i

rzuciła je na bok, na drewnianą podłogę wozu. Delikatnie pogłaskała głowę wilka, szepcząc do zwierzęcia uspokajająco.

– Saja! – krzyknął do niej zatroskany Miro. – Jak Skra?

– Dycha! – odkrzyknęła dziewczyna. – Krew mu nie leci! Chyba...

– Raja, sprawdź Skrę – komenderował Miro, zupełnie zapominając o należnym zielarce szacunku.

– Ale, Mi... – zaczęła łagodnym tonem starucha.

– Najpierw Skra! – Korowy z mordem w oczach ścisnął wrywającego się siwego męża.

Raja posłusznie wspięła się na wóz. Bezceremonialnie odepchnęła Saję, przykucnęła przy wilku i zaczęła badanie.

– Ma się dobrze – oznajmiła po chwili. – Rany zamknięte, oddycha dobrze.

Miro odetchnął z ulgą. Rozluźnił ucisk wokół poranionych ramion i piersi siwego męża. Uratowany z siideł czarownicy starszy mężczyzna osłabł znacznie i teraz tylko dygotał. Niektóre jego rany otworzyły się i zaczęły krwawić. Zielarka ze stęknieniem zsunęła się z wozu.

– Mogę? – zapytała korowego.

Miro kiwnął głową. Co chwilę zerkał w stronę leżącego na wozie wilka.

– Trzymaj go jeszcze chwilę – poleciła Raja. – Zakryj sobie usta i nos. Przytrzymaj mu głowę.

Korowy posłusznie zmienił uchwyt. Z niezwykłą szybkością wsunął ramiona pod pachy siwego męża, zaplótł dłonie wokół jego szyi i schował twarz za plecami rannego. Starucha sięgnęła do jednego z rozrzuconych na wozie pakunków. Ostrożnie odkorkowała mały gliniany garnuszek. Drewnianą szpatułką nabrała nieco białego proszku. Podsunęła specyfik pod nos obezwładnionego starszego mężczyzny. Chwilę potem poranione ciało rozluźniło się.

– Połóż go na boku. Ostrożnie – poleciła Raja.

– Czy to Sen? – dopytywała się z wozu Saja, zachwycona szybkim działaniem nieznanego specyfiku.

– To Sen – przytaknął Miro. Po latach spędzonych na polach bitew miał aż nazbyt dużo doświadczenia z białym proszkiem. – Może się, zaraza, nie obudzi... – mruknął bardziej z nadzieją niż żalem w głosie. – Bezbronne zwierzęta, parchy, tłuc...

– Mironie! – z naganą powiedziała pochylająca się nad rannym Zielarka. – Toż on pewnie myślał, że ta czarownica za nim jeszcze goni.

– To myśleć lepiej, parchy, trzeba... – wymruczał wciąż przejęty Miro. – Najpierw Muszka, potem Skra, bohater, nęcia mać....



– Muszka? – Saja nie była pewna, czy dobrze usłyszała mamrotanie przyjaciela.  
– Skra, Skierka! Jak się masz, chłopie? – Miro przemawiał do wilka, nie zwracając uwagi na dziewczynę.

Głowa wilka poruszyła się nieznacznie. Jego powieki uchyliły się, a różowy język polizał palce Mira.

– Już dobrze... Mój wilczek... – Korowy szeptał czule do osłabionego zwierzęcia. – Damy ci wody trochę, jadła... Wszystko będzie dobrze...

Saja, ucieszona poprawą stanu zdrowia Skry, zupełnie zapomniała o swoim pytaniu. Przesunęła się odrobinę, aby zrobić więcej miejsca dla Mira. Pod kolanem poczuła coś wilgotnego i lepkiego. *Podpłomyki!* – przypomniała sobie. Podniosła z dna wozu rozdeptaną, wymieszaną z rozsypanymi ziołami masę. *Ups...* – było najmądrzejszą myślą, jaka przychodziła jej do głowy.

– Matko... – zagadnęła Zielarkę nieśmiało.

– Nie teraz, dziewczyno, nie widzisz, żem zajęta? – odburknęła starucha. – Idź lepiej tę strawę sprawdź, bo jak nic zaraz się wszystko przypali.

Przez chwilę dziewczyna próbowała otrzepać brud, który przyłgnał do spłaszczonego ciasta. Bezskutecznie. W końcu poirytowana wzruszyła ramionami. *Upiecze się, będzie dobrze...* – pomyślała i ruszyła ku palenisku.

\*\*\*

Było już dobrze po południu, a kompania Witii nie dotarła nawet do zatońskiego traktu. Wyglądało na to, że przez ciągłe wizyty do lasu podróż, która powinna zająć nie więcej niż pół dnia, będzie się ciągnęła do wieczora. Miro, umęczony biegunką, siedział na koźle i nie miał już siły kłąć. Spojrzał przez ramię ku siedzącej na koniu, bladej i wyglądającej na ledwo żywą Sai. Tylko głęboki szacunek do urzędu Witii powstrzymywał go od uduszenia dziewczyny gołymi rękami.

Saja złapała się za brzuch i zsunęła się z konia. Zaciskając ciasno chude pośladki i odwiązuując pasek w biegu, zniknęła w lesie.

– Po co ty w ogóle te portki naciągasz? – złośliwie krzyknęła za nią usadzona na wozie Raja. – Nie lepiej sięść na koniu z gołym tyłkiem?

Zielarka była tak zajęta doglądaniem rannych, że nie miała czasu, aby posilić się przygotowanymi przez Saję podpłomykami. Początkowo niezadowolona z braku śniadania, jeszcze przed południem doceniła swoje szczęście, kiedy Saja i Miro zaczęli narzekać na bóle brzucha. Dziewczyna, przerażona, że umrze, z płaczem

wyznała poranne niedopatrzenie. Starucha, pamiętając, które zioła rozsypały się na wozie, upewniła Saję i Mira, że oprócz dokuczliwej biegunki nic im nie będzie.

Biegunka zaczęła się około południa. Miro twierdził, że nazywanie tej dolegliwości dokuczliwą to jak twierdzenie, że bajecznie drogi dziwer<sup>24</sup> nie jest tani.

Uratowany z rąk czarownicy jednooki mężczyzna obudził się wczesnym popołudniem. Przedstawił się jako Stojko, wojski Zatonia. Ku zadowoleniu zielarki poważne rany Stojka nie zaszkodziły jego pamięci. Wojski z wielkim smutkiem przyjął wieść o śmierci Newena. Niestety, nie był w stanie wytłumaczyć, skąd wzięła się czarownica, która zaatakowała ich w lesie. Pamiętał, że kobieta udająca zgubioną w kniei zatrzymała ich na trakcie i poprosiła o pomoc przy wozie, a potem poprowadziła ich na małą polanę. Tam używając magii obezwładniła ich i przywiązała do drzewa. Stojko był torturowany, dopóki nie stracił przytomności. Miro i Raja zmyślili historię o tym, jak to podróżując do Zatonia usłyszeli krzyki o pomoc. Podążając ich śladem, znaleźli leśną polanę. Następnie Raja opowiedziała o tym, jak dzielny Miro i Skra rzucili się na czarownicę, a Raja przegoniła ją mocą zielarki. Saja, z przerwami na wizyty w lesie, przysłuchiwała się rozmowie uważnie. Była pod wielkim wrażeniem umiejętności staruchy, która zręcznie unikała odpowiadania na pytania wojskiego o cel ich podróży.

Stojko wylewnie dziękował za uratowanie życia. Jednooki mężczyzna miał bardzo przyjazne usposobienie i wciągnięcie w rozmowę początkowo powściągliwego Mira nie zajęło mu dużo czasu. Szybko okazało się, że Miro służył razem z Mysławem, średnim synem Stojka. Obaj mężczyźni dzielili się wspomnieniami z życia w Drużynie. Dumny wojski z przyjemnością słuchał o dokonaniach swojego syna. Stojko wykazywał również dużo zrozumienia dla uczucia, jakim Miro darzył Skrę. Co więcej, zdawał się bardzo przejęty poważnym stanem wilka i jak mógł, pomagał opiekować się poranionym zwierzęciem. Siedział teraz na wozie obok Rai i nasączoną wodą szmatką zwilżał wyschnięty język i nos Skry.

– Długo jeszcze będzie trwała ta sraczka? – zapytał Miro słabym głosem.

– Nie powinno być dużo dłużej – zapewniła go pogodnie Raja. – Brzuch cię jeszcze boli?

– A wiecie, matko, że już nie... – odparł Miro.

– No, to dla ciebie już pewnie koniec. Jeszcze tylko na naszą kucharkę trzeba poczekać, to może i nadrobimy drogi? – Raja kiwnęła ręką do wracającej z lasu Sai. – Dobrze by było, gdybyśmy Newena do Zatonia dzisiaj dowieźli...

Otulone derką ciało Newena przywiązane było do prowizorycznych noszy, ciągniętych przez jednego z koni. Miro nie był zachwycony takim transportowaniem zmarłego, ale z braku miejsca na wozie nie było innego wyjścia.

– Nawet w tym tempie dojedziemy do Zatonia przed wieczorem – zapewnił Stojko. – Tylko co ja Jagodzie powiem?...

– Jagodzie? – zapytał się Miro.

– Żonie Newena... – tłumaczył stary wojski. – Mieliśmy tylko na ryby pojechać... Sawków odwiedzić... No i jak te rany wytłumaczyć?

– To nie możecie po prostu powiedzieć, jak było? – zapytała Saja.

– Całe Zatonie w panikę wpadnie. Mało to mamy kłopotów? – odparł Stojko.

*Proszę, w Zatoniu kłopoty* – pomyślała zaciekawiona nagle Saja.

– A to aż tak u was źle? – zagadnął Miro z kozła. – Podróżujemy już trzeci dzień i żadnych żeśmy rozbójników nie spotkali. Nie żebym narzekał, zważcie. Tyle że w zeszłym roku to się od nich roiło.

– No, zbójów jakoś mniej, trzeba przyznać – odparł Stojko, drapiąc się po pustym oczodole. – Szczęśliwie młody żupan dobrze sobie z rządami radzi.

*Kłamię* – pomyślała Saja. – *Żupan sobie nie radzi. A Stojko nie ma pojęcia, czemu rozbójników jest mniej.* Zainteresowana rozmową, nie zwracała już uwagi na ból brzucha i słabość. Zdecydowała się też otworzyć myśli dla Weny i Ioni, które mogłyby okazać się przydatne w prowadzeniu rozmowy.

– Słyszeliśmy, że żupan wojów rozpuszcza. Nawet paru się chciało u Sawków nająć – zdziwił się Miro.

– A tam rozpuszcza! Gadanie... – rzekł lekko Stojko. – Pewnie se kilku za dużo popiło parę razy, z Szyku ich wykopali, to i teraz takie bzdury opowiadają.

*Kłamię. Czemu kłamię?* – zastanawiała się Saja.

– *Coś w tym Zatoniu śmierdzi* – stwierdziła Ioni.

– *A ten młody Wernadź to przypadkiem w Lobardii nie siedział?* – wtrąciła Saja, wdzięczna rusalkom za przeszukiwanie Drzewa.

– *Wiesz, że chyba tak...* – zamyśliła się Wena.

– *To naćpane rusalki jednak się przydają?* – z rozbawieniem zapytała Ioni.

– *Zuch dziewczyny!* – z dumą odparła Saja. – *Może ten Wernadź to szpieg jakiś czy coś? Może przeciągnął wojskiego na swoją stronę?*

– *Może i tak być...* – odparła Wena. – *Mamy tam kogoś w tym Zatoniu?*

– *Nie...* – zmartwiła się Ioni. – *Rano były dziewczyny, ale już wyjechały. Mówiła Nyss, że Kalin z Lobardią trzyma, staruchy chce wyganiać. Ale nic o tym wojskim...* – po chwili dodała: – *Może zielarki coś podrzucą.*

– Zielarki... Czasem podrzucą, czasem nie podrzucą, wiesz, jak to jest – odparła Wena. – *A jakby tak z niego chrzesnego zrobić?*

– *To jest jakiś pomysł* – zgodziła się Ioni. – *Wojski blisko Wernadzia, dokumenty musi czytać, na naradach bywać...*

– *A co jak on nie szpieg?* – zawahała się Saja. – *Jak coś źle pójdzie i mu mózg wypalę?*

– *Jak nie szpieg, to przynajmniej chrzesnego będziemy miały. Zawsze się przyda w Zatoniu.* – Wena nie wydawała się zbyt przejęta. – *A jak coś źle pójdzie... Cóż... to pójdzie. Jak masz się nauczyć, jeśli nawet nie spróbujesz?*

– *No już, dziewczyno, wskakuj na wóz i do roboty* – ponaglała Ioni.

– *Tak po prostu?* – Saja nie była przekonana do pomysłu. – *Może by z Rają najpierw pogadać?*

– *Co ty tak deliberować nagle chcesz?* – zapytała szczerze zdziwiona Wena.

Saja postanowiła zignorować pytanie babki. Spojrzała ku pochylonemu nad Skrą wojskiemu. Na jego porytej bliznami twarzy malowało się współczucie i troska. Stojko coś ukrywał, to było pewne. Ale jaki miał powód, by im ufać? Pomimo wielokrotnych pytań nie zdradzili mu nawet celu swojej podróży. *Może to nie szpieg?* – zastanawiała się dziewczyna. – *Może po prostu jest ostrożny?*

– *Saja?* – odezwał się w głowie dziewczyny nieco ochryply głos.

– *Raja?* – zdziwiła się Saja.

– *A kto?* – zakpiła zielarka. – *Tylko szybciotko, bo ja nigdy w tym myśleniu i mówieniu nie byłam dobra. Coś w Zatoniu śmierdzi.*

– *Też tak myślimy* – zgodziła się dziewczyna.

– *Ale ten Stojko to, widzi mi się, serce ma po dobrej stronie* – ciągnęła starucha.

– *Wena chce z niego chrzesnego zrobić...* – zaczęła Saja.

– *Wiesz, że to niegłupi pomysł. Coś mi się widzi, że dużo z niego w zwykły sposób nie wyciągniemy. Chrzesny w Zatoniu zawsze się przyda.*

– *A jak mi coś nie wyjdzie? Jak mu coś w głowie uszkodzę?* – martwiła się Saja.

– *E tam, od razu mu uszkodzisz* – odparła zielarka. – *Jak z Daborem jest, to nic mu nie zrobisz. A jak przeciwno, to przynajmniej o jednego mniej będzie. Czekaj na mój znak.*

Saja odetchnęła głęboko. *Postanowione* – pomyślała z obawą. – *Nic mu nie zrobisz, nic mu nie zrobisz* – powtarzała sobie.

Zgodnie z przewidywaniami zielarki dolegliwości brzuszne Mira i Sai ustały. Bez konieczności ciągłych postojów za potrzebą cała kompania ruszyła raźniej przez las. Młoda Witia i jej opiekun, wymęczeni biegunką, jechali w milczeniu. Stojko i Raja zdawali się przysypiać na wozie.

– Miro, zatrzymaj wóz. – Zielarka ostrym tonem przerwała milczenie. – Saja, chodź tu do mnie, pomóż mi ze Skrą.

– Wszystko w porządku? – Stojko poderwał się z drzemki i z dużą troską pochylił nad obandażowanym wilkiem.

– Co się dzieje?! – niemal histerycznie wykrzyknął Miro, zatrzymując wóz.

Saja bez słowa zsunęła się z konia i jednym susem wskoczyła na wóz. Delikatnie dotknęła szorstkiej dłoni wojskiego. Jednooki mężczyzna podniósł wzrok na dziewczynę.

– *Teraz!* – zakomenderowała Wena.

Saja wbiła tęczowe spojrzenie w wypełnione troską oko wojskiego i uwolniła moc Witii. Aż zaparło jej dech, kiedy przed oczami rozwinęła jej się cała historia życia starszego mężczyzny. Żona, trójka synów, dwoje małych, nienazwanych jeszcze, zmarłych od choroby dzieci. *Tego potrzebuje, to zostaw* – podpowiadała Wena. Per Wernadź, przyjaciel, brat. Dom, Zatonie. *To można zostawić*. Kalin Wernadź, rozczarowanie, zdrajca, ale jednak kochany jako Perowy syn. *Zabierz miłość, tylko będzie przeszkadzać*. Saja w skupieniu, delikatnie wyskubywała kawałki wspomnień i uczuć. Skończywszy, przyjrzała się swojemu dziełu z zadowoleniem. Kalin Wernadź, rozczarowanie, zdrajca, wróg. *Dobrze, szukaj dalej*. Dabor. Niezrozumiała wartość, po prostu kraj, w którym leży ukochane Zatonie. Witia. Mądra pani na tronie w Sławie. Bez jej rządów Zatonie zostanie zapomniane. *Tu dodaj, to jest ważne*. Saja sięgnęła do Drzewa Wspomnień. Wybrała kilka pąków i delikatnie wsunęła je w świadomość wojskiego. Zmieniona część pamięci jaśniała teraz jak gwiazda. Dabor, ojczyzna, najwyższa wartość. Cel. Witia. Przywódczyni. Autorytet. Pani. *Dobrze!* – pochwaliła ją Wena. *Wychodzimy*. Saja posłusznie wyslizgnęła się z umysłu Stojka.

Kręciło jej się w głowie. Oparła się o ramę wozu, by nie stracić równowagi. Raja patrzyła z zadowoleniem to na tęczowooką Witię, to na wciąż wpatrującego się w nią Stojka. W oku wojskiego malowało się osłupienie. Jego źrenica pulsowała. Oko zamknęło się na chwilę, by ponownie spojrzeć na Saje. Tym razem wzrok wojskiego wyrażał bezgraniczne oddanie.

– Pani! – Siwy mąż pochylił głowę z szacunkiem.

– Co ze Skrą? Co się dzieje? – Miro najwyraźniej nie zauważył narodzin nowego chrzesnego.

– A nic, jakoś mi się wydawało, że trochę krwawi – odparła pogodnie Raja. – Ale wszystko w porządku, coś mi się musiało uwidzieć.

– Stojko? W porządku? Jakoś tak dziwnie wyglądacie – dopytywał się Miro.

Szczęśliwy uśmiech rozlewał się na twarzy starego wojskiego. Łzy kapąły ciurkiem z jedyne go oka. Stojko chwycił dłoń Sai i ucałował spoczywający na jej palcu pierścień.

– Pani! Chwała! Chwała! – mamrotał przez łzy uszczęśliwiony wojski.

– Ja mam cicho siedzieć, a wy wszystkim rozpowiadacie? – oburzony Miro zwrócił się do zielarki.

– Miro... – Saja spojrzała ku opiekunowi wciąż jeszcze tęczowym wzrokiem.

– Pani! – Miro padł na kolana, jakby porażony siłą spojrzenia Witii.

– No i masz... – marudziła zielarka. – Saja! Oczy!

Dziewczyna zamknęła powieki i skupiła się na kontrolowaniu koloru tęczówek. Po chwili otworzyła oczy i spojrzała na świat normalnym, szarym wzrokiem. Jeszcze nie mogła uwierzyć, co zrobiła. Przyglądała się w skupieniu wojskiemu, oczekując, że siwy mężczyzna padnie trupem albo stanie się jeszcze coś gorszego.

– *A co może być gorszego?* – zaśmiała się Ioni.

– *Wspaniale sobie poradziłaś!* – Wena wydawała się dumna z wnuczki.

– Pani! Pani! – odezwał się Stojko, poruszony. – Nie możecie przecież do Zatonia jechać. Ten, psiajucha, Kalin z Lobardczykami trzyma. A nuż się domyśli! Wyda was jeszcze i będzie nieszczęście!

– No proszę. – Zielarka rozsiadła się na wozie, zadowolona. – Warto było?

---

<sup>23</sup> Fibula – ozdobna zapinka służąca do przytrzymywania szat.

<sup>24</sup> Dziwer – typ kutej stali, powstaje w procesie wielokrotnego skuwania ze sobą warstw żelaza i stali. Ostrza wykonane z dziweru są bardziej elastyczne i odporniejsze na naprężenia niż zwykłe stalowe.

# KOZDZIAŁ 9

*(...) niektórzy wiarołomcy, zatruci zdradliwymi podszeptami Cesarstwa, dalej knuli nieczne plany, sprzeniewierzali urzędy i sami obrać Witię zamierzali.*

Wojan z Chłodnej, „Kroniki Daboru”

Słońce było jeszcze całkiem wysoko na niebie, kiedy kierowany przez rudego pilota flis zbliżył się do brzegów jeziora Sławskiego. Ogromne jezioro było jednym z najważniejszych węzłów transportowych w Daborze. Uchodziły do niego dwie wielkie rzeki – Sławina i Rusłok. Sławiną towary spławiane były ze wschodu i południa. Rzeka Rusłok stanowiła dogodny szlak wiodący na zachód. Ponad obiema rzekami wzniesione były bliźniacze mosty: most Stanki na wschodzie i most Czcibora na południu. Niskie mosty ograniczały dostęp do spławnych rzek i umożliwiły Daborczykom przejście kontroli nad najważniejszymi traktami handlowymi w tej części świata. Na brzegu jeziora Sławskiego, pomiędzy rzekami Sławiną i Rusłok, wznosiła się stolica Daboru, Sława. Otoczona dwoma ogromnymi murami, Sława zbudowana była na planie koła, z Pałacem Witii w samym środku.

Zwyczajowo tratwy flisaków przybijały do wschodniego brzegu jeziora Sławskiego. Nawet stąd widoczny był wykuty w skale Pałac Witii. Legenda głosiła, że pierwsi Daborczycy zamieszkiwali jaskinie drążące skałę, z której został wykuty Pałac. W miarę jak plemiona Daboru rozprzestrzeniały się i zdobywały coraz więcej ziem, jaskinie zostały przekształcone w komnaty i korytarze. Sama skała zaś na cześć świętego drzewa Daborczyków wykuta została na kształt cisowego pnia. Na szczycie Pałacu znajdował się wspinały ogród. Za życia Weny wiecznie zielony Ogród Witii ozdobił szczyt Pałacu niczym korona cisowego drzewa. Po jej śmierci wszystkie kwiaty w ogrodzie obumarły, a wszystkie drzewa straciły igły. Teraz Pałac wyglądał niczym stare drzewo, wyciągające nagie gałęzie ku niebu.

To tym widokiem zachwycały się teraz dzieci Miły i Rawy. Ich matki były zbyt zmęczone, aby zachwycać się czymkolwiek. Długą drogę z Zatonia siostry wraz z dziećmi przebyły na najmniejszej, przeznaczonej do odpoczynku barce. Cała

szóstka, okutana derkami i przewiązana linami w pasie, siedziała wokół żelaznego, przymocowanego do drewnianej ramy kociołka. W wiszącym na solidnych łańcuchach naczyniu żarzył się ogień. Poza pilnowaniem dzieci i nieprzeszkadzaniem flisakom zadaniem sióstr w czasie podróży było pilnowanie żaru. Kobiety dokładały węgla do ognia i po przykryciu kociołka obtłuczoną pokrywką ogrzewały przygotowane wcześniej zbożowe placki. Członkowie załogi co jakiś czas wskakiwali na tratwę, by rozgrzać zmarznięte dłonie i stopy, odpocząć czy posilić się. Rawa bawiła się z dziećmi, zagadywała wesoło do flisaków i podawała im strawę. Miła, z natury skłonna do zmartwień, przekonana była, że lada moment kociołek z węglami przewróci się, tratwa stanie w ogniu i flisacy odetną łączącą ją z innymi barkami cumę. Nieustannie też oczekiwała, że staranuje ich wieki kawał drewna albo nie wyrobią się na ostrym zakręcie. Z ogromną ulgą patrzyła teraz na brzeg jeziora, nie mogąc doczekać się końca podróży.

– No, widać baby nam szczęście przyniosły! – powiedział zadowolony Sławko, ciągnąc cumy. – Takiej pogody to już dawno nie mieliśmy. Jeszcze nawet trochę dnia zostało!

Czwórka dzieci z radosnymi okrzykami zaczęła podnosić się z pokładu.

– Nie! Nie! Stójcie! – wykrzyknęła nerwowo Miła. – Muszą nas najpierw przycumować!

– Mamo! – marudziła Jana. – Ale ja już nie mogę!

– Pupa mnie boli! – dołączyła się Żywa.

– I mnie też – wtórowała siostrze Maja.

– Mamo? – chytrze pytał Ilia. – A ja mogę?

Rawa z trudem zachowała spokój. Przez nerwowość Miły praktycznie wszystkie matczyne obowiązki w tej podróży spadły na noszącą błękitną chustę siostrę. Była na granicy wyczerpania, męczył ją dokuczliwy ból głowy i miała wszystkiego dosyć.

– Jak Miła mówi, że nie, to znaczy nie – powiedziała. – Wiem, że chcecie rozprostować nogi, ale musimy poczekać na cumy i zielarkę. Dokładnie tak jak poprzednim razem.

– Ale dlaczego? – upierała się Maja.

– Właśnie, dlaczego? – wtórowała siostrze Żywa. – Do brzegu wcale nie jest tak daleko!

– Bo możesz spaść do wody i się utopić. Albo jeszcze gorzej – odparła znużona Rawa.

– A co jeszcze gorzej? – zainteresowała się Maja.



- Możesz spaść do wody i wodnik odgryzie ci nogę. A potem będziesz tylko pływała wkoło i będzie ci ciec krew. Ale nikt nie przyjdzie cię uratować, bo się będą wodnika bali! – tłumaczył pomocny Ilia.
- Mamo! – zawołały chórem Maja i Żywa, z szeroko otwartymi ze strachu oczami i ustami w podkówkę. – On znowu nas straszy.
- Ma rację, że was straszy! – Rudy pilot flisaków zwinnie wskoczył na tratwę. – Bo wodników trzeba się bać. I utopców, i topielic, i rusałek też. I szanować też je trzeba. Toż woda to ich królestwo.
- To widzieliście kiedyś jakiego? – zainteresował się Ilia.
- Nie raz! – odparł Sławko, podając rękę zielarce, by pomóc jej wejść na tratwę.
- Opowiedzcie! – Podeksycytowany Ilia szczyrzył zęby w szczyrбатым uśmiechu.
- Opowiem ci, bratku, pewnie, że opowiem – obiecał rudy pilot. – Tyle że najpierw to was matka musi obejrzeć, co byście na brzeg mogli zejść.
- Przecież załoga jeszcze na barkach – powiedziała Miła. – Od nas zaczynacie?
- No, pomyślałem, że po takiej podróży dzieciaki pierwsze muszą zejść na ląd – odpowiedział Sławko.
- Ale jak się nie podoba, to ja zaraz od innych barek zacznę – pogodnym głosem dodała zielarka.
- Nie! – Miła złapała staruchę za szaty, aby utrzymać ją na barce. – Ja tak tylko gadam, matko, wybaczcie, już mi od tej podróży się na głowę rzuca.
- Rzuca się, mówisz? – Zielarka zmrużyła oczy i przyglądała się kobiecie podejrzliwie. – Daj, zobaczmy zaraz, jak bardzo się rzuca.
- Badanie poszło szybko i szczęśliwie cała szóstka mogła w końcu zejść na ląd. Starucha, żegnana wylewnie i z wdzięcznością, poszła zbadać flisaków. Sławko i Rawa wciągnęli małą tratwę na brzeg i chwilę potem cała czwórka dzieci rozbiegła się po piaszczystej plaży. Ilia, pamiętając obietnicę pilota, pobiegł za flisakiem, głodny historii o wodnikach. Rawa spojrzała za synem zmęczonym wzrokiem. Zastanawiała się, czy nie powinna przywołać chłopca. *E tam, chrzanię...* – zdecydowała w końcu. – *Jak im będzie przeszkadzał, to go Bogusz odeśle.*
- Żyjesz? – Miła podeszła do siostry z szerokim uśmiechem na twarzy.
- A ty co tak się cieszysz? – zmęczona Rawa spojrzała ponuro na siostrę.
- Bo żeśmy w końcu, kurza noga, dopłynęli! – stwierdziła radośnie Miła. – Rawa, ja cię bardzo przepraszam. Zupełnie pożytku ze mnie nie było na tej tratwie...
- Wiem, wiem – machnęła ręką Rawa. – Pójdę nam nocleg załatwić, a ty się tutaj z maluchami użeraj. Dzieciaki położysz do snu i będziemy kwita!
- Zgoda! – odparła radośnie bliźniaczka.

Owinięta chustą Rawa podążyła przez piaszczystą plażę ku wznoszącej się nieopodal flisackiej gospodzie. *Jeszcze tylko wieczera, łaźnia i w końcu spać...* – obiecywała sobie.

\*\*\*

Piast obudził się z przeraźliwym bólem głowy. Otwarcie oczu i próba podniesienia się z posłania spowodowały falę nudności. Spod ciężkich, napuchniętych powiek rozglądał się po skromnej izbie, szukając jakiejś miski. W końcu, nie mogąc już dłużej powstrzymać wymiotów, sięgnął po stojący nieopodal gliniany dzban.

*Bogowie* – myślał w przerwach pomiędzy falami torsji. – *Nigdy więcej...*

W końcu młody mężczyzna podniósł głowę znad wypełnionego wymiocinami naczynia. Chcąc oszczędzić rękawy jednej z niewielu posiadanych koszul, sięgnął po leżącą na klepisku szmatę. Ocierając usta, rozejrzał się po ciasnej izbie. Leniwe jeszcze myśli powoli uwalniały się z oparów wypitych nocą trunków. Sączące się przez zamknięte okiennice szare światło dnia padało na rozklekotane sprzęty, brudne naczynia i porozrzucane po izbie ubrania. Ze zboląłą miną Piast próbował przypomnieć sobie, jak trafił do tej rozpadającej się chaty. Z minionej nocy pamiętał tylko tańce w karczmie Pod Drewnianą Nogą i zagadującą do niego niebrzydka, cycatą dziewczkę.

Coś poruszyło się za plecami Piasta i chwilę później spod brudnych okryć rozległo się donośne chrapanie. Mężczyzna odwrócił się powoli, z grymasem bólu na twarzy. W mdłym świetle poranka dostrzegł owłosioną, pokrytą licznymi strupami, całkiem okazałych rozmiarów nogę. Zaniepokojony, uniósł lepiącą się od potu derkę. Odskoczył z okrzykiem przerażenia, kiedy jego wzrok padł na nalaną, pokrytą krostami twarz. Z popękanych, rozchylonych ust ciekła strużka śliny. Pod szerokim nosem rysował się rzadki, ciemny wąsik.

– Bogowie! – wyszeptał przerażony Piast. – Czy ja...

Momentalnie zapomniał o bólu głowy i słabości ciała. Chwycił ponownie za brzeg derki i uniósł ją nieco wyżej.

– Dzięki, Ci, Panie – wyszeptał krótką modlitwę do Jara, kiedy pod derkami dostrzegł okazałych rozmiarów piersi – No, cycata to ona jest...

Nieco spokojniejszy podniósł się powoli. Wyglądało na to, że upojony trunkiem nie zdołał się nawet rozebrać. Odetchnął z ulgą. Sięgnął po porzucony na rozklekotanym stole półkożuszek i w pośpiechu, chwiejnym krokiem, skierował się ku drzwiom.

– Nigdy więcej... – obiecywał sobie, walcząc z kolejną falą nudności.

Delikatnie zamknął za sobą plecione z wikliny drzwi rozpadającej się lepianki. Oparł dłoń o brudną ścianę. Odetchnął głęboko zimnym powietrzem. Oślonił oczy przed zbyt ostrym blaskiem. Próbując zgadnąć, jaka jest pora dnia, spojrzał ku zasnutemu ciężkimi ołowianymi chmurami niebu. *No patrz, słońca nie ma, a tak jasno...* Zbyt osłabiony, by przejmować się czymkolwiek, ruszył powolnym krokiem w stronę jeziora. *Pić, potem łaźnia, a potem może się będę martwił.* Zataczając się i przystając kilka razy dla ulżenia żołądkowi, umęczony mężczyzna w końcu dotarł na dziedziniec karczmy. Z ulgą dostrzegł czekającego już na progu karczmarza.

– Pochwaleni! – pozdrowił głośno rosnącego męża. – Wody macie?

– Mamy. – Karczmarz stuknął drewnianą nogą w stojące przy drzwiach wiadro.

– I łaźnia już się grzeje.

– Rochu! Mój ty najmilszy! – wzruszył się Piast. – Co ja bym bez was...

– Już mi tu nie kadź – zagrmiał Roch, wywołując tym bolesny grymas na twarzy młodego mężczyzny. – Gdyby nie twój ojciec, to bym palcem nie ruszył. A jakżem cię wczoraj z Piękną Mańką zoczył, to już słów mi zabrakło.

– Patrz, a nawet żem jej rano nie rozpoznał...

– Bo się pewnie nie goliła jeszcze! – Karczmarz zaśmiał się rubasznie.

– To nie mogliście mnie zatrzymać? – zapytał młody mężczyzna, klękając przy wiadrze.

– A co ja na drodze szczęściu będę stawać? – odparł karczmarz złośliwie. – Toż nawet Piękną Mańkę trochę miłowania się należy.

Piast aż wzdrygnął się na wspomnienie owłosionych strupiastych nóg i ciemnych wąsów. Pochylił się nad wiadrem i wsadził głowę do wypełnionego naczynia.

– Bogowie! – parsknął, wynurzywszy głowę z lodowatej wody. – Tego mi było trzeba!

– No, do łaźni, synu! – pogonił go karczmarz. – Toż już dobrze po trzech kurach. Do Pałacu ci trzeba iść!

– Po trzech kurach? – zdziwił się Piast. – Patrz, a myślałem, że już południe...

Roch tylko wzruszył ramionami i schylił się, by odwiesić puste wiadro na kołek.

– Posprzątałbyś po sobie! – krzyknął za wbiegającym do gospody mężczyzną.

Piast, nieprzejęty narzekaniami karczmarza, zatrząskiwiał już drzwi łaźni. Roch, postukując drewnianą nogą, wkroczył do głównej izby karczmy. Z głośnym westchnieniem opadł na ławę.

– Ten chłopak mnie do Nawii wpędzi – rzekł do pochylonej nad piecem żony. – Jakby to Stojkowy syn nie był, to już dawno bym go...

– Już nie marudź, Roszku – powiedziała łagodnie Jowana, żona karczmarza. – Może i popija ostatnio, ale posadę dobrą ma, do roboty codziennie chodzi. Skąd wiesz, co to się w tym Pałacu wyprawia? Przedtem to jak złoto chłopak był... Może ta robota mu tak pod skórę włązi?

– Robota?! – Roch huknął pięścią w stół. – Toż on na tych abakusach tylko kamyczki cały dzień przesuwają! Jak to może, kiepy, za skórę zaleźć?!

– Mnie się pytasz? – odparła Jowana. – A kto jeszcze w zeszłym tygodniu z bólem głowy po liczeniu beczek chodził?

Roch spojrział na żonę z oburzeniem. Otworzył okolone gęstą brodą usta, jakby zbierając się na ciętą ripostę, po czym zrezygnowany schował twarz w dłoniach.

– Moja własna żona przeciwko mnie...

– No już, już. – Jowana postawiła przed mężem miskę gotowanych jajek i stos grubo krojonych pająd chleba. – Nie jestem przeciwko tobie, tylko czasem jak się na tego Piasta uweźmiesz, to aż żal patrzeć. Widać chłopak ma jakieś zmartwienia, to i pije na nie.

– Ja też mam zmartwienia! I jakoś nie piję! – obruszył się Roch.

– Bo ty żonę masz. Spróbuj tylko popić, to ja ci zaraz pokażę, co to są zmartwienia. – Jowana pogroziła mężowi palcem.

– Znaczy żony mu trzeba? – odparł Roch z pełnymi ustami.

– Jak słońca na niebie, żony mu trzeba! – zgodziła się kobieta, zachwycona domyślnością męża. – Pewnie Duszka po nocach spać nie może, bo wnuków już dawno powinna być gromadka!

Piast, który dopiero co wszedł do izby, przewrócił oczami słysząc zwykłe lamentowania Jowany.

– Wy, Jowano, znowu o tych wnukach? – zapytał, zasiadając przy stole.

– A pewnie, że znowu – odparła Jowana, stawiając strawę na stole. – Chłop taki jesteś wyrosnięty, żonę byś sobie wziął, niechby się stara matka wnuków doczekała. A nie tak się z Piękną Mańką po kątach obściskiwają. A może ty Mańkę do Gaju chcesz prowadzić, co?

– No co wy?! – Piast aż się wzdrygnął. – Ot, takie głupoty człowiek robi z nadmiaru trunków...

– Ty to tego nadmiaru to już z miesiąc temu w nadmiarze miałeś – strofowała go karczmarka. – Jeszcze trochę i po ojca do Zatonia będziemy posyłać, coby ci rozumu do głowy wbił.

Pochylony nad strawą Roch kiwał głową, przytakując każdemu słowu żony. Piast przewrócił tylko oczami i sięgnął po łyżkę. *Jak tu nie pić?* – pomyślał, żując jajka. – *Nic tylko żonę i żonę. Na co komu żona, jak wojna idzie?!*

Piast, syn wojskiego Zatonia, miał powody, aby wątpić w sens zakładania rodziny. Od wielu już lat wspinał się żmudnie po szczeblach kariery pisarza. Niemal piętnaście lat temu zaczął skromnie, na zapleczu gospody Rocha. Stopniowo awansował; od pisania pism dla ubogich mieszkańców dzielnicy portowej do układania listów dla kupców, a następnie dla miejskich urzędników. W końcu dostał posadę u samego Ratomira Milczewa, skarbnika Witii. Pracował w Pałacu Witii nieco ponad rok i wszystko szło gładko. Zawsze sumienny, szybko zyskał zaufanie skarbnika, który zlecał mu coraz to ważniejsze zadania. Kilka miesięcy temu, krótko po Kolendach<sup>25</sup>, znalazł się w gabinecie Ratomira z poleceniem, aby dopilnować urzędowych spraw, w czasie kiedy skarbnik będzie przeprowadzał ważne rozmowy z Cechami. Jeszcze teraz Piast przeklinał swoją sumienność, która tego dnia kazała mu przejrzeć stertę zakurzonych tabliczek woskowych. Spędził wtedy pół dnia czytając słane z Zachodu błagania o broń, za którą, jak pamiętał doskonale, skarbiec zapłacił pół roku wcześniej. Czytał wielokrotne prośby o zbroje, derki czy nawet koszule. Wszystkie te rzeczy zostały zamówione i opłacone miesiące temu. Przynajmniej na piśmie... Następne kilka tygodni, niedosypiając i niedojadając, Piast spędził na przekopywaniu się przez księgi Skarbu Daboru i porównywaniu ich z rzeczywistością. Ku jego przerażeniu okazało się, że Ratomir Milczew na tabliczkach woskowych i pergaminie płacił nie tylko za zaopatrzenie armii. Według ksiąg wyremontowane zostało całe skrzydło Pałacu, zakupiono bele płótna na uniformy służby i sztandary. Piast przeszukał Pałac wzdłuż i wszerz i nie dopatrzył się ani śladu remontu, uniformów czy sztandarów. Sumienny pisarz znalazł w księgach wybudowany na kupionych od sławskiego wojwody ziemiach, kosztujący fortunę myśliwski domek. Kiedy syn Stojka wybrał się, by zobaczyć na własne oczy tę niezwykle drogą budowlę, znalazł tylko parę kicających po leśnej polanie zajęcy. Im więcej czasu poświęcał analizowaniu daborskich finansów, tym więcej znajdował niezgodności. Wydawało się, że w okradanie Skarbu Witii zaangażowany był nie tylko skarbnik, ale również wojwodowie ze Swaru, Polesia i samej Sławy do spółki z kilkoma mistrzami cechowymi i tuzinem żupanów, włączając w to żupana Zatonia.

Piast spędzał całe noce zastanawiając się, co zrobić ze zdobytymi informacjami. Napisał dziesiątki listów do ojca. Żadnego z nich nie wysłał. Dziesiątki razy stał przy bramie Gaju, gotowy omówić sprawę z zielarkami. Nigdy nie otworzył furtki. Obawiał się, że jego ojciec może być zaangażowany w okradanie skarbu. Obawiał się, że ujawnienie sprawy staruchom skończy się oskarżeniem jego samego o zdradę. Którejś nocy, pogrążony w ponurych rozmyśleniach, sięgnął po dzban z gorzałką. Od tej pory sięgał po niego każdej bezsennej nocy. Co rano zmierzał do

Pałacu Witii, by z niemal chorą przyjemnością śledzić coraz szybsze wykrwawianie się Daboru. Przewidywał, że w takim tempie najdalej w przyszłym roku ani Daboru, ani Sławy nie będzie. Spodziewał się, że długi Skarbu Witii wykupione zostaną przez bajecznie bogatych hemarskich kupców. Ukochane przez ojca ziemie staną się zaledwie prowincją wielkiego Cesarstwa.

– Smakowało? – Głos Jowany przerwał rozmyślania Piasta.

– Hm? – Młody mężczyzna spojrzał nieprzytomnie znad pustej miski.

– Pytam, czy jedzenie smakowało – cierpliwie wytłumaczyła karczmarka.

– A ten chlebek to mięciutki taki... – wtrącił Roch, widząc, że jego podopieczny nie bardzo jest w nastroju do rozmów.

– Dobry jest, co? – uradowana Jowana wzięła się pod boki. – W tym piecu, coś go, Roszku, postawił, upieczony. Cudeńko takie...

*Bogowie, ta znowu o gotowaniu...* – pomyślał Piast z niechęcią. Głowa zaczęła go boleć jeszcze bardziej. Nie przerywając zachwyków Jowany nad nowym piecem, wstał od stołu i w milczeniu wyszedł z gospody. Nie był w nastroju na pogawędkę. Nie był w nastroju na nic. Stał przez chwilę na progu, spoglądając ku budzącej się do życia Sławie. Odetchnął głęboko kilka razy i zmęczonym krokiem wyruszył w długą drogę do Pałacu. *Byle do wieczora...* – obiecywał sobie. – *Byle do wieczora...*

\*\*\*

Po długiej drodze Piast w końcu wspiął się na wzgórze, na którym wznosił się Pałac Witii. Był zmordowany. Z trudem łapał oddech i co chwilę odkasliwał gęstą flegmę.

– Na Kuźnię i Młot – wycharczał. – Naprawdę muszę się za siebie wziąć... Jeszcze trochę i osła będę musiał kupić.

Spocony i zdyszany, postanowił chwilę odpocząć. Był przecież urzędnikiem całkiem wysokiej rangi. Nie mógł wejść do Pałacu z rozchełstaną koszulą i czerwony z wysiłku. Wsparł się o ścianę pobliskiego domu i przymknął obolałe oczy. Po chwili z zażenowaniem zdał sobie sprawę, że stojąc tak wygląda jak pijus i zaczyna ściągać uwagę przechodniów. Domy w tej okolicy należały do najbogatszych i najbardziej wpływowych mieszkańców stolicy. Nie było tu żebraków, obdartusów ani podpierających ścianę pijaków. *Jak nic zaraz mnie straż zgarnie...* Poderwał się na nogi, poprawił ubranie i rozejrzał dookoła, poszukując lepszego miejsca na krótki odpoczynek. Jego wzrok padł na wznoszącą się pośrodku placu drewnianą rzeźbę Czwórki. Sam nie był zbyt pobożny, ale często widywał tu pochylonych w modlitwie mężów i niewiasty. Statecznym krokiem

podążył ku posągowi i z ulgą padł na kolana po zachodniej stronie czworokątnego monumentu. Oparł czoło o chłodny, gładki, z kunsztem wyrzeźbiony w drewnie młot Jara. Spod przymkniętych powiek rozglądał się na boki, dopóki nie upewnił się, że nikt już nie zwraca na niego uwagi. *Bogowie... na co to mi przyszło...*

Podniósł głowę i przysiadł na piętach. Spojrzał do góry, ku surowej twarzy Jara. Z miejsca, w którym siedział, nie widział całego oblicza Kowala. Przysłonięte było ono częściowo trzonem boskiego młota. Wydawało się, że Jar, podobnie jak ojciec Piasta, ma tylko jedno oko. Mężczyzna zapatrzył się w srogie oblicze boga. Pomyślał o swoim ojcu. Przypomniały mu się słowa, które Stojko wypowiedział do niego w dniu, kiedy młody Piast opuszczał Zatonie: *Bądź dzielny. Nie poddawaj się. Nie przynieś mi wstydu.* Młody mężczyzna poczuł łzy napływające do oczu. *Co się ze mną dzieje?* – zastanawiał się, zdziwiony falą wzruszenia. – *Pewnie jeszcze trunki mi z głowy nie wywietrzały...* Pochylił się w głębokim ukłonie, chcąc ukryć łzy. *Nie przynieś mi wstydu.* Nauki Stojka odbijały się echem w jego myślach. Wspomnienia ojca mieszały się z obrazem surowej twarzy Jara. Słowa wyuczonych w dzieciństwie modlitw same cisnęły się na usta:

*Bogowie pełni mocy,  
Czwórko tocząca koło,  
Nakreście mą drogę swą łaską,  
Wypełnijcie ją wiarą i siłą.  
Od wschodu do zachodu słońca,  
Od gwiazd, od księżyca.*

Zmęczony umysł Piasta poddał się łagodnemu rytmowi szeptanych słów. Łzy płynęły i wysychały na zapadniętych, zszarzałych policzkach. Po dłuższej chwili młodzieniec podniósł się z ziemi. Czuł się dziwnie spokojny, jakby nieplanowana modlitwa i wspomnienie ojca przyniosły ukojenie jego myślom. Przymknął oczy, upajając się tym nieznanym uczuciem.

– Dalej! Do roboty! – usłyszał gdzieś z boku podekscytowany dziecięcy głosik.

Spojrzał w stronę, z której dochodziły te wzburzone okrzyki. Ujrzał siedzącego na ziemi piegowatego chłopca, który bawił się wykonaną z drewna figurką wilka. Mężczyzna zmrużył oczy, przyglądając się uważnie zabawce. Drewniany wilk wyglądał dziwnie znajomo.

– W co się bawisz? – zagadał do chłopca z przyjaznym uśmiechem.

– W kopaniu dołów! – odparł malec, nie podnosząc głowy. – Mój wilk jest trochę leniwy, więc go muszę poganiać.

Realistycznie rzeźbiona zabawka była przepiękna. Wilk miał oczy, nos i małe, ostre zęby. Jeden z górnych kłów był ułamany. Zabawkę wykonano bardzo

zmyślnie tak, że przednie nogi wilka poruszały się, jeśli zamachało się ogonem drewnianego zwierzęcia. Piast mógłby przysiąc, że kiedy był dzieckiem, miał identycznego wilka. Górny kiel jego zabawki również był złamany.

– Może trzeba go nakarmić? – zagadał, wciąż przyglądając się z zainteresowaniem drewnianej figurce.

– Oj, to głupie! – roześmiał się szczerbaty chłopiec. – Przecież to nie jest prawdziwy wilk!

– Gdzie ja mam oczy! – Mężczyzna uderzył się w czoło. – Wygląda zupełnie jak prawdziwy! Ciekawe, skąd go masz?

– Mama mi dała – odparł chłopiec, wracając do zabawy.

– A wiesz, jak byłem chłopcem, to miałem bardzo podobnego wilka – próbował dalej Piast. – Może mógłbym obejrzeć twojego?

– To jest mój wilk! – Maluch w obronnym geście przycisnął zabawkę do piersi.

– Czy mogę w czymś pomóc? – Piast usłyszał zaniepokojony, kobiecy głos.

Poderwał się z ziemi. Spojrzał ku stojącej obok chłopca kobiecie i oniemiał. *Bogowie!* – przemknęło mu przez myśl. – *Jaka ona piękna.*

Rawa od samego rana próbowała dostać się do Pałacu Witii. Listy polecające od Kalina zaadresowane były do ambasadora Lobardii, wojwody sławskiego i skarbnika Witii. Obie siostry były przekonane, że Pałac jest najlepszym miejscem, w którym można zacząć szukać tak znamienitych postaci. A znaleźć je musiały szybko. Życie w Sławie okazało się o wiele droższe, niż bliźniaczki przewidywały. Nawet niewielka izba we flisackiej gospodzie, po drugiej stronie mostu Stanki, kosztowała małą fortunę. Rawa oceniała, że przy miejscowych cenach na nocleg i wyżywienie dla trojga dorosłych i czwórki nienasyconych dzieci w jakieś dwa tygodnie wydadzą wszystkie oszczędności. Znalezienie źródła zarobku i tańszego lokum stało się sprawą najwyższej pilności.

Tego ranka grupa muzyków podzieliła się zadaniami. Wyruszyli z gospody zaraz po śniadaniu. Bogusz oddzielił się od grupy jeszcze przed zewnętrznym murem i powędrował do obskurnie wyglądającej dzielnicy portowej, aby rozglądać się za tańszym noclegiem. Siostry wraz z dziećmi dość szybko przedostały się przez zewnętrzną bramę. Miła z trzema córkami poszła odwiedzić wskazaną jej przez Nyss Sarnę Drewian, która podobno miała znaczne koneksje i mogła dopomóc im w pierwszych dniach pobytu w Sławie. Rawa wraz z synem wysłana została do Pałacu Witii, by rozejrzeć się za źródłem zarobku. Miała również nadzieję spotkać się z zielarkami i po przekazaniu przesyłki z Zatonia poprosić staruchy o pomoc.

Od kiedy pożegnała się z siostrą, nie robiła nic poza staniem w kolejkach. Przedostanie się przez wewnętrzną bramę było koszmarem. Ludzie tłoczyli się



zawsząd, leniwi strażnicy co chwilę urządzali przerwy. Rawa była przekonana, że gdyby nie łokcie Ilia i jej własna uroda, do tej pory tłoczyliby się przed bramą. Teraz, zniecierpliwiona i znużona, znów stała w kolejce, tym razem do samego Pałacu. Biedny Ilią nudził się straszliwie, więc Rawa pozwoliła synowi pobawić się na placu podarowaną przez Duszkę zabawką.

Rawa rzuciła okiem ku synowi. Spostrzegła, że chłopiec rozmawia z nieznajomym, schludnie ubranym mężczyzną. Wydawało się jej, że to ten sam mąż, który chwilę wcześniej modlił się pod posągim Czwórki. Coś w jego postaci wyglądało... *Dziwnie? Znajomo?* – nie mogła zdecydować Rawa. Zaniepokojona, porzuciła swoje miejsce w kolejce i podeszła do syna.

– Czy mogę w czymś pomóc? – zapytała nieco ostrzejszym, niż planowała, głosem.

Nieznajomy powstał z ziemi i jak większość mężczyzn oniemiał na widok Rawy. *Wygląda, jakby od tygodnia nie spał we własnym łóżu* – pomyślała zdegustowana. Wychudzona, zszarzała twarz mężczyzny wydawała się dziwnie znajoma. *Dobrze ubrany pijus... Napatrzyłam się na takich po gospodach.* Poirytowana, wyciągnęła dłoń ku synowi.

– Chodź, Ilią. Pobawisz się gdzieś indziej.

– Pani! Wybaczcie, pani! – Mężczyzna odzyskał głos znacznie wcześniej, niż się spodziewała. – Ja tyko chciałem tę zabawkę obejrzeć. Widzicie, miałem dokładnie takiego samego wilka. Jak byłem chłopcem, znaczy się. Mój wilk też miał ułamany kieł... – Tu uniósł palcem wargę, by pokazać, który ząb był ułamany.

– Wiecie co? – Rawa odwróciła się przez ramię i zmierzyła rozmówcę ostrym spojrzeniem. – To najdziwniejsze awanse, jakie w życiu słyssałam. Powinniście się wstydzic.

– Nie, nie! – Nie ustępował nieznajomy. – To nie tak! Ja naprawdę miałem takiego wilka! Pokazałbym, ale u matki, w Zatoniu został.

*W Zatoniu?! Zaskoczona Rawa spojrzala na mężczyznę łagodniej.*

– Tak? A jak się matka nazywa? – zapytała.

– A co to ma do rzeczy? – zdziwił się mąż.

– Ja tu zadaję pytania. – Rawa skrzyżowała ramiona na piersiach.

– Tak, oczywiście... – Zakłopotany mężczyzna był już czerwony jak burak. – Duszka, matce Duszka jest.

– A ojciec? – dociekała, nie mogąc uwierzyć w tak nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Stojko. Wojski w Zatoniu – odparł potulnie mąż. – Jam Piast. Piast Kamyk. – Tu Piast wyciągnął dłoń ku Rawie, po czym, jeszcze bardziej zakłopotany, cofnął

rękę i ukłonił się dwornie. – Tak... znaczy wyście nie mąż...

Ostupiała, patrzyła na zgiętego w ukłonie Piasta. *Stojko! Wygląda zupełnie jak Stojko!* – Zrozumiała nagle, czemu twarz mężczyzny wydała jej się tak znajoma.

– Mamo! Mamo! – dopytywał się schowany za spódnicą matki Ilia. – Czy on mi zabierze wilka?

– Rawa – przedstawiła się, gestem uciszając chłopca. – Myśmy z siostrą dopiero co z Zatonia przybyli. Duszkę tam poznaliśmy. I Stojka. Wasza matka dała synowi tę zabawkę na drogę, żeby się nie nudził. Dała jeszcze – tu Rawa zaczęła grzebać w podróźnej sakwie – listy do was i waszego brata. Ale w pośpiechu zapomniała powiedzieć, jak was znaleźć!

Ostupiały Piast przyjął woskową tabliczkę i odruchowo ją otworzył. Przebiegł wzrokiem po mozolnie wydłubanych runach i po chwili wybuchnął śmiechem. Rawa spojrzała na niego zdziwiona.

– To... To od matki... – chichotał Piast, podając kobiecie tabliczkę.

– To pikna kobyła. Weź to sobie i być miły – przeczytała Rawa na głos. – To o mnie? – zapytała, rozbawiona.

– Mamo! – dopytywał się wciąż Ilia. – Czy on mi zabierze wilka?

– Nikt ci niczego nie zabierze, smyku – zapewnił chłopca Piast.

Rawa niecierpliwie spojrzała ku długiej kolejce do Pałacu. W pośpiechu zapomniała upewnić się, w którym miejscu stała. *Pewnie trzeba będzie znowu iść na koniec...* – pomyślała, czując się nagle bardzo znużona.

– Wybaczcie, ale czy moglibyśmy... – rzekła do Piasta – Czy moglibyśmy porozmawiać tam? Te kolejki do Pałacu są straszne...

– A to do Pałacu się wybieracie? – zapytał Piast z zainteresowaniem.

– Do Pałacu – potwierdziła kobieta. – My muzykanty jesteśmy. Mam tu trochę listów polecających, a nuż jakaś praca wpadnie. I zielarki z Zatonia pakunek przesłały...

– No, jak do Pałacu, to chyba mogę pomóc. – Piast wyciągnął zza pazuchy znak skarbnika. – A te listy to do kogo?

\*\*\*

Piast opadł na wyściełane siedzisko z szerokim uśmiechem na twarzy. Splótł dłonie za głową, wsparł plecy o wysokie oparcie krzesła i westchnął głęboko, zadowolony. Spędził większość poranka, oprowadzając Rawę i jej syna po Pałacu. Z dumą okazywał zawieszony na piersi znak skarbnika, pokazując gościom niedostępne dla zwykłych petentów zakamarki. Po raz pierwszy od dłuższego

czasu docenił swoją pozycję urzędnika. Ilią był szczerze zachwycony i z otwartymi ustami oglądał mistrzowsko wykonane rzeźby, malowidła i gobeliny. Rawa opowiedziała mu historię grupy muzykantów i przekazała nowiny z Zatonia. Piast z radością przyjął wieści od rodziców i bardzo starał się nie uśmiechać, kiedy piękna kobieta opowiadała o śmierci swojego męża. Po tym jak zostawili listy w kancelariach wojwody i ambasadora, Piast zaprowadził Rawę i jej syna do znajdującego się na tyłach Pałacu Świętego Gaju. Tam, zdawszy sobie sprawę z późnej pory dnia, pożegnał się z gośćmi i pospieszył do kancelarii skarbnika.

W Kancelarii okazało się, że skarbnik nie zaszczycił jeszcze urzędu swoją obecnością. Stary urzędnik zaległ w łóżu, dotknięty ostrym atakiem podagry. Mówiono, że wezwana zielarka po podaniu leków uśmierających zaleciła Ratomirowi powściągliwy tryb życia, zwłaszcza ograniczenie jadła. Skarbnik, zawsze skłonny do uctowania, nie był zbyt zadowolony z takiej porady. Posłano więc po towarzyszącemu ambasadorowi Lobardii hemarskiego medyka. W całej kancelarii opowiadano o niezwyklej wielkości pijawkach, którymi wspomniany medyk obłożył dotkniętą podagrą kończynę. Spodziewano się, że dzięki tak intensywnemu leczeniu stary urzędnik będzie potrzebował tygodnia, a może nawet dwóch, żeby wydobrzeć.

Zadowolony z takiego obrotu spraw Piast siedział teraz wygodnie rozparty na krześle Ratomira i upajał się wspomnieniami miłego poranka. Nigdy nie podróżował dalej niż w okolice Zatonia lub Sławy i opowieści o tułaczce dwóch siostr wywarły na nim wielkie wrażenie. Pod wpływem opowieści Rawy zapragnął wyruszyć w świat i doświadczyć innego życia. Dobrze znane ściany kancelarii wydały mu się nagle bardzo, bardzo ciasne.

Rozmarzony, kątem oka spojrzął na stos zakurzonych tabliczek porzuconych w kącie przestronnego gabinetu. Na jego uśmiechniętą do tej pory twarz wpłynął gorzki grymas. *No, to by było na tyle dzisiejszej radości...* – pomyślał ponuro. Pomimo odwracania wzroku i wysiłków, by zapomnieć o tabliczkach, jego myśli jakoś nie chciały wrócić do marzeń o podróżach z piękną Rawą. *I tak by mnie nie zechciała. Tyle co liczyć umiem. Ani nie zaśpiewam, ani jej nie obronię...* W coraz bardziej pochmurnym nastroju Piast wstał z wyściełanego krzesła. Podszedł do wąskiego okna i oparł czoło o wygładzone zębem czasu okiennice. Tak jak w czasie porannej modlitwy, dotyk chłodnego drewna złagodził narastający ból głowy. *Bądź dzielny* – słowa ojca niespodziewanie rozbrzmiały w jego pamięci. *Nie przynieś mi wstydu.* Piast przechylił głowę i kątem oka spojrzął na tabliczki. *Nie przynieś mi wstydu* – odbijało się echem w jego myślach. Nagle, tknięty impulsem, oderwał się od okna. *Co się będę przejmował?* – pomyślał, mierząc wzrokiem stos

pism. – *I tak wkrótce będzie tu Cesarstwo...* Na jego poważnej dotąd twarzy zakwitł łobuzerski uśmiech. Pochylił się, podniósł zakurzone tabliczki i przytrzymując wysoki stos brodą, przeszedł z gabinetu skarbnika do kancelarii. W ogromnej sali, przy obłożonych pismami stołach, pracowało trzech mężczyzn. Piast z głośnym trzaskiem położył tabliczki na blacie swojego biurka.

– Wiosenne porządki! – oznajmił donośnym głosem.

Pochyleni nad tabliczkami i pergaminami pisarze podnieśli głowy, patrząc na Piasta nieprzytomnie.

– Co? – zapytał jeden ze skrybów.

– Wiosenne porządki – wyjaśnił rzeczowym tonem Piast. – Te zamówienia zalegają u sekretarza od bogowie wiedzą ilu miesięcy. Jak się przyłożymy, raz dwa się z tym uwiniemy.

Skryba zbliżył się niechętnie do zakurzonego stosu tabliczek. Podniósł jedną z nich i szybko powiódł wzrokiem po runach.

– To? To żeśmy zatwierdzali jeszcze jesienią... – zauważył.

– Żeśmy zatwierdzili, a rotmistrz ciągle prosi o miecze. – Odparł surowym tonem Piast. – Gdzieś się, psiajucha, zamówienie zgubiło. Trzeba znaleźć i wysłać, przecież nie będą nasi wojowie kijami walczyć.

– No, nie... – odezwał się następny pisarz. – Chociaż nasi to by i gołymi rękami Lobardczykom dupy sprali.

– Pewnie by i sprali – wtrącił się trzeci pracujący w kancelarii mężczyzna. – Ale mieczem to się mniej napracują.

Stojący przy Piastie pisarz skierował się ku obładowanej kodeksami szafie. Porównując znakowania dokumentów, odszukał odpowiednią księgę, zdjął ją z półki i z wysiłkiem położył ciężki tom na drewnianym stojaku. Przerzucił kilka pergaminowych kart, po czym ze zdziwieniem oznajmił:

– Za to nawet żeśmy złoto wypłacili. – Pokazał palcem rządę starannie wykreślonych runów. – O tu. To nawet tyś wypłatę do mistrza cechów zatwierdzał.

– Znaczą cechy się znowu opóźniają – tłumaczył cierpliwie Piast. – Wyślij zamówienie bezpośrednio do kowali i napisz, że złoto czeka u mistrza.

Pisarz odłożył ciężką księgę na półkę i wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz – powiedział, zmierzając do biurka.

– Nie ja tak mówię. Sam skarbnik mówi. – Piast uniósł dumnie pieczęć skarbnika. – Ustami swojej kancelarii.

Bez dalszych dyskusji pisarze wzięli się do roboty. Pod nadzorem bezlitosnego, niesłuchającego wymówek Piasta pracowali bez przerwy przez resztę dnia.

Zbierało się już na późne popołudnie, kiedy przybyli posłańcy i rozkazy z kancelarii skarbnika zaczęły płynąć do sławskich rzemieślników. Piast otarł zmęczone oczy, przeciągnął się i wstał od biurka. Wyglądało na to, że skarbnik, złożony bólem stawów, nie zamierzał odwiedzić dzisiaj swojego urzędu. *Cóż...* – Na twarz Piasta wpłynął złośliwy uśmiech. – *Gdy gospodarza nie ma...* Nucąc pod nosem, Stojkowy syn skierował się do gabinetu Ratomira. Na ciężkich od ksiąg półkach odszukał pergaminowy oryginał aktu zakupu ziemi, na której jakoby zbudowano myśliwski dworek. Sięgnął po czystą woskową tabliczkę. Usiadł przy szerokim, pięknie zdobionym biurku skarbnika. Zamyślił się na chwilę z końcem rysika w ustach. Po chwili, znalazłszy natchnienie, pochylił się nad tabliczką i zaczął pisać.

*Do Lubomira Chędyń, Wojwody Sławskiego*

*Ze zdziwieniem zanotowaliśmy, że do Skarbu nie wpłynął jeszcze należny podatek od sprzedaży ziemi zakupionej (tu Piast starannie skopiował datę zakupu) od Zaczego Wojwody. Uprzejmie prosimy o uregulowanie długu.*

*Z poważaniem*

*Kancelaria Skarbnika Daboru*

*Piast Kamyk, syn Stojka*

*Z taską i pieczęcią*

*Ratomira Milczewa, Skarbnika Witii i Daboru*

Chichocząc złośliwie, przycisnął pieczęć skarbnika do miękkiego wosku. Zamknął tabliczkę i owinał ją cienkim lnianym sznurkiem. Na jego luźnych końcach zawiązał serię węzłków wskazujących, że pismo adresowane jest to wojwody Sławskiego. Starannie rozluźnił jeden z symbolizujących słowo „wojwoda” węzłów, tak, że znak mógł być odczytany również jako „przyboczna”<sup>26</sup>. Zadowolony ze swojego dzieła, wstał od biurka i szybkim krokiem opuścił kancelarię.

Szedł długimi korytarzami Pałacu, podśpiewując pod nosem. Przeszedł przez oznakowane herbem Mostów drzwi urzędów wojwodztwa sławskiego. Pewny siebie, z uniesioną wysoko głową minął korytarz prowadzący do kancelarii wojwody i skierował się wprost do komnat przeznaczonych dla przybocznej. Zagadał przyjaźnie do pracujących pisarzy. Ukradkiem wsunął przyniesioną tabliczkę na stos dziennej korespondencji przybocznej. Wymieniwszy jeszcze kilka uprzejmych słów, pożegnał się i zadowolony opuścił kancelarię, a potem Pałac. Czuł się szczęśliwy i dziwnie wolny. Zniknęły gdzieś przepelniające go jeszcze tego ranka smutek, obawa i niemoc. Stał przed bramą Pałacu Witii, wznosił twarz do chmurnego nieba i po raz pierwszy od niepamiętnych czasów odetchnął

głęboko, pełną piersią. Uświadomił sobie, że w ogóle nie obchodzi go, co stanie się, kiedy skarbnik dowie się o jego dzisiejszych poczynaniach. *Mogą mnie powiesić* – pomyślał radośnie. – *Wisi mi to*. Roześmiał się głośno do tej myśli i ruszył rażno ku wewnętrznej bramie.

Zwolnił kroku, przechodząc obok posągu Czwórki. Tknięty impulsem zatrzymał się i padł na kolana przed obliczem Jara. Pochylił głowę i zaczął modlić się gorąco.

*Jarze, Panie ognia, zbrojny piorunami.*

*Opiekunie kuźni,*

*Dawco pierwszej iskry,*

*Panie wojowników.*

*Obdarz mnie swą mocą*

*Lecz oszczędź mi swego gniewu*

*Skrzącego pożogą.*

\*\*\*

Miła stała na plaży, otulona płaszczem. Delikatna, wiejąca od jeziora bryza przynosiła zapach deszczu i wilgotnego drewna. Tratwy flisaków właśnie przybiły do brzegu i od strony jeziora dobiegały radosne okrzyki. Pojedyncze promienie zachodzącego słońca ledwo co przebijały się przez grube, deszczowe chmury. Rozbawione dzieci, nie przejmując się mokrym piaskiem, biegały po plaży, okrzykami pozdrawiając przybijających do brzegu flisaków.

Miła spojrzała ku Sławie z westchnieniem. *To był długi dzień...* – pomyślała. Sarna Drewian, do której poprowadziła ją Nyss, okazała się właścicielką wytwornego domu uciech. Choć niezmiernie przyjazna i otwarta, oprócz pomocy w znalezieniu pracy nie mogła zaoferować Miłe wiele więcej. Nawet gdyby miała wolne pokoje, siostry nie skorzystałyby z nich. Mieszkanie w burdelu, nawet bardzo wytwornym, nie było odpowiednie dla czwórki małych dzieci. *Cóż* – pomyślała zmęczona kobieta. – *Przynajmniej kilka występów u Sarny można dać...* *Byle tylko nas za nęty nie wzięli...* Nie miała nic przeciwko używaniu swoich wdzięków w służbie Daboru, ale sprzedawanie się wyłącznie za pieniądze było poniżej jej godności.

– Jak tam stolica? – Miła aż podskoczyła, wyrwana z zamyślenia przez donośny głos rudego pilota flisaków.

– To wy, Sławko! – kobieta starała się uspokoić oddech. – Ale mnie przestraszyliście!

– Wybaczcie, pani! – Sławko uklonił się głęboko. – Nie zamierzałem...

– Nic się nie stało! – zapewniła go gorąco Miła. – Nie powinnam była się tak zamyślić. To był długi dzień. A Sława jest ogromna.

– Te tłumy ludzi potrafią być męczące – zgodził się flisak. – Ale jak ich tyle, to i dużo kupują.

– To prawda... – odparła uprzejmie kobieta.

Była zmęczona. Nie miała ochoty na pogawędki. Milczała przez chwilę z nadzieją, że flisak zrozumie subtelną aluzję. Sławko nie ruszył się jednak z miejsca. Wpatrzony w swoje stopy, nerwowo wyłamywał palce. *Dziewczyno, weź się w garść* – powiedziała sobie Miła, zirytowana własnym znużeniem. – *Przyjaciół! Przyjaciół potrzebujesz!*

– Nie wiedziałam, że jeszcze w Sławie jesteście? – zwróciła się do pilota z uprzejmym zainteresowaniem.

– Toż to odpocząć po takim flisie trzeba. Towary sprzedać – odpowiedział Sławko. – Jutro wracamy do Chabrów. Z tymi rozbójnikami na drogach, nikt już towarów traktem nie wysyła. Tyle dóbr do przewiezienia, pewnie się nawet do jesieni nie wyrobimy.

*Przynajmniej o pogodzie nie gada* – pocieszała się Miła.

– To długa droga, pod prąd... – powiedziała na głos. – Towary jakies zabierzecie?

– Towarów to już nie, za ciężko by dla żagla było. Tylko listów trochę – rzekł flisak, po czym zapytał ostrożnie: – Wybaczcie śmiałość, ale tak chciałem zapytać, czy zostanieie jeszcze na noc? Tak nam pięknie śpiewaliście wczoraj, że aż by się chciało jeszcze posłuchać...

– Zaśpiewamy – roześmiała się Miła. – Bez śpiewania majątek byśmy za nocleg zapłacili.

– No to dziękować bogom. – Sławko ukłonił się grzecznie, odchodząc. – Jak chłopakom powiem, to zaraz pójda jakieś dziewczyny na tańce ściągać!

Miła spojrzała za flisakiem ze zmęczonym uśmiechem. Wcale nie chciało jej się śpiewać. Była znużona i tęskniła za spokojnym życiem, jakie wiodła we Wróźnie. *Niech się w końcu ta wojna skończy...* – pomyślała.

Otuliła się ciaśniej płaszczem i spojrzała raz jeszcze ku Sławie. Na moście Stanki dojrzała samotną postać, podążającą szybkim krokiem ku gospodzie Pod Tratwą. Wydało jej się, że nieco zbyt chuda męska sylwetka wygląda znajomo. Zmarszczyła czoło, starając się przypomnieć sobie, skąd mogłaby znać tego mężczyznę.

Obserwowany przez kobietę mąż zwolnił i skierował się ku plaży. Zaniepokojona Miła ukradkiem dotknęła zawieszzonego przy pasie noża. Spojrzała

ku jezioru, upewniając się, że dzieci są bezpieczne. Były zbyt daleko, aby je wołać. Odwróciła się ku gospodarzowi. Sławko zniknął już za progiem karczmy, więc wydawało się mało prawdopodobne, żeby to flisak był celem wędrówki nieznanego męża. Mężczyzna kierował się ku niej. Miła zaczęła poważnie się niepokoić. Grupa muzykantów nie spędziła przecież w Sławie wystarczająco dużo czasu, żeby narobić sobie wrogów, ale też nie była tu tak długo, aby zdobyć przyjaciół. *Skąd ja go znam?* – wysilała pamięć, obserwując nieznanego. Mężczyzna zbliżał się szybko. Po kilku chwilach stanął przed nią i uklonił się głęboko.

– Pochwaleni! – pozdrowił Miłę uprzejmie. – Jam Piast Kamyk, od skarbnika przychodzę. Szukam Rawy.

Zaskoczona Miła wpatrywała się w Piasta w milczeniu. *Szuka Rawy? Musi być nigdy jej nie widział, bo inaczej by mnie za nią wziął.*

Młody mężczyzna, interpretując zaskoczenie kobiety jako strach przed urzędem skarbnika, uśmiechnął się przyjaźnie i dalej tłumaczył uprzejmym tonem:

– Ja nie urzędowo! Pani taka do Rawy podobna, to pomyślałem, że wy pewnie ta siostra jesteście, co o niej Rawa wspominała. Bo, rozumiecie, spotkaliśmy się rankiem w Pałacu Witii i zaraz się okazało...

Miła nie wierzyła własnym uszom. *Spotkał Rawę i nie pomylił jej ze mną?*

– Wy... wy Rawy szukacie?

– No... tak... Wybaczenia proszę. – Piast wydawał się zakłopotany. – Jeśli to nieodpowiedni czas, to ja tylko wiadomość dla siostry zostawię w karczmie. Chyba, że wy nie siostra Rawy jesteście?...

– To nie myślicie, że ja jestem Rawa?! – dopytywała się szczerze zdziwiona Miła.

– Em... – Piast wyglądał na zbitego z tropu. – No, podobieństwo jest uderzające, trzeba przyznać. Z daleka to was nawet za siostrę wziąłem...

– Nieprawdopodobne... – Kobieta pokręciła głową z niedowierzaniem. – Chodźcie, chodźcie, zaprowadzę was do Rawy – rzekła po chwili, kierując się ku karczmie.

Piast podążył jej śladem. Miła zatrzymała go gestem na progu gospody.

– Poczekajcie tu, co? Ja tylko po siostrę skoczę – rzuciła przez ramię.

Po dłuższej chwili drzwi uchyliły się ponownie. Z karczmy wyszły bliźniaczki w towarzystwie Bogusza.

– To która z nich jest Rawa? – zapytał Bogusz tubalnym głosem.

– To jest Rawa – odparł ogłupiały Piast, wskazując jedną z bliźniaczek.

– Nieprawdopodobne... – zadziwił się Bogusz, gdy siostry potwierdziły, że wskazana rzeczywiście jest Rawa.



– O co tutaj chodzi? – Piast zaczął się już niecierpliwić. – Przyszedłem was odwiedzić, bo szczęśliwie się...

– Jak to jest możliwe?... – Miła wciąż nie mogła się nadziwić. – Zmarszczki jakieś czy coś?...

– Oj, siostra, nie martw się. Ja po prostu mam piękniejszą duszę! – roześmiała się Rawa. – Bogusz, Miła, to jest Piast – przedstawiła mężczyznę. – Syn Duszki i Stojka z Zatonia. Spotkaliśmy go z Ilią w Pałacu.

– Przyniosłeś jakieś prezenty? – szczerbaty Ilią, dostrzegłszy nowego przyjaciela, przyszedł się przywitać.

– Ilią! – oburzyła się Rawa.

– A przyniosłem – odparł Piast, podając malcowi dwa zawiniątka. – Tu masz miodownik, a tu trochę słodkiego tłókna<sup>27</sup>. A dla mamy mam to! – Tu wręczył Rawie woskową tabliczkę.

Rawa przebiegła wzrokiem po wyrytych w wosku runach. Miła zaglądała jej przez ramię. Niepiśmienny Bogusz cierpliwie czekał, aż siostry wyjaśnią mu, co tam napisano.

– Co to jest? – zapytała Miła. – Jakąs przebudowę planują gdzieś w mieście?

– Pałac ma w Sławie kilka domów dla pomniejszych gości – odpowiedział niezwykle z siebie dumny Piast. – Jeden z nich będzie nieużywany, bo mają naprawiać dach. Ale wy sobie możecie w nim zamieszkać.

– Z dziurawym dachem? – zdziwił się Bogusz.

– Dach nie jest dziurawy! Tylko napisali, że jest! Domek jest w dobrym stanie, nie jest duży, ale słyszałem, że nawet z ogródkiem. Zresztą sami zobaczycie, można się wprowadzać od jutra.

– Ale taki dach to w dwa dni się naprawia – upierał się olbrzym.

– W Sławie? – roześmiał się Piast. – Teraz w Sławie takie rzeczy to mogą i miesiąc potrwać.

– Miesiąc? – Bogusz nie wydawał się przekonany. – Jakiś duży ten dach...

– Och, chłopie, nawet nie chce mi się zaczynać... – westchnął Piast. – To bierzecie ten domek?

– A za ile? – zapytała Miła. – Nas to ledwo na pokój stać, a co dopiero na domek.

– Nic – odparł Stojkowy syn, roześmiany jak dzieciak.

– Naprawdę? – nie mogła uwierzyć Rawa.

Piast kiwnął głową na potwierdzenie. Siostry spojrzały na siebie zachwycone. Po chwili pisnęły radośnie, skacząc i klaszcząc w dłonie jak małe dziewczynki.

– Dziękuję! Dziękuję! – Rawa objęła Piasta serdecznie.

– Nie ma sprawy – odparł. – W końcu matka was, kobyłki, wysłała. Co robić? Matki trzeba słuchać.

*Kobyłki?! –* Miła skrzywiła się, słysząc gburowaty komentarz. Zdziwiony Bogusz spojrział na Piasta podejrzliwie. Rawa wybuchnęła głośnym śmiechem, poklepała siostrę po pupie i rzekła:

– Chodź, kobyłko, wytłumaczę ci później.

\*\*\*

Niebo jeszcze różowiło się na zachodzie, kiedy Piast szybkim krokiem zmierzał ku gospodzie Pod Drewnianą Nogą. *Roch z Jowaną pewnie udaru dostaną, jak mnie zobaczą tak wcześnie* – myślał, przemierzając zaułki portowej dzielnicy. Spędził uroczy wieczór w towarzystwie Rawy, Miły, Bogusza i czwórki rozgadanych dzieci. Rawa rozmawiała z nim przez cały czas. Jej syn okazał się wspaniałym dzieckiem. Jej siostra i olbrzymi Bogusz byli przyjaźni i chyba go lubili. Przez cały wieczór ani razu nie pomyślał o skarbniku i pracy w pałacu. *Trzeba będzie częściej kłaniać się Czwórce* – pomyślał, w duchu dziękując bogom za niespodziewane dary.

Pożegnał się tuż po wieczerzy, kiedy grupa muzyków poproszona została o występ. Nigdy jakoś specjalnie nie przepadał za muzyką i tańcami. Poza tym był zmęczony po ciężkiej nocy i długim dniu.

Dotarł do karczmy Pod Drewnianą Nogą w doskonałym humorze. Wszedł do wypełnionej gośćmi gospody przez boczne drzwi. Zapracowani Roch i Jowana nawet nie zauważyli jego przybycia. Piast, zadowolony z tej chwili prywatności, sięgnął po cienkie drewnienko i zapalił je od płonącej na zapleczu lampki. Oświetlając drogę wątłym światłem płonącego patyczka, skierował się do swojego pokoju na zapleczu karczmy.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi skromnej izby i po zapaleniu małej lampki olejnej opadł na miękki siennik. Czuł się wspaniale. Przez dłuższą chwilę wspominał wieczerzę w towarzystwie nowo poznanych przyjaciół. Analizował każdy uśmiech i spojrzenie Rawy. *Chyba mnie lubi* – zdecydował w końcu. *I zostaną w Sławie przez miesiąc...* – rozmarzył się. – *A potem...* Piast westchnął głęboko i zamyślił się, wpatrzony w powałę. *Może śpiewać się nauczę?* Odchrząknął kilka razy i na próbę zaśpiewał jedną z popularniejszych w sławskich karczmach piosenek:

*Zimy lody już topnieją,  
Ogień już się w ciele budzi,  
Lejcie piwa, dobrzy ludzie,*

*Nim się grajek nasz tu strudzi!*

*Może jednak nie...* – skrzywił się na dźwięk własnego ochryplego głosu, fałszywie wyśpiewującego melodię. *Na pewno potrzebują kogoś do prowadzenia ksiąg* – zdecydował w końcu. *Może dogadam się z jakimś kupcem? Zabralibyśmy trochę towaru...* – rozmarzył się. Oczami wyobraźni widział już podróże w towarzystwie muzykantów. Codziennie w innej wiosce czy grodzie, ludzie wypytywali się o nowiny, zapraszają ich do domów, na wieczerzę czy nocleg. Wiatr rozwiewa włosy Rawy, kiedy siedzą na wozie i leniwie rozmawiają o byle czym. Wieczory spędzane przy ognisku. Układają się do snu pod gwiazdami, słuchając spokojnej melodii wygrywanej na lirze. Z dala od zgiełku stolicy. Z dala od nudnej powtarzalności kancelarii...

Wspomnienie kancelarii skarbnika otrzeźwiło Piasta jak kubek zimnej wody. *Jakie podróże, głupi?* Po tym, jak wysłał dziś w imieniu skarbnika wszystkie te fikcyjne zamówienia, nie miał wątpliwości, że wyląduje w lochach, jak tylko Milczew ozdrowieje. *Ze szczurami będę się przyjaźnić, nie z muzykantami...* Piast podniósł się z siennika i podrapał po głowie. Zostało mu dwa, góra trzy tygodnie zanim trafi do lochów, a potem prawdopodobnie go powieszą. Pomimo świadomości nieuchronnego końca czuł się spokojny. W ogóle nie martwił się przyszłością. *Do piwa mi coś dosypali czy jak?* – zastanawiał się, nie rozumiejąc niezwykłego dla siebie wewnętrznego wyciszenia. Ziewnął przeciągle. Zdziwiło go to jeszcze bardziej. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz chciało mu się spać. Od wielu miesięcy był znużony, zmęczony, wyczerpany nawet, lecz nigdy śpiący. Podeszedł do stołu, aby zgasić oliwną lampkę. Jego wzrok padł na wiszący na ścianie wiejskiej jakości gobelin. Pod wpływem impulsu zdjął tandetną dekorację, pod którą ukryte były starannie wykreślone rzędy cyfr i dat. Wiele tygodni temu, wkrótce po odkryciu machlojek skarbnika, z braku wystarczającej ilości tabliczek woskowych zaczął zapisywać zdobyte informacje na ścianie. Nie było to rozwiązanie idealne, ale jedyne dostępne dla Piasta. umożliwiające połączenie strzępów informacji w fakty.

Mężczyzna wpatrywał się przez chwilę w skomplikowane wykresy. W końcu uśmiechnął się pod nosem i sięgnął po porzucony na stole węgiel. Stał naprzeciwko ściany, odszukał linie reprezentujące wysłane dziś do rzemieślników zamówienia. Starannie, pewną ręką nad każdą z linii dorysował mały kwiatek. Zadowolony ze swojego dzieła, zdjął buty i zgasił lampkę. *Może i mnie powieszą* – pomyślał. – *Ale kwiatków dla Cesarza zdążyć jeszcze nasiać.*

---

<sup>25</sup> Kolendy – zimowe święto obchodzone na cześć Staruchy.

26 Przyboczna – kobieta z rodu Drewian, nadzorująca wojwodę z ramienia Witii.

27 Słodkie tłókno – rodzaj deseru przyrządzanego z namoczonej pszenicy utartej na pastę z miodem.

# KOZDZIAŁ 10

*Wbrew opinii wielu, zielarki nie są czarownicami. Spędziłem wiele lat pośród ludu Daboru i nigdy nie widziałem, żeby mleko kwaśniało z nieznanых przyczyn, plony nie dopisały, krowy czy kozy nie dawały mleka, a zwierzęta rodziły martwe pomioty. Poddałem zielarki wielu próbom przez Kodeksy zalecanym, takim jak badanie znamion i brodawek, odmawianie modlitw, polewanie święconą wodą, trzymanie krucyfiksu i wiele innych. Każda próba potwierdziła, że niewiasty te nie są z nieczystymi siłami w zмовie.*

Elia Meinbuch,  
„O pracy ziemskiej i pomożeniu dóbr wszelakich”

Miro był bardziej zadowolony niż zaskoczony, kiedy odkrył prawdziwą tożsamość Sai. O ile nie miał dużego doświadczenia z ojcowaniem nastolatkom, doskonale wiedział, jak być korowym – członkiem elitarnej gwardii Witii. Znał swoje obowiązki i wiedział, jak je wykonywać. Nie wiedział tylko jeszcze, jak samemu podołać zadaniu, które zwykle wypełniane było przez cały szyk. Był jednak przekonany, że z odpowiednim planowaniem i przygotowaniem podoła swoim obowiązkom. Niepomierne irytował go jednakże fakt, że nie miał wystarczająco dużo informacji, aby układać jakiegokolwiek plany. Newen nie żył. Stojko, choć wiedział nieco o wydarzeniach w Daborze, bardziej interesował się sytuacją w Zatoniu. Raję zaś trzeba było męczyć o najdrobniejszy skrawek informacji. Sfrustrowany Miro dorobił się już bólu głowy od dumania nad tym, jak zapewnić bezpieczeństwo Witii.

Minionego wieczora Saja zakomunikowała im, że nim minie dwa i pół tygodnia, muszą dotrzeć na Wyspy Trogen. Zielarka zdawała się oczekiwać tego oświadczenia. Nauczony doświadczeniami z czasów służby w Drużynie Miro nie zadawał zbędnych pytań. Jednak po ostatnich trzech dniach szybkiej podróży włos mu się jeżył na głowie na samą myśl o następnych tygodniach spędzonych w taki sam sposób. Wiedział, że w drodze mogą zdarzyć się nieprzewidziane wypadki, ale wydarzenia ostatnich dwóch dni wprost przechodziły jego pojęcie. Czarownica, śmierć Newena, ciężkie rany Skry, atak rusałek i jakby tego było mało odkrycie, że Saja jest Witią. *Ciekawe, co się jeszcze, nęcia mać, wydarzy – zastanawiał się. – Wściekłe, parchy, pokucie?!*

Na domiar wszystkiego Miro był przekonany, że zgubili się w lesie. Późnym

popołudniem pożegnali się ze Stojkiem, który upierał się, by dla bezpieczeństwa Witii omijać Zatonie szerokim łukiem. Wojski wskazał im drogę do pobliskiego myśliwskiego dworku Wernadzi, gdzie mieli spędzić noc. Zapewnił ich, że do dworku dotrą jeszcze przed zachodem słońca. Tymczasem robiło się już ciemno, a trójka podróżników wciąż podążała leśnym traktem, nie znajdując ani polany, ani mającego stać na niej myśliwskiego domku. *Tylko jak tu można się zgubić? – zastanawiał się, wściekły, że zaufał radom Stojka. – Przecież ciągle idziemy traktem! Musi być, ten Stojko nam jakąś lipę wcisnął...*

Miro nie spodziewał się wiele po wojskim. *Bo też czego można się spodziewać po mordercy niewinnych zwierząt?* Pomimo upływu lat doskonale pamiętał, że Stojko był jednym z myśliwych strzelających do matki Muszki, niedźwiedzicy przygarniętej przez Warsa i Sawę. Wyglądało na to, że wojski nie pamiętał nastoletniego chłopca, który dwadzieścia lat temu stanął w obronie niedźwiedzicy. *Jeszcze wtedy, w Zatoniu, mnie nie rozpoznał – pomyślał Miro, wspominając swoje pierwsze miesiące w Drużynie. Pijus, parchy, zafajdany... Pomyśleć, że sama Witia mu zaufała.* Korowy splunął z obrzydzeniem.

– To gdzie miał być ten, parchy, dworek?! – warknął gotujący się wewnątrz Miro.

– Stojko mówił, że niedaleko – odparła usadowiona na wozie Raja.

– Stojko mówił... – odburknął Miro. – Mówił też, że przed zachodem słońca tam dotrzemy, a tu ciemno już się robi. Trzeba by jakieś żagwie rozpaścić.

Zatrzymał wóz i sięgnął do pasa po krzesiwo. Saja zeskoczyła na ziemię z pochodniami w rękę.

– Może on tam jeździ konno? – wtrąciła dziewczyna. – Ten wół to się jednak wlecze...

– Albo mu się pomyliło – zgodziła się zielarka.

*Akurat mu się pomyliło...* – pomyślał Miro. – *Obyty wojak, takiego głupiego błędu by przecież nie zrobił...*

– Może byśmy zawrócili do Zatonia? – zasugerował. – Wół zmęczony, długo tak nie da rady iść. Złapałibyśmy jakiś flis do Sławy, Newena byśmy porządnie pożegnali...

– Ale Stojko mówił, że w Zatoniu nie jest bezpiecznie – zaoponowała Saja. – Sam słyszałeś. A na barkę się przecież niepostrzeżenie nie da wślizgnąć.

– Stojko mówił... – ostro odparł Miro, wielce poirytowany ufnością, jaką Witia pokładała w wojskim. – Może ten Stojko sam z Lobardczykami trzyma? Może idziemy prosto w zasadzkę?

– Jak ty coś powiesz... – rzuciła kpiąco Zielarka.

– Jak co powiem?! – zirytował się Miro. – Wojski nagle taki godny zaufania?! Mi nikt nic przez tygodnie nie powiedział, a temu staremu od razu pierwszego dnia...

Raja machnęła lekceważąco dłonią, nie zaszczycając mężczyzny odpowiedzią. Miro ponaglił zmęczonego wołu, mamrocząc przekleństwa.

– A może chodzimy w kółko? – Saja, wpatrując się w oświetlone światłem pochodni drzewa, przerwała napięte milczenie. – Mogłabym przysiąc, że mijaliśmy to drzewo już ze dwa razy.

– Hmm... – Zielarka zmrużyła oczy i przyjrzała się powykręcanej brzozie. – A wiesz, że chyba masz rację... Miro, weź no zatrzymaj – rzuciła do korowego.

Ze stęknieniem zeszła z wozu i mruczając pod nosem, zaczęła przyglądać się drzewom. Po chwili pochyliła się, by zbadać ubitą ziemię traktu. Zaniepokojony Miro sięgnął po oszczep. *No to się, parchy, zaczyna* – pomyślał ponuro. Rzucił okiem ku Sai, która skinęła mu głową, ściskając broń w ręku. Zadowolony, że Witia potrafi o siebie zadbać, Miro zbliżył się do zielarki z pochodnią. Siedząca na wozie Saja wyciągała szyję, przyglądając się z ciekawością.

– Nie dziwota, że nie możemy dojść do dworku – rzekła w końcu zielarka, wskazując leżący na tracie mały przedmiot. – W kółko chodzimy, bo nam zakłęcie płacze drogę.

Miro przykucnął na ziemi, przyglądając się wskazanemu przez Raję znalezisku. Falujący, zamglony kształt zdawał się unosić w powietrzu ponad ubitą ziemią. Miro zmrużył oczy, nie mogąc skupić wzroku na dziwnym przedmiocie.

– Co, do gadziej nędzy?... – zaklął

– Patrz kątem oka – pouczyła go Zielarka. – Sprytnie, zaraza, ukryte. Sama bym lepiej nie zrobiła.

Stosując się do rady staruchy, Miro odwrócił wzrok i spojrzał na przedmiot kątem oka. Ku wielkiemu zdziwieniu ujrzał unoszący się nad ziemią, splątany wymyślnie pęk niezwykle cienkich nici.

– Co to jest?! – zapytał, zaniepokojony. – Włosy?!

– Aha. – Raja kiwnęła głową. – Czar splątanych dróg. Jak drugiego takiego nie masz, to w życiu drogi nie znajdziesz. Proste, skuteczne i śmierdzi tą ździrą z polany.

Miro poczuł zimne ciarki, pełzające mu po plecach. *Nie może być zwykła banda rozbójników czy coś? A nie znówu, nęcia mać, czary?!*

– Rozpal jeszcze kilka żagwi. – Zielarka sięgnęła po kostur. – Trzeba nam to zbadać.

– Miro? – zapytała zaniepokojona Saja. – Co się dzieje?

– Czarownica, nęcia mać, drogi nam płacze... – odparł korowy, podając jej płonąca żagiew.

Dziewczyna zacisnęła usta, bardziej w wyrazie złości niż przestachu. Pochyliła się nad Skrą w ochronnym geście.

– Co mam robić? – zapytała spokojnie.

Miro spojrzał z uznaniem na opanowaną Saję. *Witia... Witia Skry broni* – pomyślał z dumą. Niespodziewanie poczuł wilgoć napływającą do oczu. Zamrugał kilka razy i otarł twarz dłonią, chcąc ukryć wzruszenie.

– Zostań na wozie – zakomenderowała zielarka. – Ty też, Mironie. Nie widzę, co jest za zaklęciem... Pochodnie trzymać wysoko. Jeśli to ta czarownica, po ataku rusalek będzie pewnie osłabiona. Może wyglądać jak cień albo jakiś zwid. Jakby co ogniem rzucić, a potem pytać, kto idzie.

– Polowanie na zwidy, nęcia mać... – wymruczał Miro, rozglądając się czujnie po lesie.

– I, parchy, duchy jakies... – dodała Saja kwaśno.

Dziewczyna posłusznie pozostała na wozie. W jednej dłoni trzymała żagiew, a w drugiej krótki oszczep. Zielarka sięgnęła po kostur. Obeszła wóz i zaprzęgniętego do niego wołu, kreśląc na ziemi splecione linie. Po zamknięciu koła rysowane na ziemi znaki rozjarzyły się delikatnym, zielonym światłem.

– No – rzekła w końcu, zadowolona ze swojego dzieła. – Zobaczmy, co siedzi za tym zaklęciem.

Z kosturem w gotowości przykucnęła na ziemi. Szepcząc coś niezrozumiale, otoczyła dłonią leżący na trakcie czar. Saja mrugnęła kilkakrotnie, zaskoczona, gdy rozciągający się przed nimi las nagle jakby złożył się w sobie, by po chwili rozłożyć się, ukazując leśną polanę. Na polanie stał porządnie zbudowany drewniany dworek.

Miro aż podskoczył na ten widok. Stał wewnątrz jaśniejącego zielenią kręgu, napięty jak struna, ściskając w dłoniach żagiew i broń. W milczeniu obserwował drobną postać zielarki, ostrożnie wkraczającą na polanę. Starucha, mamrocząc pod nosem, obeszła dworek i przyległa do niego niewielką stajnię. Zniknęła na dłuższą chwilę w obu budynkach, po czym wróciła do towarzyszy i oznajmiła:

– Czarownica tu była jak nic. Niedawno, może jeszcze dziś rano. Ale poza tym czysto.

Miron rozluźnił się i wystąpił z kręgu. Saja wskazała zawiniątko trzymane przez zielarkę.

– Co to? – zapytała, zaintrygowana.



– Pojęcia nie mam... jakiś sztylet i pergamin. – Raja wrzuciła zawiniątko do podróżnej sakwy. – Znalazłam w skrzyni w domku. Zabierzemy do Sławy, może tam siostry coś uradzą. Miro – zwróciła się do korowego – dawaj tu wołu i Skrę, rozłożymy się na noc w stajni. Tylko prowadź wóz bokiem, żeby nie zepsuć czaru.

Miron nie ruszył się z miejsca. Spojrzał na zielarkę ponuro.

– A to bezpiecznie tak, matko? – zapytał.

– Dom łatwiej zabezpieczyć niż otwarte pole – odparła Raja. – Z wołem pod dachem przynajmniej nie zmarzniemy tak jak ostatniej nocy. No i Skra lepiej odpocznie. Wystawimy warty. Nocą przecież nie będziemy jechać przez las.

Miro nie wyglądał na przekonanego. Wciąż nie ruszając się z miejsca, przestąpił niepewnie z nogi na nogę.

– Na co czekasz? – ponaglała zirytowana zielarka.

– Nie wiem, matko... – odparł niepewnie. – Może jakieś czary by trzeba było zrobić? A jak ten sztylet jest jakiś czarodziejski?... Sami powiedzieliście, że nie wiecie. My z Sąją wierzchem szybką drogę robiliśmy, a wy nas z Szubinek bez konia dogoniliście. Co jak ta jędzka też tak potrafi?

– Starko, daj mi siły! – Raja wzniosła ręce do nieba. – Może jeszcze ze ściany wyjdzie?! To co mam według ciebie zrobić? Zrzucić szaty i z gołym tyłkiem tańczyć po lesie?! Nie wiem, do czego służy ten zwój i sztylet, ale wiem, że nie są niebezpieczne! Może zdzira sobie tym mięsko kroi, a może tyłek podciera, skąd mam wiedzieć?!

Miro patrzył na zielarkę z uporem. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, po czym zacisnął szczęki i wciąż nieustępliwie stał przy wozie.

– Mironie, na miłość bogów! – Raja tupnęła nogą. – Tak samo jak ty troszczę się o dziewczynę. Witią w końcu jest... Jak nas będzie banda Lobardczyków gonić, to cię posłucham. Ale jak o czarownicę się rozchodzi, to ty słuchaj mnie. Bo czary to moja działka.

– Ale zaklęcia nie widziałaś – upierał się Miro. – Może coś tam jeszcze jest, czego nie widzisz?

– Nie widziałam, bo czarownicy wyglądałam, a nie malutkiego czaru! – zagotowała się zielarka.

– Przestańcie się kłócić! – krzyknęła na nich Saja. – Miro, Skra cały dygoce, jeszcze się gorzej rozchoruje od tego chłodu. Pod dachem mu będzie lepiej.

Miro stał przez chwilę, patrząc to na wilka, to na młodą Witię. W końcu z ociąganiem poprowadził wołu w stronę stajni.

– Sam wszystko jeszcze raz sprawdzę – burknął pod nosem.

Stajnia była niewielka, ale sucha i zaopatrzona w spory zapas siana i owsa. Miro upewniwszy się, że budynek jest bezpieczny, delikatnie podniósł poranionego Skrę z wozu i wniósł go do domku. Saja nosiła drobniejsze pakunki i sakwy. Pracując w milczeniu uwinęli się szybko z rozpakowywaniem wozu. Po wprowadzeniu woła do stajni Miro z pochodnią w dłoni ruszył w stronę dworku. Raja obeszła stajnię dookoła, rysując kosturem ochronny krąg.

Dworek Wernadzi był całkiem przestronny i solidnie zbudowany. Miał drewnianą podłogę, dwie izby, sporą podziemną spiżarnię i nawet komin. W mniejszej izbie Miro znalazł prawdziwe drewniane łoże. Pomimo wnikliwych poszukiwań nie znalazł żadnych pułapek czy tajemnych przejść. Zadowolony z oględzin, trzymając pod pachą garniec znalezionej w spiżarni kiszzonej kapusty, wrócił do stajni.

– Jak Skra? – zapytał od progu, widząc zielarkę pochyloną nad obandażowanym wilkiem.

– Trzyma się – odparła Raja. – Znalazłeś jakieś straszne niebezpieczeństwa?

– Nie... – odburknął korowy. – Ten dworek całkiem do rzeczy. Widać Wernadzie sobie nieźle radzą. Tylko coś niedużo jedzą... Za to wina mają w bród.

– Młody Wernadź lubi się z Lobardczykami, to pewnie i ichnie wino żłapie – powiedziała Saja z kąta stajni, gdzie w słabym świetle lampki czyściła kopyta wołu.

– A niech se żłapie, na zdrowie – powiedziała zielarka. – To co mnie martwi, to że Kalin sprowadził tutaj czarownicę. Trzy siostry ma przecież w Zatoniu. Po co mu taka przybłęda?

– A może sama się tu sprowadziła? – zgadywał Miro.

– Może... – bez przekonania odparła zielarka.

Miro ze stęknieniem sięgnął po sakwy w poszukiwaniu jedzenia. Po trzech dniach podróży wierzchem, pobiciu przez niedźwiedzicę, Saję i czarownicę bolało go wszystko. *Mogło być gorzej* – pocieszał się. – *Przynajmniej jeszcze żyjemy*. Krzywiąc się przy każdym ruchu, ułożył suchy prowiant na rozłożonej sakwie i zaczął lepić kulki ze smalcu, by karmić nimi Skrę.

– To myślicie, matko, że tę czarownicę nie przypadkiem spotkaliśmy? – Saja usiadła na sianie obok Mira i sięgnęła po kawałek sera.

– Wczoraj to może i przypadkiem – odparła Raja. – Ale coś mi się widzi, że ta zdzira ciebie, dziewczyno, szuka.

– Ale czego ona chce? – zapytał Miro. – Myślisz, że pracuje dla Lobardii?

– Może dla Lobardii, może dla Wernadzia, może dla samej siebie, a może tylko z czystej złości. Trudno zgadnąć – odparła Raja. – Te czarownice to dziwne jakies

baby... Temu, jak mu tam... Rolandowi czy Wilandowi dupy dają, żeby swoje moce dostać, zamiast się iść i po ludzku od Matki i Staruchy wyprosić. A jak już te moce mają, to zamiast pożytek z nich jakiś zrobić, nic tylko się zamęt.

– A to nie Woland jest? – wtrącił Miro. – Jak z Trybaldu żeśmy z Witią wracali, to się do nas taki stary munk przyczepił. Na hemarskie bogi chciał nas nawracać. Mówił o tym Wolandzie, że to niby rogi ma i gdzieś pod ziemią ludzi pali czy coś. Pamiętam, tak się przy tym ten munk pluł i ślinił, żeśmy go do zielarek zaprowadzili, bo pomyślelim, że jak nic na głowę chory.

– Hemarskie bogi? – zainteresowała się Saja. – Ja myślałam, że oni tam jednego boga mają?

– Ech, ci w Hemarze to sami przecież nie wiedzą. – Zielarka wzruszyła ramionami lekceważąco. – Niby to jednego boga mają, ale jak się dopytasz, to wychodzi, że ten bóg to ma i matkę, i ojca, i jakichś wujków, i ciotki też chyba, co to ich świętymi nazywają. No i przecież jeszcze tego Wolanda, czy jak mu tam, co to niby nie bóg, ale własne podziemne królestwo ma, jak nie przymierzając nasz Kowal.

– Hemar, psiajucha... – splunął Miro, po czym zwrócił się do zielarki: – Myślicie, matko, że ta wiedźma będzie za nami iść?

– Myślę sobie, że będzie. Osłabiona teraz pewnie, daleko się nie wybierze. Wiatr dzisiaj cały dzień ze wschodu wiał. Jak bogowie dali, to ją dalej do lasów zwało. Ale jakby się do jakiegoś zwierzaka przyczepiła, to może i nas dogoni... Zawsze lepiej się przygotować. Żagwie w gotowości, warty będziemy trzymać. Strzeżonego i bogowie strzegą.

Miro pokiwał głową na znak, że zgadza się z opinią zielarki. Saja ziewnęła głośno.

– No, to wy idźcie spać, a ja wezmę pierwszą wartę – powiedział Miro, widząc zmęczenie Witii.

Saja zabrała się za rozkładanie sienników. Starucha, oparta o juki, owinęła się ciaśniej derką. Miro podał Skrze ostatnią kulkę smalcu i pogłaskał go delikatnie. *To będzie długa podróż...* – pomyślał, poprawiając okrywającą wilka derkę. – *I pewnie wszyscy skończymy jak Newen.* Postępując, podniósł się z ziemi i wyszedł ze stajni. Stał tuż przed jarzącą się zielonym światłem linią ochronnego kręgu. Spojrzał w ciemność lasu i zaciągnął się zimnym powietrzem. Magiczne światło ochronnego kręgu przypomniało mu o niedawnej walce z czarownicą. Wspomnienia minionego dnia zakwitwały wypełnionymi bólem obrazami. Skra rzucony na drzewo jak szmaciana lalka. Newen wyjący z bólu, plujący krwią, kiedy

potworna siła wyrywała życie z jego piersi. Ostry, mleczy pazur dotykający jego własnego policzka. Saja biegnąca ku niemu poprzez kłębiącą się rusalkami mgłę.

Miro oddychał głęboko, pozwalając fali krwi i przemocy przelewać się przez jego wspomnienia. Obrazy cierpienia Newena mieszały się z widmami dziesiątek poległych towarzyszy jak kolejna kropla nakapana do pucharu szaleństwa. *Kiedys to będę ja...* – pomyślał bardziej z nadzieją niż obawą. Uśmiechnął się gorzko. Szorstką, pokrytą bliznami dłonią otarł zmęczone oczy.

– Starko, Starucho, Zimo – modlił się, wpatrzony w ciemność nocy. – Ostatnia czuwająca, pani nieuchronnego, pani śmierci i nocy, pani bólu i zapomnienia, gdy mój czas nadejdzie, zeslij mi sen łagodny.

\*\*\*

Znudzona Saja wskoczyła na wóz i opadła na wymoszczone derkami deski. Ułożyła głowę na ramieniu. Popatrzyła smętnie na ciągnący się za nimi, ogrodzony drewnianym płotem trakt. Tego ranka wyjechali z lasu. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się pola. Co jakiś czas mijali pracujących na roli ludzi. Dziewczyna machała do nich radośnie. Miała nadzieję, że ktoś podejdzie do nich i pogawędzi. Jednak zajęci orką i sianiem wieśniacy odmachiwali tylko, czasem uśmiechali się przyjaźnie i wracali do roboty.

– *Nikt nie chce ze mną gadać...* – myślała ponuro.

– *Bo nic tylko marudzisz...* – odpowiedział głos matki. – *Poza tym dziewczyny są zajęte. Wiesz, ile pracy trzeba, żeby przygotować Dabor na przyjęcie Witii? A do tego jeszcze ta czarownica...*

– *Wiem, wiem...* – odparła marudnie Saja. – *Ludzi trzeba przygotować, przepowiednie rozestać, zwołać korowych...*

– *No właśnie* – przytaknęła Lida. – *Dziwisz się, że nikt nie ma czasu cię zabawić?*

Saja skrzywiła się w odpowiedzi.

– Nudzę się! – wyjęczała po raz kolejny tego dnia.

– I bogom dziękować – powiedziała jej zielarka. – Znaczy się podróż spokojna.

Minęło już sześć dni, odkąd opuścili dworek Wernadzi. Sześć długich dni różniących się od siebie tylko pogodą i mijaną okolicą. Każdego ranka budzili się, przygotowywali posiłek, wsiadali na wóz i wyruszali w drogę. W ciągu dnia zatrzymywali się trzykrotnie na krótki odpoczynek. Wieczorem przygotowywali posiłek i po ustaleniu wart kładli się spać. Prowadzony przez Mira wół ciągnął wóz niestrudzenie. Na wozie, owinięty bandażami, leżał pogrążony w głębokim śnie Skra i czuwająca przy nim Raja. Miro całą drogę z Zatonia przeszedł na

piechotę, obok wołu, którego Saja nazwała Chmurką. Wół był okuty, więc całkiem niezłe radził sobie z twardą powierzchnią traktu. Miro, obawiając się, że Chmurka okuleje, dbał o spokojne zwierzę niemal z takim poświęceniem, z jakim zajmował się Skrą. Saja została obarczona obowiązkiem czyszczenia i masowania nóg Chmurki na każdym postoju. Miro pilnował również, żeby wół nie objadał się nadmiernie. Rozpieszczony zwierzak ciągnął lekki wóz wytrwale, zadziwiająco szybko połykając staję za stajem.

Skra bardzo szybko zdrowiał po ataku czarownicy. Już dwa dni po opuszczeniu leśnej polany próbował zeskoczyć z wozu. Zbyt osłabiony, by utrzymać się na nogach, przewrócił się wtedy i upadł, urażając połamane zebra. Od tej pory na prośbę Mira Raja poila wilka ziołami nasennymi. Kilka razy dziennie pozwalała Skrze wybudzić się na tyle, żeby coś zjadł i popił wody.

– Daleko jeszcze? – marudziła rozwalona na wozie Saja.

– Myślę, że jeszcze jakiś rok, może dwa... – odparł prowadzący wołu Miro.

– Miro! – jęczała w odpowiedzi Saja. – Tak nie można! – Tu, żeby zaakcentować oburzenie, uderzyła dłonią w deski wozu.

– Jeśli obudzisz Skrę, to ci, z całym szacunkiem, rękę wykręcę – ostrym tonem powiedział Miro, po czym pochylając się dodał szeptem: – Pani.

– Od razu obudzę... – zachnęła się dziewczyna. – Toż wilk śpi jak zabity.

– Saja! – oburzyła się z drugiego końca wozu zielarka. – Nawet tak nie mów!

– Przepraszam... – Saja opuściła głowę, zawstydzona. – Śpi jak kamień, chciałam powiedzieć...

– Może ty lepiej już nic nie mów... – rzucił przez ramię urażony Miro. – I złaż z tego wozu, widzisz, że pod górę jedziemy! Chmurce będzie ciężko. – Poklepał szeroką szyć wołu.

– Przecież powiedziałam „przepraszam” – odburknęła Saja.

Chwyliła za skórzany bat, zeskoczyła z wozu i pobiegła przed siebie. Minęła korowego, nie zaszczycając go spojrzeniem. Zwolniła kroku, dopiero kiedy przestała słyszeć monotonne skrzywienie kół. Rozwinęła bat i zaczęła nim trzaskać w powietrzu. Kilka dni temu wraz z Ioni odkryła, że nieużywany przez Mira bicz doskonale nadaje się do walki. Dawał Sai ogromny zasięg i w jej coraz bardziej wprawnej dłoni zamieniał się w prawdziwe zabójczą broń. Dziewczyna żałowała, że opuścili już las. Miała nadzieję poćwiczyć jeszcze wspinanie się na drzewa i bujanie na gałęziach. Do tej pory jej próby przynosiły mieszane rezultaty. Cienki rzemień bata często ześlizgiwał się z gałęzi, a jeśli już się oplątał, nie dawał się tak łatwo odwinąć. Od ciągłych upadków Saja była pokryta siniakami i zadrapaniami.

Tęskniła za własnoręcznie wykonanym jeszcze w Szubinkach, a zgubionym na uroczyskach leziwie.

– Ech... – pocieszała się. – Z lasu wyjechaliśmy, to teraz i tak by się nie przydał.

Szła przed siebie, co chwila trzaskając biczem. Próbowwała celować w rozwieszone pomiędzy deskami płotu pajęczyny. Chciała trafić rzemieniem tak, aby rozerwać nie więcej niż dwie lub trzy mocujące pajęczynę nici. Nie bardzo jej to wychodziło, ale że nic innego nie przychodziło jej do głowy, uparcie darła batem delikatne sieci. Nudziła się przeraźliwie.

Saja zawsze chciała podróżować. Z zapartym tchem słuchała opowieści swojego ojca czy innych kupców lub muzykantów, którzy czasem zatrzymywali się w Gniewie, jej rodzinnej wiosce. Tak jak inne dzieci marzyła, że któregoś dnia sama wybierze się na pełną przygodę wędrówkę. Teraz, po ponad tygodniu wleczenia się przez Dabor, doszła do wniosku, że podróże są jedną z najnudniejszych rzeczy, jakich doświadczyła w całym swoim życiu. Nawet nauki zielarki w Świętym Gaju wydawały się lepsze niż dłużąca się niemiłosiernie droga. Bez wahania zamieniłaby tę podróż na dzień spędzony w rodzinnej wiosce. Mogłaby galopować na koniach, strzelać z łuku, puszczać kaczki na rzece, bawić się z innymi dziećmi. *Gdybym tylko mogła wrócić do Gniewu...* – rozmarzyła się.

Zbyt mocne uderzenie bata oderwało kawałek kory od nieociosanego drewna płotu. Odłamek uderzył dziewczynę w oko. Saja zaklęła szpetnie. *Nic mi, parchy, nie idzie* – pomyślała ze złością. Szła przez chwilę dalej, trąc piekącą powiekę. Za sobą słyszała zbliżający się ze skrzypieniem wóz.

Zatrzymała się na szczycie wzgórza, oniemiała z zachwytu.

*Sława* – odpowiedziały rusałki.

– Sława – z ulgą rzekł Miro zza pleców dziewczyny.

– Sława! – ucieszyła się Saja. – W końcu! Dotarliśmy!

Wóz bez zatrzymywania potoczył się ze wzgórza. Saja, nie ruszając się z miejsca, zachwycała się widokiem ogromnego jeziora Sławskiego. Jego tafla lśniła w przebijających się przez chmury promieniach słońca. Liczne tratwy, barki i łodzie sunęły po jeziorze oraz szerokich wodach Rusłoku i Sławiny. Otoczony potężnymi murami Pałac Witii przypominał stare, olbrzymie, wysuszone drzewo, wokół którego roily się tysiące ludzi. Z tej odległości mieszkańcy Sławy wyglądali jak ruchliwe mrówki. Saja nigdy nie widziała tylu ludzi. Nie na własne oczy.

– Bogowie – wyszeptała oszołomiona. – Ja mam tym rządzić...

– *To tylko Sława, kochanie* – usłyszała głos matki. – *Ty masz rządzić całym Daborem.*

Saja przełknęła ślinę, czując nagłą suchość w gardle. Słyszała własne serce łomocące w piersi. Dopiero teraz uświadomiła sobie ogrom ciężących na niej oczekiwań i nadziei.

– *Nie poradzę sobie* – poczuła narastającą panikę. – *Nie ma mowy! Nie dam rady! Nie poradzę sobie...*

– *Poradzisz* – zapewniła ją Lida. – *Zajmie to trochę czasu, będziesz potrzebowała pomocy, ale poradzisz sobie. Musisz sobie poradzić.*

Zapewnienia matki nie przekonały Sai zbytnio. Dziewczyna bez słowa wpatrywała się w rozciągającą się przed jej oczami Sławę. Zapragnęła uciec. Odwrócić się i pobiec, nie oglądając się za siebie.

– *Poradzisz sobie* – usłyszała zadziwiająco łagodny głos babki.

Jej myśli wypełnił obraz roześmianej, szczerbatej i umazanej błotem buzi.

– *Każdy gdzieś zaczyna* – powiedziała Wena. – *To tylko początek drogi, wnuczko.*

Wykuty w skale Pałac Witii wyglądał tak znajomo. Ze wspomnień przodkiń znała każdą jego komnatę i korytarz. Pomocne rusałki podsuwały twarze i imiona rezydujących w Pałacu daborskich dostojników. Ratomir Milczew, skarbnik Witii, Lubomir Chędyna, wojwoda sławski, przyboczna Lubina, Mistrz Lasota i tak wielu innych. W głowie zawirowało jej od natłoku informacji.

– Chyba wolałbym już błoto... – mruknęła upewniwszy się, że przodkinie jej nie słyszą.

– Ktoś się zbliża! – usłyszała okrzyk Mira.

– *Idź. Miła i Raŕwa już na ciebie czekają* – powiedziała matka.

– *Miła i Raŕwa?* – zdziwiła się Saja.

– *Przecież nie sądzisz chyba, że pozwolimy Witii przybyć do Sławy bez przywitania?* – ciepło odpowiedział głos Lidy. – *Nocleg i kolacja już czekają.*

Skuszona obietnicą kolacji Saja ruszyła się w końcu ze szczytu wzgórza i pobiegła do wozu. Zwolniła, by zrównać się z Mirem. Spojrzała z ciekawością ku zbliżającym się szybkim krokiem postaciom. Na pierwszy rzut oka identyczne, niezwykle piękne kobiety uśmiechały się i unosiły dłonie w powitalnym geście. Saja zamarła zaskoczona, kiedy przez krótką chwilę pod gładką skórą twarzy jednej z sióstr dostrzegła szalejące koszmary. Ból, pokrwawioną twarz, błagania, grube palce ściskających szczupłe ramiona, samotność, rozpacz, wstyd. Straszne wizje niemal odebrały jej dech w piersiach. Saja potrząsnęła głową wstrząśnięta.

– *Widziałaś to?* – dopytywała się Wena.

– *Tak...* – odpowiedziała Saja, próbując opanować poruszenie. – *Co to było?*

– *Twój dar się rozwija* – odrzekła Wena zadowolonym tonem. – *Nawet szybciej, niż się spodziewałam.*

– *O czym ty mówisz?! – zdenerwowała się wciąż wstrząśnięta Saja.*  
– *W czasie ataku na swój rodzinny dom Rawa została brutalnie zgwałcona – odparła rzeczowym tonem Wena. – Takie przeżycie zostawia rany na całe życie. Zmienia kobietę na zawsze. Jako Witia możesz to dostrzec.*

– *Można to jakoś wyłączyć? – zapytała Saja, odwracając wzrok. – Żebym nie musiała na to patrzeć?*

– *Bo co? Jak nie widzisz, to tego nie ma? Bo w twojej wypchanej kwiatkami i motylkami główce nie ma miejsca na rzeczywistość?! – W głosie babki słychać było rozdrażnienie. – Saja, na miłość bogów, trwa wojna! Kobiety są gwałcone. Nawet dzieci są gwałcone! Jesteś Witią, dziewczyno. Doróżnij!*

Zawstydzona słowami babki Saja zmusiła się, by patrzeć wprost w piękną twarz Rawy. Pod maską bólu, rozpacz i wstydu dostrzegła coś więcej. Dostrzegła siłę, determinację, wolę walki. *Bogowie... – pomyślała z podziwem. – Przeżyć coś takiego...*

Na ramieniu poczuła ciężką dłoń Mira.

– Ostrożnie – wyszeptał jej opiekun.

– W porządku – odparła dziewczyna, wysuwając się przed mężczyzną. – Ja je znam.

– Miła. Rawa. – Saja zwróciła się do kobiet z przyjaznym uśmiechem. – Jestem Saja. Bardzo mi miło was poznać.

Bliźniacze siostry ukłoniły się z szacunkiem.

– Witia widzi – zgodnym chórem wyrecytowały tradycyjne pozdrowienie Witii.

– Witia wie.

– Witia nie stoi sama – dołączył się Miro silnym głosem, przykładając zaciśniętą pięść do piersi.

Saja podrapała się po głowie, onieśmielona. Nie czuła się godna tego pozdrowienia. Rumieniec zakłopotania wpłynął na jej policzki.

– A może po prostu Saja? – zapytała. – Jeszcze ktoś usłyszy...

– Saja – zgodziła się Miła. – Czy ktoś cię skrzywdził? – zapytała wskazując na zaczerwienione, puchnące oko dziewczyny.

Miro aż sapnął z oburzenia. Rzucił siostrze poirytowane spojrzenie, niezadowolony, że ktoś śmie kwestionować jego umiejętności jako korowego. Saja, jeszcze bardziej zakłopotana, spojrzała ku towarzyszowi przepaszająco, pocierając swędzące oko.

– Nie, to nic... – zaczęła.

– Sama się skrzywdziła – odezwała się z wozu zielarka. – Ta dziewczyna to chodzące samozniszczenie.



Sławko z westchnieniem oparł ramiona o balustradę mostu. Schował twarz w dłoniach i zamknął zmęczone oczy. Spracowane, pokryte licznymi bliznami i odmrożeniami palce zanurzyły się w gęstych rudych włosach.

– Bogowie – wyszeptał zmęczonym głosem. – Co ja tu robię?...

*Spódniczce się nie możesz oprzeć, ot co!* – odpowiedział sobie w myśli. Jego flis przybył do Sławy zaledwie wczoraj. Cały dzień minął mu na odwiedzaniu urzędów, płaceniu ceł, sprzedawaniu towarów i szykowaniu łodzi do powrotu do Chabrów. Na koniec tego długiego dnia Sławko z ulgą usadził się wygodnie na ławie gospody Pod Tratwą. Ledwo zdołał zamówić piwo, kiedy siadła przed nim jedna z bliźniaczek. Uśmiechając się promiennie, Miła, jak przedstawiła się kobieta, zapytała go o przemyt. *Przemyt!* – Rudy flisak jeszcze teraz zatrzęsł się na wspomnienie nieostrożności Miły. Zrobił jedyną rzecz, którą szanujący się pilot flisaków może zrobić w takiej sytuacji. Upewniwszy się, że nikt słowa „przemyt” nie słyszał, chwycił Miłę za ramię i wyprowadził ją z gospody. Już miał na nią wrzasnąć, kiedy spojrzała na niego pięknymi, migdałowymi oczami. *Trzeba było jej coś powiedzieć!* – wyrzucał sobie Sławko. – *A nie tak od razu na piękne oczy się zgodzić...*

Odgłos zbliżających się kroków przerwał samokrytyczne rozmyślenia flisaka. Krocząc pewnie przez most, zbliżał się ku niemu wysoki mężczyzna. Szerokie bary, ciemne włosy... *Może być, że to ten* – pomyślał Sławko, przyglądając się kątem oka zmierzającej ku niemu postaci.

– Pod Tratwę to tędy? – zapytał nieznajomy.

– A tędy. – Sławko rozpoznał umówione pytanie.

– Jakichś muzykantów tam mają? – dopytywał się nieznajomy.

– Mają, mają. Takiego karła i dwie stare baby. Ale śpiewają ładnie. – Pilot odpowiedział tak, jak poinstruowała go Miła.

Nieznajomy skinął głową i wyciągnął dłoń w powitalnym geście.

– Miro jestem – powiedział.

– Sławko. – Z wyrazem ulgi na twarzy pilot uściśnął gruby nadgarstek. – Chodźcie ze mną, musimy przejść dobry kawałek.

Mężczyźni ruszyli przez most w milczeniu. Szybkim krokiem minęli gospodę, odwracając wzrok, by nie oslepić oczu jasnymi światłami padającymi z rozbawionej karczmy. Sławko odbił od jeziora, kierując się w stronę ciemnej na tle nocnego nieba linii lasu. Spojrzał przez ramię, by upewnić się, że Miro idzie za nim. Z zaskoczeniem zauważył, że wysoki mężczyzna podąża tuż za jego plecami.

*Jak on może się tak cicho poruszać?! – zastanawiał się, zawstydzony własnymi, dudniącymi w ciszy nocy krokami. Chwilę potem niemal wrzasnął, przestraszony, kiedy poczuł szeroką dłoń dotykającą jego ramienia.*

– Stój – wyszeptał Miro w ucho pilota. – Ktoś tam jest.

– Bo i ma być – odparł również szeptem Sławko.

Mężczyźni zatrzymali się. Flisak zbliżył złożone dłonie do ust i zahukał dwa razy jak sowa. W odpowiedzi od lasu dobiegł głośny trzask gałęzi i stłumione przekleństwa.

– No weźże, Mańka! – zawołał gdzieś w krzakach donośny głos.

– A Mańka to pikna, że szkoda gadać! – zawołał w odpowiedzi Sławko.

Trzask gałęzi ustał jak ucięty nożem. Chwilę potem szeroka, krępa męska postać niemal bezszelestnie stanęła przed czekającymi cierpliwie mężczyznami.

– To co nam dzisiaj przynosisz, Sławko? – zapytał nowo przybyły.

– Jak to zwykle, Senko, interes – odparł rudy pilot.

– Senko?! – wykrzyknął z zaskoczeniem Miro.

– Miro?! – Krępy mężczyzna przyjrzał się uważnie ledwo widocznej twarzy korowego. – Miro! Jak Matkę kocham! Miro!

Mężczyźni padli sobie w objęcia. Poklepywali się po plecach i szczyrzyli zęby w ciemności.

– To wy się znacie? – zapytał zdziwiony Sławko.

– A pewnie, się znamy! – odparł uradowany Senko. – Toż to Miro z naszej pięści!

– No, to ja już sobie pójdę – powiedział Sławko. – Umowa jak zawsze?

– Jak zawsze! – odparł krępy mężczyzna. – Do Chabrów nie pływamy!

Sławko na pożegnanie ucisnął nadgarstki korowych i szybkim krokiem oddalił się ku światłom gospody. Miro spojrzał na Senka, wciąż nie wierząc w niezwykle zbieg okoliczności.

– Senko! To ty teraz w przemyście? Wyrzucili cię czy jak? – zapytał.

– Gdzie tam wyrzucili! – obruszył się krępy mężczyzna. – Korowych, zajebasy, rozwiążali. Będzie może ze dwa miesiące po twoim odejściu. Powiedzieli, psiejuchy, że jak Witii nie ma, to i korowych nie trzeba.

– Co?! – nie mógł uwierzyć Miro. – Korowych?!...

– Korowych – przytaknął Senko posępnie. – Wziął skarbnik i, psiajucha, rozwiązał. To co mielim robić? Trochę chłopca po Daborze się rozjechało za zarobkiem, trochę do domów wróciło. A my się do bandy Kraken zaciągnęli. Jeść przecież trzeba. A tak przynajmniej blisko Sławy, ale też trochę się świata zobaczy...

- My? – dopytywał się Miro. – To kto tu jeszcze jest z tobą?
- Oleg i Bożan – odparł Senko. – Chodźże, zaraz się z chłopami przywitasz! Ten zagajnik musimy obejść i zaraz będziemy na miejscu.
- Miro posłusznie ruszył w ślady krępego przemytnika.
- A ty, Miro? Jak tam? – zagadał Senko. – Rodzina?
- Miro w milczeniu pokręcił głową. Senko poklepał przyjaciela po plecach.
- Przykro mi – powiedział. – Skra? – zapytał po chwili z nadzieją.
- Skra w porządku – odparł Miro, pogodniejąc. – Trochę go poturbowało w drodze, ale zielarka się nim zajęła.
- Masz go tutaj? – ucieszył się Senko. – Będzie z nami płynął?
- Będzie... – odparł Miro. – Jeśli nas weźmiecie – dodał po chwili. – A tak w ogóle, Senko, to czemu przemyt? I co to za umowa, żeby nie pływać do Chabrów?
- A ty wiesz, ile teraz za cła trzeba płacić? – oburzył się Senko, pewnie krocząc brzegiem lasu. – Drogi niebezpieczne, wszyscy chcą rzeką towary wozić. Skarbnik z żupanami sobie kasy nabijają, nakładają co raz to nowe cła i podatki. To i przemyt kwitnie. Pływamy sobie z Kraken, trochę się tu, trochę tam posmaruje i jakoś idzie. Sławko nam od czasu do czasu robotę podrzuca, ale w zamian żadnych zleceń do Chabrów nie bierzemy. Handel się kręci, chłopie.
- Kto to ten Kraken? – zapytał Miro ostrożnie. – Bo ja towar mam cenny...
- Ta Kraken, nie ten – odpowiedział Senko. – A o towar nie masz się co martwić. Ta baba zna wodę jak my miecz. Nawet zimą po lodzie się łodziami ślizga! Mąż Trogeńczyk, rozumiesz, żyli w Mitkinie, nad Stojną.
- Ten Mitkin? Ten, co to Lobard na samym początku z dymem puścił? – zapytał Miro.
- No przecie mówię – tłumaczył Senko. – Mąż, dzieci, wszystko się spaliło. Sama Kraken ledwie z życiem uszła. Połowę twarzy ma popaloną. Teraz to tak Lobardii nienawidzi... Co raz wozimy broń na zachód, bo te pojebańce z Pałacu już dawno przestali wysyłać transporty dla wojska.
- Bogowie... – westchnął Miro. – Co to się w tym kraju porobiło...
- Ech... Szkoda gadać. – Senko skręcił w las i pomimo ciemności prowadził pewnie po wydeptanej przez zwierzynę ścieżce. – Już niedaleko... – rzucił przez ramię.
- Mężczyźni szli w milczeniu, bezszelestnie przemykając się pomiędzy drzewami. Po krótkiej chwili stanęli przed rozpadającą się, byle jak zbitą z desek chatą.
- Widzę, że się wam dobrze powodzi – zakpił Miro, przyglądając się wiszącym na przetartych skórzanych pasach drzwiom.

– Wchodź, wchodź. Kraken i chłopaki już czekają. – Senko poklepał przyjaciela po plecach i gestem zaprosił do wnętrza drewnianej budy.

– Wart nie rozstawiacie? – zdziwił się Miro, podchodząc do drzwi rozklekotanej chaty.

– A po co? – odparł Senko z dumą. – Kraken to już taka ustawiona w Sławie, że nikt jej nie ruszy. Ludziska nawet czasem przychodzą o pomoc w dysputach prosić, bo te zajebasy z Pałacu to zupełnie już nic nie robią.

Miro spojrział na Senka ze zdziwieniem. Był coraz bardziej zaintrygowany opowieściami o przywódczyni przemytników. *No cóż, przekonajmy się, kto to ta Kraken* – pomyślał, otwierając drzwi.

Mała, skromnie urządzona izba oświetlona była ogniem paleniska i kilku lampek. Klepisko przysypane było brązową, butwiejącą słomą. W jednym kącie wały się popękane skorupy glinianych naczyń. Przy byle jak skleconym stole, na rozklekotanych stołkach, siedziały trzy postacie. Miro od razu rozpoznał Olega i Bożana, starych druhów z pięści korowych. Trzecia postać była szczupłą, czarnowłosą kobietą. Czerwono-fioletowe blizny pokrywały połowę jej twarzy, ciągnąc się aż za ucho. Zniekształcony kącik ust nadawał kobiecym rysom kpiący, niemal szyderczy wyraz. Czarne włosy, zaczesane na zdrową stronę twarzy, przytrzymywane były przez szeroką krawkę. Duży, kunsztownie wykonany kabłączek skroniowy otaczał okrutnie zniekształcone, przyrośnięte do czaszki ucho. *Widać Kraken nie wstydzi się swoich blizn* – z uznaniem pomyślał Miro.

– Miro?! – Oleg i Bożan poderwali się ze stołu. – Miro! Chłopie!

– Oleg! Bożan!

Mężczyźni rzucili się sobie w ramiona, witając się wylewnie.

– A Skra gdzie? – zapytał Oleg dudniącym głosem.

– Jest i Skra. – Senko szczerzył żółtawe zęby. – Zabiorą się z nami rzeką! – Tu mężczyzna skłonił głowę w stronę czarnowłosej kobiety. – Znaczy, jak Kraken się zgodzi...

– Kraken! – Bożan położył dłoń na szerokim ramieniu Mira. – To jest Miro, nasz druh z korowych. Najlepszy łucznik, jakiego w życiu widziałem.

Czarnowłosa kobieta skłoniła lekko głowę i gestem zaprosiła go do stołu.

– Sławko mówił, że z towarem chcecie jechać? – zapytała zachrypniętym głosem.

*Widać i ognia się nawdychała* – pomyślał Miro, siadając przy stole.

– Dobrze mówił. – Skinął głową.

– Gdzie chcecie z tym ładunkiem płynąć? – pytała dalej Kraken, popijając piwo.

– Na wyspy Trogen – odparł Miro zgodnie z instrukcjami Rai. – Towar musi tam dotrzeć w nie więcej niż osiem dni.

– Osiem dni? – Czarna brew kobiety uniosła się w zdziwieniu. – Za osiem dni jest Fraga. Wiezicie coś na wiec Żeglarzy?

*I niegłupia* – pomyślał Miro, będąc pod coraz większym wrażeniem domyślności przywódczyni przemytników. – *Dobrze, że Raja i to przewidziała.*

– Widać znacie zwyczaje Trogeńczyków – powiedział, wznosząc napełniony przez Olega kubek.

Kraken, niewzruszona pochwałami i toastem, wbijała przenikliwe spojrzenie w wysłannika Witii. Miro łyknął piwa. Oparł ramiona o stół i pochylił się ku poważnej kobiecie.

– Słyszeliście, że Żeglarze planują ataki na Dabor? – zapytał konfidencjonalnym tonem.

Kraken skinęła głową na potwierdzenie. Przysłuchujący się rozmowie korowi pochylili się nad stołem, nadstawiając uszu.

– Święte Gaje zebrały dary dla Trogeńczyków. Mój towar to haracz dla Żeglarzy – rzekł Miro.

– Dabor się Wyspom opłaca... – Zdegustowany Senko splunął z obrzydzeniem.

– Do czego to doszło... – Bożan kręcił głową z niedowierzaniem.

– Haracz... – Kraken odwróciła wzrok i zamyśliła się na moment. – Niewolników nie zabieram – powiedziała twardo po chwili zastanowienia.

Miro rzucił okiem ku usadzonym wokół stołu korowym. Trzej mężczyźni wydawali się zniesmaczeni i przygnębieni. *Trzeba im jakoś o Witii powiedzieć...* Wysilił pamięć, by przypomnieć sobie znaki nieużywanego od wielu miesięcy sekretnego języka korowych.

– Gdzie tam niewolników! – powiedział i podrapał się po nosie, sygnalizując ukryte znaczenie wypowiedzanych słów. – Zielarki przecież by ludzi nie wysłały. Złoto wieziemy. Złoto i szlachetne kamienie. – Tu dotknął skroni, dając znak, że mowa o Witii.

Niewzruszeni Senko i Bożan siedzieli w milczeniu. Oleg zapytał, jakby od niechcienia:

– Szlachetne kamienie, mówisz? A prawdziwe aby? Teraz tyle podróbek... Każdy chce się dorobić.

*No i zrozumieli!* – ucieszył się Miro. Kraken rzuciła Olegowi surowe spojrzenie, niezadowolona, że podwładny wtrąca się do rozmów z klientem. Oleg skłonił się kobiecie z szacunkiem i zamilkł.

– Prawdziwe, nieprawdziwe, co to za różnica. – Przywódczyni przemytników zwróciła się do Mira. – Osiem dni to mało, z wiatrami o tej porze roku łatwo nie będzie. Jak się barka przewróci, za towar nie odpowiadam.

– Z wiatrami zielarki pomogą – zapewnił Miro.

Kraken skinęła głową w milczeniu. Miro sięgnął po przewieszoną przez ramię sakwę.

– Ile? – zapytał, rozpoczynając negocjacje.

\*\*\*

Stojko wyglądał przez wąskie okno kancelarii żupana. Skrzywił się i poprawił nową, wciąż jeszcze sztywną opaskę na oko. Zza okna dobiegał dźwięk uderzających o siebie mieczy i wbijających się w słomiane cele strzał. Stary wojski w zamyśleniu obserwował ćwiczących wojów. Ogarnęła go przemożna chęć, aby sięgnąć po miecz, zwołać zatoński szyk i ruszyć po kraju, by przegonić wszystkich zagrażających Witii Lobardczyków. *Pozabijać psiejuchy...* – rozmarzył się w patriotycznym uniesieniu. – *Posadzić Witię na tronie, odbudować Dabor...* Wojski poczuł łzy napływające do oka. Zamrugał kilka razy, starając się opanować wzruszenie. Wspomniał pożegnanie z Witią. *Bądź moimi oczami* – powiedziała mu Saja – *Bądź moimi uszami. Czekaj na znak.*

– Będę, pani – wyszeptał w uniesieniu. – Będę czekał na twój znak...

Minął nieco ponad tydzień, odkąd Stojko powrócił do Zatonia, wioząc okaleczone ciało Newena. Opowiedział mieszkańcom grodu historię o brutalnym ataku rozbójników, w którym zginął Newen. Opisał ze szczegółami odważne czyny karczmarza, który według opowieści Stojka zabił dwóch rabusiów, zanim poległ z rąk opętanego bitewnym szałem herszta rozbójniczej bandy. Opowiedział, jak z ciałem przyjaciela na ramionach błąkał się po lesie, zanim nie odnalazł spłoszonych koni zabitych złoczyńców. Mieszkańcy Zatonia byli głęboko poruszeni bohaterską śmiercią karczmarza i wdzięczni bogom za ocalenie wojskiego.

Ciało powszechnie lubianego i szanowanego Newena zostało spalone w tradycyjnej ceremonii. O zachodzie słońca Zielarki wypowiedziały modlitwy i rozpały zielone płomienie Ognia Ziemi. Podsycany tymi płomieniami stos palił się przez całą noc. O świcie następnego dnia prochy ze stosu zostały starannie zebrane i uroczyście rozsypane po zatońskich polach. Przeprowadzone przez Stojka konie darowano Jagodzie, wdowie po Newenie, aby przynajmniej w ten sposób zrekompensować jej stratę męża.

Minął już tydzień od pogrzebu Newena i życie w Zatoniu powoli wracało do normalności. O tej porze roku mieszkańcy grodu nie mogli pozwolić sobie na długą żałobę. Jagoda radziła sobie zadziwiająco dobrze. Z pomocą przyjaciół i

sąsiadów już kilka dni po śmierci Newena drzwi zatońskiej karczmy otwarły się na nowo. Duszka, żona wojskiego, spędzała w gospodzie całe dnie, pomagając gotować i troszczyć się o gości. Codziennie po zakończeniu pracy na polach przynajmniej kilku mężczyzn zachodziło do Jagody, żeby dźwigać beczki, rąbać drewno czy wykonywać drobne naprawy w gospodzie.

Kalin Wernadź, żupan Zatonia, zdawał się być bardziej zdziwiony niż wstrząśnięty brutalnym atakiem na Newena. Raz po raz wypytywał Stojka, jak wyglądali rozbójnicy, tak jakby znał ich osobiście. Nie mógł też uwierzyć słowom wojskiego, który zarzekał się, że napastnicy mówili między sobą po hemarsku. W końcu w towarzystwie uzbrojonych po zęby trzech hemarskich najemników żupan Zatonia wyruszył do lasu, by zbadać ślady ataku. Wojski zaczął podejrzewać, że spokój na drogach zatońskiego okręgu był rezultatem jakiś układów Kalina z rozbójnikami. Podejrzenia Stojka były tym silniejsze, im bardziej żupan upierał się, by nikt oprócz najemników nie towarzyszył mu w wyprawie.

Minęły już cztery dni, odkąd Kalin wyruszył śladem rozbójników. Od czasu przyjazdu z Lobardii młody Wernadź nigdy nie spędził w zatońskich lasach więcej niż jedną, najwyżej dwie noce. Stojko wiedział, że dawno już powinien zacząć się martwić o Kalina. Minionego wieczoru obiecał sobie nawet, że z samego rana wyśle pięć wojów na poszukiwanie zaginionego żupana. Zbliżało się południe i wojski w natłoku obowiązków zupełnie zapomniał o wieczornym postanowieniu. Zresztą wszyscy mieszkańcy Zatonia zdawali się unikać tematu nieobecności młodego Wernadzia i jego hemarskich najemników. Stojko nie dziwił się temu zbyt – bez marudnego, chimerycznego Kalina dni na zatońskim dworze mijały spokojnie i cicho, dokładnie tak jak za czasów Pera Wernadzia, starego żupana. Wojski szczególnie cieszył się ciszą. Regularnie nabawiał się bólów głowy od wysłuchiwania komponowanych przez panicza pieśni. *Może Kalin na dobre przepadnie w tych lasach?* – marzył stary wojski.

Nawet Elia, osobisty medyk i sekretarz żupana, zdawał się szczęśliwszy i bardziej rozmowny. Elia, rodowity Hemarczyk, przybył do Zatonia wraz ze świtą młodego Wernadzia. Zwykle osobisty sekretarz Kalina przebywał w komnatach pracodawcy, spisując wniosłe idee i szeroko zakrojone plany żupana. Teraz, wolny od uciążliwych obowiązków, spędzał większość dnia w kancelarii, zagadując do Stojka znad ksiąg, które studiował. Wojski z zaskoczeniem odkrył, że cichy i łagodny Hemarczyk był uczonym o bardzo szerokich zainteresowaniach – nie tylko medykiem, ale również matematykiem i wynalazcą. Odkąd przybył do Zatonia, zaczął współpracować z jednym z miejscowych kowali, pracując nad udoskonaleniem narzędzi do uprawy ziemi. Często również odwiedzał zielarki,

interesując się uprawą różnych roślin i ziołolecznictwem. Od kowali i zielarek Elia nauczył się podstaw daborskiego.

– Tak nie może zrobić. – Siedzący przy zawalonym dokumentami biurku lekarz przerwał rozmyślenia Stojka.

– Tak nie można zrobić. – Stojko odruchowo poprawił kulawą gramatykę Hemarczyka. – Jak nie można zrobić? – zapytał bardziej z uprzejmości niż z rzeczywistego zainteresowania.

– Nie można w Zatonie robić wino. – Uczony stuknął chudym palcem w rozłożone na biurku książki. – Jest za zimno.

– No i chwała bogom – odparł Stojko. – Jeszcze tego brakowało, żeby nam Kalin wino razem z tym, psiajucha, klosterem wciskał. – Wojski rozsiadł się na stołku i sięgnął po gliniany garniec. – Piwka? – zapytał uczonego.

– Kloster to nie dobry, ale wino dobre. Piwo też dobre. Ale met najdobrejszy.

– Najlepszy to jest miód – odruchowo poprawił Stojko.

Elia kiwnął głową na zgodę, łyknął z glinianego kubka i powrócił do pracy. Wojski w milczeniu patrzył na trzymane w dłoni naczynie. Przypomniawszy sobie ostatnią noc spędzoną w gospodzie z Newenem.

– Mieliśmy razem przywieźć miodu od Sawków!

Elia podniósł wzrok i spojrzał na posmutniałego nagle Stojka. Poglaskał długą brodę szczupłą dłonią. W jego łagodnych, ciemnych oczach malowała się troska.

– Smutno, że on umarł – powiedział Hemarczyk. – Był bardzo miły.

– To prawda... – zgodził się Stojko. – Zagadał zawsze, poradził...

– Zawsze pytał moja pracę... – Elia dołączył się do wspominek. – Mieli się spotkać, pić miód...

– Newen? – zdziwił się wojski. – Pytał o twoją pracę?

– Tak. – Elia uśmiechnął się znad papierów. – Zawsze pytał o moją pracę. Pytał jak idzie, jak zdrowie. Był bardzo miły. Raz pomógł z listę od Herr Kalin. Powiedział, że iść do Gaj, do siostry. I dobrze powiedział, siostry bardzo pomogły. Powiedziały, jak truć drzewa.

– Truć drzewa?! – Stojko patrzył na Hemarczyka zadziwiony. – Chyba leczyć drzewa?

– Nie leczyć. Truć. Zabić. Herr Kalin chce wiedzieć, jak truć drzewa. Mam na moja listę. – Elia zaczął przeszukiwać biurko. – Mam tutaj.

Stojko cierpliwie czekał, aż Hemarczyk znajdzie swoją listę. *Truć drzewa...* – pomyślał z obrzydzeniem, wspominając Kalina Wernadzia i jego ambitne plany dla Zatonii. – *Jeśli ten chłopak wróci, to sam go własnoręcznie uduszę!*



Brodaty medyk znalazł w końcu woskową tabliczkę i tryumfalnie pokazał wojskiemu spisana po hemarsku listę. Stojko spojrział bez zrozumienia na wyskrobane w wosku znaki.

– To lista Kalina? Co tu jest napisane? – zapytał.

– Różne rzeczy – odparł Elia, pokazując chudym palcem rzędy znaków. – Tu masz „truć drzewa”, tu „tani pergamin”, a tu „robić wino”...

– To wszystko są pomysły Kalina? – dopytywał się Stojko. – A po co mu trucie drzew?

– Hmm... nie wiem. Herr kazał wymyślić. – Hemarczyk wzruszył ramionami. – Wiesz, to jest interesująca sprawa. Niełatwo truć drzewo. Siostry mówią, że drzewo się broni i umie leczyć siebie. Pokażę ci! – Elia podniósł się ze stołka i z zapalem zaczął przeszukiwać półki. – Mam tu gdzieś...

*Biedny chłop...* – pomyślał Stojko, patrząc na drobnego Hemarczyka ze współczuciem. – *Taki uczony i taki niemądry. Kalin jak nic chce Świąty Gaj wytruć, a ten do zielarek poszedł pytać, jak to zrobić. Bogowie...*

– Zostaw to, Elia, nieważne – powiedział wojski do przeszukującego półki Hemarczyka. – Siadaj tu lepiej, napij się, pogadajmy. Powiedz mi, chłopie, jak ty w ogóle z tym naszym Kalinem się spiknąłeś? Długi u niego masz czy jak?

– Nie długi! – obruszył się Elia. – Chciałem podróżować. Ale w Hemar to niełatwo. W Hemar jak jesteś urodzony w wioska, to zostajesz w wioska. Jak w miasto, to w miasto. Jak jesteś kupiec albo woj, albo muzyk, to podróżujesz. A jak nie, to siedzisz całe życie, gdzie urodzony jesteś. Herr Kalin szukał medyk, to od razu z nim poszedłem.

– Poszedłem – poprawił odruchowo Stojko. – A to jakieś prawo przeciwko podróżowaniu tam mają? Trzymają ludzi siłą czy jak?

– Nie trzymają siłą. Tam ziemia jest... – Hemarczyk podrapał się po głowie, szukając odpowiedniego słowa. – Edelmann...

– Moźnowładców? – podpowiedział wojski.

– Tak, moźnowładców. – Elia kiwnął głową, powtarzając trudne słowo. – Nie możesz zbudować domu, gdzie chcesz. Moźnowładca daje ci ziemię. Za to musisz pracować na jego pole.

– Musisz pracować na polu żupana?! – Stojko aż wytrzeszczył oczy ze zdziwienia. – To kto uprawia twoje pole?

– Ty – cierpliwie tłumaczył Elia. – Pracujesz jeden albo dwa dni u jego, a reszta u ciebie.

– Kto by pomyślał... – Wojski dolał piwa, kręcąc głową w zdumieniu. – A to ludziska się nie buntują?

– Czasem się buntują – odparł Hemarczyk. – Wtedy możnowładca wóci wysyła. Łapią buntownicy i potem jest pokój. Herr Kalin chce tak też zrobić. Kazał mi prawo napisać i takiego uczonego ze Sławy też pytał.

– Kalin chce wojów na Zatonie wysyłać?! – oburzył się Stojko. – Żeby mu ludziska na polu za darmo pracowali?! Co on na głowę upadł?! Przecież mu nikt takiego prawa nie uchwali!

– Ja nie wiem... – Elia nie wydawał się zbytnio przejęty oburzeniem kompana. – Pisałem z tym uczonego ze Sławy, myśleliśmy, jak można takie prawo zrobić. Wiesz, to jest interesująca sprawa. Jak nie ma Witia, to nie ma kto prawa robić. Więc pomyśleliśmy, że można wybrać Witia, żeby zrobiła tutaj tak jak w Hemar. Bardzo sprytne, prawda?

– Wybrać Witie?! – Wzburzony Stojko uderzył kubkiem o blat biurka.

Piwo rozlało się na rozłożone księgi i tabliczki. Elia rzucił się, by ratować dokumenty. Stojko poderwał się ze stołka, czerwony na twarzy. *Zabiję skurwysyna!* – przemknęło mu przez myśl. – *Gołymi rękami ukatrupię!* Z mordem w oczach ruszył ku pochylonemu nad biurkiem Elii. Niespodziewanie usłyszał głos Witii. *Bądź moimi oczami. Bądź moimi uszami. Czekaj na znak.* Zamrugął kilkakrotnie i potrząsnął głową, zdziwiony. Rozluźnił mięśnie i zmusił się do spokojnego oddychania.

– Przepraszam – powiedział normalnym już głosem.

– Zobacz... – Elia, z miną skrzywdzonego szczenięcia, bezradnie załamał ręce nad zachlapanymi księgami. – Tak nie można. To księgi... To ważne...

– Elia, przepraszam. – Stojko zaczął wycierać piwo rękawem koszuli. – Tak się uniosłem, bo u nas Witia to jak, nie przymierzając... jak... – Wojski zawahał się, nie znajdując odpowiedniego porównania.

– Wiem, wiem... – machnął ręką Elia. – Witia to jak nasz Papst, ojciec święty. Ale Papst jest wybierany... To czemu nie Witia?

Stojko zamknął oczy, starając się opanować gniew. *Jak go zaciukasz, to kto ci będzie o planach Kalina opowiadał?* – powiedział sobie w myślach. Spokojniejszy, otworzył oczy, przetaił kilka kart rękawem i poklepał Hemarczyka po plecach.

– No i zobacz, śladu nie ma – powiedział pogodnym tonem.

Elia już otwierał usta w odpowiedzi, gdy w izbie rozległo się nieśmiałe pukanie. Obaj mężczyźni spojrzeli na solidne drewniane drzwi.

– Wchodź! – donośnie zawołał Stojko.

Drzwi uchyliły się, ukazując chłopaka, ubranego w prostą koszulę i upstrzony źdźbłami siana półkożuszek.

– Wybaczenia proszę, panie wojski – wyjąkał chłopak, pochylając głowę w głębokim ukłonie. – Mistrz Radzim kazał powiedzieć, żeby was do głównej bramy sprowadzić...

Krzaczaste brwi wojskiego uniosły się w wyrazie zdziwienia. Jeszcze tego ranka widział się z Radzikiem, mistrzem zatońskiego szyku. *Napaść jakaś czy coś?* – zastanawiał się z niepokojem. Otrzepał poplamione piwem rękawy, skinął głową Elii i pospiesznie skierował się ku wyjściu.

– A ty co tak sterczysz? – rzucił do wciąż stojącego w drzwiach chłopaka. – Do roboty wracaj!

Wyrostek ukłonił się z szacunkiem i pobiegł korytarzem, tupiąc bosymi stopami po drewnianej podłodze. Stojko szybkim krokiem podążył śladami chłopaka.

Dziedziniec przed dworem Wernadzi był opustoszały. Dwóch patrolujących wały wartowników skłoniło głowy, pozdrawiając wojskiego. Stojko przyjrzał się ułożonym równo na stojakach łukom i drewnianym ćwiczebnym mieczom. *Szyk może i przetrzebiony, ale wiara wyszkolona porządnie* – pomyślał z zadowoleniem. Przeszedł przez wrota wewnętrznych wałów, kierując się ku głównej bramie Zatonia. Zdziwił się na widok zgromadzonego tam tłumu ludzi. O tej porze większość mieszkańców pracowała na polach, ale w grodzie zostawało zwykle przynajmniej kilkanaście matek z małymi dziećmi. Wszystkie kobiety i dzieci wraz z kilkunastoma wojami tłoczyły się teraz przy bramie. Stojko przyspieszył kroku.

– Co się tu dzieje?! – zagrzemiał.

Mieszkańcy Zatonia z szacunkiem rozstąpili się przed jednookim mężczyzną. W bramie na szeroko rozstawionych nogach, blokując drogę włóczniami stało trzech groźnie wyglądających wojów. Mężowie rozsunęli się, pozwalając wojskiemu przejść przez wrota.

– Stojko. – Barczysty mąż w sile wieku pozdrowił wojskiego.

– Radzimie. – Stojko kłonił głowę przed mistrzem Zatońskiego Szyku. – Co tu się dzieje?

Radzim w milczeniu usunął się na bok, dłonią pokazując skulonego na ziemi, ubranego w łachmany jasnowłosego mężczyznę. Tłustawe ramiona męża trzęsły się w cichym szlochu.

– Wpuście mnie... – lamentował obdarty mężczyzna. – Zgubiłem dworek...

– Kalin? – Stojko rozpoznał łamiący się głos.

Małomówny Radzim skinął głową, potwierdzając przypuszczenia wojskiego.

– Toż widać, że na głowę chory! – krzyknęła jedna z kobiet zza bramy.

– Jeszcze nam dziecka pozaraża! – dołączył się drugi głos.

– Bogom ubliżał, to teraz ma za swoje! – oburzyła się inna kobieta.

Szlochający Kalin uniósł głowę i w błagalnym geście wyciągnął ramiona ku wojskiemu.

– Stojko! Przyjacielu! Powiedz im! Niech mnie wpuszczą! Wojów trzeba szykować! Do lasu ruszać! Trzeba nam znaleźć dworek! I Alwinę... – Tu Kalin załamał ręce i wybuchnął głośnym płaczem. – Zgubiłem dworek... Alwina... moja miłość...

– Zgubił dworek? – Stojko nie był pewny, czy dobrze zrozumiał bełkot żupana.

– Aha – potwierdził Radzim rzeczowo. – Podobno wylazł z lasu taki obdarty i nic tylko gada o tym, żeby szukać dworku. I jeszcze jakiejś baby. Podobno w odwiedziny ze Sławy przyjeżdżała.

– Ze Sławy? – Stojko zmęczonym gestem przetarł twarz. – Widzieliście jakąś babę podróżującą ze Sławy?

– Też się pytałem – odparł mistrz szyku. – Od czasu muzykantów żadna baba rzeką nie przybyła. Na trakcie cisza. Patrolujemy codziennie, coś by chłopcy zobaczyli. Jakiś wóz podobno jechał tydzień temu. Ale to do Sławy.

– To moja wina... – jęczał Kalin. – Za niewierność... Zgubiłem... zgubiłem dworek...

Stojko z obrzydzeniem patrzył na zasmarkaną, wykrzywioną twarz młodego Wernadzia.

– A ci jego Hemarczycy gdzie? – zapytał Radzima.

Małomówny mistrz tylko wzruszył ramionami i rozłożył ręce. *Pewnie się w lasach, sieroty, pogubili...* – pomyślał Stojko.

– No nic – rzekł w końcu. – Widać Kalin zgubił się w lesie i coś mu się na rozum rzuciło. Trzeba go za bramą trzymać i sprowadzić zielarki. Sprawdzić, czy to dla ludzi groźne, czy nie.

Radzim skinął głową, zadowolony z rozkazów.

– Zielarki sprowadzić! – zakomenderował donośnym głosem. – Żupan na głowę chory!

Z tłumu zatończyków rozległ się zadowolony pomruk. Kalin, zbyt pogrążony w rozpacz, by zwracać uwagę na cokolwiek, szlochał rozpaczliwie, błagając Alwinę o wybaczenie.

# KOZDZIAŁ II

*Samotna jest droga Witii.*

Przypisywane Stence, pierwszej Witii Daboru

Pierwszy dzień w Sławie był torturą. Po przejściu przez zatłoczoną dzielnicę portową Saja była roztrzęsiona, oblana zimnym potem i z trudem powstrzymywała się od szlochu. Dar Witii, zapewne niezmiernie przydatny w rozmowach z pojedynczymi osobami, okazał się przekleństwem w tłumie ludzi. Stolica roiła się od uciekinierów z zachodu i prawie każda mijana osoba dotknięta była piętnem wojny. Jak w koszmarnym śnie Saja otoczona była widmami potwornie pokaleczonych twarzy, wykrzywionych bólem, strachem, rozpaczą czy gniewem. Wyczulone zmysły dziewczyny podsuwały jej obrazy cierpienia zrodzonego nie tylko z wojny, ale również ze zwykłego ludzkiego okrucieństwa czy chciwości. Do niedawna otoczona miłością rodzinnego domu, wciąż jeszcze przekonana, że ludzie są mili i pomocni, nie mogła zrozumieć koszmarów, na które patrzyła na ulicach Sławy. *Po co komu ta wojna?* – zastanawiała się odrętwiała, patrząc na przelewające się przed jej oczami tłumy uciekinierów. Matka próbowała ją uspokajać i pocieszać. Babka zapewniała, że można się do tego przyzwyczaić. Saja, nie mogąc dłużej znieść nieustannego hałasu, zamknęła umysł przed przodkiniami.

Miro, skupiony na przeprowadzaniu wozu przez zatłoczone ulice, nie zwracał uwagi na wzburzenie Sai. Dziewczyna co jakiś czas spoglądała na opiekuna. Pomimo wysiłków nie mogła dostrzec żadnych demonów chowających się pod jego skórą. *Może on to lepiej ukrywa?* – zastanawiała się. – *A może się po prostu przyzwyczaił... Może Wena ma rację? Może ja też się przyzwyczaję? Z nową determinacją Saja zmusiła się, by wyszukiwać w tłumie dotknięte piętnem cierpienia twarze. Wdowy, sieroty, głodnych, bezdomnych ludzi. Młoda Witia przyglądała się każdemu, starając się pojąć, zrozumieć, przyzwyczaić. Bezskutecznie. W końcu nie mogła już dłużej znieść koszmarnych wizji. Wtuliła twarz w kudłate futro Skry i zamknęła oczy, zrezygnowana. *Jestem beznadziejna... Nie nadaję się na Witię...* – myślała.*

Podniosła głowę, dopiero kiedy zatrzymali się w gospodzie Pod Drewnianą Nogą. Roch i Jowana, właściciele karczmy, byli przemili, a ukryta za plecami Mira Saja z łatwością uniknęła patrzenia w ich twarze. Karczmarz przeznaczył dla nich całkiem sporą izbę i nawet nie mrugnął okiem na widok nieprzytomnego wilka. Po rozładowaniu wozu Saja z ulgą zamknęła się w łaźni i spędziła tam resztę popołudnia. Cisza, blask rozgrzanych węgli i formujące się na drewnianych ścianach krople wody pomagały ukoić nerwy. Wieczorem, kiedy w końcu odświeżona, w czystym ubraniu zasiadała do ciepłego posiłku, czuła się prawie normalnie. Tylko ćmiący ból głowy przypominał jej o darze Witii.

Miro gdzieś zniknął. Zielarka czuwała przy Skrze. Saja została sama w towarzystwie Miły, Rawy, ich dzieci i przyjaciół – olbrzyma Bogusza i Piasta, syna wojskiego z Zatonia. Rozmowa z towarzyszami nie kleiła się. Bogusz żartował i opowiadał śmieszne historie z życia muzykantów. Saja słuchała go jednym uchem. Nie mogła oderwać wzroku od Piasta. Choć nigdy go nie spotkała, miała wrażenie, że zna go od zawsze. Uczyniła chrzesnego z jego ojca, Stojka. Aby tego dokonać, musiała przeszukać całą pamięć wojskiego Zatonia. Zobaczyć, ocenić i zmienić rzeczy, które były dla niego ważne. To tam, we wspomnieniach Stojka, Saja poznała Piasta. Pamiętała jego życie w Zatoniu. Od zaciśniętych niemowlęcych piąstek po niewprawnie skrywane przed rodzicami pierwsze miłości. Od niezdarnych pierwszych kroków po naukę polowania i walki. Znała Piasta lepiej niż ktokolwiek. Prawdopodobnie lepiej niż on sam.

Od czasu ostatnich odwiedzin w Zatoniu Piast schudł i zmizerniał. Jego zwykle rumiane, zaokrąglone policzki były teraz blade i zapadnięte. Pulchne dłonie stały się żyłaste i wychudzone. Choć najwyraźniej zakochany był po uszy w pięknej Rawie, wydawał się bardziej zmartwiony niż szczęśliwy. W jego zwykle pogodnym, otwartym spojrzeniu czaił się niepokój. Saja nie musiała używać daru Witii, aby widzieć, że Piast miał poważne problemy. Problemy, które starannie ukrywał przed całym światem.

Przez chwilę rozważała, czy nie przywołać przodkiń, aby pomogły jej dowiedzieć się, co gnębi syna Stojka. Była przekonana, że mężczyzna ukrywa coś bardzo ważnego. Wiedziała, że powinna to zbadać. Poczucie obowiązku walczyło przez chwilę ze zmęczeniem. Ćmiący ból głowy zaczął pulsować niepokojąco na samo wspomnienie głosów przodkiń wypełniających jej myśli. *Zajmę się tym jutro* – zdecydowała w końcu. Była zbyt wyczerpana, aby przejmować się czymkolwiek.

Zrezygnowana spuściła wzrok i zapatrzyła się w ściemniałe drewno stołu. Za plecami słyszała gwar rozmów i śmiechy rozbawionych gości. Nie odważyła się spojrzeć przez ramię. Doskonale pamiętała czasy, kiedy wraz z rodzicami spędzała

wieczory w gospodzie w Gniewie. Pamiętała, jak bardzo cieszyły ją pogawędki z mieszkańcami wioski, poznawanie nowych ludzi, słuchanie historii opowiadanych przez podróżujących kupców. Teraz, z rosnącym w siłę darem Witii, zbyt obawiała się strasznych wizji, by odważyć się spojrzeć w twarze bawiących się za jej plecami gości. *Czy kiedyś się do tego przyzwyczaję?* – zastanawiała się ponuro. – *Czy kiedyś jeszcze będę miała przyjaciół?*

Pomimo starań towarzyszy wieczerzy Saja pochmurniała coraz bardziej. Próbowwała rozmawiać z Janą, najstarszą córką Miły. Jeszcze kilka miesięcy temu pochłonęłaby ją rozmowa o dziewczęcych sprawach, teraz lalki, problemy z młodszym rodzeństwem czy chłopcami wydawały się nudne. Nie rozumiała, jak można przejmować się czymś tak banalnym, kiedy dookoła toczyła się wojna i umierali ludzie. Jak można cieszyć się cokolwiek, kiedy świat wypełniony był wszechogarniającym cierpieniem. W końcu zrezygnowała i zamilkła. *Czy już zawsze będę smutna?* – zastanawiała się, wbijając pusty wzrok w zaciśnięte, pokryte odmrożeniami dłonie. – *Smutna i samotna? Czy to właśnie jest życie Witii?*

Towarzysze wieczerzy w końcu przestali do niej zagadywać. Rozmawiali pomiędzy sobą, rozważając plany przyszłych występów, żartując, śmiejąc się i zagadując do siedzących przy sąsiednich stołach gości. Saja przysłuchiwała się tym rozmowom w milczeniu, ze spuszczoną głową i coraz bardziej ponurą miną. Była Witią. Ze wspomnień babki wiedziała, że w życiu Witii nie było miejsca na przyjaciół, tańce w gospodzie czy występy muzykantów. Za kilka dni wyruszała na Wyspy Trogen, by spróbować skłonić Żeglarzy do utrzymania pokoju z Daborem. Jej zadaniem było zakończyć wojnę. Jej zadaniem były rozmowy z przodkiniami, negocjacje z ambasadorami czy planowanie strategii z dowódcami sił zbrojnych Daboru. Już zawsze towarzyszyć jej będą przyboczne, korowi i zielarki. Wszyscy będą nazywali ją „pani”. Nikt nie odważy się z nią żartować. Oprócz ducha matki w Zaświatach nikt już nigdy jej nie pocałuje i nie przytuli. Tak jak jej babka Wena, do końca swoich dni będzie samotna i smutna. *Co one mi zrobiły?* – zastanawiała się z narastającą złością. – *Czemu się na to zgodziłam?*

Wydawało się, że to było tak dawno temu, kiedy znalazła się w zaświatach po raz pierwszy. Jedyne, czego wtedy chciała, to przytulić się do mamy i rozpuścić we mgle. Jednak matka nie pozwoliła jej na to. Zrobiła z niej Witię. *Powiedziała, że tak będzie lepiej* – wspominała Saja z goryczą. – *Wiedziała, co oznacza bycie Witią i powiedziała, że tak będzie lepiej.* Jej własna matka skazała ją na puste, samotne życie przywódczyni Daboru. *Czemu?*

Saja podniosła głowę. Dotknęła schowanego w dłoni oczka Pierścienia Łez. W tej chwili gorąco nienawidziła symbolu władzy Witii. Czuła się oszukana. Czuła

się zdradzona i wykorzystana. Z narastającą złością obserwowała rozbawione dzieci Rawy i Miły. Roześmiane dziecięce buzie i całowane przez matki policzki. Szczęście malujące się na piegowatych twarzach. Pomimo wojny i wygnania Rawa i Miła zdołały ochronić swoje dzieci przed cierpieniem. *Czemu mnie nikt nie ochronił?* – zastanawiała się. Jeszcze kilka miesięcy temu to ona siedziała na kolanach matki. To jej policzki były całowane. A teraz czuła się taka samotna i pusta. Też chciała być przytulana. Tu i teraz. Nie gdzieś tam, w zaświatach. Zżerała ją złość i zazdrość. Cichutki głosik w duszy szeptał, że dzieci Rawy i Miły nie powinny być szczęśliwe. Jej umysł na nowo wypełnił się wizjami cierpień, które widziała w oczach uciekinierów z pogrążonego w wojnie zachodu. Wobec okrucieństw zadawanych rękami lobardzkich żołnierzy szczęście zgromadzonych wokół stołu biesiadników wydawało się wręcz nie na miejscu. Wydawało się niesprawiedliwe, żeby ktokolwiek mógł cieszyć się, kiedy inni cierpią tak bardzo. *Kiedy ja cierpię tak bardzo.*

Przez pogrążony w żalu umysł Sai przemknęła kolejna wizja. Jej dłoń zaciśnięta na rękojeści noża. Lśniące ostrze w kilku krótkich uderzeniach ścierające uśmiechy z pięknych twarzy dzieci i matek. Cichutki głosik w jej duszy podpowiadał, że to byłoby właściwe. Że wtedy wszyscy cierpieliby tak jak ona. Kątem oka zobaczyła swoją dłoń, bezwiednie sięgającą do zawieszzonego u pasa noża.

– Nie! – wykrzyknęła przerażona.

Spojrzenia towarzyszy wieczerzy wbiły się w nią pytająco. Saja zaciskała dłonie na brzegu ławy. Zawstydzona uwagą biesiadników, próbowała znaleźć w otępiałym umyśle jakieś wytłumaczenie dla swojego wybuchu. Nie mogła przecież powiedzieć prawdy. Kto uwierzyłby, że zatruli ją wojna? Że zdradziła ją jej własna matka? Że została zmuszona, aby oddać własne życie za przyszłość Daboru. Że głowę wypełnioną ma wspomnieniami martwych kobiet i że te wspomnienia są jednym życiem, jakiego kiedykolwiek doświadczy.

– Saja, kochanie... – zaczęła Miła.

*Miła* – pomyślała Saja z pogardą. – *Co ona może wiedzieć?* Miła była tylko zwykłą, szeregową kobietą Drewian. W głowie miała zaledwie jedną przodkinię. Miała siostrę, miała dzieci. Może i straciła męża i dom, ale co to było w porównaniu ze stratą, jakiej doznała Saja. W porównaniu z Sają Miła miała szczęśliwe życie. Miała przyszłość. Jak taka zwykła, szeregową kobietą Drewian mogła zrozumieć cierpienie Witii?

– Saja... – Miła wyciągnęła ku niej dłoń.

Saja nie chciała tego słuchać. W gniewie uderzyła pięścią w stół, wstała i bez słowa wybiegła z izby. Wypełniało ją zbyt wiele emocji. Smutek, samotność, złość,



rozczarowanie. Zazdrościła sierotom i wdowom tak bardzo, że o mało ich nie zabiła. *Czy jestem złym człowiekiem?*

Pobiegła do stajni. Wcisnęła się w ką. Skuliła się na miękkim sianie, obejmując kolana ramionami. Łzy spływały po jej policzkach, wsiąkając w rękawy czystej, lnianej koszuli. Pomimo świeżego ubrania Saja czuła się brudna, skalana, zła, jakby wizje sprowadzone na nią wraz z darem Witii zaraziły ją nieuleczalną chorobą wojny. *Co one mi zrobiły?* Zawsze myślała, że jest dobrą dziewczynką. Tak jak uczyła ją matka i zielarki, troszczyła się o ludzi i zwierzęta. O drzewa i ziemię. Szanowała bogów i ich prawa. Pomimo tego już raz zabiła z zimną krwią. Przed chwilą, pogrążona w smutku, samotności, złości i zazdrości, prawie zabiła po raz drugi. *Czy jestem złym człowiekiem?* – Pytanie bez odpowiedzi odbijało się od jej wzburzonych myśli.

– *Śliczna panienska dobra* – usłyszała szepty rusalek. – *Śliczna panienska miła.*

Wraz z zimnymi szeptami nadeszła ciepła fala złotych wspomnień. Mama tkająca dla niej krajkę. Mama całująca ją na dobranoc. Mama...

– *Mama kocha. Bardzo kocha...*

Saja poddała się zimnym szeptom. Zamknęła oczy i wcisnęła się jeszcze głębiej w wymoszczony sianem ką. Wpatrzona w ciemność pod zamkniętymi powiekami, przyglądała się wspomnieniom matki. Dziesiątki razy odtwarzała w głowie zapamiętane przez Lidę chwile szczęścia. Gonitwy po domu, łaskotanie, przytulanie, pocałunki matki. Poranki spędzane wokół stołu, ze śmiechem i żartami. W złotej fali obrazów chciała odnaleźć siebie z czasów, kiedy potrafiła się śmiać. Kiedy nie znała wojny. Kiedy miała marzenia. Kiedy była dobra.

– Saja! Saja! – usłyszała dobiegający z podwórza głos jednej z bliźniaczek.

*Zaraz mnie znajdą...* – pomyślała z niechęcią. Wcisnęła się głębiej w ciemny ką stajni. Nie chciała wracać do gospody. Nie chciała tłumaczyć się ze swojego wybuchu. Chciała być sama ze wspomnieniami. Złoty nektar koił jej ból. W tej chwili nie obchodziło jej, że jest ważna dla Sławy, Daboru czy czegokolwiek innego.

– Saja! Gdzie jesteś?! – dobiegało z podwórza.

*Dajcie mi spokój...* – pomyślała gniewnie. – *Zostawcie mnie!* Otworzyła oczy i spojrzała ku drzwiom stajni. Przez szpary w luźno skleconych deskach dostrzegła poruszające się na zewnątrz cienie postaci. Oparła się o ścianę, przysypała sianem i wślizgnęła do zaświatów. *Tam mnie nikt nie znajdzie.*

Rusałki otaczały ją kręgiem szumiących skrzydeł. W złożonych dłoniach niosły złote krople gęstego nektaru Drzewa Wspomnień. W pięknych haftowanych sukienkach wyglądały jak niewinne dziewczynki. Ich ostre zęby schowane były w drobnych dziecięcych ustach. Jedyne pazury wskazywały na to, jak krwiożercze potrafiły być te pozornie słodkie stworzenia. Nektar Drzewa Wspomnień sycił ich głód. Nektar Drzewa koił ich gniew. Nektar wypełniał samotność Sai.

*Czy zmieniłam się w rusałkę?* – Przerazająca myśl pojawiła się w otumanionym wspomnieniami umyśle dziewczyny. W panice odepchnęła pochylające się nad nią rusałki. Z nagłym obrzydzeniem otrzepała złoty sok z palców. Spojrzała na swoje dłonie i odetchnęła z ulgą. Jej paznokcie wyglądały normalnie. *W porządku* – uspokoiła się. – *Jestem sobą.*

Podniosła się z ziemi bez słowa. Ponad głowami rusałek spojrzała na ogród. Rozchlapane na zielonej trawie krople wspomnień błyszczały w jasnym świetle słońca. Drzewo Wspomnień wznosiło się ponad kryształową tonię jeziora. Łuki tęczy zdobiły soczysty błękit nieba. Ciszę zaświatów przerywał tylko szum skrzydeł ogromnych, kolorowych motyli.

*Czy zły człowiek mógłby to stworzyć?*

Saja patrzyła na urzekające piękno ogrodu, jakby widziała je po raz pierwszy. *Nic tu nie jest prawdziwe...* – w budzącym się umyśle zakwitła niepokojąca myśl. Była władczynią zaświatów. Mogła tu stworzyć, cokolwiek chciała. Jak naiwna, mała dziewczynka stworzyła bezsensowną iluzję dziecięcych marzeń. Ten ogród udowadniał tylko, że jest głupia. Z pewnością nie był dowodem na to, że nie jest zła. *Sama siebie oszukuję...* – pomyślała z goryczą. Zupełnie już rozbudzona z odrętwienia, na nowo poczuła narastający smutek, gniew i samotność. W przypiływie złości odepchnęła niosące nektar rusałki.

– Nic tu, parchy, nie jest prawdziwe! – wykrzyknęła oskarżycielsko.

Rusałki rozpierzchły się, przestraszone. Saja rzuciła ku nim przelotne spojrzenie i bez słowa ruszyła ku wznoszącej się nieopodal replice rodzinnego domu. Z furią pchnęła kute drzwi i weszła do przestronnej izby.

– Śliczna panienska zła... – usłyszała zimną skargę zza otwartych drzwi.

– Śliczna panienska nie kocha...

– I co z tego?! – wykrzyknęła do rusałek i zatrzaskała drzwi. – Mnie też, parchy, nikt nie kocha!!!

Rozejrzała się po znajomej, ukochanej izbie. Tęsknota za domem niemal zbiła ją z nóg. Nie wiedziała już sama, kim jest. Dziewczynką? Witią? Morderczynią? Rusałką? Rozrywana wątpliwościami, chciała po prostu rozpląnąć się we mgle. Zostawić to wszystko i zasnąć. Nie mogła znaleźć w sobie siły, aby wyjść z

zaświatów. Nie mogła znaleźć siły, by tu pozostać. Tak bardzo chciała, aby ktoś powiedział jej, jak przejść przez życie, w którym czekało ją tylko morze smutku i samotności.

– Chcę do mamy – zaszlochała, padając na kolana.

Chciała, by matka po prostu przyszła. Chciała usłyszeć szelest jej sukni i poczuć matczyne ramiona, obejmujące ją czule. Chciała wtulić się w pierś matki i wypłakać swoje żale. Usłyszeć, że wszystko będzie dobrze.

Drgnęła, kiedy w pustej izbie rozległo się nerwowe pukanie do drzwi. *Muszę ją najpierw wpuścić* – uświadomiła sobie. Podniosła się z ziemi. Narastająca wściekłość szybko wypełniała miejsce smutku.

– Muszę ją, parchy, wpuścić!!! – wywrzeszczała, kopiąc nogę stołu.

Grube drewno rozpląnęło się przed jej stopą, wywołując jeszcze większy gniew.

– Chcę, żeby to się, parchy, roztrzaskało! – krzyknęła ze złością. – Czy, nęcia mać, nic tu nie może być normalne?!

Skupiła się na drzwiach i machnęła dłonią. Z zadowoleniem obserwowała grube kawałki drewna, roztrzaskujące się i wylatujące w powietrze. Jedna z wirujących w powietrzu desek przecięła na pół stojącą za drzwiami Wenę. Saja z uśmiechem tryumfu spojrzała ku zde gustowanej babce. Machnęła dłonią, rozwalając całą ścianę domu.

– Co tu się dzieje? – zapytała Wena surowo, uchylając się przed szybującym kawałkiem drewna.

– Saja, kochanie! – Lida biegła ku córce z wyciągniętymi ramionami. – Co się stało? Wyrzuciłaś mnie...

– Ahhhh!!! – ryknęła rozsierzdzona Saja, rozwalając dach. – Nie wyrzuciłam cię! Chciałam cię! – Kącik tkacki Lidy stanął w płomieniach pod wściekłym spojrzeniem dziewczyny. – A ty nie przyszłaś!

– Saja! Uspokój się! – krzyknęła Wena.

– Przecież przyszłam... – tłumaczyła Lida, próbując objąć rozsierzdzoną córkę. – Córeczko....

– Zostaw mnie! – wrzasnęła Saja, sama zaskoczona siłą swojego gniewu.

Machnęła dłonią, odpychając matkę. Szczupła sylwetka Lidy poszybowała w powietrzu i wylądowała miękko na trawie. Z jakiegoś powodu lekkość upadku matki zdenerwowała Saję jeszcze bardziej.

– Nic tu nie jest prawdziwe!!! – Młoda Witia zupełnie straciła kontrolę nad własnymi emocjami. – Co wyście ze mnie zrobiły?! Jakiegoś, parchy, potwora! – Podmuch wiatru rozniósł na strzępy stojące jeszcze ściany domu. – Zazdroszczę sierotom! Mało tych dzieciaków nie pozabijałam! – Wodospad zagotował się od

topiącej się pod jej wściekłym spojrzeniem skały. – Wszędzie widzę kłamstwa, parchy, i spiski! Gwałty! Morderstwa! Jakies przeklęte koszmary wojny! Ja mam dwanaście lat! Ja powinnam na potańcówki chodzić! Jak ja mam chłopaka pocałować, kiedy mu jakieś, parchy, widma z twarzy zieją?!

– Saja, na miłość bogów! – Wena próbowała uspokoić wnuczkę.

– Co na miłość bogów?! – Saja w mgnieniu oka znalazła się tuż przed oszołomioną babką. – Co na miłość, parchy, bogów?! – wykrzykiwała oskarżenia w twarz Weny. – To twoja wina! Ty byłaś Witią! Ty miałaś zatrzymać tę wojnę! Widziałam twoje myśli! Wiedziałaś doskonale, co się stanie z Daborem bez Witi! Ty miałaś wybrać następczynię! Trzeba było dupę ruszyć, jak jeszcze po tej, parchy, ziemi stąpałaś! Nie było nikogo lepszego niż ja?! Nie było?!!!

– Saja! – Lida stanęła w obronie matki. – Jak ty...

– Co, parchy, co??! – zapieniła się Saja. – Ty wcale nie jesteś lepsza! Miałaś mnie bronić! Jaka matka... – głos dziewczyny załamał się. – Co wyście ze mną zrobiły?!

Przez chwilę panowała cisza. Wena, zaciskając usta, wpatrywała się we wnuczkę z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Lida drgnęła, jakby chciała objąć córkę. *Przytul mnie, proszę, przytul mnie* – modlił się cichutki głosik, zagubiony w zamęcie gniewu Sai. – *Jest mi tak źle, proszę, po prostu mnie przytul.* Lida, obawiając się następnego wybuchu dziewczyny, pozostała w miejscu.

– Nikt mnie nie rozumie! – zaszlochała Saja, obracając się plecami do matki.

Podmuch wiatru zawirował wokół niej, tworząc nieprzeniknioną barierę białej mgły. Dziewczyna opadła na kolana i rozplakała się. Sama nie była pewna, czy płacze z gniewu, ze smutku czy z samotności. Trwała tak, zamknięta w kokonie kłębiącej się mgły. Wzburzenie powoli ustępowało zawstydzeniu. *Bogowie* – pomyślała w końcu, chowając twarz w dłoniach. – *Co ja narobiłam?...*

– Lepiej? – odezwał się zachrypnięty głos.

Dziewczyna podniosła wzrok, zdziwiona. W tumanie mgły, niewzruszona, stała zielarka Olena.

– Nie. – Saja machnęła dłonią, by odepchnąć nieproszonego gościa.

Ku ogromnemu zdziwieniu dziewczyny silny podmuch wiatru rozstąpił się wokół sylwetki starszej kobiety, nie poruszając nawet włosa na zupełnie siwej głowie.

– Uparta jesteś, dziewczyno – powiedziała zielarka z rozbawieniem. – Jeszcze bardziej niż twoja babka.

– Zostaw mnie – burknęła Saja i odwróciła się plecami do przodkini. – Nie chcę z nikiem gadać.

– Wiem, że nie chcesz... I wiem, że chcesz – odparła Olena, przysiadając na ziemi. – Posiedzę sobie tutaj, na wypadek gdybyś się zdecydowała.

Saja uśmiechnęła się mimowolnie. Spojrzała ku zielarce kątem oka.

– Zrobiłam z siebie pośmiewisko, prawda? – zapytała po chwili milczenia.

– Bardziej stypę niż pośmiewisko – odpowiedziała Olena. – Nikomu nie jest do śmiechu. Nikt tu jeszcze nie widział Witii rozwalającej zaświaty na kawałki.

Saja zacisnęła usta i wpatrywała się przez chwilę w wirujące tumany mgły.

– Nie nadaję się na Witię. Jestem za młoda... – powiedziała w końcu zmęczonym głosem.

– To prawda – zgodziła się zielarka.

– To prawda? – Saja spojrzała na starszą kobietę zdziwiona.

– Aha – odpowiedziała pogodnym tonem Olena. – To prawda. Nie nadajesz się na Witię, bo jesteś za młoda. Ale co zrobić? Tak się kości ułożyły, takimi kościmi trzeba grać.

– Nie możecie znaleźć kogoś innego? – zapytała zapatrzona w mgłę dziewczyna.

– Nie – odparła zielarka spokojnie. – Jesteś jedyną żyjącą kobietą z rodu Drewian, która jako tako się nadaje na Witię. No i jedyną, która chce...

– Jak to chce? – zaskoczona Saja znów spojrzała ku Olenie. – Ja nie chcę!

– To zdejmij Pierścień. Odrzuć Błogosławieństwo.

Młoda Witia podniosła dłoń, przyglądając się z ciekawością Pierścieniowi Łez.

– To wszystko? I już nie będę Witią? – dopytywała się.

– Aha – pogodnie przytaknęła staruszka.

– I co wtedy? Co się ze mną stanie?

– Wyrzuci cię z zaświatów.

– Ale będę żyła?

– Tak.

– Będę mogła widzieć się z moją mamą?

– Widzieć? Nie. – Olena poprawiła spódnicę i usadziła się wygodniej na ziemi. – Będziesz mogła z nią rozmawiać. Ale nie będziesz mogła wejść do zaświatów.

– A jak umrę? – zapytała Saja, wciąż przyglądając się Pierścieniowi Łez.

– Jak umrzesz, to tu wrócisz.

– I będę mogła widzieć się z mamą?

– Nie wiem... – Olena zamyśliła się na chwilę. – Nie mamy tutaj dzieci. Zwykle młode dziewczynki są zbyt słabe, żeby utrzymać się tu w materialnej formie. Przychodzą, przytulają się do mam albo innych krewnych i rozplwają. Chociaż ty jesteś silna, to może być, że będziesz potrafiła się tu utrzymać... Przynajmniej przez jakiś czas.

*Przez jakiś czas – pomyślała Saja. – To lepsze niż nic.*

– A... a co się stanie z Daborem? – zapytała na głos.

– Hm... Dabor... – odparła zielarka. – Dabor będzie trwał przez jakiś czas, a potem umrze. Potem nasi bogowie odejdą w zapomnienie i to będzie tyle.

– I co? – dopytywała się Saja. – Co się stanie z ludźmi? Nie będzie Witii... Czy ta wojna się skończy?

– To zależy... Dla wojów pewnie się nie skończy. Walczyli bez Witii przez tyle lat, to prawdopodobnie będą walczyć dalej. Dopóki wszyscy nie zginą.

– A zwykli ludzie?

– Też zależy...

– Od czego?! – Spokój zielarki zaczął irytować Saje.

– Zależy, kto zajmie te ziemie. Wiesz, że w Hemarze wieśniacy dzierzawią rolę?

– Wiem.

– Więc... – zaczęła Olena. – Tam, gdzie przyjdzie Hemar, wieśniacy będą żyli jak żyją, tylko gorzej. Bo nie będą posiadali ziemi, którą uprawiają. Mieszczanie też pewnie przeżyją, z wyjątkiem bogatych kupców i możnowładców. Cesarz prawdopodobnie każe ich zabić, bo będzie chciał na nowych ziemiach osadzić hemarską szlachtę. Jeśli przyjdą tu koczownicy, to wszystkich bez wyjątku ograbią, zgwałcą lub zabiją. Wtedy zostaną tylko zgliszcza. Jeśli przyjdą Żeglarze, to pewnie też będą grabić i gwałcić. Tych co przeżyją wezmą na niewolników. I zostaną tu zgliszcza.

– Jak ty możesz być taka spokojna? – nie wytrzymała Saja. – Jak możesz tak spokojnie opowiadać o końcu?!

– Ja jestem bardzo stara, Witio – odparła starszka z ciepłym uśmiechem. – Ja się martwię tylko rzeczami, które ode mnie zależą.

Przez chwilę w środku tumanu mgły panowała cisza. Młoda Witia przyglądała się zielarce z narastającą złością.

– Na miłość bogów, Olena! – wykrzyknęła w końcu Saja. – Czy nic nie ma dla ciebie znaczenia?! Powiedz mi, co mam zrobić!

– Nie mogę, Witio. – Zielarka ukloniła się z szacunkiem. – To powinna być twoja decyzja. Jeśli zatrzymasz Pierścień, jeśli będziesz walczyć, Dabor może przetrwać. Wielu ludzi umrze. Miro może zginąć. Skra może zginąć. Jednak jeśli wygrasz, ważna część tego świata będzie żyć.

– Ale ja nie chcę, żeby Miro zginął! – rozplakała się Saja.

– Wiem, że nie chcesz. – Olena delikatnie dotknęła ramienia dziewczyny. – Pamiętaj jednak, Witio, że bez względu na to, czy zatrzymasz, czy odrzucisz ten

pierścień, Miro, jak każdy inny człowiek, wcześniej czy później i tak umrze. Cóż masz więc do stracenia?

Saja wpatrywała się w mgłę w milczeniu. Przez napływające do oczu łzy, mleczny opar zdawał się wirować szaleńczo. Szczupłe ramiona dziewczyny zdrząły na wspomnienie wszechogarniającej samotności, jakiej doświadczyła w czasie wieczerzy w Sławie.

– A tańce? – odparła po chwili. – A miłość? A moje szczęście?!

– Pytanie jest, Witio – zielarka poklepała dłoń dziewczyny – czy twoje tańce i szczęście są warte śmierci Daboru?

– Nie wiem – odparła dziewczyna z rozbijającą szczerością. – Nigdy jeszcze nie byłam na tańcach.

– I dlatego – powiedziała Olena – jesteś zbyt młoda, by być Witią.

Witia i zielarka siedziały przez chwilę w milczeniu.

– Olena? – odezwała się w końcu Saja.

– Tak?

– Czemu Wena umarła bez następczyni?

– A to, Witio, jest bardzo dobre pytanie – pochwaliła ją zielarka. – Wena miała plan. Bardzo ryzykowny, ale bardzo dobry plan. Kiedy jej życie dobiegało końca, Dabor był pod silnym wpływem Hemaru. Niektórym wojwodom i żupanom spodobał się hemarski pomysł posiadania wyłącznych praw do ziemi. Niektórym mężczyznom spodobał się hemarski pomysł pozbawienia kobiet wszelkich praw. Wena znalazła następczynię. Planowała jednak pozostawić Dabor bez Witii na rok, może dwa, nie dłużej. Chciała, aby ludzie uświadomili sobie, czym tak naprawdę jest daborska wiara i prawo. Niestety, kiedy przyszedł czas nadejścia nowej Witii, kobieta, która miała nią zostać, odrzuciła pierścień.

– Hm... – zamyśliła się Saja. – Dlaczego tego nie pamiętam? Mam przecież wspomnienia babci?

– Wena prawdopodobnie ukryła tę część swoich wspomnień – odparła Olena.

– To tak można? – zdziwiła się dziewczyna.

– Ja tak mogę. – Zielarka uśmiechnęła się łobuzersko. – Wena była Witią przez dziesięciolecia. Pewnie nauczyła się tego i owego o wspomnieniach.

– Ta kobieta, która odrzuciła pierścień – pytała Saja. – Co się z nią stało?

– Nic. Żyje. Niedługo się z nią spotkasz. Na imię ma Frigg. Żyje wśród Żeglarzy.

– Ragana Frigg? Łamiąca Lód?!<sup>28</sup> – Saja otworzyła szeroko oczy w zaskoczeniu.

– Ta sama.

– Bogowie... – dziewczynka pokręciła głową w niedowierzaniu.

Znów siedziały w milczeniu. Wirowanie mgły zwolniło. Saja, spokojniejsza już, odezwała się w końcu zmęczonym głosem:

– Wygląda, że nikt już nie chce walczyć o tę ziemię.

– Na to wygląda... – zgodziła się zielarka filozoficznym tonem.

Witia wpatrywała się w leniwie płynące tumany mgły. Delikatne pasma mlecznego oparu odrywały się od otaczających ją ścian bieli i falowały ponad nieistniejącą ziemią. Dziewczyna przypomniała sobie uroczyska i pierwsze spotkanie z rusałkami. Ich też nikt nie chciał. Ludzie bali się ich, nienawidzili... Z radością zniszczyliby je, gdyby mogli. Tak jak Cesarstwo niszczyło Dabor.

Saja walczyła u boku rusałek. Kochała je i rozumiała. Chroniła je pomimo sprzeciwu matki i babki. Dała im szczęście. Dała im nowy dom. Jako Witia miała zaopiekować się całym Daborem.

*Dabor... Kolejna sierota do przygarnięcia.* Podniosła dłoń, by spojrzeć na Pierścień Łez. *Wygląda na to, że jeszcze cię zatrzymam* – pomyślała zrezygnowana.

– Olena? – odezwała się po dłuższej chwili.

– Hm?

– Chcę tu jeszcze posiedzieć, nie chcę jeszcze wracać.

– Mam cię zostawić?

– Tak, proszę – poprosiła Saja uprzejmie. – I jeszcze... Czy ktoś mógłby sprawdzić tego Piasta, syna Stojka? Wydawało mi się, że on coś ukrywa.

– Jak sobie życzysz, Witio. – Olena podniosła się z ziemi.

– Możesz tu sprowadzić moją mamę?

– Sama ją możesz sprowadzić.

– Wiem! – obruszyła się Saja. – Ale proszę, żebyś to ty ją sprowadziła.

– Oczywiście, że mogę. Mam jej powiedzieć, żeby cię przytuliła, nawet jeśli nie chcesz? – zapytała zielarka z odrobiną rozbawienia w głosie.

– Tak, proszę – odparła Saja i uśmiechnęła się do gęstej mgły.

\*\*\*

– Ta dziewczynka jest jakaś dziwna – powiedziała Jana, machaniem łyżki akcentując wagę swych słów.

– E tam! – stwierdził Ilia. – Ty jesteś dziwniejsza.

– Mamo! On mi znowu dokucza! – poskarżyła się Jana.

Miła spojrzała na córkę nieprzytomnie. Martwiła się o Witię. Minęło już sporo czasu, odkąd Saja wybiegła z gospody. Rawa i Bogusz poszli szukać dziewczyny i jeszcze nie wrócili.



– Nie dokuczam! – bronił się Ili. – Fakt stwierdzam, prawda, wujek? – Chłopiec zwrócił się o pomoc do siedzącego naprzeciwko Piasta.

– Hmm. – Piast wypchał sobie usta chlebem, by udzielić taktownie nieartykułowanej odpowiedzi.

*Spryciarz* – pomyślała Miła, patrząc na przyjaciela siostry z uznaniem. – *Sama muszę tego spróbować.*

– Kochanie – powiedziała, ujmując dłoń starszej córki. – Wiadomo przecież powszechnie, że żaden mąż nie potrafi zrozumieć głębi umysłu kobiety.

Piast parsknął śmiechem, niemal dławiąc się przeżuwanym chlebem. Jana uniosła dumnie głowę i spojrzała na Ilię tryumfalnie. Żywa i Maja, młodsze siostry Jany, układały w skupieniu swoją kolekcję kamyczków i zdawały się zupełnie nie zwracać uwagi na toczącą się przy stole konwersację.

– Ja myślę, że biedulce to już się z głodu w głowie pomieszało – wtrąciła karczmarka Jowana, zbierając puste miski ze stołu. – Chudzinka taka, sierotka, nic dziwnego, że smutna. Odkarmić trzeba, poprzytulać i od razu jej będzie lepiej.

– Pięknie powiedziane! – Miła uśmiechnęła się do karczmarki z wdzięcznością, widząc okazję do zmiany tematu. – A jedzonko to takie pyszne dzisiaj było, Jowano! Dziękujemy!

– Moja przyjemność – odparła Jowana, zadowolona z pochwały. – Zobaczcie tu, dzieciaczki – zwróciła się do Jany i Ili, nadstawiając fartuch. – W tej kieszeni pewnie się jakieś słodkości jeszcze znajdują.

Dzieci rzuciły się przeszukiwać kieszeń karczmarki.

– Tylko powoli! Ostrożnie! – Piast poderwał się, by złapać chwiejącą się w rękach Jowany, wypełnioną naczyniami tacę. – Ciotki mi nie przewróćcie!

Nagle drzwi gospody otwarły się z trzaskiem.

– Zielarki! Zielarki trzeba! – odezwał się donośny głos Bogusza.

– Z drogi, ludziska! – Rawa biegła już przez izbę, oczyszczając drogę. – Tędy! Nieś ją tędy, Bogusz!

Olbrzym wkroczył do karczmy, niosąc omdlałe ciało. Drobną dziewczęcą postać niemal niknęła w potężnych rękach mężczyzny. Długi jasny warkocz plątał się wokół bezwładnego ramienia Sai. Biały materiał lnianej koszuli upstrzony był czerwonymi plamami.

*Bogowie! Witia! Ranna!* – Miła z przerażeniem wpatrywała się w plamy krwi. Poderwała się od stołu, boleśnie uderzając nogą o ławę. Ignorując ból, rzuciła się, by otworzyć drzwi wiodące do izb dla gości. Bogusz kilkoma długimi krokami przemierzył główną izbę gospody i przeszedł przez przytrzymywane przez kobietę

drzwi. Ponad grubym ramieniem olbrzyma Miła dostrzegła pobladłą twarz Witii. Z jej ust, nosa, oczu i uszu sączyła się krew.

– Rawa, co się stało?!

– Nie wiem, nie wiem.... – odparła Rawa w panice. – Schowała się w stajni, nie widzieliśmy jej, dopóki nie zaczęła się trząść. Ataku jakiegoś dostała!

– Żywio, Pani brzemienna – Miła, przerażona i bezsilna, zaczęła się modlić – Matko pierworodna, Matko życia wszelkiego...

– Mamo, mamoo... – Zapłakana Jana biegła za matką. – Czy ona umarła?

Miła zatrzymała się w drzwiach izby zajmowanej przez Witę i jej towarzyszy. Bogusz delikatnie położył bezwładne ciało Sai na wypchanym słomą sienniku. Raja ze stęknieniem klękła przy nieprzytomnej Witii. Skra zaskomlał i podniósł się z wymoszczonego skórą legowiska. Zataczając się, podszedł do Sai i polizał bezwładną dłoń dziewczyny.

– Jeden zdrowieje, to zaraz następny, zaraza, niedomaga – marudziła Raja.

– Czy ona umarła? – Jana ciągnęła spódnice matki. – To przeze mnie? Bo ją przezywałam?

– Nie, skarbie, coś ty. – Miła przytuliła córkę, nie odrywając wzroku od Witii. – Dziewczynka coś sobie zrobiła, ale to nie twoja wina.

– Mamo, czy jej leci krew z uszu? – Ilia z fascynacją przyglądał się nieprzytomnej Sai.

– Mamo! Mamo! – Żywa i Maja wślizgnęły się do izby. – Czy to jest prawdziwy wilk?

– Jejku! Mamo! – zachwycił się Ilia. – Mogę go pogłaskać?

– My go zobaczyłyśmy pierwsze! – kłóciły się Żywa i Maja.

– Nieprawda! – bronił się chłopiec. – Ja też go widziałem, tylko...

– Cisza! – zakomenderowała Raja. – Skra to prawdziwy wilk i możecie go pogłaskać jeden raz. Ale tylko po głowie. A potem marsz mi stąd, bo dziewczyna niedomaga i trzeba się nią zająć.

Czwórka dzieci aż podskoczyła z radości, chcąc pogłaskać Skrę. Żeby uniknąć kłótni, Rawa ustawiła maluchy rzędkiem i nadzorowała spokojny przebieg głaskania wilka. Skra, zachwycony pieścizotami, machał puszystym ogonem.

– No już, dzieciaki – powiedziała w końcu Rawa. – Skra pogłaskany, nic tu po nas. Dziewczynka jest w dobrych rękach, nie będziemy się gapić.

– Miła, Rawa, wy zostajecie – zakomenderowała Raja. – Bogusz, zajmij się dziećmi, proszę.

– Tak, matko. – Olbrzym posłusznie zaczął zaganiać dzieci na korytarz.

– Ale mamoo! – marudził Ilia.

– Skarbie, słyszałeś, co powiedziała zielarka. – Rawa delikatnie popchnęła syna w stronę drzwi.

Bez dalszego marudzenia dzieci opuściły izbę. Miła zamknęła drzwi za Boguszem. *Bogowie* – modliła się w myślach, kucając przy zielarce. – *Niech jej nie będzie... Proszę, niech Witia żyje.*

– Nyss nam łby pourywa, jak się dowie, że Witia pod naszą opieką... – powiedziała Rawa, patrząc na pobladłą, zakrwawioną twarz Sai.

– Nikt wam głów nie pourywa – pocieszyła je Raja. – No, chyba że Miro, jeśli ją zobaczy w takim stanie. Weźcie szmatki, trzeba dziewczynie twarz oczyścić. A potem przebrać. Tam gdzieś w tobołkach znajdziecie czyste ubrania. – Pokazała wciśnięte w kąt izby pakunki.

– A nie trzeba jej leczyć, matko? – zdziwiła się Miła.

– Co mam leczyć? – Zielarka wzruszyła ramionami.

Bliźniaczki spojrzały na staruchę oniemiałe. Raja, marudząc pod nosem o starych kościach, podniosła się z klepiska i pociągnęła Skrę ku wyściełanemu skórą legowisku. Wilk, jeszcze pod wpływem ziół nasennych, zataczając się podążył za Zielarką.

– A wy na co czekacie? – Raja usadowiła się wygodnie na skórach. – Do roboty, myć, przebierać. Całego dnia nie mamy.

– Ale... przecież... – zaczęła Rawa. – Miała napad jakiś. Cała się trzęsała... Sama widziałam.

– Pewnie, że się trzęsała – odparła niewzruszona zielarka. – Dziewczyny mówiły, że całe zaświaty rozwalila. Każdy by się trząśł.

Bliźniaczki spojrzały na Raję z jeszcze większym zdziwieniem.

– Rozwalila zaświaty? – Miła nie chciała wierzyć własnym uszom.

Zielarka przewróciła oczami, poirytowana. Skra szturchnął ją nosem, domagając się uwagi.

– A wy co, głuche jakies? – rzuciła Raja. – Wkurzyła się dziewczyna, trudno też się dziwić. Młoda taka, w głowie zamęt. Każda inna by talerze tłukła. Ale że to Witia, to zaświaty puszcza z dymem. No, do roboty, dziewczyny! Jak Miro ją tak zobaczy, to dopiero będzie raban.

Bliźniaczki bez dalszych dyskusji zabrały się za mycie i przebieranie Witii. Miła zaczęła przetrząsać tobołki w poszukiwaniu czystej odzieży. Rawa rozbierała nieprzytomną dziewczynę. Zielarka z zadowoloną miną głaskała gęste futro Skry.

– Bogowie! – wyszeptała Rawa na widok czerwonych blizn, pokrywających nieprzytomne ciało Sai. – Co jej się stało?

– Matko jedyna! – Miła stanęła obok siostry.

– Mówiłam wam, że ta dziewczyna to chodzące samozniszczenie! – Zielarka uśmiechnęła się szeroko bezzębными ustami.

– To nie jest śmieszne, matko! – nie wytrzymała Rawa. – Widać mała przez wiele przeszła. Teraz jej na dodatek krew z uszu leci. Co jak jej się coś w głowie od tego trzęsienia popsulo?

– Nie mała. Witia – powiedziała zielarka surowo. – I nic jej się nie popsulo – dodała łagodniejszym tonem. – Z babką się pokłóciła i tyle.

Milcząca Miła sięgnęła po szmatkę i zaczęła obmywać twarz Sai. *Taka młoda...* – myślała, przyglądając się gładkim policzkom dziewczyny. – *Niewiele starsza od Jany. Witia... Nadzieja Daboru.* Zerknęła ku pracującej obok siostrze. Ich spojrzenia spotkały się. W migdałowych oczach bliźniaczki wyczytała zwątpienie i zawód. Tak czekały nadejścia Witii. Wierzyły głęboko, że wraz z nową przywódczynią koniec wieloletniej wojny będzie sprawą kilku miesięcy, może roku. Teraz, kiedy patrzyły na wychudzone i pokryte bliznami ciało dziewczynki, rozwiewały się wszystkie ich nadzieje na spokojne życie.

– Czy ona się obudzi? – zapytała niepewnym głosem Miła.

– Obudzi się, obudzi... I jeszcze będzie z niej Witia jak się patrzy – odparła Raja, jakby czytając w myślach bliźniaczek. – Silna jest, uparta, da sobie radę.

– Jesteście pewni, matko? – dopytywała się Rawa. – Jakoś mi ona na silną nie wygląda.

– Jestem pewna – odpowiedziała zniecierpliwionym tonem Raja. – Wiary trochę miejcie, dzieci.

Siostry w milczeniu wróciły do pracy. Nie minęło dużo czasu i nieprzytomna Saja wyglądała, jakby dopiero co wyszła z łaźni. Miła zwijała zaplamione krwią ubrania, zaś Rawa płukała szmatki w wiadrze.

– No, ładnie się spisałyście, dziewczyny – odezwała się starucha z wymoszczonego skórami legowiska. A teraz usiądźcie i słuchajcie, bo mam dla was jeszcze jedno zadanie.

Siostry podniosły wzrok ku zielarce.

– Witia zobaczyła coś podejrzanego w tym waszym przyjacielu Piaście – zaczęła Raja. – Wygląda na to, że on ukrywa coś ważnego. Witia prosiła, żeby to sprawdzić i pomyślałam sobie, że jedna z was się do tego jak znalazł nada.

– W Piaście? – zapytała Rawa z niedowierzaniem. – Niemożliwe...

– Możliwe, niemożliwe – machnęła ręką zielarka. – Ważne, że Witia chce, aby to sprawdzić.

– Ale ja wiem, że Piast nic nie ukrywa – broniła przyjaciela Rawa. – To jest najmiłszy, najbardziej pobożny mąż, jakiego w życiu spotkałam. Może trochę pił

za dużo, ale już....

– Miła – zielarka zwróciła się do drugiej siostry, najwyraźniej nie mając zamiaru się kłócić – możesz się temu Piastowi przyjrzeć?

– Ale... – Miła w zakłopotaniu patrzyła to na zielarkę, to na bliźniaczkę.

– Nie! – zdenerwowała się Rawa. – Przecież ja go znam! Mówię wam, że on nic nie ukrywa!

– Skarbie... – Miła próbowała ułagodzić siostrę. – Jestem pewna, że to nic poważnego. Przecież Piast pracuje w Pałacu, może to tylko jakieś...

– Żadne jakieś! – Rawa podniosła się z klepiska i w złości cisnęła mokrą szmatkę na podłogę. – Spójrz na nią! Przecież to tylko dziecko! Do tego dziwne jakieś! Chowa się po stajniach i dostaje trzęsawki. Co ona może wiedzieć?! Na pewno coś jej się pomyliło!

Skra uniósł głowę i popatrzył groźnie na zdenerwowaną kobietę. Raja uspokajającym gestem położyła dłoń na głowie wilka. Zdawała się być rozbawiona sytuacją.

– Kochanie! – zaczęła łagodnie Miła. – Proszę...

– Nie! – wycodziła Rawa przez zaciśnięte zęby. – Mam dość! Ile jeszcze muszę oddać dla... dla tej Witii?! Dla Daboru?! Straciłam męża, straciłam dom! Mój syn stracił ojca, na miłość bogów! Dupy daję na prawo i lewo, i jeszcze mam udawać, że mi się to podoba?!

Rawa zacisnęła usta i przesunęła dłonią po twarzy. Przez chwilę stała na środku izby, w milczeniu zaciskając pięści. Oddychała szybko.

– Nie wiem już sama, psia mać, może mi się to podoba. – Zrezygnowana kopnęła leżącą na podłodze szmatę.

Otworzyła usta, jakby chciała coś jeszcze powiedzieć i szybko się rozmyśliła. W końcu machnęła ręką, obróciła się na pięcie i wyszła, trzaskając drzwiami.

– Rawa! Kochanie! – Miła z łzami w oczach wybiegła za siostrą. – Przepraszam, matko! – rzuciła przez ramię do zielarki.

Raja patrzyła w zamyśleniu na zatrzaśnięte drzwi. W końcu podniosła się lekko i przysiadła na sienniku obok nieprzytomnej Witii. Pomarszczona dłoń objęła szczupły nadgarstek dziewczyny. Silne, zgrubiałe palce wprawnie odnalazły puls. Bezwładna dłoń Sai otworzyła się, ukazując gładki kryształ Pierścienia Łez. Zielarka skłoniła głowę z szacunkiem, widząc blask błogosławieństwa boga.

– Ech, te ludziska... – westchnęła znużona – Nijak im dogodzić... Witia jak się patrzy, a i tak się czepiają, że wygląda źle.

– Skra! Nie do jeziora, zarazo! – lamentował Miro, bezsilnie patrząc za rozchlapującym wodę wilkiem.

– Daj mu spokój – powiedziała zielarka. – Niechże biedak rozprostuje nogi. Tyle przyjdzie nam tkwić w tej łodzi...

Objuczona sakwami Saja z zazdrością patrzyła na rozbawionego wilka. Było już dobrze po zachodzie słońca. Bezchmurne, rozgwieżdżone niebo odbijało się w tafli Jeziora Sławskiego. Ciepły wiosenny wiatr poruszał łagodnie sitowiem. Gdyby nie ciężkie pakunki, Saja sama skoczyłaby do wody.

– Ktoś, pamiętam, mówił, że trzeba być cicho? – powiedziała z przekąsem.

– Ee... – machnął ręką zrezygnowany Miro. – Teraz to nie ma znaczenia. Już jesteście prawie na miejscu.

Saja z westchnieniem ulgi poprawiła zwisające z ramion sakwy. Po dwóch dniach spędzonych w Sławie nie mogła już doczekać się dalszej podróży. *Sławiną ze cztery dni, potem jeden dzień na Wyspy. Powinniśmy jeszcze mieć ze dwa dni w zapasie przed Fragą* – w myślach powtarzała plan przodkiń. Poczowała nerwowy ucisk w żołądku na myśl o Wiecu Żeglarzy. Miało być to jej pierwsze oficjalne wystąpienie jako Witii. Wszystkie przodkinie, z Weną na czele, były bardzo przejęte tym wydarzeniem. W zaświatach, odbudowanych już po ataku szału Sai, powstawały kolejne wersje mowy, z jaką dziewczyna miała wystąpić przed starszymi Żeglarzy. Zażarte kłótnie toczyły się o każdy przecinek czy kropkę tego wystąpienia. Saja najbardziej martwiła się tym, żeby nie pojawić się na Wiecu z podbitym okiem czy rozbitą wargą. Delikatnie dotknęła strupa na gojącej się, zranionej przed przybyciem do Sławy powiece. *Powinno się w tydzień wygoić chyba, nie?*

– Idą – powiedział Miro, dając Sai i zielarce znak, by się zatrzymały.

Saja z ulgą zsunęła sakwy z ramion. Odetchnęła głęboko i rozciągnęła zmęczone mięśnie. *Czemu ja się tak denerwuję?* – zastanawiała się, czując suchość w ustach. – *To tylko korowi.* Wytarła spocone dłonie o nogawki wełnianych spodni. *Oleg, Bożan i Senko* – powtarzała w myślach podane przez Mira imiona. Przymknęła oczy, przypominając sobie zapamiętane przez babkę twarze. Doskonale rozumiała, jak ważna jest dla tych trzech wojów Witia. Nie chciała się pomylić. Nie chciała ich rozczarować. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie przywołać jednej z przodkiń. Szybko odrzuciła tę myśl. *To moi korowi* – pomyślała z dumą. – *Sama ich przywitam.*

Zmrużyła oczy, przyglądając się trzem męskim postaciom, odcinającym się wyraźnie na tle zagajnika. Byli zbyt daleko, żeby dało się dostrzec twarze. Najniższy mężczyzna uniósł dłoń.

– Czysto – wyszeptała Saja, dumna, że rozpoznała dany przez korowego znak.

– Czysto – powiedział Miro, popychając ją delikatnie do przodu.

Trzy postacie zbliżały się szybko i niemal bezszelestnie. Saja wyszczerzyła zęby w uśmiechu pełnym entuzjazmu. Wiedziała, jak zwinnie potrafił poruszać się Miro. Pękała z dumy widząc, że pozostali z jej własnych korowych byli równie dobrze wyszkoleni.

– Przestań się tak szczerzyć – wyszeptała stojąca obok Raja. – Oczami masz ich olśnić, nie zębami.

Saja powstrzymała się od pokazania zielarce języka. Spojrzała przez ramię na stojącego obok Mira. Jej opiekun stał wyprostowany, z dłońmi splecionymi na plecach i wysoko podniesioną głową. Mrugnął do niej porozumiewawczo. Saja odpowiedziała mrugnięciem i odwróciła się ku nadchodzącym mężczyznom. Z zupełnie nieracjonalnym rozczarowaniem zauważyła, że korowi ubrani są w zwykłe, znoszone ubrania. *Płaszcz szyku Drzewa chciałaś, głupia?* – zrugła się za niedorzeczne myśli. Mężowie bez słowa stanęli przed nią i ustawili się w równy szereg. Z Mirem za plecami i trzema korowymi wpatrującymi się w nią z zainteresowaniem Saja poczuła się zupełnie malutka. Dwóch mężów było prawie tak wysokich jak Miro. *Oleg i Bożan* – rozpoznała braci. – *Ten niski musi być Senko.* Mężczyźni byli starsi, niż zapamiętała Wena. Wydawali się zmęczeni.

Saja pochyliła głowę i zamknęła oczy, skupiając się na zmianie ich koloru. *No to zaczynamy* – powiedziała sobie. Podniosła głowę, by spojrzeć na swoich korowych oczami mieniącymi się wszystkimi barwami tęczy. Gdzieś z tyłu dobiegło suche szczekanie wilka.

– Pani. – Jak na komendę trzej mężowie padli na kolana, przyciskając pięści do piersi. – Witia widzi. Witia...

Tradycyjne pozdrowienie Witii przerwane zostało przez mokrą, piszczącą z radości kulę błota i kudłatej sierści. Pomimo długiego rozstania Skra wciąż jeszcze pamiętał przyjaciół ze Sławy. Skoczył na pochylonego Senka i przewrócił go, taranując jednocześnie Bożana. Doskonale wyszkolenie korowi, zaskoczeni napaścią, zareagowali instynktownie. Senko i Bożan przeturlali się po ziemi i płynnie stanęli z powrotem na nogi, rozglądając się w poszukiwaniu źródła zagrożenia. W ich dłoniach błyszczały noże. Oleg rzucił się ku Witii, by zasłonić ją własnym ciałem przed nieznanym niebezpieczeństwem.

– Bezpieczna! Bezpieczna! – krzyknął Miro, obejmując Sają ochronnym gestem. – Skra! Siad! – wydarł się na wilka.

Skra posłusznie przysiadł. Wciąż machał wściekle ogonem, ochlapując błotem wszystko dookoła. Zaskomlał cicho, głęboko urażony, że nikt nie odwzajemnia

jego radości. Ubłoceni korowi rozluźnili się. Oszołomiona Saja odruchowo objęła ramię Mira. Nie widziała nic zza szerokich pleców Olega.

– No i wilka by zaciukali – odezwała się Raja kpiąco.

Niepocieszony Skra zaskomlał raz jeszcze.

– Skra! Ty zarazo! – Senko w końcu dostrzegł ubłoczonego wilka.

Słyszając to, Skra poderwał się na nogi i skoczył na pierś krępego męża, przewracając go na ziemię. To skamłac, to wyjąc, machając ogonem jak opętany, ogromny wilk skakał od jednego korowego do drugiego, chcąc przywitać wszystkich naraz. Saja wysunęła się z objęć Mira i stanęła obok zielarki. Starucha dotknęła jej ramienia uspokajającym gestem.

– Nie najgorsi ci korowi, co? – stwierdziła.

– Aha. – Zwykle elokwentna Saja wciąż była pod wrażeniem pokazu umiejętności Szyku Drzewa.

Witia i starucha stały przez chwilę w milczeniu, obserwując trzech mężów tratowanych przez ubłoczonego wilka.

– Czy Skra sika ze szczęścia? – zapytała zielarka.

– Chyba tak – odparła dziewczyna.

Przywróciła oczom zwykły, szary kolor. Kiedy patrzyła na to, co wyprawia wilk, doszła do wniosku, że korowi raczej nie będą w stanie dopełnić ceremonii powitania Witii.

– Auć! – syknęła Raja na widok Skry, skaczącego po kroczu Bożana.

Uszczęśliwiony wilk rzucił się teraz do Olega, próbując polizać jego zasłoniętą ramionami twarz.

– Au – skrzywiła się Saja, widząc ostre pazury Skry, wbijające się w szyję woja.

Miro ledwo się trzymał na nogach ze śmiechu. Skra uspokoił się trochę i teraz biegał dookoła korowych, wyjąc i podskakując na czterech nogach. Bożan, zgięty w pół, kłął na czym świat stoi. Senko, z twarzą umazaną błotem, szczerzył radośnie zęby, obserwując dzikie podskoki Skry. Najmniej poszkodowany Oleg rozwiązywał porzuconą na ziemi sakwę.

– Co on taki chudy, Miro? – zapytał z wyrzutem Senko. – Jak ty się o niego troszczysz?

– W ogóle się nie troszczy – powiedział Oleg, wyciągając zawinięte w płótno mięso. – Chodź tu, Skierka, biedaku, Oleg ci jedzonko przyniósł.

– Ooo! – wzruszyła się Saja. – Nawet o Skrze pamiętali!

– Gdzie go karmisz, zarazę! – Bożan wciąż trzymał się za obolałe przyrodzenie.

– Biedna chudzinka. – Oleg podawał Skrze kawałki mięsa, całkowicie ignorując brata. – Zabrał cię Miro, głodził...



Saja kątem oka dostrzegła zbliżający się od zagajnika pojedynczy płomień żagwi. *Pewnie ta Kraken* – pomyślała. Wsunęła dwa palce do ust i zagwizdała głośno.

– Oj! Chłopy! Ktoś idzie! – zawołała.

*Zawsze chciałam to zrobić* – pomyślała z satysfakcją, widząc, że korowi podrywają się na nogi i rozglądają czujnie.

– Pewnie Kraken – zgadywał Miro.

– Pani, wybaczenia proszę! – Senko dopiero teraz przypomniał sobie, że trójka korowych miała powitać Witę.

– A ty co, Senko? Dziewki nieletnie zagadujesz?! – Miro krzyknął do przyjaciela, chcąc uniknąć ujawnienia tożsamości Sai.

– A kogo ma zagadywać? – kpił Oleg. – Taki nedorobiony, porządna baba go nie zechce.

Saja płynnie wcieliła się w rolę przygarniętej przez zielarki sieroty. Zarumieniła się po czubki uszu, przysunęła się bliżej do Rai i zapiszczała:

– Ale ja go nie chcę!

– Widzisz, jaka mądra! – naśmiewał się Miro. – Ledwie co od ziemi odrośnięta, a już wie, żeby się z daleka od Senki trzymać.

Schowana za zielarką Saja z zainteresowaniem obserwowała zbliżającą się postać. Wysoka i szczupła kobieta kroczyła pewnym, szybkim krokiem. Ubrana była na żeglarską modłę w szerokie, związane u kostek spodnie. Długi czarny warkocz pobrzękiwał wplecionymi we włosy pierścieniami. Ciepłe światło żagwi nadawało kobiecie młodzieńczy wygląd. Patrząc głębiej, Saja dostrzegła pod gładką skórą zimną, bezkresną pustkę i samotność. *Kraken* – w przeblysku zrozumienia dziewczyna przetłumaczyła trogeńskie imię kobiety. – *Muszla. Pusta skorupa.*

– Co tu się dzieje? – zapytała Kraken ochrypłym głosem. – Myślałam, że was jakieś wilki dorwały.

– Bo dorwały! – szczyrzył się Oleg, tarmosząc gęstą sierść Skry.

Kraken przez chwilę przyglądała się rozanielonemu wilkowi.

– Twój? – zapytała w końcu Mira.

– Mój – odparł mężczyzna z dumą. – Skra się nazywa.

– Gryzie?

– Gryzie, jak mu powiem. – Miro gwizdnął na Skrę i podprowadził go bliżej. – Ale tak w ogóle to zaliże na śmierć raczej.

Kraken przełożyła żagiew do lewej ręki i kucnęła, by pogłaskać wilka. Saja zamarła na widok oświetlonej teraz drugiej strony twarzy kobiety. Ogromna, nierówna blizna ciągnęła się od nosa aż za straszliwie zniekształcone, przyrośnięte do czaszki ucho. Zaczepiona o szeroką opaskę zausznicą była kunsztownie

wykonana na kształt morskiego węża. W chwiejnym świetle żagwi wydawało się, jakby wąż wypływał z morza ciemnych włosów i wgrzyzał się w zdeformowaną blizną twarz.

– Buzia – wyszeptła zielarka do wciśniętej w jej ramię Sai. – Zamknij buzię.

Saja posłusznie zamknęła usta. Kraken delikatnie głaskała grzbiet Skry. Wilk pomachał łagodnie ubłoconym ogonem i polizał pokrytą bliznami twarz. Zniekształcony kącik ust kobiety zadrgał w czymś na kształt uśmiechu.

– Chudy jakiś. – Kraken spojrzała na Mira surowo. – Chory?

– Oberwało mu się po drodze. Już zdrowieje – odparł Miro, speszony komentarzem sterniczki.

– Pływał już? – Kobieta kontynuowała przesłuchanie.

– Pływał. Flisem. Po morzu jeszcze nie.

– Da się przewiązać liną?

– Mam uprząż. – Miro wskazał zawieszoną u pasa płataninę szerokich rzemieni.

Kraken skinęła głową, zadowolona. Pogłaskała Skrę jeszcze raz i podniosła się z ziemi. Surowym wzrokiem spojrzała ku trójce uśmiechniętych radośnie, umorusanych błotem mężczyzn.

– Wyglądacie jak nieboskie stworzenia – stwierdziła z niesmakiem.

– A jakie bogi by ich chciały? – odezwała się Raja. – Dorosłe chłopcy, a w błocie się z wilkiem tarzają. Aż gwizdać musiałam... – Zielarka pokręciła głową z niezadowolaniem. – Jak nic do rana by tak dokazywali.

– To matka się z nami zabiera? – Kraken ukłoniła się z szacunkiem.

– Zabiera się, zabiera – marudziła starucha. – Tylko jakoś jeszcze łodzi nie widziałam.

– Do Nawii tędy. – Gestem żagwi sterniczka wskazała drogę. – Zbieramy się – rzuciła do Mira i trójki ubłoconych mężów.

*Nawia? Nazwała łódź Nawia?* – zdziwiła się Saja. Z podziwem przyglądała się oświetlającej drogę Kraken. Po chwili, nie znajdując słów komentarza, ruszyła, by dołączyć do korowych.



# KOZDZIAŁ 12

*Niektóre barbarzyńskie plemiona nie zapisują historii, lecz opowiadają ją w balladach i pieśniach przez bardów śpiewanych.*

Wojan z Chłodnej, „Kroniki Daboru”

Położone w południowej Lobardii góry Arn Fedach były krainą owiec. Hodowla tych łagodnych zwierząt była dla górali jedynym sposobem, by przetrwać. Owce nie potrzebowały urodzajnej ziemi. Potrzebowały tylko pasterzy i silnych pasterskich psów, aby ochronić je przed drapieżnikami. Owcze mleko, sery i mięso były podstawowym źródłem pożywienia dla miejscowej ludności, owcza wełna zaś opłacała daniny.

Wełna z Arn Fedach była powszechnie ceniona za miękkość i wytrzymałość. Każdego roku niezliczone bele wełnianych tkanin, sukien i filców wysyłane były do odbiorców w całym Cesarstwie. Wpływy z handlu budowały fortuny kupców, zasilaly skarbcę zamku Walden i okolicznych klasztorów. Miejscowa ludność nie widziała wiele z produkowanych ich rękami bogactw. Górale, posłuszni prawom i tradycjom Hemaru, od pokoleń pracowali na polach i pastwiskach należących do możnowładców. Nauczani przez gorliwych kapłanów i mnichów, dziękowali bogu za skromną strawę i rozpadający się dach nad głową. Zgodnie z zasadami wiary w jednego boga każdego dnia pokorą i ciężką pracą udowodniali wartość swojej grzesznej egzystencji. Niewielu pamiętało jeszcze, że przed wiekami, przed nadejściem Cesarstwa, kraina ta zamieszkiwana była przez klany dumnych sokolników. Klany, po których została tylko nazwa tych ziem. Arn Fedach. Orle Skrzydła.

Ałun Drewian była jedną z nielicznych, którzy wciąż pamiętali o sokolnikach. Jej wspomnienia pochodziły od przodkiń, głównie od Ioni. Ałun była zaledwie nastoletnią dziewczyną, kiedy Ioni pokazała jej historię pierwszych mieszkańców Arn Fedach. Historię dumnego ludu żyjącego pod jednym dachem z drapieżnymi ptakami. Historię klanów, ich bogów, ich kulturę i dawno zapomniany język. Ioni pokazała Ałun rzeź, do której doszło w cieniu orlich gór, kiedy nadeszło Cesarstwo, a sokolnicy odmówili przyjęcia wiary w jednego boga. Pokazała jej

zgliszcza spalonych siedzib klanów. Skrzydła drapieżnych ptaków, noszone przez hemarskich żołnierzy jak trofea. Brutalnie okaleczone ciała sokolników, którzy zginęli w obronie swojej wiary. Upokorzenie i udrękę tych, którzy przeżyli. W sercu nastoletniej Ałun historia ludu Arn Fedach zlała się w jedno ze sprawą Daboru. Marzyła, że któregoś dnia uda jej się przywrócić potomkom sokolników ich prawdziwą tożsamość.

Ałun była agentką rodu Drewian. Obudziła się dla przodkiń czternaście lat temu, po urodzeniu syna. Wkrótce po przebudzeniu opuściła rodzinną Sławę, aby zamieszkać w leżącym u stóp gór Arn Fedach zamku Walden. W Lobardii stała się Beatą Straube, wychowaną w klasztorze córką zubożałego grafa zamku Walden. Historia córki grafa przygotowana została z wielką starannością, na długo przed obudzeniem się przejmującej ją agentki. Ałun nie była pewna, czy graf Walden faktycznie oddał córkę do klasztoru, czy nie. Z całej rodziny Straube nie przeżył nikt, kto mógłby potwierdzić tę historię lub jej zaprzeczyć. Aby wspomóc upadającą rodzinną fortunę, Beata Straube poślubiła Erharda Hahna, syna bajecznie bogatego kupca z Trybaldu. Bogactwo teścia i manipulacje agentek rodu Drewian umożliwiły nawet wprowadzenie Iwa, syna Ałun, jako prawowitego potomka świeżo upieczonych grafa i grafini Walden.

Jako Beata Straube często podróżowała po Lobardii i innych prowincjach Cesarstwa. Pod pretekstem wizyt towarzyskich wypełniała misje, które zlecono jej w zaświatach. Teraz na polecenie Nyss zmierzała do zamku Kalder. Miała tam wspomóc trzy inne agentki, które zdobywały informacje o Alwinie Godwulf. Przodkinie podejrzewały, że to właśnie Alwina Godwulf była czarownicą odpowiedzialną za atak na rodzinny dom Witii. Jak zwykle w podróży towarzyszyło Ałun sześciu waldeńskich gwardzistów i stary sokolnik Jaksa.

Jaksa pochodził z Gór Ortysz i był chrzesnym Witii. Jak wielu daborskich górali, był również wyśmianym sokolnikiem. W Lobardii podawał się za brata Blodiego, mnicha zakonu wortysów<sup>29</sup>. Jako spowiednik i doradca Beaty Straube podróżował z Ałun wszędzie. Był jej nauczycielem, przyjacielem i jednym z niewielu żyjących ludzi, z którymi podzieliła się swoim marzeniem o wskrzeszeniu legendy klanów sokolników. Był jednym z niewielu, którzy nie uważali tych marzeń za mrzonki. To właśnie Jaksa pomógł sformułować długofalowy plan, który miał na celu przywrócenie ludowi Arn Fedach jego tożsamości. Korzystając ze swojego misjonarskiego doświadczenia, na podstawie strzępków informacji zapamiętanych przez Ioni odtworzył podstawy wiary sokolników. Jaksa uznał, że wiara w wielu bogów mogłaby być zbyt trudna do zaakceptowania przez wychowanych w monoteistycznej religii górali. Zaproponował więc wyznaczenie

Łowcy, jednego z opiekuńczych duchów, jako głównego boga nowej wiary. Ałun przekonała Ioni i Nyss, by w przerwach pomiędzy misjami wysyłały agentki Drewian do krainy Arn Fedach. Agentki te, podróżując od wioski do wioski, przyczyniły się do rozprzestrzeniania tworzonych przez Jakse mitów i legend o Łowcy.

Stworzenie Gwardii Waldenu było kolejnym krokiem w odbudowywaniu legendy sokolników. Nabór do Gwardii przeprowadzano co roku. Bez względu na pochodzenie, każdy mieszkaniec gór Arn Fedach miał prawo przejść próby organizowane w czasie zaciągu. Próby były liczne, lecz naprawdę znaczenie miała tylko jedna. Gwardzistami zostawali wyłącznie ci, których zaakceptowały hodowane w Waldenie drapieżne ptaki. A ptaków tych było wiele. W ciągu ostatnich kilkunastu lat bowiem grafini i jej spowiednik stworzyli w zamku Walden sokolarnię z prawdziwego zdarzenia. Zajmowali się nie tylko łapaniem i układaniem ptaków, ale również ich hodowlą. W doskonale utrzymanych klatkach i wolierach mieszkały sokoły, jastrzębie, rarogi, orliki, orły, sowy, puchacze a nawet sprowadzone z wysp Trogen białozory. Nawiązali kontakty z sokolnikami z gór Ortysz, co było doskonałą przykrywką dla regularnej wymiany informacji z nękanym wojną Daborem.

Nieco ponad trzy lata temu parze żyjących na zamku zysów<sup>30</sup> wykluły się dwa pisklęta. Jedno z nich Iwo, syn Ałun, nazwał Sturm i wychowywał pod czujnym okiem Jaksy. Drugiego pisklaka, samicę, wychowała sama Ałun. Ku rozbawieniu Jaksy grafini nazwała swojego orła Ałun.

Od trzech lat agentka Drewian i jej orzeł były nierozłączne. Również w podróż do zamku Kalder wyruszyły razem. Zwykle w czasie podróży wyrosnięty już ptak siedział na dłoni Ałun, wspartej o przymocowany do siodła, zdobiony podczos<sup>31</sup>. Dziś jednak miejsce zajmowane przez orła było puste. Skrzydlata towarzyszka Ałun po raz pierwszy od trzech lat nie powróciła z porannego polowania. Zbliżało się już południe i grafini boleśnie odczuwała brak znajomego ciężaru na ubranej w rękawicę dłoni. Co chwilę podnosiła wzrok ku zachmurzonemu niebu, wypatrując sylwetki szerokich, nakrapianych bielą skrzydeł orła.

– Coś nam się ta podróż zbyt szczęśliwie nie zaczyna... – marudził sokolnik Jaksa. – To zły znak jak ptak na początku drogi się gubi.

– Wróci przecież – odparła z przekonaniem kobieta.

– Wróci, nie wróci, nieważne – upierał się Jaksa. – Ważne, że się zgubił. To zły znak.

– Jak to nieważne, czy wróci?! – obruszyła się Ałun.

– Bo nieważne – rzekł nauczycielskim tonem sokolnik. – Jak ptak szanuje rękę, to wraca. A jak nie, to i lepiej, że uciekł, bo i po co taki komu?

*Wróci!* – pomyślała Ałun z uporem. Nie miała już siły odpowiadać na zaczepki sokolnika. Jakska nigdy nie przepuszczał okazji do wygłoszenia wykładu na temat hodowli czy układania ptaków. Przez lata Ałun przyzwyczaiła się do dydaktycznego zacięcia górala. Jednak dzisiaj irytowało ją to niepomierne. Wiedziała, że orzeł wróci. Nie rozumiała, czemu Jakska nie podzielał jej pewności.

– Jak nie wróciła, to nie znaczy, że martwa, nie? – Stary sokolnik zwrócił się do waldeńskich gwardzistów. – Mocna jest i ubić zwierzynę potrafi, chociaż ciołek jeszcze. Da se radę, jak nic. Jeszcze sobie siuhaja jakiegoś znajdzie i dziecków se dorobi.

*Ciołek?! Siuhaj?! Gdzie on się tych słów nauczył?* – zastanawiała się Ałun. Podający się za brata Błodiego Jakska potrafił mówić pięknym, klasycznym hemarskim. Jednak kiedy tylko mógł, przerzucał się na śpiewną gwarę mieszkańców Arn Fedach. Zaciągał przy tym, jakby się w tych górach urodził.

– Dziecków se dorobi? – Jorg, jeden z gwardzistów, zdawał się zmartwiony. – To myślicie, ojczy, że nie wróci?

– A co ja mam myśleć? – odparł sokolnik, zadowolony z zainteresowania. – Wróci to wróci. Nie od nas to zależy. Orzeł wolny przecie jest, sam wybiera, nie? A też pani grafowa stropiona taka, jakby to pierwszy ptak się zgubił.

*Nie jestem stropiona!* – Ałun zawyła w myślach.

– Ale też nie dziwota, że stropiona – ciągnął Jakska uparcie. – Prawdziwy sokolnik to bez ptaka jak nie przymierzając bez ręki. – Tu mnich pogłaskał głowę usadzonego na jego siodle puchacza Tenar.

Gwardziści pokiwali głowami ze zrozumieniem. Jak wszyscy członkowie gwardii grafa Waldenu, byli szkoleni w sokolnictwie. Na siodle każdego z nich siedział zakapturzony ptak. Ałun знаła ptaki gwardzistów od pisklaka. Dwa jastrzębie – młody Funs i starszy, czerwonoooki Hild, stalowoszary sokół Kevar, rdzawy raróg Dunni i niemal identyczne, szare rarogi górskie Skani i Dyter. Gwardziści: Jorg, Maik, Rudi, Niklas, Berndt i Niko podróżowali z Ałun i Jaksą nie ze względu na jakieś wyjątkowe umiejętności, ale ze względu na ich skrzydlatych towarzyszy. Wśród wszystkich wyhodowanych na zamku Walden ptaków zaledwie garstka mogła przebywać w bliskości należącego do Jaksy puchacza Tenar bez atakowania go. Puchacz Jaksy zdawał się samą swoją obecnością prowokować agresję. Stary sokolnik twierdził, że ptaki generalnie nienawidzą sów, a puchaczy w szczególności. Ałun podejrzewała jednak, że Tenar

złośliwym spojrzeniem swoich żółtych oczu celowo prowokował ataki. Nie było wątpliwości, że zabijanie czy ranienie innych ptaków sprawiało mu przyjemność.

W ogóle puchacz Jaksy znany był ze swoich humorów. Bezwzględnie posłuszny swemu panu, zwykle był zupełnie nieprzewidywalny, kiedy znajdował się pod opieką innych ludzi. Jego nieprawdopodobnie dobry słuch i wzrok sprawiał, że rozpraszał go najmniejszy szelest czy ruch. Nie było to problemem, jeśli zainteresował się jakimś przebiegającym szczurem czy myszą. Niestety, dla Tenara atrakcyjne było wszystko, co się ruszało, włączając w to wąsy poruszające się na twarzach mówiących mężczyzn, warkocze falujące na wietrze czy luźne końce pasków. Ałun nie miała pojęcia, jak Jaksza zdołał ułożyć tego roztrzepanego puchacza i pozostać w jednym kawałku.

– Pani! – okrzyk gwardzisty Niklasa przerwał rozmyślenia grafini.

Ałun spojrzała w kierunku pokazywanym przez gwardzistę. Pasące się w pewnej odległości od drogi owce wydawały się zaniepokojone. Dwa kudłate, czarno-brązowe pasterskie psy z zapalem zaganiały beczące zwierzęta pod kępę rosnących na środku pastwiska, rozłożystych drzew. Towarzyszył im piskliwie poszczekujący szczeniak. Ałun rozejrzała się dookoła, szukając drapieżników. Poza samotną grupą drzew pastwisko pozbawione było wysokiej roślinności czy skał. Najmniejszy lis miałby trudności z ukryciem się na tej otwartej przestrzeni. Ałun zmarszczyła czoło, nie rozumiejąc zaniepokojenia pasterskich psów.

– Może Ałun? – odpowiedział Niklas.

Podróżnicy, jak na komendę, podnieśli wzrok ku niebu. Nad głowami nie dostrzegli żadnych, nawet najmniejszych ptaków.

– Musi być jakiś łowca – rzekł z przekonaniem Jaksza. – Ptaki też się pochowały.

Kudłate psy nerwowo czekały, zaganiając stado pod drzewa. Nigdzie nie było widać pasterzy. Jedna z owiec z uporem pozostawała na odsłoniętym pastwisku. Towarzyszył jej młody, może kilkumiesięczny szczeniak. Owca i szczeniak zdawały się traktować uciekanie dorosłym psom jak doskonałą zabawę.

Ałun w napięciu spoglądała w niebo, osłaniając oczy dłonią. Blask słońca przebijał się przez cienką warstwę szarych chmur wystarczająco mocno, aby oślepić.

– Tam jest! – wykrzyknęła, dostrzegając w końcu szybko obniżającą się sylwetkę potężnego ptaka.

– Sprytna, zaraza! – powiedział Jaksza z uznaniem. – Pod słońce podchodzi.

– To Ałun?! – dopytywał się Jorg.

– Nie wiem! Nie widać!



Smukła sylwetka orła obniżała się szybko. Jeden z dorosłych pasterskich psów, chyba suka, stracił cierpliwość dla krnąbrnej owcy i szczeniaka. Bezceremonialnie złapał szczeniaka za kark i pędem skierował się pod drzewo. Osamotniona nagle owca zabeczała niepewnie. Szerokie, pokryte białymi plamami skrzydła orła rozłożyły się, by wyhamować pęd tuż przed uderzeniem w ofiarę.

– To Ałun! – Grafini rozpoznała znajomą sylwetkę potężnego ptaka.

– Szybko! Zanim ją psy dopadną! – ponaglał Jaksą.

Ałun wcisnęła pięty w boki konia. Wierzchowiec parsknął i porwał się do galopu. Za plecami kobieta słyszała ruszających za nią towarzyszy. *Bogowie! Proszę, chrońcie Ałun!* – modliła się z narastającą obawą.

Rozpędzony orzeł złapał niespodziewającą się niczego owcę. Połączone uchwytem potężnych szponów ciała drapieżcy i ofiary przeturlały się po miękkiej trawie. Po chwili szerokie skrzydła uniosły się tryumfalnie ponad bezwładną nagle owcą. Spod drzewa dało się słyszeć groźne powarkiwania psów.

– Pani, bierz zysa! – Ałun usłyszała zza pleców okrzyk Jaksy. – Niklas, Jorg do psów!

Ałun zatrzymywała już konia. Wprawnym gestem chwyciła fałdy rozciętej z przodu spódnicy i jeszcze w biegu zeskoczyła z wierzchowca. Niemal przewróciła się, kiedy długi materiał sukni oplątał się wokół okrytych nogawicami łydek. Zakłęła soczyście pod nosem. Z furią podciągnęła spódnice i w kilku susach dobiegła do szarpiącego ciała owcy orła.

– Ałun!

Ogromne skrzydła uniosły się ponad ofiarą w obronnym geście. Złote szpony zaciskały się na pysku i głowie owcy. Bursztynowe oczy spojrzały groźnie na opiekunkę.

– Ałun! To ja! – powtórzyła kobieta łagodnie.

Owca nie ruszała się. Zdawała się martwa. Dla pewności Ałun wbiła nóż w poszarpane gardło zwierzęcia. Ubraną w grubą rękawicę dłonią osłaniała się przy tym od ostrego dzioba. Podniecony zapachem krwi ptak z zapalem szarpał ciało ofiary.

– Spokojnie, dziewczynko – mruzczała kobieta monotonnym głosem. – Spokojnie, zaraz się najesz.

Wprawnym ruchem wycięła pasek mięsa i ubraną w rękawicę dłonią podsunęła ptakowi krwisty kąsek.

– No już, Ałun, wskakuj – zachęciła orła. – Nie będziemy tu przecież sterczeć cały dzień.

– Małej, widzę, raz nie wystarczy – usłyszała zza pleców głos Jaksy. – Chce tę owcę zabić chyba z dziesięć razy!

Orzeł w końcu wskoczył na rękawicę. Zawzięcie szarpał przytrzymywany przez opiekunkę kawał mięsa.

– Mówiłam, że wróci! – tryumfowała Ałun.

– Ano, mówiliście – zgodził się Jakska.

Ałun spojrzała na sokolnika. W szarych oczach mężczyzny malowała się duma zmieszana ze smutkiem czy może tęsknotą. Jakska przybył do Lobardii z własnym, pochodzącym z gór Ortyszu orłem. Truwi, bo tak miał na imię ten ptak, umarła ze starości kilka lat temu. Po jej śmierci Jakska nie wziął już drugiego orła. Pomagał układać Ałun i jej brata Sturma, pomagał układać Hano i Leitari, ich rodziców. Twierdził jednak, że choć ptaki piękne, żaden mu jakoś na ręce nie leży.

– Wzięlibyście sobie, ojczy, jakiegoś zysa – powiedziała Ałun, widząc spojrzenie, jakim sokolnik obrzucił jej orła. – Przecież widać, jak wam tęskno.

– Dajcie już spokój z tym zysem, pani! Nawet jak znajdę takiego, co mi na ręce leży, to mi przecież życia nie starczy, żeby odchowić ptaka porządnie. Taki zys to na siódme, ósme pióro<sup>32</sup> pomyślunku dopiero dostaje. Gdzie mi tyle czekać!

– Na siódme pióro! – oburzyła się Grafini. – Ałun dopiero czwarte zaczyna, a patrzcie, jaka mądra.

– Do Truwi to jej jeszcze brakuje – roześmiał się sokolnik.

*Do Truwi to każdemu brakuje* – pomyślała Ałun, urażona brakiem entuzjazmu sokolnika. Jednakże nie mogła zaprzeczyć, że nieżyjący już zys Jaksy był zaiste niezwykłym ptakiem. Trudno było się zresztą dziwić. Truwi szkolona była przez górali z Ortyszu – najlepszych sokolników na świecie.

– Ale lata ta wasza Ałun niczym demon jakiś – rzekł Jakska, chcąc pocieszyć uczennicę.

Grafini, zadowolona z pochwały, z dumą uniosła orła na wyciągniętej dłoni.

– Widzieliście ten dosiad<sup>33</sup>?! Jeszcze trochę i na sarny będziemy polować!

– Dosiad był całkiem, całkiem, ale do saren to jeszcze długa droga! Tę owcę to i ślepy by złapał. Stała taka, bidulka, w trawkę się zapatrzyła. Pani grafowa raczy pamiętać, że sarny zwykle uciekają.

Grafini Walden aż sapnęła z oburzenia. *Co go dzisiaj ugryzło?! –* zastanawiała się. Nie mogła uwierzyć, że Jakska, jej najdawniejszy przyjaciel, kpił z Ałun, zamiast zachwycać się jej osiągnięciami. Zdenerwowana, ostentacyjnie odwróciła się od sokolnika.

– Nie słuchaj tego, Ałun – zwróciła się do orła tonem troskliwej matki. – Zobaczysz, jeszcze w tym roku pójdziemy na sarny! A w przyszłym to wilki mi

będziesz przynosić!

– Wilki! – zakpił Jaks. – Chyba takie ledwo co od cycka odstawione!

Ałun już otwierała usta, by bronić honoru orła. Przerwał jej donośny głos gwardzisty Jorga.

– Brat nam by tu mięsa lepiej dał, zamiast się z grafinią wyklócać!

– Psy już widać krew wyczuły! Nerwowe się robią! – dodał Niklas.

Ałun poprawiła uchwyt na pętach<sup>34</sup> i ruszyła ku swojemu wierzchowcowi.

– Niech się lepiej brat za to mięso zabierze – rzuciła przez ramię do starego przyjaciela. – Nie chcę sobie ubrudzić sukni.

Jaks. roześmiał się głośno. Delikatnie przełożył Tenara na łęk siodła i zeskoczył z konia. Ałun wydawało się, że stary sokolnik mamrocze coś pod nosem o upartych babach i ledwo co odrośniętych od ziemi orłach.

– I tak jesteś najlepsza! – powiedziała z przekonaniem do swojego orła.

Jaks. podkasał rękawy krótkiego podróżnego habitu i zabrał się za rozcinanie brzucha owcy. Jorg i Niklas czujnie obserwowali pasterskie psy. Reszta gwardzistów pozostała na drodze przy wozie. Ałun wspięła się na siodło, oparła dłoń na podczosie i delikatnie nasunęła kaptur na głowę orła. Piękny ptak wyglądał na zmęczonego, ale nie wydawało się, że poniósł jakieś obrażenia w czasie długiej nieobecności albo podczas ataku na owcę. Grafini musnęła ustami pióra ukochanego orła.

– Jesteś w domu, Ałun – wyszeptała.

Ponad głowę ptaka spjrzała na północ. Krajobraz przed jej oczami zapierał dech. Powietrze było krystalicznie czyste, a niebo zdawało się być niemal w zasięgu wyciągniętej dłoni. Spieniona, rwąca rzeka Segan wiła się pomiędzy wzgórzami. W oddali widoczna była mgła unosząca się nad Bruewolk, wodospadem wyznaczającym granicę krainy Arn Fedach. Cienie chmur przesuwały się szybko po łagodnych zboczach pastwisk. Pośród soczystej zieleni traw pstrzyły się wiosenne kwiaty i... *coś białego?* Ałun uniosła się w siodle i zmrużyła oczy. Cmoknęła na konia, który posłusznie postąpił kilka kroków ku poruszającej się w trawie plamie bieli. *Jakaś szmata?*

– Pani? – usłyszała za plecami głos gwardzisty Jorga.

– Chyba znalazłam pasterza! – rzuciła grafini przez ramię. – Pilnujcie psów, podjadę to sprawdzić.

– Zostańcie w siodle, pani – odparł Jorg. – Poślę z wami Rudiego.

Ałun skinęła głową i bez słowa ruszyła przez pastwisko. Rzeczywiście, plama bieli okazała się powiewającym na wietrze skrawkiem koszuli pasterza. Ułożony wygodnie we wgłębieniu ziemi, z rękami pod głową, młody wieśniak zdawał się

spać. Jego zarumieniona od słońca twarz była wychudła. Na policzkach rosły rzadkie kępki młodzieńczego zarostu. Kozuch i grube, wełniane spodnie nosiły ślady wielokrotnego naprawiania. Tylko koszula wyglądała na nową i była zadziwiająco czysta.

– Jeszcze się od Wiastowania<sup>35</sup> nie zdążył upaprać, leń taki – zakpił gwardzista Rudi.

– Co miał się upaprać? Psy ułożone pięknie, same stada pilnują – odparła grafini.  
– Dziwne tylko, że się w tym całym zamieszaniu nie obudził.

– Popił pewnie...

*Co miał nie popić?* – pomyślała Ałun. – *Życie ci wieśniacy mają takie, że nic tylko pić...*

– Obudzić go czy jak? – zapytał Rudi.

– Budzić, budzić! Jeszcze się porzyga, udławi i będziemy mieli chłopca na sumieniu!

Gwardzista posłusznie zsiadł z konia i czubkiem buta szturchnął bok śpiącego pasterza. Wieśniak mruknął przez sen, ale nie otworzył oczu. Rudi pochylił się nad nieprzytomnym chłopakiem, wężąc.

– Chyba jednak nie popił – stwierdził po chwili ze zdziwieniem. – Chory jakiś?

– Daj, potrzynam Dytera – zaniepokoiła się Ałun. – Jeszcze ptak coś złapie.

Rudi cofnął się kilka kroków. Instynktownie wyciągnął dłoń, w której trzymał raroga, jak najdalej od nieprzytomnego pasterza. Ałun uśmiechnęła się pod nosem. Jak wszyscy sokolnicy z Waldenu, Rudi bardziej bał się o zdrowie swojego ptaka niż o swoje własne. Grafini oplątała wodze wokół łęku siodła, naciągnęła rękaw kozucha na dłoń, tworząc prowizoryczną rękawicę, i przejęła raroga Dytera z rąk gwardzisty.

Rudi sprawnie przeszukał śpiącego wieśniaka. Przy jego pasie znalazł poszczerbiony nóż i kilka sakiewek. Odrzucił nóż na bezpieczną odległość, po czym zabrał się za przeszukiwanie sakiewek. Jedna z nich zawierała kilka małych wysuszonych grzybków.

– Tromen<sup>36</sup> – powiedział kwaśno, pokazując charakterystyczne niebieskie zabarwienie wysuszonych nóżek grzybów.

Gwardzista przyłożył palce do szyi nieprzytomnego wieśniaka i kilkukrotnie poklepał jego twarz. Pasterz pod wpływem uderzeń otworzył na chwilę powieki, wymruczał coś niezrozumiałego i ponownie zasnął.

– Zdrowy – oznajmił po chwili gwardzista. – Śpi, bo się grzybków najadł.

– No, to rzygać nie będzie – z zadowoleniem stwierdziła Ałun. – Nic tu po nas. Zabieramy się!

Dzień już miał się ku końcowi, kiedy kompania waldeńskich podróżników w końcu dotarła na skraj równin Kalderu. Krajobraz w tej okolicy był dużo bardziej monotony niż w krainie Arn Fedach. Dominowały tu winnice i ciemne, dopiero co zaorane pola. Równa, ułożona z kamieni droga prowadziła prosto do widocznych w oddali szarych murów klasztoru. Wieśniacy schodzili już z pól i okolica pełna była wydziobujących ziarna ptaków. Sokolnicy ucieszyli się na ten widok jak dzieci. Puszczane po kolei rarogi, jastrzębie, sokół i puchacz siały pogrom wśród szkodników pól. Orzeł Ałun, wypoczęty już po porannej eskapadzie, po kilku przelotach złapał dwa zające.

– *Ta Beata Straube to ma życie...* – Kpiący głos Ioni odezwał się niespodziewanie w głowie grafini.

– *Ioni!* – zdziwiła się Ałun. – *Co ty tu robisz? Myślałam, że Kalder to robota z Nyss?*

– *Nyss jest zajęta, więc pomyślałam, że wpadnę w odwiedzin* – odparła przodkini.

– *Zawsze to miło, ciotka. Wiesz coś może o tej robocie u Godwulfów?*

– *To ty nic nie wiesz?* – zdziwiła się Ioni.

– *Wiem tyle, że mam tam być i że szukamy Alwiny Godwulf. Nyss wpadła kilka dni temu, kazała się pakować. Myślałam, że mi po drodze coś wyjaśni. Już drugi dzień się tłukę i jak do tej pory nikt mi nic nie powiedział.*

– *Nie wiedziałam. Bardzo cię przepraszam, skarbie* – odparła przodkini. – *Takie teraz zamieszanie, że nie wiadomo, w co ręce włożyć. Nyss prowadzi trzy dziewczyny w zamku i jeszcze dwie w Starwie. Cała reszta przodkiń albo przygotowuje Dabor na przyście Witii, albo Witię na Wiec Żeglarzy. Jakby tego było mało, sama Witia się pokłóciła z Weną, rozwalila zaświaty...*

– *Rozwalila co?!*

– *Zaświaty! Rozwalila zaświaty. Olena mówi, że mało Pierścienia nie odrzuciła, tak się wkurzyła. Wszystkie teraz chodzimy na paluszkach, żeby jej nie zdenerwować.*

– *Wena też?* – dopytywała się Ałun, szczerze zdziwiona.

Widziała poprzednią Witię tylko raz, wiele lat temu. Z tego, co pamiętała, Wena nie wydawała się zdolna do chodzenia na paluszkach czy przejmowania się tym, żeby kogoś nie zdenerwować.

– *No... Można tak powiedzieć...* – zawahała się Ioni. – *Ostatnio jakby trochę mniej się rządzi.*

– *Proszę, proszę... To się porobiło.* – Ałun pokręciła głową z niedowierzaniem. – *Ktoś w końcu utarł Wenię nosa.*

– *Udała nam się Witia, trzeba przyznać* – rzekła Ioni z dumą.

Ałun uśmiechnęła się w myślach. W ciągu ostatnich kilku tygodni wiele słyszała o nowej przywódczyni Daboru. Pomimo młodego wieku Witia uzyskała błogosławieństwo boga, zdobyła wierność rusałek, pokonała prawdziwą czarownicę i zdołała utemperować dyktatorskie zapędy Weny. Jakby tego było mało, podobno jej moce rosły bardzo szybko. Ałun nigdy nie była skłonna do optymizmu, jednak pod wrażeniem osiągnięć młodej Witii ostatnimi czasy pozwoliła sobie na odrobinę nadziei, że Dabor przetrwa szalejące nad nim burze.

– *Jak idzie dziewczynom Nyss?* – zapytała po chwili milczenia. – *Coś już wiadomo o tej czarownicy?*

– *Czekaj, pokażę ci.*

– *Nie pokazuj! Powiedz mi! Przynajmniej sobie daborskiego postucham!*

Przekazywanie informacji obrazami, a nie słowami było bardziej efektywne i mniej czasochłonne. Jednak po latach spędzonych na mówieniu po hemarsku Ałun nie chciała przepuścić najmniejszej okazji, aby posłuchać ojczyściego języka.

– *Proszę!* – wysłała przymilną myśl do przodkini.

– *Już dobrze, dobrze* – zgodziła się niechętnie Ioni, po czym rozpoczęła relacjonowanie wydarzeń. – *Sprawy wyglądają tak: po kilku dniach w Kalderze na razie mamy głównie plotki i domysły. Muszę przyznać, że idzie to jak rwanie zębów... Sama wiesz, że Godwulfowie nie są zbyt gościnni.*

– *To prawda. Wybierałam się tam kilka razy, ale zawsze odwołali datę odwiedzin w nieskończoność. Tłumaczyli się jakimś chorym na umyśle synem* – przypomniała sobie Ałun. – *Że niby obcy go denerwują czy coś.*

– *Dokładnie* – potwierdziła przodkini. – *Alwina ma obłąkanego brata, który podobno włóczy się po zamku i rozmawia z jakimiś nieistniejącymi ludźmi. Jak dziewczyny próbowały go podpytać o matkę, to jakiegoś ataku narwet dostał.*

– *Popatrz, a myślałam, że tego syna wymyślili* – wtrąciła Ałun.

– *Widać nie* – odparła Ioni. – *Ale, wracając do historii... Nie dowiedzieliśmy się wiele od okolicznej szlachty. W całym zamku nie uświadczysz służącego starszego niż dwadzieścia kilka, góra trzydzieści lat, co samo w sobie jest zadziwiające. Do tego mamy portrety żon ostatnich trzech grafów. Nyss twierdzi, że podobieństwo rysów jest zadziwiające i że wszystkie wyglądają jak ta czarownica, która zaatakowała Witę.*

– *Z tymi portretami to ja bym była ostrożna* – wtrąciła Ałun. – *Taki malarz przecież chce, żeby się portret podobał. Jak buzia krzywa, to wyprostuje, ząbki domaluje, włosek doda...*

– *Też prawda* – zgodziła się Ioni, cierpliwie znosząc komentarze podopiecznej. – *Ale, wracając do historii... Sama Alwina wyjechała do Trybaldu kilka lat temu.*

Podobno mniej więcej w tym samym czasie umarła jej matka, nie pamiętam, jak jej było, Gertruda czy coś. Graf ma teraz około sześćdziesiątki, po śmierci żony znalazł sobie jakąś młodkę, Neugebau zdaje się.

– Tych Neugebau?! Von Brester<sup>37</sup>? Wżenił się w rodzinę Cesarza? – zdziwiła się Ałun.

– Nie, no coś ty! Ta mała jest von Geler. Jeśli nawet jest kuzynką Cesarza, to pewnie jakiegoś dziesiątego stopnia, to się w ogóle nie liczy. Zresztą, nieważne. Wracając do historii. Graf się z tą małą syna dorobił. Dziewczyny Nyss nijak się do starego Godwulfa nie mogą dostać, bo ta jego żona to jędba taka, że nie uwierzysz.

– Wcale jej się nie dziwię – wtrąciła się Ałun. – Jakby sobie graf kochankę znalazł, to może by kolejnego potomka splotził. Musiałaby się dziewczyna majątkiem podzielić.

– Dokładnie. Dlatego Nyss pomyślała o tobie.

– O mnie? Mam porozmawiać ze starym grafem?

– Z grafinią raczej. Starsza już jesteś...

– Starsza?! – oburzyła się Ałun.

– Ałun, jak mam opowiadać, jeśli się co chwilę wtrącasz?! – Ioni traciła cierpliwość.

Ałun przewróciła w duchu oczami. Wcale nie jestem stara – pomyślała, szczerze dotknięta.

– Skarbie, oczywiście, że nie jesteś stara. – Ioni próbowała ułagodzić podopieczną. – Ale ta mała ma osiemnaście czy dziewiętnaście lat! Ty masz ile, trzydzieści kilka? Dla niej równie dobrze mogłabyś być już martwa. Do tego masz męża, dzieci i znacznie większy majątek, niż Godwulfom może się przyśnić. Nyss pomyślała, że młoda grafini nie będzie widziała w tobie zagrożenia. Może nawet wręcz przeciwnie.

– Znaczący mam być jej mentorką?

– Właśnie! Zaprzyjajźnij się z biedaczką, porozmawiaj o ciężkiej doli...

– Ale ja nie lubię przyjaźnić się z babami... – skrzywiła się Ałun.

– Pani? – zaniepokoił się jadący obok niej Niklas.

– No i czego się krzywisz? – skarciła ją Ioni.

– To nic, Niklas. – Ałun uspokoiła gwardzystę. – Tak mnie tylko w kościach łupie.

– W kościach łupie?! – zakpiła przodkini. – Tyle lat w robocie i jeszcze się nie nauczyłaś buzi trzymać bez wyrazu, jak z ciotką rozmawiasz?

– Każdemu się może zdarzyć... – odburknęła Ałun

– Tobie nie powinno! Wiesz, jak ważna jest twoja pozycja. Nie możemy pozwolić sobie, żeby ktokolwiek zaczął podejrzewać, że straciłaś rozum!

– Wiem... – zawstydzona grafini skupiła się na strzepywaniu niewidocznych paproszków ze skrzydeł swojego orła.

Ioni westchnęła, po czym podjęła:

– *Warto byłoby się rozejrzeć po zamku. Może dasz radę dostać się do starych komnat Alwiny czy jej matki? Wypytać Godwulfa o tę jego żonę i córkę. Znał je jednak przez długi czas. Może zauważył coś dziwnego?*

– *Czyli zakładamy, że te trzy grafynie to Alwina, tak?*

– Dokładnie. Wszystkie trzy są pochowane w okolicznym klasztorze, w kryptach. Nyss pomyślała, że skoro i tak będziesz tędy przejeżdżać, mogłabyś może spróbować się czegoś dowiedzieć.

Ałun odwiedzała klasztor w Kalderze dość często. Mnisi spędzali większość czasu na modlitwach, śpiewaniu pobożnych pieśni oraz uprawianiu ziół i winorośli. Ałun nie przepadała za nimi. Uważała, że ci wykształceni mężowie mogliby być dużo bardziej przydatni, gdyby, jak daborskie zielarki, zaangażowali się w pomaganie miejscowej ludności.

– *Spróbować zawsze można. Jeśli są pochowane w kryptach, to może i do sarkofagów da radę zajrzeć?* – Grafini zamyśliła się, rozważając możliwe sposoby dostania się do krypt klasztoru.

– *Ałun, na bogów, tyko bądź ostrożna!* – zdenerwowała się Ioni. – *Jeszcze cię będziemy potrzebowały w Trybaldzie!*

– *W Trybaldzie?!*

– *A w Trybaldzie. Dziewczyny pomyślały, że mogłabyś z tą twoją gwardią połapać trochę gołębi.*

– *Jakich znowu gołębi?!*

– *Gołębi niosących do Trybaldu wiadomość o nadejściu Witii* – tłumaczyła cierpliwie Ioni. – *Mylisz, że Veit Astholm nie będzie miał szpiegów na wiecu Żeglarzy?*

– *Pewnie będzie* – zgodziła się Ałun. – *Czyli zaczynamy od grzebaniach w sarkofagach, potem pocieszanie nastoletniej jędzy, a potem łapanie gołębi?*

– *Skarbie, pamiętasz, co ci powiedziałyśmy z Nyss, kiedy rodził się Iwo?*

– *Może być trudno, może być brudno, ale na pewno nie będzie nudno* – wyrecytowała Ałun.

– *Właśnie* – roześmiała się Ioni. – *Trzymaj się ciepłutko, bo teraz naprawdę już muszę iść.*

Chwilę potem w głowie Ałun zapanowała cisza.

\*\*\*

Beda był najstarszym oblatem<sup>38</sup> w klasztorze wortysów w Kalderze. Mury opactwa były jedynym domem, jaki znał. Został oddany pod opiekę mnichów,



kiedy miał zaledwie trzy lata. Nie pamiętał swoich rodziców. Nie wiedział, kim byli i czemu postanowili oddać go do klasztoru. Mnisi powtarzali mu, że jako oblat, ofiarowany bogu, powinien chwalić Pana i z pokorą poddać się Jego woli. Od innych mieszkańców klasztoru słyszał czasem, że jego rude włosy i zielone oczy były niezawodnym dowodem na pokrewieństwo z czarownicą albo wilkołakiem. Informacje znalezione w księgach przechowywanych w bibliotece klasztoru potwierdzały wilkołaczo – wiedźmową teorię jego pochodzenia. Z opasłych tomów Beda nie dowiedział się jednak, czy przypadłość jego rodziców dotknie również jego. Jednakże na wszelki wypadek unikał pełni księżyca i kiedy tylko mógł, polerował klasztorne srebro. Raz nawet chciał napić się soku z tojadu<sup>39</sup>, ale szczęśliwie mnisi zatrzymali go, zanim zdołał zażyć śmiertelną truciznę.

Razem z Bedą w opactwie wychowywało się wielu innych chłopców. Niektórzy po osiągnięciu odpowiedniego wieku przyjmowali święcenia i pozostawali w zakonie. Niektórym mnisi znajdowali posady skrybów czy kancelistów. Wielu oddawano na nauki okolicznym rzemieślnikom lub kupcom. Tylko Bedy jakoś nikt nie chciał wziąć. Jeszcze jako mały chłopiec często wyobrażał sobie, że któregoś dnia odjedzie przez bramę klasztoru jako giermek jakiegoś szlachetnego rycerza lub nawet samego księcia. Potem marzył o karierze kowala lub flisaka. Z czasem rzeczywistość utemperowała jego pragnienia. Teraz ucieszyłby się z odjazdu w towarzystwie młynarza czy nawet piekarza. Brat Heribert, bibliotekarz i opiekun oblatów, mawiał, że sam pan w Niebiosach wybrał chłopaka na swojego sługę i dlatego nie pozwalał na jego odejście z murów opactwa. Beda zwykle bardzo szanował opinie brata Heriberta, jednakże w tym wypadku miał nadzieję, że bibliotekarz się myli. Wizja spędzenia całego życia w milczeniu, na ciągłych modlitwach wydawała mu się straszniejsza niż przemiana w wilkołaka. Beda zupełnie nie nadawał się do klasztornego życia. O ile lubił książki i obowiązkową dla wszystkich oblatów naukę historii, wszystkie inne aspekty takiego bytowania były dla niego nie do zniesienia. Praktycznie codziennie zasypiał podczas nokturnów<sup>40</sup>, przynajmniej raz w tygodniu budzono go w czasie laudesów<sup>41</sup>, nigdy nie mógł usiedzieć spokojnie przez niemożliwie dłużące się tercje, seksty i nony<sup>42</sup>. Tylko wieczorne wespery i komplety<sup>43</sup> jakoś mu wychodziły.

Poza modlitwami i studiowaniem ksiąg mnisi nie robili wiele. Wszystkie prace w klasztorze i okolicznych winnicach wykonywane były przez ludność zamieszkującą służebne wioski. Jediną fizyczną pracą wykonywaną przez zakonników było pielienie klasztornego ogrodu, przesuwanie krzesel w refektarzu i przenoszenie ciężkich ksiąg z półek na pulpity w skryptorium. Nuda i nieustanne towarzystwo

mnichów doprowadzały Bedę do szału. W klasztorze nikt nigdy nie był sam. Mnisi i oblaci spali razem, jedli i pracowali razem. Ba, nawet kąpali się razem. Jednak choć chłopak cały czas przebywał wśród ludzi, nie mógł z nimi rozmawiać. Reguła wortysów była bardzo surowa i zezwalała na przerwanie milczenia tylko dwa razy w ciągu dnia – po porannej kapitule i po obiedzie. W tym czasie przeprowadzane były lekcje dla oblatów, w trakcie których uczniowie musieli w milczeniu słuchać nauczycieli. Nakaz zachowania ciszy był dla Bedy najtrudniejszy do zniesienia. Regularnie przynajmniej raz na dwa-trzy tygodnie dostawał baty jako karę za odzywanie się w nieodpowiednim czasie.

Po kilkunastu latach spędzonych w murach kalderskiego opactwa chłopak doszedł do wniosku, że wszystko jest lepsze niż życie mnicha. Przez lata łamał sobie głowę, jak wydostać się z klasztoru. Wychodził z siebie, żeby przekonać odwiedzających opactwo gości, jak doskonałym sługą, czeladnikiem czy skrybą mógłby być. Bezskutecznie. W końcu w desperacji spróbował uciec. Niestety, daleko nie zaszedł. Z powodu swojej szaty i ładnej wymowy bardzo szybko został zidentyfikowany jako oblat i zwrócony pod opiekę mnichów. Ta nieudana próba ucieczki nie zraziła go jednak. Nauczyła go jedynie, że następnym razem musi się dużo lepiej przygotować. Ucieczka z klasztoru nie była bowiem trudna. Trudne było pozostanie poza murami opactwa. W tym celu potrzebował nie tylko nowych ubrań, innego akcentu i mniej wyrafinowanego słownictwa. Potrzebował również wiarygodnej historii o swoim pochodzeniu i celu podróży. Po miesiącach rozważania tych kwestii doszedł do wniosku, że najlepszym celem jego ucieczki będzie zamek Walden w górach Arn Fedach. Dowiedział się bowiem, że nabór do waldeńskiej gwardii przeprowadzany był nie na podstawie referencji, lecz poprzez serię prób wytrzymałości i siły. Aby zostać dopuszczonym do tych prób, musiał jedynie udowodnić, że pochodzi z gór Arn Fedach. Po uważnym przestudiowaniu ksiąg i listów kopiowanych w skrytorium wydawało się to całkiem osiągalne. Stopniowo w głowie chłopaka narodził się plan.

Z podsłuchanych rozmów i własnych obserwacji Beda dowiedział się, że Beata Straube, grafini von Walden, podróżuje regularnie po Lobardii. Przynajmniej raz w roku zatrzymywała się w kalderskim klasztorze. Spędzała tu dwie, najdalej trzy noce, po czym wyruszała w dalszą drogę rzeką Segan, na podkładzie barki. Grafini zawsze podróżowała w towarzystwie swojego spowiednika, brata Blodiego, i kilku gwardzistów. W czasie jej pobytu w opactwie opat i przeor klasztoru zwykle wybierali się na polowanie z bratem Blodim i jego puchaczem. Pod nieobecność obu głów kapituły mnisi pili do kolacji znacznie więcej wina niż zwykle. W rezultacie następnego dnia surowa dyscyplina klasztoru ulegała rozluźnieniu. Beda

planował wykorzystać to zamieszanie, aby uciec. Następnie zamierzał zakraść się na barkę, na której podróżować mieli waldeńcy. Już na rzece chciał przedstawić się grafini jako osierocony syn górala z Arn Fedach. Na podstawie dostępnych map i opisów gór Beda opracował szczegółową historię swojego pochodzenia. Zapamiętał nazwy okolicznych wiosek, pogodę, nawet dostępne w spisach ludności imiona mieszkańców osady, z której jakoby miał pochodzić. Przygotował ziołową mieszankę, którą zamierzał ufarbować swoje rude włosy na czarny, typowy dla górali kolor. Aby wykazać swoją użyteczność dla grafini, miesiącami podpatrywał klasztorną służbę, by nauczyć się prania, cerowania, oczyszczania futer i przygotowywania prostych posiłków. W czasie podróży po Lobardii planował bowiem zżyć się z waldeńczykami i być tak pomocny, żeby po powrocie do Arn Fedach nikt nawet nie rozważał kwestionowania jego pochodzenia czy przydatności dla gwardii.

Ku radości Bedy w tym roku grafini i jej świta przyjechali bardzo wcześnie, zaledwie pięć dni po Zwiastowaniu. Chłopak ucieszył się jeszcze bardziej, kiedy usługując mnichom podczas kolacji podsłuchiwał opata, przeora i brata Błediego, planujących nocne polowanie. W końcu po miesiącach, prawie latach planowania nadszedł czas działania. Beda wiedział, że ta noc będzie pierwszą nocą jego wolności. Z trudem opanował drżenie rąk i uspokoił myśli. W zwyczajowym milczeniu przeczekał do końca wieczery i wraz z innymi braćmi udał się na spoczynek.

Wydawało się, że minęła wieczność, zanim oddechy śpiących w dormitorium mnichów uspokoiły się. Ostrożnie wstał z siennika i cichutko opuścił sypialnię. Boso, na paluszkach przemknął się schodami na parter, do kościoła i prowadzących do krypt drzwi. W duchu podziękował bratu Gunterowi, któremu powierzone zostały obowiązki zakrystiana. Zawiasy na ciężkich, prowadzących do krypt drzwiach były dobrze naoliwione i otworzyły się niemal bezszelestnie. Beda wsunął się do ciemnego korytarza i pospieszył w dół kamiennych schodów, do podziemi. Tam, poutykane w ossuariach, schowane były jego skarby. Gruby worek, świeckie ubrania, koc, zioła do farbowania włosów i pusty bukłak – wszystko, co niezbędne dla powodzenia ucieczki. Beda musiał tylko spakować te przedmioty i umieścić je bezpiecznie w stajniach przy klasztornej bramie. Uciec planował tuż po nokturnach, po których mnisi zwykle wracali do dormitorium, aby nabrać sił na poranną jutrznię. Był przekonany, że zdoła pokonać przynajmniej połowę, a może nawet całą drogą do rzeki, zanim otępieni nadmiarem wina zakonnicy zorientują się, że w klasztorze brakuje najstarszego oblata.

Pozbierał wszystkie schowane po ossuariach przedmioty i rozłożył je na ziemi, za najbardziej oddalonym od wejścia do krypt sarkofagiem. Spędził dłuższą chwilę, podziwiając w milczeniu owoce wielomiesięcznych starań. W końcu schował wszystko do worka, podniósł się i skierował się ku wyjściu.

Zaniepokojony, zatrzymał się tuż przed schodami. W powietrzu unosił się bardzo słaby, ledwo wyczuwalny zapach mięty i rumianku. Odwrócił się, by spojrzeć raz jeszcze ku oświetlonym bladym światłem lampek kryptom. Wydawało mu się, że w półmroku dostrzegł smukłą, ubraną w biel postać. *Anioł?* – przemknęło mu przez myśl.

Chwilę potem poczuł uderzenie w głowę i osunął się w ciemność.

\*\*\*

Ałun nie mogła uwierzyć, jak proste okazało się wejście do krypt. Wystarczyło tylko poczekać, aż mnisi udadzą się na spoczynek. Okazało się, że po zachodzie słońca ciemne korytarze klasztoru były zupełnie opustoszałe. Przez całą drogę do podziemi kościoła podążali za nią Jorg i Niklas. Obaj mężowie spędzili w gwardii Waldenu wiele, wiele lat. Dawno temu porzucili wiarę w hemarskiego boga i z zapalem odrodzonych sokolników wyznawali Łowcę. Nie mieli najmniejszego problemu z plądrowaniem sarkofagów czy nawet zabijaniem zakonników. Jak większość zaprzysiężonych gwardzistów, byli bezwzględnie oddani Łowcy i Jego kapłanowi – bratu Blodiemu.

Ałun przemykała korytarzami ubrana w lekkie giezło. W razie napotkania mnichów miała udawać somnambuliczkę, za którą podążają gwardziści, by ją chronić, nie budząc ze snu. Powszechnie wiadome było, że obudzenie osoby chodzącej we śnie mogło skończyć się jej nagłą śmiercią. Ałun była przekonana, że bogactwo i wpływy grafini von Walden będą wystarczającym powodem, aby mnisi przymknęli oko na jej nocne spacerki.

W końcu bez żadnych problemów dotarli do krypt. Hemarczycy byli niezwykle przesadnym ludem. Panicznie obawiali się wampirów, wilkołaków, czarownic czy duchów. Było więc bardzo mało prawdopodobne, aby ktokolwiek przebywał w podziemiach o tak późnej porze. Jednakże Ałun nie lubiła opierać swoich działań na prawdopodobieństwach. Zatrzymała się na ostatnim stopniu schodów i uważnie rozejrzała po kryptach.

*To jest o wiele za łatwe* – pomyślała z rodzącym się niepokojem. W podziemiach panował półmrok. Zgodnie z hemarską tradycją na każdym sarkofagu paliła się mała olejna lampka. Powietrze pachniało zimną wilgocią, palonym olejem i...

potem? Rozejrzała się, zaniepokojona. Dała znak gwardzistom, aby pozostali w bezruchu. Ostrożnie postąpiła kilka kroków, pilnując, aby pozostać w cieniu. Nagle gdzieś z głębi krypt rozległo się westchnienie, sapnięcie i głuchy stuk, jakby ktoś zarzucał worek na ramię. Ałun przeklęła biel swojego giezła i najciszej jak potrafiła schowała się za najbliższym sarkofagiem. Kątem oka dostrzegła zakapturzoną postać, zmierzającą pewnym krokiem ku wyjściu z podziemia. *Wiedziałam, że to było zbyt łatwe* – pomyślała. Sięgnęła po zawieszony na szyi woreczek ze Snem. Tak uzbrojona, skoczyła ku zakapturzonej postaci. Chwilę potem usłyszała głuche łupnięcie i ciało mnicha osunęło się bezwładnie na ziemię.

– Pierwszy! – powiedział Jorg z szerokim uśmiechem.

– Już go prawie miałam! – marudziła Ałun.

Jorg uśmiechnął się jeszcze szerzej. Nie powiedział nic, ale jego rozbawiona mina była wystarczającym komentarzem. *Trzeba było się pospieszyć* – czytała grafini w ciemnych oczach gwardzisty. Jorg pochylił się nad ogłuszonym mnichem, zsunął kaptur z jego głowy i dotknął szyi.

– Łowco, to jeszcze dzieciak! – wykrzyknęła Ałun na widok szczupłej, chłopięcej twarzy.

– Żyje – uspokoił ją Jorg. – Nic mu nie będzie.

– Zabierajmy się lepiej za tych umarłaków – powiedział jak zwykle rzeczowy Niklas.

\*\*\*

Beda leżał na zimnej posadzce i powoli odzyskiwał przytomność. Stłumione dźwięki szurania i stękania przebijały się stopniowo przez mgłę otępienia. Zajęło mu chwilę, aby zdać sobie sprawę z tego, gdzie jest i co się stało. Pomimo tępego bólu głowy i zimna bijącego od kamiennej podłogi jego oddech pozostał spokojny, a ciało nieruchome. Chłopak z wdzięcznością pomyślał o długich latach spędzonych na unikaniu i przesypaniu nocnych modłów. Umiejętność wyglądania na przytomnego w czasie snu, jak również udawanie głębokiego uspienia pomimo przytomności były pierwszymi zdolnościami, jakie rozwijali oblaci zakonu wortysów.

– Już te ślipia winien otwierać. – Głęboki męski głos odbijał się echem od kamiennych ścian krypt.

– Widać słabiutkie te mnisie makówki – zażartował inny mężczyzna.

– Pilnujcie go tam! Jeszcze tego brakowało, żeby nas jakiś oblat przyłapał.

Trzeci głos należał do kobiety i był zadziwiająco podobny do głosu grafini von Walden. Jednakże w przeciwieństwie do łagodnej i cichej mowy grafini, w tym kobiecym głosie pobrzękiwało zdecydowanie i stanowczość. Bardziej zainteresowany niż przestraszony chłopak delikatnie uchylił powieki, aby lepiej rozeznaczyć się w sytuacji.

Chwilę potem oszołomiony Beda mrugnął kilkakrotnie, zupełnie nie rozumiejąc, na co patrzy. Wydawało się, że jeden z waldeńskich gwardzistów potężnymi ramionami przytrzymał otwarte wieko kamiennego sarkofagu. Drugi oświetlał wnętrze grobowca, do którego wnętrza zaglądała jakaś ubrana w biel postać. *Co oni robią?* – zastanawiał się chłopak. Uchylił powieki nieco szerzej, aby lepiej przyjrzeć się poczynaniom waldeńczyków. Ubrana w biel postać wyraźnie szukała czegoś we wnętrzu sarkofagu. *Plądrują grobowiec?!*

Beda zamknął oczy, by przemyśleć sytuację. Doszedł do wniosku, że skoro wciąż jest żywy, waldeńczycy prawdopodobnie nie chcą go zabić. Wyglądało na to, że zależy im tylko na dyskrecji. *Może graf Waldenu potrzebuje złota?* – zgadywał. – *I wysyła gwardzistów, żeby okradali groby?* Beda dość dobrze pamiętał rozmieszczenie krypt i był prawie pewny, że otwarty sarkofag należał do grafini Kalderu. Jeśli miał rację...

– Nic tam nie znajdziecie, szlachetni panowie – powiedział najspokojniejszym głosem, na jaki mógł się zdobyć.

Mgnienie oka później jeden z gwardzistów pochylał się już nad nim z pięścią gotową do ciosu. Beda nigdy nie widział nikogo, kto potrafiłby ruszać się tak szybko. Chociaż, musiał przyznać, wiele w życiu nie widział, a ludzie, z którymi miał codziennie do czynienia, zwykli wykonywać wszelkie czynności powoli i z namaszczeniem.

– Stój! – Głos białej postaci zatrzymał pięść gwardzisty.

*Niewiasta? Rozkazuje mężom?* – Oblat był już zupełnie ogłupiały.

– Pozwól mu mówić. – Kobieca postać wyprostowała się ponad otwartym sarkofagiem.

Beda nawet nie zauważył, że silne dłonie gwardzisty poderwały go z ziemi. Jedyne, co widział, to smukłe ciało kobiety prześwitujące przez cienki materiał gieźla. Śnieżnobiała materia opływała drobne piersi i łagodne łuki bioder. Światło lampki palącej się na sąsiednim sarkofagu rozjaśniało przestrzeń pomiędzy gładką linią ud.

– Mów, jak pani każe! – usłyszał jak przez mgłę.

Beda czuł fale gorąca, napływające na policzki. Ból głowy minął jak ręką odjął. Jego ciało ogarnęła dziwna, niezrozumiała miękkość i twardość zarazem. Zupełnie

nie mógł pozbierać myśli. Czuł się tak, jak wtedy, kiedy śnił te sny, które miewał ostatnimi czasy. Sny pełne rozmytych kształtów, wypełnione szeptami i ogromnym, niezaspokojonym pragnieniem. Sny, które mnisi nazywali nieczystymi, a o których Beda marzył, by przychodziły co noc.

– Jak ma mówić, jak mu kuśka stoi? – zarechotał gwardzista przytrzymujący wieko sarkofagu.

– Pani, okryj się. – powiedział ten, który go trzymał

Chwilę potem potężne dłonie puściły ciało Bedy. Wpatrzony w kobietę postać oblat ledwo mógł ustać na nogach. Okryte białą materią ciało niewiasty poruszyło się. Pod wpływem tego poruszenia cudowne krągłości zarysowały się pod miękkim gieźlem jeszcze wyraźniej. Ciało oszołomionego Bedy eksplodowało falą rozkoszy. Chłopak, zgięty w pół, opadł na kolana.

Kryptę wypełniło niezręczne milczenie. W końcu w półmroku dał się słyszeć stłumiony kobiecy chichot. Po chwili dołączył do niego cichy śmiech gwardzistów.

– No, to sobie braciszek użył – zakpił jeden z mężów.

Beda powoli odzyskiwał opanowanie. Zupełnie nie rozumiał, co się z nim stało. Wypełniało go miękkie uczucie spokoju i jedności ze światem. Jego policzki pałały jednak rumieńcem i wydawało mu się, że powinien być zawstydzony. Usłyszał miękkie kroki i po chwili owiał go delikatny zapach mięty i rumianku.

– Lepiej? – usłyszał łagodny głos grafini von Walden.

– Pani... – zaczął ochryple.

– Ciii, spokojnie, nic się nie stało – przerwała mu grafini. – Mówiłeś, że nic tam nie znajdziemy? Co miałeś na myśli?

Beda nie odważył się podnieść wzroku ku pani von Walden. Odchrząknął kilkukrotnie, starając się wydobyć głos z zaschniętego gardła.

– Pij, chłopie. – Potężny gwardzista wcisnął bukłak w jego dłonie. – I mów, jak pani pyta!

– No, ten... tego... – Oblat próbował pozbierać myśli.

– Patrzta, jaki nieużyty! Może jeszcze pospać sobie chce?! – kpił rubasznie gwardzista.

– Ukochać go może trzeba? Przytulić?

Grafini parsknęła śmiechem. Beda miał wrażenie, że jego policzki palają żywym ogniem. Pociągnął długi łyk z bukłaka. Nie był specjalnie spragniony, ale wszystko było lepsze niż bezczynne palenie się ze wstydu.

– No! Mówże! – Zniecierpliwiony gwardzista walnął go w ucho.

Pod wpływem uderzenia ból głowy powrócił zupełnie niespodziewanie, rozjaśniając poplątane myśli Bedy.

– Mówiłeś, że nic nie znajdziemy? – zachęciła grafini łagodnie.

– Tak, pani – odparł oblat pewniejszym głosem. – Mówiłem, że nie znajdziecie, bo już wszystkie kosztowności z grobowca świętej pamięci pani von Kalder zabrane. Ale ja wiem, gdzie są. I wszystko powiem, tylko żebyście mnie ze sobą zabrali...

– Patrzaj, ki chodok się znalazł! Zabierać się mu z nami zachciało!

– Jorg, daj spokój chłopakowi. – Grafini skarciła gwardzistę, po czym zwróciła się do oblata: – A czemu to, mówisz, kosztowności zabrane? Ktoś tu krypty okrada?

Beda spojrzał ze złością ku potężnemu Jorgowi. Narastający gniew wypalił resztki miękkiego otępienia. Tyle miesięcy planowania, tyle przygotowań. Wszystko poszło na marne przez tych głupich gwardzistów. Oni sobie w spokoju pojedą dalej, a Beda zostanie w klasztorze do końca swoich dni. *Niedoczekanie!* – pomyślał i z uporem zacisnął wąskie usta. *Nic im nie powiem!*

– Nic nie powiesz? – zapytała grafini.

Beda zacisnął usta jeszcze bardziej i buńczucznie pokręcił głową. Potem w przypiływie odwagi spojrzał wprost w ciemne oczy pani waldeńskiego zamku.

– Najpierw musicie obiecać, że mnie ze sobą zabierzecie!

Grafini i oblat przez chwilę mierzyli się spojrzeniami. W końcu pani von Walden pokręciła głową i podniosła się z ziemi. Poprawiła okrywający jej ramiona płaszcz. Podeszła do Jorga i wyszeptwała coś do niego. Potężny mężczyzna skinął głową i wraz z drugim gwardzistą zabrał się za zamykanie sarkofagu. Grafini stała przez chwilę zamyślona, po czym zwróciła się do Bedy:

– Jak masz na imię, chłopcze?

– Beda. Nazywam się Beda, pani.

– Posłuchaj mnie uważnie, Bedo – zaczęła kobieta. – To, czy zabierzemy cię z klasztoru, czy nie, nie zależy wyłącznie ode mnie. Zakładam, że potrafisz czytać, pisać i rachować? – Beda skinął głową na potwierdzenie. – Bezbłędnie kopiować księgi? Nawet nieznane ci znaki? Potrafisz iluminować? Oprawiać księgi? Rysować postaci jak żywe?

Beda odpowiedział twierdząco na wszystkie pytania grafini.

– Chłopcy tacy jak ty są cennym towarem – ciągnęła kobieta. – Nie jest łatwo, a już na pewno nie tanio, wydostać starszego, w pełni wykształconego oblata z klasztoru. Będę musiała porozmawiać z opatem i przeorem. To oni będą musieli wyrazić zgodę. Mogę ci obiecać, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię stąd zabrać.



Beda milczał. Właśnie uświadomił sobie, jak cenne są jego umiejętności. Wiedział, ile kosztuje kunsztownie oprawiona iluminowana księga. Wiedział, że w ciągu roku mógł ozdobić sześć lub siedem takich ksiąg. Zrozumiał nagle, że przez te wszystkie lata to mnisi nie chcieli, aby Beda opuścił mury klasztoru. Zrozumiał, jak mało prawdopodobne jest, że opat kiedykolwiek pozwoli mu odejść. Nawet jeśli ucieknie, z jego kolorem włosów i charakterystycznym wyglądem zostanie bardzo szybko odnaleziony. Z drugiej strony widział również, jak wpływowa i bogata jest grafini Waldenu. Jeśli komukolwiek mogło się udać wydobycie wysoko wykwalifikowanego kopisty z klasztoru...

– Nie wiem, czy uda mi się wykupić cię na zawsze – podjęła grafini. – Może tylko wypożyczyć na jakiś czas, tak żebyś mógł zobaczyć trochę świata. Dam ci na to moje słowo. Czy to ci wystarczy?

– Tak, pani, twoje słowo mi wystarczy – zdecydował w końcu oblat.

Grafini skinęła głową. Otulający jej ramiona płaszcz rozchylił się nieco, ukazując lekki materiał gieźła. Łagodne światło lampki oświetliło cudowny łuk...

Beda w pośpiechu opuścił wzrok. Z wysiłkiem powstrzymał rumieńce napływające na policzki. Odchrząknął kilka razy, aby odzyskać spokój. Po dłuższej chwili powiedział:

– Po złożeniu zmarłego do sarkofagu potrzeba kilku lat, aby ciało odczepiło się od kości i przeszło pod opiekę Pana. Brat Gunter, zakrystian, wraz z opatem i przeorem co roku otwierają wieko grobowca, aby zobaczyć, czy ciało już odeszło. Zwykle w ceremonii uczestniczą również starsi oblaci. Kiedy w sarkofagu zostaną już tylko kości, przekłada się je do ossuariów. Wszystkie kosztowności składane są razem z kośćmi. Ostatnim razem, gdy otwierano sarkofag pani von Kalder, ciało już prawie odeszło, ale nie znaleziono żadnych kosztowności. Oczywiście nikt nic nie powiedział, ale podsłuchałem, jak opat z przeorem oskarżali brata Guntera o kradzież. Jeśli chcecie, pani, to mogę pokazać, gdzie...

– Czy zmarłego ktoś dotyka w czasie tego otwierania sarkofagu? – przerwała mu grafini.

– Oczywiście – odparł niepewnie Beda. – Trzeba podnieść szaty, żeby zobaczyć ciało.

– Czy oprócz braku kosztowności zauważyłeś coś dziwnego w ciele grafini von Kalder?

*Czego oni szukają?* – zastanawiał się Beda. Wyglądało na to, że waldeńczykom nie chodziło o kosztowności. Zaintrygowany przymknął oczy, starając się przypomnieć sobie wszystkie szczegóły rozkładającego się ciała grafini. Suche,

połamane włosy na naciągniętej skórze czaszki. Zapadnięte policzki, wysuszone usta, zęby...

– To było ciało bardzo młodej niewiasty! – olśniło go nagle. – Wszystkie zęby były zdrowe i białe! I kości też, miały takie przerwy, zupełnie jak nie u staruszki! Pamiętam, że kiedy przekopywaliśmy cmentarz, brat Heribert nam pokazywał! U dziecka albo młodej osoby są takie przerwy w kościach. Brat mówił, że to od robaków, co powodują chorobę!

– Jesteś pewien? – dopytywała się grafini.

– Jestem pewien, pani – odparł z przekonaniem Beda. – Gdybyście znów otworzyli sarkofag, mogę to pokazać!

Wsparci o zamknięty grobowiec Jorg i Niklas spojrzeli na chłopaka krzywo.

– Nie ma takiej potrzeby. – Grafini uspokoiła swoich gwardzistów. – Powiedz mi jeszcze, Bedo, czy mógłbyś sprawdzić kości poprzednich pań von Kalder?

Oblat odchrząknął niepewnie. Ossuaria grafiń służyły mu do przechowywania bukłaka, kozucha i koca.

– Zgaduję, że już tam zaglądałeś – stwierdziła grafini.

– Tak, pani... – odparł zawstydzony Beda. – W obu ossuariach są kości młodych osób, kobiety i mężczyzny. Myślałem, że to pomyłka, więc nic nie powiedziałem...

Pani von Walden pokiwała głową i zamyśliła się na chwilę. Wydawało się, jakby toczyła przedłużającą się wewnętrzną rozmowę.

– No cóż, dziękuję, Bedo. Bardzo nam pomogłeś – rzekła w końcu. – Co do zabrania cię z klasztoru, proszę, żebyś jutro z samego rana narysował jednego z naszych ptaków. Najlepiej, jak potrafisz. Kiedy skończysz, pokaż swój rysunek bratu Blodiemu. On już się zajmie resztą.

– Tak, pani. Dziękuję, pani.

Grafini ponownie skinęła głową. Beda podniósł się, uklonił głęboko i ruszył ku wyjściu z podziemi. Grube płótno habitu lepiło mu się do nóg. Bose stopy smętnie uderzały o zimną posadzkę. Zupełnie nie wiedział, co myśleć. Jeszcze tak niedawno miał plan. Tej nocy mógł stać się wolny. Na pewno. Na zawsze. Zamiast wolności dostał niepewną obietnicę. Słowo dane przez... Sam nie wiedział kogo. Grafinię? Złodzieja? Najpiękniejszą kobietę na świecie?

Pogrążony w bezowocnych rozmyślaniach nawet nie zauważył, kiedy dotarł do swojego siennika. Zmęczony próbami zrozumienia wydarzeń w kryptach, wzruszył ramionami i opadł na zimne posłanie. Niemal od razu zapadł w głęboki, wypełniony postaciami w bieli sen.

---

<sup>29</sup> Wortysi – zakon mnisi w Hemarze.

<sup>30</sup> Zys – orzeł przedni.

<sup>31</sup> Podczos – podpórka do podtrzymywania ręki z ciężkim ptakiem łowczym, np. orłem. Podczos przymocowany jest do siodła lub pasa sokolnika.

<sup>32</sup> Wiek ptaków drapieżnych często wyrażany jest nie w latach, a w piórach (jedno pióro oznacza jedno coroczne pierzenie).

<sup>33</sup> Dosiad – szczepienie się ptaka ze zdobyczą.

<sup>34</sup> Pęta – paski rzemienne przywiązywane do nóg ptaka.

<sup>35</sup> Zwiastowanie (często w gwarze górali wymawiane jako Wiastowanie) – święto religijne w Hemarze, obchodzone na początku wiosny. Zwyczajowo Hemarczycy przed Zwiastowaniem myli się i zakładali czystą bieliznę.

<sup>36</sup> Tromen – halucynogenne grzyby rosnące dziko w górach Arn Fedach.

<sup>37</sup> Brester – stolica Cesarstwa Hemaru.

<sup>38</sup> Oblat – dziecko ofiarowane lub porzucone w klasztorze.

<sup>39</sup> Tojad – roślina trująca. W ludowych wierzeniach Hemaru uważana za najskuteczniejszy środek na leczenie wilkołactwa.

<sup>40</sup> Nokturny – nocne modlitwy w liturgii godzin, odmawiane o północy.

<sup>41</sup> Laudesy (jutrznie) – modlitwy o wschodzie słońca.

<sup>42</sup> Tercje, seksty, nony – modlitwy w ciągu dnia, odmawiane odpowiednio przed południem, w południe i po południu.

<sup>43</sup> Wespery (nieszpory) i komplety – wieczorne modlitwy odmawiane na koniec dnia.

# KOZDZIAŁ 13

*Nadzieja wśród Daborczyków całkiem już umarła i wielu knuło zdradliwe plany, by poddać się pod władzę i opiekę Cesarstwa. Lecz Bogowie zlitowali się nad swoim ludem i cudem Nowego Słońca wiarę w lepszy los na nowo obudzili.*

Wojan z Chłodnej, „Kroniki Daboru”

*Po prostu go walnę w twarz i zacznę od siostrzanej miłości* – powtarzała w myślach Miła, próbując okiełznać treść. Stała przy bocznych drzwiach gospody Pod Drewnianą Nogą, kryjąc się przed mżawką w cieniu krużganka. Od kilku chwil zbierała się na odwagę, by wejść do środka. Mijał trzeci dzień, od kiedy Raja poleciła im, aby odkryły sekrety Piasta, syna Stojka. Mijał trzeci dzień, od kiedy sama Witia wydała rozkazy i nic jeszcze nie zostało zrobione w tej sprawie. *Wena by nam już tyłki skopała* – pomyślała Miła, zdziwiona łagodnością nowej Witii.

Rawa po wybuchu przy łożu nieprzytomnej Sai zupełnie się w sobie zamknęła. Prawie nie jadła, ledwo co spała. Wciąż z troską i czułością zajmowała się dziećmi, wciąż śpiewała w sławskich gospodach. Jednak z jej oczu znikł blask, prawie w ogóle się już nie śmiała, a w czasie występów widać było, że zupełnie straciła serce do śpiewania. Codziennie rano obiecywała siostrze, że porozmawia z Piastem. Każdego wieczoru siadała przy stole przybita, smutna i milcząca. Miła nie musiała pytać, aby wiedzieć, że Rawa nie spotkała się z Piastem.

Piast przychodził pod ich domek codziennie. Pierwszego dnia zapukał, jak zawsze, spodziewając się przyjaznego powitania. Zamiast tego Rawa nawrzeszczała na niego, wyzwała go od zdrajców i zatrzasnęła drzwi przed osłupiałym mężczyzną. Od tej pory Piast nie pukał, tylko zostawiał listy dla Rawy i prezenty dla dzieci. Miła odkładała drewniane tabliczki na stół, mając nadzieję, że siostra w końcu je przeczyta. Rawa nie chciała na nie nawet patrzeć. Zamiast tego, ku przerażeniu siostry, zasugerowała wyjazd ze Sławy. Tego było zbyt wiele nawet dla zwykle cierplivej Miły. Rozerwana pomiędzy miłością do siostry i głębokim oddaniem dla sprawy Daboru, postanowiła działać. Nie mogła liczyć na pomoc Nyss, która od wielu już dni zajęta była sprawami w Hemarze. Po długich przemyśleniach doszła do wniosku, że bezpośrednia konfrontacja z Piastem będzie

najlepszym sposobem wypełnienia rozkazów Witii. *Może to nic poważnego – myślała z nadzieją. – Łapówki jakieś czy co?...*

Zdeterminowana Miła pchnęła drewniane drzwi i weszła do ciemnego korytarza gospody. Z duszą na ramieniu skierowała się ku izbie zamieszkiwanej przez Piasta. *Walnąć go w twarz i zanim się pozbiera, od razu z wyrzutami.* – Miła raz jeszcze w myślach powtarzała swój misterny plan. Zamknęła oczy i przywołała obraz zapłakanej Rawy, chcąc wzbudzić w sobie złość niezbędną do rękoczynów. Zapukała energicznie.

– Czego wy tam jeszcze chcecie, nicponie?! Mało wam? – Zza drzwi dobiegł zapłakany głos Jowany.

Zdziwiona Miła pchnęła drzwi i weszła do ciasnej izby Piasta. Niewielkie pomieszczenie wyglądało, jakby przeszła przez nie burza z piorunami. Słoma z wybebeszonego siennika wałała się po podłodze, wymieszana z porozrzucanymi w nieładzie ubraniami. Stół był przewrócony, a skrzynie szeroko otwarte. Ciemny płyn wylany ze stłuczonego garnca wsiąkał w porzucony w kącie gobelin. Na drewnianych deskach jednej ze ścian wymalowane były czarnym węglem jakieś przedziwne wzory. *Czary jakieś?!* – Miła zbaraniała, widząc poplątane linie ściennego malowidła.

– Rawa, kochana, takie nieszczęście – załkała Jowana.

Karczmarka siedziała na stołku. Wyglądało na to, że próbowała ogarnąć wybebeszoną izbę Piasta. Jej zwykle pogodna, uśmiechnięta twarz była teraz opuchnięta od płaczu.

– Miła jestem, matko – powiedziała odruchowo Miła, zbliżając się do Jowany. – Co tu się stało? Gdzie jest Piast?

Jowana w odpowiedzi wybuchnęła płaczem. Szlochała przez dłuższą chwilę, bełkocząc coś niezrozumiale. *Zabili go, czy jak?* – zastanawiała się gorączkowo Miła.

– Za.. za.. zabrali gooo! – wydusiła w końcu Jowana, łkając. – Zabrali....

– Piasta? Zabrali Piasta? – Miła głaskała targane szloch ramiona karczmarki. – Kto go zabrał?

– Pałacowa straż! Aresztowali go! – Jowana na szczęście uspokoiła się nieco. – Przyszli tutaj, izbę przetrząsnęli, mówili, że Piast jakieś papiery tu chował!

– Za co go aresztowali, Jowano? – Miła zmuszała się, by mówić spokojnym, kojącym głosem.

– Za... – załkała karczmarka. – Za... za zdradę stanuuuu!.. – I znów wybuchła płaczem.

*Bogowie, Witia miała rację!* – pomyślała Miła z przejęciem. Desperacko wołała w myślach Nyss. *Oby nie było za późno...*

\*\*\*

Różowe promienie słońca muskały korony najwyższych drzew. Od lasu dobiegały pierwsze śpiewy ptaków. Wiatr prządlł zwiewne nici kłębiących się przy brzegu rzeki oparów mgły. Nad Sławiną wstawał świt.

Klekot składanych wiosel przerwał senną ciszę wiosennego poranka. Fale zachlupotały, rozbijając się o ściemniałe drewno kadłuba. Mała przemytnicza łódka zbliżała się do porośniętego gęstą roślinnością brzegu rzeki.

*W krzakach będziemy siedzieć?* – skrzywiła się Saja. Spędziła całą noc w zaświatach, wraz z przodkiniami analizując wieści, dyskutując strategię i rozważając, jakich argumentów użyć na wiecu Żeglarzy. Niestrudzona Wena chciała przygotować plany na wszystkie możliwe i niemożliwe okoliczności. Po powrocie do zeszywniałego ciała Saja była zmordowana. Jej zmarznięte członki potrzebowały ruchu, a pusty brzuch – ciepłego posiłku. Dziewczyna aż wzdrygnęła się na myśl o spędzeniu całego dnia na twardym dnie łodzi. *No nic...* – pomyślała smętnie. – *Może przynajmniej nogi rozprostuję?* Z tłumionym stęknieniem spróbowała wstać. Zdrętwiałe nogi ugięły się pod nią. Z wdzięcznością poczuła podtrzymujące ją, pomocne ramię Bożana.

– Dzięki – wyszeptwała bezgłośnie.

Korowy skinął głową w odpowiedzi i położył palec na ustach, dając znak, by zachować ciszę. Na wodzie najmniejszy nawet szept niósł się na duże odległości. Chcąc przemknąć się do morza niepostrzeżenie, Kraken nakazała bezwzględne milczenie w czasie podróży rzeką. Patrzyła krzywo na każde ziewnięcie, stęknienie czy westchnienie. *Ciekawe, czy burczenie w brzuchu też jest zakazane?* – zastanawiała się Saja, czując kurczący się z głodu żołądek.

Niespodziewanie gęsta ściana krzaków uniosła się niczym kurtyna, odsłaniając małą, piaszczystą plażę. Na piasku dziewczyna dojrzała obłożone kamieniami, ledwo tłące się palenisko. Niemal rozpląkała się z radości na ten widok. Zielarki zapewniały, że siostry z nadrzecznych Świętych Gajów zatroszczą się o ciepły posiłek na każdym postoju łodzi Kraken. Saja wychyliła się przez burtę, starając się wywęszyć, co też staruchy przygotowały na śniadanie.

– Dobrze się spisaliście, chłopaki! – Kraken odezwała się, dopiero kiedy krzaczasta zasłona zamknęła się za przemytnicza łodzią.

– Pogoda taka, że nawet żeśmy się nie spocili – odparł Senko. – Matkę chwał, że tak pięknie zamawiała. – Korowy skłonił się z szacunkiem Rai.

Starucha siedziała na jednej z zabranych ze Sławy skrzyń. Wyglądała na znużoną. Całonocne zamawianie wiatru i rzeki odcisnęło piętno na pokrytej zmarszczkami twarzy. Zaniepokojona nagle Saja uświadomiła sobie, że nigdy jeszcze nie widziała zielarki zmęczonej. Nigdy nawet nie widziała jej śpiącej. *Bogowie, miejcie nas w opiece! To dopiero pierwsza noc...* Wiedziała, że na dalszych etapach podróży Raja wspomagana będzie przez zamieszkujące brzegi Sławiny zielarki. Jednakże na wodach morza, z dala od brzegów Daboru, starucha będzie całkowicie zdana na własne siły. Tknięta współczuciem dla zielarki, Saja rzuciła się ku Rai, by pomóc jej wstać. Zdrętwiałe nogi odmówiły współpracy i Witia runęła u stóp zmęczonej staruchy.

– Aż tak nie trzeba dziękować, córuchno – powiedziała Raja, kładąc pomarszczoną dłoń na głowie dziewczyny. – Wystarczy, że mi pomożesz wstać. Chociaż, tak po prawdzie, to wołałabym silne męskie ramię... – dodała, patrząc na rozbawionych korowych.

– Senko – zakomenderowała zawsze poważna Kraken. – Pomóż matce. Bozan, Oleg, do łodzi. Miro, pierwsza warta. I weź Skrę na spacer, biedaczek już pewnie całkiem zeszywniał od tej wilgoci – dodała, czule drapiąc wilka za uchem.

Skra w ogóle nie wyglądał na zeszywniałego od wilgoci. Spędził większość nocy rozwalony bezwstydnie u stóp Kraken, z godnością przyjmując kawałki mięsa podawane mu przez sterniczkę i jej załogę. Teraz, oparty przednimi łapami o burtę łodzi, machał ogonem i niecierpliwie spoglądał ku plaży.

– Ta mała coś potrafi? Poza spaniem? – zapytała Kraken kwaśno, nawet nie patrząc na Saję. – Ryby łowić? Gotować?

*Potrafię! Dużo potrafię!* – pomyślała oburzona Saja. Nie powiedziała jednak nic. Podróżowała w roli przygarniętej przez zielarki sieroty. Nie mogła wyklócać się ze sterniczką.

– Ryby łowić pewnie da radę – odparł Miro z rozbawieniem. – Jak ją przywiążemy do drzewa, to się może przy tym nie utopi.

*Miro!* – Saja spojrzała na przyjaciela z wyrzutem.

– Ale gotować to raczej nie – ciągnął mężczyzna ze złośliwym uśmiechem. – Chyba że chcesz srać dalej niż widzisz...

Korowi wybuchnęli głośnym śmiechem. Nawet Kraken wyglądała na nieco rozbawioną.

– Dajcie dziewczynie spokój. – Zielarka niespodziewanie stanęła w obronie Sai. – Nie jej to przecież wina, że słaba na umyśle...

*Bardzo śmieszne...* – pomyślała Saja, patrząc wściekle na towarzyszy.

– Ale gotować, coś mi się widzi, nie będzie trzeba. – Wsparta ciężko na ramieniu Senka Raja podniosła się ze skrzyni. – Siostry z Gaju już się zatroszczyły o strawę.

Skra wyskoczył z łodzi i z zainteresowaniem obwąchiwał tłące się palenisko. Po chwili na plażę weszła Kraken i zaczęła rozgrzebywać patykiem popioły. Oblepione stwardniałą gliną piecyste potoczyło się po piasku. Senko, posłuszny rozkazom sterniczki, pomógł Rai wyjść na ląd. Wściekle głodna Saja niemal połamała sobie nogi, wysiadając z łodzi w pośpiechu. Po krótkiej chwili i zaledwie kilku siniakach klęczała już na plaży, dmuchając na gorące bryły twardej gliny. Piecyste stygło szybko w chłodnym powietrzu poranka. Saja właśnie wgrzyzała się w cudownie pachnące, przyprawiane ziołami mięso, kiedy poczuła znajome wiercenie w głowie. *Czego one znowu chcą?* Nie przerywając jedzenia, otworzyła umysł na dobijające się przodkinie.

– *Saja?* – Aksamitny głos Nyss zdawał się zmartwiony i zaniepokojony.

– *Nyss?* – zdziwiła się Saja. – *Myslałam, że jesteś zajęta w Hemarze?*

– *Bo byłam. Nieważne... Mamy problem w Sławie, potrzebuję twojej pomocy. Patrz.*

Przez umysł Witii przelała się fala obrazów i dźwięków, ukazująca aresztowanie Piasta.

– *Wzięli Piasta? Za zdradę stanu? Co to były za malowidła na ścianie? Co...* – Saja przerwała, uświadamiając sobie, jak zbędne są te pytania. – *Wybacz, Nyss, jestem zmęczona. Co mogę zrobić?*

– *Myslałam, że możesz mnie skontaktować ze sławską przyboczną. Próbowaliśmy dostać się lochów, ale nic z tego. Roch też próbował. Nawet Sarna nic nie wskórała... Może przyboczna coś poradzi?*

– *Tak, oczywiście.* – Saja przelykała szybko ostatnie kawałki mięsa. – *Już idę.*

Podeszła do najbliższego drzewa, usiadła, oparła się plecami o szorstki pień i wślizgnęła się do zaświetów.

\*\*\*

Na soczystej zielonej trawie w ogrodzie zaświetów stał olbrzymi, okrągły stół. Jego blat jaśniał złotym blaskiem żywicy Drzewa Wspomnień. Wokół stołu ustawione było dwanaście białych, wyoszczonych jedwabnymi poduszkami krzeseł. Oparcia sześciu krzeseł ozdobiono herbami głównych miast Daboru. Mosty dla Sławy, rozpostarty Żagiel dla Swaru, Wilk dla Polesia, Orzeł dla Ostronia, Wóz dla Zwolewa i głowa Tura dla Turów.

– *Widzę, że się tu zaczęłaś urządzać* – powiedziała Nyss z uznaniem.



Saja wzruszyła ramionami. W ciągu ostatnich kilku dni spędziła przy tym stole tyle czasu, że aż ją trzęsło na myśl o pięknym meblu. Spojrzała z niechęcią na złocisty blat. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie zmienić eleganckiego wyglądu stołu. *Eee tam...* – odrzuciła kuszącą myśl. – *Już mi się nie chce nic wymyślać...* Powstrzymując ziewnięcie, usiadła obok krzesła ozdobionego znakiem Sławy. Gestem zaprosiła Nyss, by siadła po drugiej stronie. Przymknęła oczy, poszukując umysłu przybocznej. *Lubina!* – zawołała w myślach. – *Lubina! Obudź się!*

– Pani. – Znak Mostów rozjaśnił się łagodnym światłem. – Jestem, pani.

Saja skrzywiła się mimowolnie. Pomimo jej wysiłków żadna z przybocznych nie odważyła się mówić jej po imieniu. Wena twierdziła, że tak jest lepiej. Upierała się, że Saja może równie dobrze zacząć się przyzwyczajać do swojego tytułu.

– Lubino – Saja pozdrowiła przyboczną Sławy – przykro mi, że cię budzę...

– Pani, to żaden kłopot – zamigotały Mosty. – W czym mogę pomóc?

– Mamy niewielki problem w Sławie. – Dziewczyna sięgnęła po dłoń pięknej ciotki. – Nyss to szybciej wytłumaczy.

Nyss przymknęła fiołkowe oczy i wysłała ku przybocznej strumień obrazów, opisujących aresztowanie Piasta.

– Zdrada stanu? – odezwała się po chwili przyboczna. – Zaraz, ja chyba coś tu miałam... Czy możesz poczekać, pani?

– Jasne...

*Mięso i tak już będzie zimne...* – pomyślała kwaśno, po czym zwróciła się do Nyss:

– Jak tam Rawa? Trzyma się?

– Nie bardzo... – odparła Nyss, nerwowo stukając smukłymi palcami o stół. – Jest przekonana, że Piast jest zdrajcą i załamana, że tego nie widziała.

– Może jest, może nie jest – powiedziała Saja, sama dziwiąc się filozoficznemu tonowi swoich słów. – Tak czy inaczej, będziemy się musiały z nim rozmówić.

– Saja... – zaczęła ostrożnie Nyss. – Ja... przepraszam w imieniu Rawy i Miły...

– Za co? – zdziwiła się dziewczyna.

– Za to, że twoje rozkazy nie zostały wykonane niezwłocznie – odparła Nyss poważnym tonem. – Rozmówiłam się już z dziewczynami. To się nigdy nie powtórzy.

– Ciotka, no coś ty?! – Saja czuła się bardzo nieswojo, widząc zawstydzenie Nyss.

– Sama powinnam była się tym zająć, a nie tak ludzi po kątach rozstawiać, jak... – tu dziewczyna skrzywiła się. – Jak Wena...

– Ale Witia musi, jak to ujęłaś, rozstawiać ludzi po kątach – odparła Nyss. – Ty rządysz całym Daborem, Saja. Sama wszystkiego nie zrobisz!

– No niby tak, ale... – zaczęła Saja.

– Pani? – Przyboczna przerwała wypowiedź Witii. – Pani, znalazłam! Jakiś czas temu dostałam list podpisany przez tego Piasta. Myślałam, że to było wysłane przez pomyłkę, ale...

– Po prostu mi pokaz. – Witia przerwała swojej przybocznej. – Będzie szybciej.

Saja i Nyss siedziały przez chwilę w milczeniu, absorbując przesyłane przez Lubinę obrazy.

– Hmm... – odezwała się w końcu Nyss. – Może jednak nie zdrajca...

– Da się go jakoś wyciągnąć? – dopytywała się Saja.

– Nie będzie łatwo – odparła przyboczna z wahaniem. – Nie wiem, czy to w ogóle możliwe. Bez Witii moja pozycja nie znaczy wiele...

– Co możesz zrobić? – zapytała zmartwiona Saja. – Co się z nim stanie?

– Jest oskarżony o zdradę stanu... – zaczęła ostrożnie przyboczna. – Na pewno będzie sądzony. Będę mogła wpłynąć na przebieg samego dochodzenia i najprawdopodobniej na orzeczenie sądu. Obawiam się, jednak, że skarbnik chce się po prostu tego Piasta pozbyć...

– Też się tego obawiam – zgodziła się Nyss. – Może dałoby się zorganizować ucieczkę? Przenieść go do innego lochu? Mogłybyśmy go przechwycić gdzieś po drodze?

– Nie zaszkodzi spróbować – odparła Lubina bez przekonania. – Po powrocie Witii można będzie oddalić wszystkie oskarżenia.

– Jakie są szanse, że uda się go przenieść? – zapytała Saja.

– Pani... – Przyboczna westchnęła ciężko. – Szczerze mówiąc... W najlepszym wypadku niewielkie. Jeśli, jak sądzę, skarbnikowi zależy, żeby się Piasta pozbyć, użyje on wszystkich swoich wpływów, żeby trzymać go w lochach Pałacu.

Saja zamyśliła się na chwilę. *Gdybym już siedziała na tronie w Sławie...* – pomyślała – *w ogóle by nie było problemu.* Uśmiechnęła się krzywo do swoich myśli. Oto Saja Drewian, po raz pierwszy od czasu obudzenia, chciała zostać Witią. Przeliczyła w pamięci dni pozostałe do Wiecu Żeglarzy. *Pięć. Pięć dni...* *Potem przynajmniej następne pięć, żeby wrócić.* *Chyba że...* – Jej twarz rozjaśniła się. Do głowy przyszedł jej właśnie wspaniały pomysł.

– Lubina? – zapytała podekscytowana nagle Witia. – Jaka jest kara za zdradę stanu?

– Śmierć przez powieszenie – odparła posłusznie przyboczna. – Bez pogrzebu. Odebranie tytułu i majątku rodzinie do drugiego pokolenia.

– No proszę – wtrąciła się Nyss. – Za moich czasów to było ćwiartowanie.

- Dałoby się przyspieszyć to dochodzenie? – dopytywała się Saja, ignorując komentarz ciotki. – Tak, żeby egzekucja odbyła się, powiedzmy, za pięć dni?
- Saja! – wykrzyknęła Nyss, nagle przerażona. – Na miłość bogów!
- Spokojnie. – Witia uśmiechnęła się radośnie. – Mam plan. Posłuchajcie...

\*\*\*

W Swarze stracili cały dzień. Kraken chciała nająć przynajmniej dwóch marynarzy. Twierdziła, że Morze Północne jest bardzo kapryśnie o tej porze roku i że dodatkowe pary rąk są niezbędne dla zapewnienia bezpieczeństwa podróżników. Raja, świadoma presji czasu, prośbą i groźbą próbowała przekonać sterniczkę, że pogoda, dzięki modlitwom zielarek, będzie doskonała. Kraken uparła się jednak, żeby nająć dodatkową załogę. Pogoda to pogoda, mówiła, a morze to morze. W podmorskich głębinach, tłumaczyła, żyją przedwieczne, zrodzone z samej nicości potwory, mające za nic bogów i modlitwy. Te złaknione życia i krwi stwory, wygłodniałe po długiej zimie, mogą z łatwością połknąć windaskip z całą jego załogą.

Zielarka nie wydawała się zbyt przejęta potworami. Niestrudzenie ponawiała próby przekonania nieugiętej sterniczki. Kraken jednak uparła się, że bez dodatkowej załogi nie wyruszą. Saja przyglądała się kłótniom zielarki i sterniczki ze zdziwieniem. Nigdy jeszcze nie widziała nikogo, kto odmawiałby prośbom staruchy z tak niezłomną stanowczością. „Zielarkom się nie odmawia”, mówiło się przecież w Daborze. Saja z rosnącym szacunkiem dla Kraken zauważyła, że czarnowłosa kobieta nie przejmowała się swoim losem. Troszczyła się głównie o Olega, Bożana i Senkę, którzy zostawili w Sławie rodziny.

Drużyna Witii została więc w Swarze. W poszukiwaniu dodatkowych członków załogi mężczyźni odwiedzili niezliczone gospody, targi i portowe magazyny. Przeprawili się również do Rawości – bliźniaczego miasta Swaru. Saja była całkiem zadowolona z tej przerwy w podróży. Przemierzając dzielnicę portową, nie mogła przecież zasiąść przy okrągłym stole w zaświatach. Odkryła również z ulgą, że powoli zaczyna się przyzwyczajać do daru widzenia Witii. Wciąż dostrzegała w ludziach cienie bolesnych wspomnień. Wciąż zadziwiała ją okrucieństwo świata. Jednak nauczyła się patrzeć na te wizje jak na bliźny Kraken. Były tam, nie wyglądały pięknie, ale stanowiły część noszącego je człowieka. W jakiś sposób czyniły ludzi piękniejszymi. Pokazywały, jak wiele można znieść i wciąż pozostać człowiekiem.

Długie i żmudne poszukiwania dodatkowych członków załogi okazały się bezowocne. Wszyscy obcy z morzem, doświadczeni żeglarze byli na wojnie, na morzu, już najęci albo martwi. Pod wpływem nalegań zielarki Senko, Oleg i Bożan zaczęli błagać Kraken, aby nie zważała na ich bezpieczeństwo i wyruszyła na Wyspy. Sterniczka nie była zadowolona, ale w końcu poddała się. Kupiła na targu śliczne, tłusciutkie kozłatko i oznajmiła, że wyruszą następnego dnia o świcie.

Wypłynęli jeszcze przed pierwszym brzaskiem. Kiedy brzegi Daboru były już tylko wąskim ciemnym pasem na horyzoncie, Kraken własnoręcznie zarżnęła kozłatko. Saja była wstrząśnięta. Raja w milczeniu, z kwaśną miną, obserwowała beczące rozpaczliwie, wykrwawiające się do morza zwierzątko. Nawet Skra wyglądał na zdziwionego. Kraken zanosila modlitwy i prośby do podmorskich stworzeń i czekała cierpliwie na ostatnie kopnięcie kozłatka. Potem obciążyla bezwładne ciało kamieniem i wyrzuciła je za burtę.

– Miejmy nadzieję, że się tym najedzą – powiedziała z nadzieją.

Dalsza podróż przebiegła gładko. Silny południowy wiatr napinał ciemny żagiel przemytniczej łodzi i wytrwale pchał ich na północ. Słońce wznosiło się na czystym niebie, odbijając się w pomarszczonej falami tafli morza. Kraken siedziała przy sterze, co jakiś czas nakazując zmianę ustawienia żagla. Zielarka, usadzona wygodnie na jednej ze skrzyń, zdawała się przysypiać. Saja, wymawiając się obawą przed atakiem morskich potworów, odmówiła powrotu do Zaświatów. Wylewała wodę z dna łodzi, pomagała przy żaglu, żartowała z korowymi i rozpieszczała Skrę. Wiedziała, że kiedy wystąpi na rozpoczynającej się następnego dnia Fradze, cały świat będzie wiedział, że jest Witią. Nikt nie odważy się grozić jej spraniem tyłka czy wymyciem niewyparzonej buzi morską wodą. Wszyscy będą odnosić się do niej z szacunkiem i nazywać ją „panią”. To był ostatni dzień jej wolności. Nie zamierzała marnować go na dyskusje z przodkiniami.

Było już dobrze po południu, kiedy dostrzegli pierwsze morskie ptaki, a wkrótce potem majaczący na horyzoncie brzeg Bage, jednej z czterech wysp Trogeny. Gnani silnym wiatrem, zbliżali się szybko do wybrzeża. Nie minęło dużo czasu, kiedy Saja dostrzegła bielącą się żaglami Zatokę Ristaad, na której brzegu leżał Hjalms, stolica Wysp Trogeny.

– Hoj! Hoj! – Senko, Oleg i Bożan pozdrawiali mijane łodzie.

– Hoj! – odpowiadali Trogeńczycy.

– Zwijać żagiel! – krzyknęła Kraken, po czym spojrzała na zielarkę z tryumfem.

– Kozłatko zawsze działa! – powiedziała.

Raja przewróciła oczami i westchnęła głęboko, jakby nie miała już siły się klócić.

Z powodu zbliżającego się wiecu stolica Trogeny pękała w szwach. Kraken nawet nie próbowała wpłynąć do zatłoczonego portu. Przycumowywali na zachodnim brzegu zatoki, z dala od miasta, ale za to w pobliżu placu, na którym miała odbywać się Fraga. Zaznajomiona z Zatoką Ristaad Kraken bez wahania wybrała odpowiednie miejsce, by rzucić cumy.

Zielarka, Saja, Miro i Skra zostali przy łodzi. Przywiezione ze Sławy skrzynie były zbyt cenne, aby zostawić je bez opieki. Kraken z trójką korowych skierowali się ku pokrytym namiotami polom otaczającym Hjalma, aby znaleźć dogodne miejsce na nocleg. Kiedy tylko wysoka postać Kraken zginęła w tłumie, Raja podniosła się i otrzepała suknie.

– No to w drogę, dziewczyno – rzekła do Witii. – Frigg nas oczekuje.

– Już? – marudziła Saja. – Myślałam, że trochę odpoczniemy...

Zielarka była zmęczona i w podłym nastroju. Zupełnie zignorowała marudzenia Witii i zwróciła się do podnoszącego się z ziemi korowego:

– Ty zostajesz.

– Ale... – zaoponował Miro.

– Żadne ale! Ktoś musi pilnować łodzi! – zakomenderowała starucha tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Saja podniosła się, by ruszyć w ślad za oddalającą się różnym krokiem zielarką. *Skąd ona bierze tyle siły?* – zastanawiała się.

– *Od Żywii i Staruchy* – odparła czuwająca w myślach wnuczki Wena. – *Poprzez Olenę i inne zielarki czerpie prosto z ziemi Daboru.*

– *Przecież wiem!* – obruszyła się Saja. – *Już pomarudzić nie można?...*

– *Ty nie marudź, wnuczko, tylko się skup* – odparła Wena. – *Frigg jest...*

– *Wiem!!!* – zdenerwowała się Saja. – *Wałkowałyśmy to chyba sto razy! Frigg jest pewna siebie i bezczelna. Będzie się popisywać, mam się nie dać sprowokować i pamiętać, że jej pomoc jest przydatna, ale nie niezbędna.*

– *Saja, proszę cię.* – Wena mitygowała wnuczkę. – *To jest naprawdę ważne. Frigg jest bardzo potężną raganą! Jest przecież Łamiącą Lód, na miłość bogów! Pamiętasz, jakich mocy możesz się spodziewać?*

Saja zacisnęła usta, starając się nie wybuchnąć. Rozumiała Wenę, ale miała już dosyć wiecznego pouczenia i karcenia. Miała już dosyć gadania. Chciała w końcu coś zrobić.

– *Saja?* – dopytywała się Wena. – *Jesteś tam?*

Saja opuściła głowę, zrezygnowana. Po chwili zastanowienia doszła do wniosku, że równie dobrze może pogadać z babką w drodze na spotkanie z Frigg. Podążała więc śladem staruchy i odpowiadała:

– *Więc... Żeglarze mają więcej bogów, niż da się zliczyć* – recytowała wyuczoną lekcję. – *Ragany, jak nasze zielarki, dostają swoją moc od bogów. Łamiąca Lód, najpotężniejsza ragana, otrzymała moc od Ist, bogini lodu. Frigg ma również błogostawieństwo Soest, bogów fal. Jest możliwe, że uzyskała moc od innych bogów. Na pewno mogę się spodziewać wody i lodu. Może snu albo nawet śmierci, jako że Ist, bogini lodu, jest również przez niektórych czczona jako bogini zimy, wiecznego snu i śmierci.*

– *No proszę* – ucieszyła się Wena. – *To nie było takie trudne, prawda?*

Saja zrobiła zęza i pokazała babce język. Nie sądziła, żeby Wena mogła to widzieć, ale i tak poczuła się lepiej. Podniosła głowę i przyspieszyła kroku, aby dogonić Raję. Wsparta na kosturze Zielarka szła wąską, wydeptaną w niskiej trawie ścieżką. Silny, wiejący od morza wiatr targał jej zieloną chustę. Gęste chmury zasnuwały niedawno jeszcze czyste, błękitne niebo. Szum rozbijających się o brzegi fal potężniał z każdą chwilą. Wiatr przybierał na sile. Saja obserwowała zmianę pogody z narastającym szacunkiem dla umiejętności zielarek. *Ile mocy trzeba, by zatrzymać taką potęgę?* – zastanawiała się z podziwem. Starucha i Witia szły w milczeniu, zmierzając ku skalistemu brzegowi morza. W końcu stanęły na skraju urwiska.

– Co teraz? – zapytała Saja po chwili milczenia

– Czekamy – odparła zielarka, otulając się chustą.

*No to czekamy...* Saja wzruszyła ramionami. Znała zielarkę zbyt dobrze, żeby marnować czas na zadawanie pytań czy nawiązywanie pogawędki. Odwróciła się ku wzburzonemu morzu. Ciężkie, ołowiane masy wody wznosiły się wysoko, by po chwili załamać się i opaść z hukiem. Pieniste grzywy fal rozbijały się z furją o skały nabrzeża jak... *Jak pędzące konie* – pomyślała Saja. Napierając wściekle, kopiać, gryząc, jakby chciały wspiąć się na ląd i stratować ziemię słonymi kopytami wody. Dziewczyna przyglądała się morzu w zachwycie. Właśnie formowała się kolejna, ogromna fala. Urzeczona Saja obserwowała toczącą się masę spiętrzonej wody. Pióropusze fal układały się we wdzięczne łuki końskich grzyw. Lśniaca powierzchnia wody formowała się na kształt szerokich piersi pędzących rumaków. Saja wyteżyła wzrok. Przetarła oczy z niedowierzaniem. Unosząc się ponad szalejącymi falami, rozbryzgując słoną wodę ku skalnemu urwisku, pędziły rumaki. *Bogowie... To są konie!* Spojrzała na zielarkę.

– Matko, czy ty to widzisz?

Zielarka skinęła głową. Na pokrytej siatką zmarszczek twarzy malował się wyraz lekkiego rozbawienia. Morskie rumaki pędziły na złamanie karku, młóćąc ołowianą wodę kopytami.

– *Ta Frigg nigdy nie dorośnie...* – odezwała się zgryźliwie Wena.

Saja przyglądała się rumakom z rosnącym zainteresowaniem. Jeden z koni odłączył się od galopującego stada i pędził teraz wielkimi susami wprost ku zielarce i Witii. Ciężkie kopyta uderzały w spienioną powierzchnię morza. Rumak był już na tyle blisko, że można było wyraźnie dostrzec furię szalejącą w jego ołowianych oczach. Tuż przy brzegu utkane z morskiej wody stworzenie skoczyło i rozbiło się o skaliste urwisko u stóp Sai. Dziewczyna odruchowo się cofnęła. Przed jej zachwyconymi oczami spienione rozbryzgi morskiej wody zawirowały w powietrzu, zlewając się w zarys ludzkiej postaci. Kryształowo przejrzysta forma w kilka chwilach przeobraziła się w wysoką, białowłosą kobietę.

*Ma się czym popisywać ta Frigg* – pomyślała Saja, urzeczona.

– *Saja, oczy* – poleciła Wena.

Saja posłusznie zmieniała kolor oczu na tęczowy. *Przynajmniej wyglądam trochę bardziej interesująco...* – pomyślała smętnie, podziwiając zjawiskową Frigg. Łamiąca Łód od stóp do głów obleczona była w ciemną, woskowaną skórę. Z szerokiego pasa na jej biodrach zwieszały się liczne, kunsztownie wykonane sakiewki oraz zwinięty ciasno bicz, spleciony z niezwykle cienkiej, połyskującej srebrem nici. Białe jak śnieg włosy były wygolone na bokach, a na czubku głowy splecione na kształt końskiej grzywy. Na prawej dłoni Frigg nosiła metalową rękawicę zakończoną trzema ostrzami. *Iswaard* – odpowiedziały rusałki. – *Dar Ist, bogini zimy, dla Łamiącej Łód.* Ragana podniosła dłoń do ust i ucałowała najdłuższe, środkowe ostrze rękawicy. Potrząsnęła głową, rozchlapując dookoła małe, ostre sople. Lodowe igły zawisły w powietrzu, otaczając raganę lśniąca chmurą.

– Daleko jesteś od swoich bogów, sestro. – Frigg zwróciła się do Rai; zawieszane w powietrzu sople zadrżały i poleciały chmurą ku zielarce i Witii.

– Moje Panie kroczą ze mną – odparła starucha; lodowe sople rozpuściły się w locie i opadły na ziemię z pluskiem.

– Nie znajdą wielu wyznawców na mojej ziemi – powiedziała dumnie Frigg.

– Trochę szkoda. – Rozbawiona Raja spojrzała na zboże wschodzące z nagiej do tej pory skały u jej stóp. – Plony byście mieli lepsze...

Saja z trudem powstrzymała uśmiech satysfakcji.

– *Ta dziewczucha już zupełnie oszalała...* – westchnęła Wena. – *Z zielarką się chce ścierać... Toż to jak z kijem na słońce...*

Ragana zwróciła się ku Sai, jakby dopiero teraz ją dostrzegła. Przechyliła głowę i przyglądała się przez chwilę milczącej dziewczynie.

– No proszę, jaką dziewuszkę tu mamy! – powiedziała w końcu.

– *Saja, nie daj się sprowokować!* – ostrzegała Wena.

Ragana zbliżyła się do Sai, pochyliła się i spojrzała jej w oczy.

– Wena? – zapytała. – Jesteś tam?

Blade, niemal przezroczyście oczy ragany wpatrywały się w tęczowe oczy Witii. Saja w przypiływie fantazji przywołała bolesne wspomnienia z uroczyska. Z kamienną twarzą odwzajemniła świdrujący wzrok ragany, wypełniając myśli przerażeniem, samotnością, kłębami mgły i zimnymi chichotami rusałek. Po chwili Frigg odwróciła wzrok. Cofnęła się i przetarła twarz dłonią, jakby otrząsając się z koszmaru. Zupełnie niespodziewanie wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Lubię was, dziewczyny! – oznajmiła Witii i zielarce.

– No i chwała bogom – rzekła pogodnie Raja. – Już mi tu całkiem stare kości przemarzły. Pogadajcie sobie na zdrowie, a ja pójdę jakieś schronienie przed tym wiatrem znaleźć. Pani. Pani – na odchodnym ukłoniła się raganie i Witii.

Starucha ruszyła w dół skarpy. Frigg pomachała dłonią za oddalającą się Zielarką, jakby zegnała najlepszą przyjaciółkę. Saja poczuła nerwowe ściskanie w żołądku. *Ona jest zupełnie obłąkana* – myślała w panice. – *Najpierw się na nas rzuca, potem całuski śle!*

– *W tym szaleństwie jest metoda* – nauczycielskim głosem tłumaczyła Wena. – *Czy trzęsłabyś teraz portkami, gdyby ragana była miła i uprzejma? Zachowuje się jak obłąkana, żeby zbić cię z tropu.*

Frigg gestami dłoni dzierżącej Iswaard tworzyła właśnie wyszukane lodowe trony. Saja przyglądała się raganie niepewnie, w każdej chwili spodziewając się ataku.

– *Spokojnie* – instruowała ją babka. – *Dasz sobie radę. Gdyby Frigg chciała cię zabić, już byś była martwa.*

*Pięknie...* – Saja z trudem udawała spokój. Zaciśnęła dłonie na połach kożucha, chcąc ukryć drżenie rąk. Frigg odwróciła się ku niej i zapraszającym gestem pokazała lodowe trony.

– Usiądziemy? – zaproponowała z uśmiechem.

– Nie będzie nam aby w tyłki zimno? – zapytała Witia ostrożnie.

– To taki specjalny lód. – Frigg mrugnęła porozumiewawczo. – Nie chcielibyśmy przecież żadnej niewygody dla naszych dostojnych gości, prawda?



*Nie, skądże – pomyślała Saja kwaśno. – Tylko chcielibyśmy zrobić z nich lodowe jeże.*

*– Już nie marudź, wnuczko – rzekła Wena. – Frigg by cię przecież nie skrzywdziła. Wiedziała, że zielarka zatrzyma sośle. Z drugiej strony gdyby Raja nie zareagowała na czas, jej śmierć nie byłaby dużą stratą. W końcu była tutaj wyłącznie po to, aby cię bronić.*

Saja dotknęła dłonią lodowego tronu. Ku wielkiemu zaskoczeniu stwierdziła, że gładkie siedzenie nie jest bardziej zimne niż zwykła skała. Z podziwem spojrzała ku Frigg.

*– Czyli mam jej dziękować?! – pomyślała ku babce.*

*– Czasem porządny wróg jest lepszy niż kiepski przyjaciel – odparła Wena rozbawionym głosem.*

Saja skinieniem głowy podziękowała Frigg i usiadła na tronie. Splotła spocone dłonie na podołku. Frigg usiadła obok, swobodnie wyciągając długie nogi.

*– Więc – zaczęła ragana – zgaduję, że chcesz, bym was wprowadziła na Fragę.*

*– Tak – odparła Saja, zaskoczona bezpośredniością rozmówczyni. – Proszę – dodała uprzejmie po chwili zastanowienia.*

*– Skoro tak uprzejmie prosisz... – Frigg z szacunkiem skinęła Witii głową.*

*– To już? – pomyślała Saja z nadzieją.*

*– Chciałabyś... Dopiero się zaczyna – odparła Wena. – Pamiętaj, że tak na prawdę jej nie potrzebujemy. Pokaż pazurki, jeśli trzeba.*

*– A tak z ciekawości pytam – podjęła Frigg. – Czemu chcesz się dostać na Iskeide, Lodowy Okręt<sup>44</sup>?*

*– Żeby skopać tyłki tym, którzy chcą napaść moje ziemie – odparła Saja, zirytowana protekcyjnym tonem rozmówczyni.*

*– To zaszczytny cel! – Frigg roześmiała się głośno.*

*– Coś ona chyba za tymi klanami nie przepada – zauważyła Wena.*

*– Może się do mnie przyłączysz? – uprzejmym głosem zaproponowała Saja.*

*– Kusząca propozycja... – powiedziała ragana z westchnieniem.*

Saja otwierała już usta do riposty.

*– Czekaaj, pozwól jej mówić. – Wena zatrzymała wnuczkę. – Teraz będą tłumaczenia.*

Saja posłusznie zamknęła usta. W milczeniu patrzyła na zamyśloną nagle Frigg.

*– Kiedyś... – zaczęła ragana, patrząc ku wzburzonemu morzu. – Kiedyś uprawialiśmy pola. Hodowaliśmy zwierzęta. Czego nie mogła nam dać ziemia, sprowadzaliśmy zza morza. Byliśmy kupcami, byliśmy szanowani. Potem przyszedł Hemar z tym swoim parszywym bogiem. Cesarz, chcąc przejąć naszą*

kupiecką sieć, zabronił handlu z niewiernymi. Nie poddaliśmy się, nie ugięliśmy głowy przed Hemarem. Nie mogąc kupować, zaczęliśmy kraść. Zamieniliśmy nasze ciężkie kanorry<sup>45</sup> na smukłe windaskipy<sup>46</sup>. Zaczęliśmy napadać porty, przybrzeżne osady i klometry. Zakaz handlu nie trwał długo. Niestety, kiedy Cesarstwo go zniosło, Żeglarze już się rozsmakowali w piractwie.

– *Czemu ona to opowiada? Przecież ja to wiem!*

– *Cierpliwości* – odparła doświadczona w takich rozmowach Wena. – *To, o co ją prosimy, można by nazwać zdradą. Frigg jest dumna, zapalczywa, ale nie jest zdrajczynią. Musi się usprawiedliwić w swoich i w naszych oczach. Poza tym prawdopodobnie liczy na to, że jeśli podzieli się z tobą swoimi sekretami, ty będziesz bardziej skłonna zgodzić się na jej warunki.*

– Przez dziesięciolecia grabiliśmy miasta Hemaru – ciągnęła ragana. – Jeszcze za życia staliśmy się legendą. Całe wioski wyludniają się, widząc nasze żagle na horyzoncie. Jesteśmy nieprawdopodobnie bogaci. Bardowie układają ballady o naszych zwycięstwach. Najmoźniejsi władcy kontynentu wysyłają dary hogerom, przywódcom naszych klanów. Ale to bogactwo, te ballady, to łabędzi śpiew, Witio. Jeszcze pokolenie, może dwa, i Żeglarze się skończą. Wycięliśmy już prawie wszystkie drzewa na naszych wyspach. Rabunek jest tak dochodowy, że nikomu się już nie chce uprawiać ziemi. To tylko kwestia czasu, kiedy budowniczoie łodzi na kontynencie wymyślą, jak bronić się przed naszymi windaskipami. I to będzie nasz koniec.

– Spędziłam wiele lat, próbując przekonać mój lud – kontynuowała Frigg. – Zdobyłam poparcie większości ragan, ale hogerzy, starsi klanów, są głusi na moje tłumaczenia. Zadufani w sobie, ufni w niepokonaną potęgę Trogeny... Głupi, głupi chciwcy... Chcą ruszać na Dabor, układać się z Hemarem i Lobardią. Mam dość błagania i próśb, Witio. Przejadło mi się matkowanie tym półgłówkom. Nadszedł czas, by wbić im trochę rozumu do głowy. Wprowadzę cię na Fragę. Wprowadzę cię na Iskeide, Witio. Nie dlatego, że prosisz, ale dlatego, że Trogen musi się obudzić.

– *No i chwala bogom* – pomyślała z ulgą Saja. – *To nie było takie trudne...*

– *Czekaj, to nie koniec* – zmiętygowała ją babka. – *Teraz będą warunki.*

– W zamian chcę zielarek – powiedziała Frigg. – Na początek wystarczy kilka, może kilkanaście. Ktoś musi nauczyć mój lud, jak uprawiać ziemię. Ktoś musi nauczyć ich czytać i liczyć. Będziemy tego potrzebowali, by wrócić do naszych kupieckich korzeni. Czy możesz mi dać zielarki, Witio?

– *Oczywiście, zgódź się na wszystko* – podpowiadała Wena.

– *Ale babciu, nie mamy wystarczająco wielu zielarek nawet na nasze potrzeby* – zdziwiła się Saja.

– *To nie ma znaczenia. Obiecuj jej, co chce, byle tylko wprowadziła nas na Fragę.*

– *To nie jest w porządku!* – Saja sama zdziwiła się swoją reakcją.

– *Daj spokój, nie bądź dziecinna, Sajo* – tłumaczyła Wena. – *To jest polityka. Nie liczy się sposób, liczy się cel. Puste obietnice to narzędzie dobre jak każde inne.*

Witia przyglądała się raganie uważnie. Frigg była dumna i irytująco pewna siebie, ale Saja nie wyczuwała kłamstwa w jej słowach. Była przekonana, że białowłosa, wyniosła kobieta szczerze i prawdziwie troszczyła się o swój lud.

– *Saja! Ona tobą manipuluje!* – denerwowała się Wena. – *Zwierzyła ci się, żebyś ją polubiła!*

– Nie – powiedziała Saja na głos, ignorując protesty Weny. – Przykro mi, ragano, Nie mogę ci dać zielarek. Te, które mamy, ledwie wystarczają na potrzeby Daboru.

Frigg była zaskoczona. Najwyraźniej nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

– *Saja! Na miłość bogów!* – lamentowała Wena

– Mogę ci dać kobiety – podjęła Saja, uciszając babkę w myślach. – Zwykłe daborskie kobiety. Może również kobiety Drewian. Masz moje słowo, że wszystkie będą potrafiły zajmować się gospodarstwem, planować uprawy, jak również czytać, pisać i liczyć.

– Kobiety? – zdziwiła się Frigg.

– Kobiety – przytaknęła Saja. – Wielu mężów zginęło z rąk Hemaru. Ta przeklęta wojna zostawiła niezliczone rzesze wdów i młodych, niezamężnych kobiet. Nie starczy nam mężów dla nich wszystkich. Z tego co wiem, Trogen ma mężczyzn aż w nadmiarze.

– Hm... – zamyśliła się Frigg. – Wiesz, że to nie jest taki zły pomysł? Fraga będzie trwała trzy dni. Muszę się nad tym zastanowić. Spotkajmy się, powiedzmy, jutro...

– *Widzisz, co narobiłaś?!* – denerwowała się Wena. – *Jutro będzie za późno!!!*

– Ragano – Saja sama była zdziwiona spokojem swojego głosu. – Frigg. Ja nie mogę czekać. W moim kraju toczy się wojna. Muszę przemówić na Wiecu jutro, a potem jak najszybciej wrócić do Daboru.

– Niecierpliwa dziewczynka... – zakpiła Frigg, podnosząc się z tronu. – Dam ci moją odpowiedź jutro – powiedziała, podchodząc do brzegu urwiska. – Zapukaj w burtę Iskeide... Może ci otworzę, Witio. – Z tymi słowami ragana skoczyła do morza.

W locie rozpuściła się w krople wody.

– Panie korowy – powiedział Bożan, kłaniając się bratu w pas.

– Panie korowy – odparł Oleg, szczerząc zęby.

Wciśnięci w kąt namiotu, który dzielili z Sają, korowi nie potrafili ukryć radości. Ubrani w barwy Witii, cieszyli się ze swoich mundurów jak podrostki. Podskakiwali lekko, poprawiając ułożenie mistrzowsko wykonanych kolczug. Wypinali szerokie piersi, dumnie patrząc na wyhaftowane na tunikach Drzewo. Poprawiali okrywające ramiona, ozdobione znakiem Daboru ciemnozielone płaszcze.

*Przynajmniej komuś się podoba* – pomyślała kwaśno Saja, poprawiając cisnące ją suknie. W czasie podróży przyzwyczała się do wygodnego męskiego ubrania. Czowała się bardzo nieswojo w dopasowanej, zdobnej szacie Witii. Ciężkie zausznice drapały jej skronie, a opaska niemiłosiernie cisnęła czoło.

– Przestań się tak wiercić! – rugała ją Raja. – Jakbyś w życiu sukni nie nosiła!

– W tym życiu jeszcze nie nosiłam...

Spokojne życie w domu rodzinnym w Gniewie wydawało się tak odległe, jakby należało do innego człowieka.

– Młodość... – westchnęła zielarka. – Tyle przesady. Zawsze robią z igły widły...

– Ja nie robię! – zachnęła się Saja.

– Już, już – uciszyła ją starucha. – Wyprostuj się, poważna twarz, oczy. Reprezentujesz Dabor, Witio!

Saja posłusznie się wyprostowała. Podniosła głowę, przywołując ćwiczony z Weną kamienny wyraz twarzy. Pozwoliła oczom przybrać tęczowe barwy. *Jestem Witią. Jestem Witią* – powtarzała sobie. Skinęła lekko głową, dając zielarce znać, że jest gotowa.

– Dobra, chłopcy, możecie już patrzeć – zakomenderowała Raja.

Czterech korowych zwróciło się ku Sai. Ujrzawszy tęczowe oczy dziewczyny, jak na komendę padli na kolana i skłonili się nisko, przyciskając pięści do piersi.

– Witia widzi. Witia wie. Witia nie stoi sama – wyrecytowali pozdrowienie.

– Eeee... – Saja oniemiała na widok hołdu korowych w pełnym rynsztunku.

– *Niepełnym!* – poprawiła ją babka. – *Nie mają mieczy, noży, oszczepów, tuków ani tarcz.*

Dziewczyna nie odpowiedziała. W pustej nagle głowie nie mogła znaleźć ani jednego słowa czy myśli.

– *No już, wnuczko! Odpowiedz szykowi Drzewa.*

– *Babciu!* – panikowała dziewczyna. – *Nie pamiętam, co mam mówić!*

– *Spokojnie, kochanie* – wtrąciła się Lida. – *Oddychaj. Odpowiedź jest prosta. Zaiste...*

– *Zaiste nie stoi sama, szyku Drzewa* – przypomniała sobie w końcu Saja.

Słyszając te słowa, mężowie powstali i skłonili głowy z szacunkiem. Saja odetchnęła z ulgą. Właśnie oficjalnie pozdrowiła swoich wojów. Spojrzała w ogorzale twarze korowych. W ich oczach dostrzegła dumę, radością i gotowość do walki. *Jestem Witią* – uświadomiła sobie z narastającym przerażeniem. *Bogowie! Jestem Witią!!!*

– *Saja, uspokój się* – powiedziała surowo Wena.

– *Skarbie, dasz sobie radę* – pocieszała Lida.

– *A co jak nie?! Jak coś zrobię źle? Albo powiem? Zrobię pośmiewisko z Daboru!*

– *Wszystko będzie dobrze* – uspokajała ją matka.

Saja nie mogła pozbierać myśli. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. W zamęcie panującym w jej głowie głosy przodkiń brzmiały niewyraźnie. Obowiązki Witii wydały się nagle zbyt ciężkie dla jej drobnych ramion. Reprezentowała Dabor. Reprezentowała ojczyznę. Miała wyjść w tłum Trogeńczyków i zmusić ich do posłuszeństwa Daborowi. Nie mogła się ruszyć. Kręciło jej się w głowie. Nie mogła oddychać. Matka mówiła coś do niej, ale brzmiało to bardziej jak niewyraźne bzyczenie. *Co się ze mną dzieje?*

– *Cisza!!!* – Głos zielarki Oleny jakimś cudem przedarł się przez przepełniającą Sają przerażenie. – *Wena, Lida przestańcie gadać! Saja! Spokojnie, oddychaj.* – Wraz ze słowami Zielarki płynął uspokajający strumień ciepła. – *Nic się z tobą nie dzieje. To ważne wystąpienie. Denerwujesz się, to zupełnie naturalne.*

– *Tak?*

– *Tak, zapewniam cię, nie ma się czym martwić. Dasz sobie radę.* – Moc Oleny dodawała jej sił, dodawała odwagi. – *Wszystko będzie dobrze...*

– *A co, jak nie? Jak coś zrobię źle?*

– *Nie zrobisz* – zapewniła ją zielarka. – *A nawet jeśli zrobisz, i tak damy sobie radę. Będę z tobą cały czas. Wena będzie słuchała, ale tylko ja będę mówić, dobrze?*

Saja skinęła głową. Pod wpływem słów i mocy zielarki uspokajała się powoli. *Wszystko będzie dobrze* – powtarzała sobie. – *Wszystko będzie dobrze.*

Miro podniósł połę namiotu, rozejrzał się szybko i przepuścił pozostałych trzech korowych. Senko, Oleg i Bozan sięgnęli po tarcze i rozstawili się przed namiotem, gotowi do obrony Witii. Czekający na zewnątrz Skra szczechnął cicho, witając towarzyszy. Jego grzbiet i boki przykryte były grubą skórzaną uprzężą, ozdobioną

znakiem Drzewa. Miro podtrzymał ciężkie płótno dla Sai. Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

– *No już, Witio* – zachęcała ją Olena. – *Daj sobie radę z rusalkami i czarownicą. Żeglarze to pryszcz.*

*Żeglarze to pryszcz* – powiedziała sobie Saja. Od razu poczuła się lepiej. *Żeglarze to pryszcz!* Zaciśnęła pięści, uniosła wysoko głowę i ruszyła przed siebie.

Ruszyli. Senko wraz z zielarką z przodu, Bożan i Oleg po bokach. Miro i Skra zamykali pierścień obrony Witii. Saja, otoczona roslymi korowymi, nie widziała prawie nic. Pochyliła głowę i zmusiła się do głębokiego oddechu. Skupiła się na Drzewie Wspomnień, szukając spokoju, starając się uciszyć myśli. Minęli namioty i ruszyli przez zgromadzony na wiecu tłum. Kierowali się ku Lodowemu Okrętowi, miejscu obrad hogerów, przywódców trogeńskich Klanów. Wraz z przejściem korowych milkły głośne rozmowy, śmiechy i kłótnie zgromadzonych na Wiecu Trogeńczyków.

– Dabor! Patrzenie! Dabor idzie! – rozlegały się szepty wśród tłumu.

– Coś ich mało...

– Na Żagiel, widzieliście tego wilka?!

– *Dawno nas tu nie widzieli* – pomyślała Saja, podnosząc głowę.

– *Przynajmniej wciąż nas szanują* – odparła spokojnym głosem Olena.

Ponad ramieniem Senka dziewczyna mogła już dostrzec wznoszące się wysoko, ustawione na kształt smukłego windaskipu kamienne słupy Iskeide. Pomiedzy skalnymi monolitami, jak burty statku, rozciągały się gładkie tafle lodu.

– *Frigg już jest w środku* – pomyślała Saja, dostrzegając Lodowy Okręt. – *Ile mamy czasu?*

– *Mnóstwo* – odparła zielarka uspokajająco. – *Jeśli nas nie wpuści, Raja spróbuje rozwalić ten lód. A jak się nie uda, to po prostu się odwrócisz i przemówisz do reszty Trogeńczyków. Daj radę, Witio.*

Grupa Daborczyków stanęła w końcu przed lodową burtą Iskeide. Korowi rozstawili się wachlarzem wokół Witii i zielarki, ustawiając tarcze ku gromadzącemu się, milczącemu tłumowi. Na znak Mira Skra usiadł u jego boku, patrząc obojętnie na obserwujących ich w skupieniu Trogeńczyków. Zgodnie z tradycją Fragi nikt nie mógł przeszkadzać obradom hogerów. Nikt nie mógł nawet zbliżyć się do Lodowego Okrętu. Uzbrojony w pałkę<sup>47</sup> strażnik postąpił kilka kroków ku Daborczykom. Wyglądało na to, że planował stanąć w obronie tradycji. Żaden z korowych nie drgnął. Tylko siedzący u boku Mira Skra warknął głucho i zmierzył strażnika wzrokiem. Trogeńczyk zatrzymał się w pół kroku, jakby rozważając swoje szanse w starciu z olbrzymim wilkiem. Skra podniósł się i

warknął jeszcze raz, tym razem obnażając lśniące białe kły. Strażnik zrezygnował, rozłożył dłonie i wycofał się powoli. Zadowolony Skra ziewnął i wrócił na pozycję u boku Mira.

– *No, to przynajmniej nikt nam nie będzie przeszkadzał* – ucieszyła się Olena. – *Pukaj, pukaj, Witio. Ciekawam, co też Frigg zdecydowała.*

Saja otwartą dłonią walnęła trzy razy w gładką lodową ścianę. Pod uderzeniami metalowej obrączki Pierścienia Łez lód zadzwieczał jak dzwon. Szept podziwu przebiegł przez zgromadzony wokół Iskeide tłum. Saja uśmiechnęła się krzywo pod nosem. *Przynajmniej to zadziało.*

Czekali w milczeniu dłuższą chwilę. Na polu Fragi zapanowała taka cisza, że dało się słyszeć leciutki wietrzyk szumiący w szatach zgromadzonych. W końcu rozległ się ostry, przeszywający dźwięk metalu, rozrywającego gładki kryształ burt Iskeide. Rozciągająca się pomiędzy dwoma kamiennymi słupami tafla lodu rozprysła się na drobne kawałki. W otwartym wejściu na Lodowy Okręt stanęła ragana Frigg. Jej białe włosy połyskiwały w słońcu jak śnieg.

– Kto przerywa rejs Lodowego Okrętu? – Ragana zwróciła się bardziej do tłumy, niż do Sai.

Saja zawahała się. Odchrząknęła cichutko, obawiając się, że głos ją zawiedzie.

– *Spokojnie, Witio* – odpowiedziała Olena. – *Tak jak ćwicyłaś z Weną. Głęboki oddech, broda do góry.*

Dziewczyna kiwnęła głową. Wciągnęła głęboko powietrze. *Żeglarze to pryszcz.*

– Ja! – wykrzyknęła czystym, donośnym głosem. – Saja z Gniewu! Witia Daboru!

– *Pięknie!* – pochwaliła ją Olena.

Saja uśmiechnęła się w duchu. Jej twarz pozostała jednak niewzruszona. Tłum wybuchnął okrzykami niedowierzania. Frigg uniosła dłoń, uciszając zgromadzonych jednym gestem.

– Sajo, Witio Daboru – zapytała donośnym głosem, patrząc wprost w tęczowe oczy dziewczyny. – Czemu zakłócasz podróż Iskeide?

– Bo Lodowy Okręt błędzi, a ja przynoszę mu Słońce! – wykrzyknęła Saja.

Frigg skinęła nieznacznie głową, jakby spodziewała się takiej odpowiedzi. *Czy ona wie?! – dziwiła się Saja. – Myślałam, że nie wie?!*

– *Nie powinna* – odparła Olena. – *Nie sądzę* – poprawiła się po chwili. – *Nie wiem...* – stwierdziła w końcu zielarka.

– Wejdz więc, Witio, przynosząca Słońce – powiedziała ragana Frigg, odsuwając się nieco, by przepuścić Saję. – Popłyn pod Lodowymi Żaglami.

Saja przeszła pomiędzy kamiennymi słupami. Raja, korowi i Skra pozostali na zewnątrz. Dziewczyna usłyszała jeszcze narastający szept tłumu, po czym lodowa ściana zamknęła się za nią.

Zimne wnętrze Iskeide było ogromne i prawie puste. Na środku Lodowego Okrętu, tam gdzie powinien być maszt, ustawiony został szeroki, okrągły, spłaszczony na szczycie głaz. Po obu stronach, wzdłuż burt statku, znajdowały się zastawione jadłem i trunkami kamienne ławy. *Stół Wojny i Stół Pokoju* – podpowiedziały pomocne rusalki. Tylko po jednej stronie, stronie wojny, na rzeźbionych krzesłach siedzieli hogerzy, przywódcy trogeńskich klanów. Było ich pięćdziesięciu dziewięciu. Drogie futra okrywały szerokie ramiona, szlachetne kamienie lśniły na palcach. Złote łańcuchy zwieszały się z grubych karków. Saja poczuła się malutka wobec tak wielu dumnych mężczyzn.

– *Spokojnie, Witio.* – Kojący głos Oleny łagodził szaleńczą gonitwę myśli w głowie dziewczyny. – *Teraz to już będzie z górki. Wejdz na skałę, przemów, czekaj na mój znak.*

Młoda Witia zacisnęła dłonie w pięści, podświadomie dotykając obrączki Pierścienia Łez. *Żeglarze to pryszcz* – powiedziała sobie. Z dumnie uniesioną głową ruszyła ku maszтови Lodowego Okrętu.

– Co to ma znaczyć? – zapytał jeden z hogerów z oburzeniem.

– Co to za dziecko tu wpuszczasz, Frigg? – pytał następny.

– Kto to jest, ragano?

– To jest Witia Daboru – odparła Frigg, zmierzając ku pustemu Stołowi Pokoju.

– Przyszła przemówić wam do rozsądku.

Kiku mężów spojrzęło krzywo ku raganie. Większość patrzyła w stronę Sai, najpierw w zdziwieniu, potem z rozbawieniem.

– To dziecko to Witia? – kpił jeden.

– To już nie karmią ich tam w Daborze? – naśmiewał się kolejny.

Skupiona na kroczeniu dostojnym krokiem Saja nie zwracała uwagi na kpiny. Uniosła suknię, by wspiąć się na umieszczony pomiędzy kamiennymi ławami głaz. W duchu dziękowała za wykute w twardej skale schody. Najbardziej na świecie nie chciała się teraz przewrócić. W końcu stanęła wyprostowana na szczycie głazu. Trzask bicza ragany przerwał kpiny i śmiechy hogerów.

– Maszt jest wzniesiony! – oznajmiła Frigg donośnym głosem.

Saja pochyliła głowę i przymknęła oczy. Sięgnęła do Drzewa Wspomnień. *Siostry?* – wysłała ciepłą myśl ku rozleniwionym rusalkom. – *Gotowe?*

– *Śliczna panienska kocha?* – zapytał zimny głosik z zaniepokojeniem.

– *Śliczna panienska nie wyrzuci?* – dopytywał się następny.



*Kocham was, siostry* – zapewniała Saja gorąco. – *Przysięgam na wszystko, nie zostawię was tutaj.* Rusałki, uspokojone, zamigotały delikatnymi skrzydełkami. Uniosły się w kielichach ogromnych kwiatów, gotowe na rozkazy. Zadowolona Saja podniosła głowę i spojrzała ku hogerom tęczowym wzrokiem.

– Tragna Sward! – zawołała. – Wierny Miecz! – Jej czysty głos odbijał się od burt Lodowego Okrętu.

Przywódcy klanów spojrzeli po sobie, nie rozumiejąc. Co niektórzy pukali się w czoła, wskazując Saje kpiącymi gestami.

– Tragna Sward! – Wzniosła ramiona ku niebu. – Wzywam cię, Wierny Mieczu. Nadszedł czas, by stanąć w obronie Daboru.

Odpowiedziały jej śmiechy i kolejne kpiny.

– Tragna Sward! – Niewzruszona, ciągnęła niczym modlitwę. – Czemu milczysz?

– Bo za mała jesteś! – wykrzyknął jeden z przywódców klanów.

– Urośnij trochę, to poznasz mój miecz! – kpił następny, sięgając do rozporoka.

Saja nie odpowiedziała. Spuściła głowę, jakby zasmucona. *Zaczynamy, siostry* – pomyślała, sięgając do Drzewa Wspomnień, do rusałek. – *Na mój znak.* W odpowiedzi rozległ się szum niezliczonych skrzydeł. Saja podniosła głowę i z trzepotem wełnianej sukni zeskoczyła z głązu. Wylądowała na ugiętych nogach. Zielone i brązowe fałdy sukni ułożyły się wokół jej szczupłej sylwetki niczym wzburzone fale morza. Jej dłoń poprzez materiał spódnicy dotknęła udeptanej ziemi. Sięgnęła do Drzewa Wspomnień, czerpiąc złocisty nektar. *Teraz* – wydała rozkaz rusałkom. Linie złotego światła wystrzeliły spod jej palców. Strumienie żywicy Drzewa popłynęły ku zdziwionym przywódcom Klanów, wijąc się i płacząc po ziemi niczym węże. Wraz ze złotym blaskiem płynęła mgła.

– Niedobry, niedobry pan – wyszeptwała mgła. – Śliczna dziewczynka była miła.

– Zły! Zły! – Mleczne szpony sięgały ku gęstym brodom mężczyzn.

*Ostrożnie, siostry. Nie chcemy nikogo zabić* – powiedziała Saja rusałkom. – *Przestraszyć, upuścić trochę krwi, ale nie zabić.*

– Frigg! – Hogerzy bezskutecznie opędzali się od zimnych chichotów. – Ragano! Zrób coś!

Saja spojrzała ku białowłosej kobiecie. Frigg stała niewzruszona. Na jej bladych ustach błąkał się cień uśmiechu. Powietrze wokół niej zadrżało, jakby poruszone wierzgającymi kopytami i potrząsanymi grzywami rumaków.

– Tragna Sward! – Saja odwróciła się ku przestraszonym, oplątanym mgłą mężczyznom. – Czyż to nie wasze imię, Żeglarze? – Zawiesiła głos, jakby

oczekując odpowiedzi. – Jam jest Saja z rodu Drewian. Jam jest Witia Daboru. Zawiedliście mój lud. Złamaliście przysięgę. Nadszedł czas zapłaty.

– Zabieraj te ścierwa, dziwko! – Jeden z hogerów opędzał się wściekle od wgrzającej się w jego ucho rusałki.

– Frigg! – wołał raganę następny, kiedy mleczny pazur przejechał po jego grubym karku.

– *Jak długo jeszcze?* – Saja zapytała zielarkę. – *Dziewczyny wkrótce zgłodnieją.*

– *Jeszcze troszeczkę* – odparła Olena. – *Powiem ci, kiedy przyjdzie czas.*

Saja przyjrzała się bacznie rusałkom. Ich zimne oczy były zaspane, ich ruchy zdawały się senne. W lodowatych chichotach brzmiało rozbawienie, nie głód. Nasycone nektarem Drzewa rusałki zaledwie bawiły się z hogerami. Witia skinęła głową, zadowolona. Otrzeпаła suknię i ruszyła spokojnym krokiem wzdłuż oplecionego mgłą kamiennego stołu.

– Dawno, dawno temu – zaczęła śpiewnie, tonem bazarza – nad jeziorem Sławskim żył kowal Czcibor ze swoją żoną Stenką. Czcibor był uczniem samego Jara. Pewnego dnia wykuł miecz. Pracował nad ostrzem przez tygodnie, kując dzień i noc, scalając niezliczone warstwy żelaza. Ostrze tego miecza było tak doskonałe, że nawet Jar-Kowal zachwycił się dziełem swego ucznia. Czcibor nazwał ten miecz Wiernym, gdyż wiedział, że lśniące ostrze nigdy go nie zawiedzie. – Zatrzymała się i spojrzała na hogerów. – Znacie tę historię, Żeglarze?

Mężczyźni wciąż opędzali się od rusałek. Nie słysząc odpowiedzi, Saja podjęła swoją opowieść:

– Kiedy Aaki, Pierwszy Żeglarz, przybył w gościnę do Sławy, Czcibor ugościł go jak brata. Jedli razem, pili i rozmawiali o wieściach ze świata. Wtedy Aaki dostrzegł przepiękny miecz, zawieszony ponad siedziskiem Czcibora. „Daj mi ten miecz, bracie”, powiedział Aaki. „Daj mi ten miecz, bo zaiste nigdy nie widziałem piękniejszej broni”. I powiedział Czcibor do Aakiego: „Jak mogę ci dać ten miecz, bracie? Jak będę bronił mojego domu?”. „Przecież nie ma wojny, bracie” odparł na to Aaki. „Poza tym możesz sobie wykuć drugi miecz”. – Tu Saja zatrzymała się, by spojrzeć ku przerażonym, poranionym przez rusałki hogerom. – Pamiętacie tę historię, Żeglarze?

– Frigg! – zawył jeden z mężczyzn. – Frigg! Na Żagiel! Zrób coś!

Ragana wolnym krokiem podeszła do kamiennego stołu. Srebrzysty bicz ciągnął się po ziemi, płacząc linie złocistego blasku i mgły.

– Cóż mam zrobić, Tolefie z klanu Sylte? – zapytała przerażonego hogera. – Ja, taka bezużyteczna, marudna i strachliwa?

– *No popatrz, jak sobie ragana wyrównuje rachunki* – pomyślała rozbawiona Saja. – *Długo jeszcze, Oleno?*

– *Jeszcze chwileczkę, Sajo* – odparła zielarka. – *Już naprawdę niedługo. Kończ historię i zabieraj rusalki.*

– Wtedy Czcibor zapytał Aakiego – podjęła Witia – „Ale co będzie, jeśli wybuchnie wojna, zanim wykuję nowy miecz?”. Aaki opowiedział: „Przywołaj mnie, bracie, a stanę w twojej obronie”.

Saja zatrzymała się przed hogerami. Spojrzała na pokrwawione twarze z odrobiną podziwu. Starsi Klanów byli otoczeni mglistymi, nieuchwytnymi, krwiożerczymi rusalkami, przed którymi nie mieli żadnej obrony. Ragana, Łamiąca Lód, porzuciła ich na pastwę okrutnej Witii. Pomimo to hogerzy wciąż byli dumni, wciąż się nie poddawali. W ich oczach wciąż błyszczała buta niezwyciężonego Trogeny. *Na długo im tej dumy nie starczy...* – pomyślała Saja. Gestem dłoni pociągnęła złote nici, przywołując rusalki.

– Dabor was woła, Żeglarze! – wykrzyknęła oskarżycielsko. – Wasz brat was woła!

– Idź się rznij, dziwko! – Hogerzy grozili pięściami Witii. – Niech ten twój Dabor zgnije!

– *Witio, zaczyna się!* – wykrzyknęła podekscytowana Olena.

Saja spojrzała ku niebu, zaciekawiona. Wokół jej stóp, w kałuży złotego światła, zbierały się pływające we mgle rusalki.

– *Coś ty, zwariowała?! – zrugła ją Zielarka. – Nie patrz na słońce! Osłepniesz!*

– *Od razu osłepnę...* – obruszyła się Saja. – *Tak chciałam spojrzeć...* – opuściła jednak wzrok, patrząc ku rozanielonym, tulącym się do jej sukni rusalkom.

Jasne do tej pory światło dnia przyciemniało nieco, jakby słońce przysłonięte było chmurami. Saja odwróciła się od hogerów bez słowa i skierowała się z powrotem ku samotnemu głazowi. Raz jeszcze wspięła się na kamienną mównicę. Rusalki jedna po drugiej wsuwały się do zaświatów, na Drzewo Wspomnień. W Lodowej Łodzi zapadał mrok.

Frigg trzasnęła batem. Szybkim krokiem podeszła do lodowej ściany Iskeide. Uderzyła w nią uzbrojoną w rękawicę pięścią. Lśniące ostrza Iswaard wbiły się w lód, rozpryskując go na kawałki. Burty Lodowego Okrętu opadły, otwierając jego wnętrze dla zgromadzonego wokół, złęknionego tłumu. Hogerzy, wolni od rusalek i mgły, rozglądali się dookoła niepewnie. Z trwogą patrzyli też ku niebu, próbując zrozumieć przyczynę zapadającej w środku dnia ciemności.

– Trogeńcy! – wykrzyknęła Frigg do zgromadzonego tłumu. – Ja, Łamiąca Lód, zostałam wybrana, by strzec naszych praw i obyczajów.

– *Co ona robi?* – zastanawiała się zbierająca ostatnie rusałki Saja.  
– *Pozbywa się hogerów* – odparła rozbawiona Olena. – *Nie pozwól jej gadać zbyt długo, zaraz będzie koniec.*

– Ci tutaj – podjęła Frigg, strzelając batem ku hogerom – złamali przedwieczną przysięgę. Dabor poprosił nas, Trogeńczyków, o pomoc. Na mocy słowa Aakiego, Pierwszego Żeglarza, Dabor wezwał nas w imię Tragna Sward.

Przerażeni hogerzy patrzyli ku niebu, z którego powoli znikало słońce. Jakby przykrywane czarnym kręgiem nicości, było już zaledwie wąskim paskiem umierającego światła. Na ciemniejszym niebie pojawiały się gwiazdy.

– *Saja, twoja kolej!* – powiedziała Olena.

– Tragna Sward! – zakrzyknęła Saja ku Żeglarzom. – Dabor zawołał wasze imię i nie usłyszał odpowiedzi. Złamaliście przysięgę! Zdradziliście brata! Za tę zdradę – tu Witia podniosła dłoń ku niebu, jakby zgarniając ostatnie promienie słońca – ja, Saja z Gniewu, Witia Daboru, zabieram wam, Żeglarze, Słońce.

Czarny krąg zasłonił słońce całkowicie. Ostatni blask ginącej jasności załśnił niczym oczko Pierścienia Łez i umarł.

\*\*\*

Nad pogrążonym w mroku Daborem szumiał zimny wiatr. W nieprzeniknionej ciemności migotały jedynie rozpalone w każdym grodzie i osadzie zielone Ognie Ziemi. Przejęta ludność gromadziła się wokół rozjaśniających mrok światła. W skupieniu, na kolanach, pocieszani przez zielarki, Daborczycy powtarzali słowa przepowiedni.

– Kiedy gwiazdy rozbłyszczą na niebie w środku dnia, kiedy stare słońce umrze, wraz z nowym słońcem nadejdzie Witia.

Plac pod Pałacem Witii wypełniony był ludźmi po brzegi. Mieszkańcy zbierali się tu już od rana, oczekując egzekucji zdrajcy Daboru. Sławianie nie byli pewni, czy Piast, syn Stojka, jest zdrajcą. Jednak powieszenie urzędnika należało do wydarzeń, których większość mieszkańców Sławy nie chciała ominąć. Teraz, w ciemności, przejęta ludność zapomniała zupełnie o tak wyczekiwanej egzekucji. Wraz z krążącymi po placu zielarkami, wpatrzeni w Ogień Ziemi, rozpalony na szczycie posągu Czwórki, modlili się o nadejście Słońca.

Piast był otumaniony ziołami. Chcieli mu dać Sen. Obawiali się jednak, że nie będzie mógł chodzić. Napoili go więc jakimś ohydny naparem. *Szkoda* – pomyślał nieprzytomnie. – *Sen jest miły.* Dali mu tego białego proszku zaraz po arestowaniu. Obawiali się, że wykrzyczy prawdę o skarbniku.

Piast już pożegnał się z życiem. W drodze na szubienicę widział nawet swoją matkę. *Może już nie żyję?* – zastanawiał się. – *A może to Zatonie?* Próbował przyjrzeć się lepiej otoczeniu, ale ociężałe powieki nie chciały go słuchać. Jego otepiałe myśli falowały leniwie w miękkiej obojętności.

Stał na drewnianym stołku, z grubą pętlą zaciśniętą na szyi. Żałował trochę, że nie dane mu było spędzić więcej czasu z Rawą. Nie zauważył nawet, kiedy nad Pałacem Witii zapadł mrok. Jak przez mgłę usłyszał monotony pomruk wypowiedzianych tysiącami ust modlitw. Z wysiłkiem otworzył oczy. Zobaczył ciemność, rozjaśnioną światłem Ognia Ziemi. *Umarłem* – pomyślał leniwie. Zdziwił się trochę, że nie poczuł bólu. *Może powieszenie jest bezbolesne?* – zastanawiał się, wpatrzony w ciemność. Potem poczuł, jak ktoś zsuwa pętlę z jego szyi.

– Piast – usłyszał swoje imię, szeptane głosem Rawy.

*Rawa też umarła* – pomyślał.

– Chodź – nalegał głos Rawy. – Cichutko.

*Ciekawe, czemu cichutko?* – zastanawiał się. *W zaświatach też podstuchują?*

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ

---

<sup>44</sup> W czasie Fragi Żeglarze obradują pośród kamiennych obelisków, ustawionych na kształt okrętów. Iskeide, czyli Lodowy Okręt, to największa z tych kamiennych konstrukcji. Wewnątrz Iskeide odbywają się narady przywódców trogeńskich klanów.

<sup>45</sup> Handlowe statki Trogeńczyków.

<sup>46</sup> Wojenne okręty Trogeńczyków.

<sup>47</sup> By uniknąć rozlewu krwi, noszenie jakiegokolwiek broni było surowo zakazane na Wiecech. Jedynie wyznaczeni strażnicy mogli nosić drewniane pałki. Broń miotana (łuki, dzidy) była całkowicie zabroniona.